

PIOTR KOŚCIELNY

SZYMEK

CZARNA OWCA

PIOTR KOŚCIELNY
SZYMEK

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Copyright © 2023 by Piotr Kościelny
Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca
All rights reserved

Wydawca: Marek Korczak
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Kamila Reclaw, Maciej Korbaśiński
Projekt okładki i stron tytułowych: Natalia Twardy
Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).
Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.
Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN 978-83-8252-661-5

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl
Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Dedykacja](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)

*Dla mojego przyjaciela Jacka
– najlepszego pirata na Renie*

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Jerzy Konopka szedł ze swoim jamnikiem w stronę przejazdu kolejowego przy Bystrzyckiej. Dochodziła druga w nocy. Jego żona nakarmiła Kajtka wątróbką wieprzową i pies się struł. Tradycyjnie to jemu przypadła rola wyprowadzenia czworonoga. Nie pierwszy raz zmuszony był spacerować z Kajtkiem o tej porze. Z reguły obierał wtedy trasę dookoła fabryki Hydral. Najpierw szedł Balonową, a potem tyłem, Bystrzycką. Tak było też dzisiejszej nocy. Cieszył się, że przynajmniej przestał padać śnieg.

Wyciągnął z kieszeni kurtki papierosy i włożył jednego do ust. Zanim odpalił, przez chwilę szukał zapalek.

– Kurwa – zaklął cicho, kiedy się zorientował, że nie wziął ich z domu.

W tym samym momencie zobaczył idącego kawalek dalej nastolatka. Zbliżał się od strony bunkrów. Stare ruiny służyły młodzieży do spotkań i pijaństwa. Wiele razy pojawiała się tam policja wezwana przez mieszkańców pobliskich bloków narzekających na głośne krzyki i śpiewy. Dzisiejszej nocy jednak było cicho.

Konopka przyjrzał się chłopakowi. Kojarzył go z widzenia. Był to Szymon, młodszy syn Dąbrowskich. Mieszkali dwie bramy od niego i ilekroć widzieli Jerzego, zawsze się uklonili. Wprowadzili się do bloku przy Bajana jakieś osiem lat temu. Jerzy pamiętał jak dziś moment, gdy budynek zasiedlali pierwsi lokatorzy. Przypominało mu to sceny z popularnego serialu Barei o mieszkańcach warszawskiego bloku przy ulicy Alternatywy. Na Bajana było podobnie, chociaż trafiło się mniej dziwaków niż w popularnej komedii.

Patrzył na małolata i zastanawiał się, czy ten ma zapaliki. Kilka razy, przechodząc obok, wyczuwał od niego papierosy, ale nigdy nie widział go palącego.

– Ej, kolego! – zawołał.

Młody Dąbrowski stanął i spojrzał w jego stronę. Mocniej naciągnął kaptur, który miał na głowie, jakby nie chciał być rozpoznany.

– Masz może zapaliki? – spytał Konopka.

– Nie palę – burknął nastolatek.

– Cholera. Nic, trudno – rzucił i mocniej pociągnął za smycz.

Przez chwilę patrzył za oddalającym się sąsiadem. Coś mu tu nie pasowało. Chłopak zachowywał się dziwnie, widać było, że coś go gryzie.

– A, już wiem. Wczoraj były te niby walentynki – mruknął pod nosem Konopka. – Pewnie dostał kosza od jakiejś laski.

Nie przepadał za tą nową modą. Uważał, że Polacy mają sporo własnych świąt i nie muszą brać kolejnego z Ameryki. Nie tylko za tym zresztą nie przepadał. Ostatnio modne zrobiło się ściąganie każdej głupoty z Zachodu. Jak nie walentynki, to jakieś Halloween. Jak nie Halloween, to hamburgery. Nie podobało mu się to. Zastanawiał się, co będzie następne.

Ruszył przed siebie, ale Kajtek pociągnął za smycz, żeby zaraz przykucnął pod krzakami. Konopka marzył już tylko o powrocie do ciepłego łóżka.

Nagle usłyszał nadjeżdżający pociąg. Swoim zwyczajem w myślach obstawił liczbę wagonów. W dzieciństwie mieszkał na Praczech, w starym domu w pobliżu torów. Lubił wtedy siadać z kolegami przy torach i liczyć wagony. Zakładali się, kto zgadnie, ile tym razem ciągnie ich lokomotywa. Ten, który trafił lub był najbliżej, wygrywał.

– Będzie trzydzieści siedem – powiedział teraz cicho, patrząc na toczącą się po szynach maszynę.

Zanim jednak zaczął liczyć w myślach, usłyszał przeciągły gwizd i pisk hamulców. Spojrzał w stronę lokomotywy i zobaczył stojącego na torach człowieka. Bez trudu rozpoznał Szymka. Chłopak tkwił na nasypie jak zahipnotyzowany. Gdy ciężka lokomotywa uderzyła w niego z impetem, Konopka zamknął oczy.

* * *

Józef Grzybowski wolał jeździć w nocy. W tych godzinach zawsze był spokój. Nie było dużego ruchu na torach, a na węzłach zwykle siedzieli ludzie, którym nie zależało na tym, aby zwracać mu głowę. Praca w tych godzinach nie wymagała takiej uwagi jak w ciągu dnia. Jedynym poważniejszym zagrożeniem mogła być dzika zwierzyna, która czasem próbowała przebiec tuż przed lokomotywą. Niestety często nie udawało jej się zdążyć i zostawała rozjechana na miazgę. Małych lisów czy zajęcy nie było mu szkoda tak bardzo jak saren czy dzików. W lasach było coraz mniej zwierzyny, więc każdy wypadek z jej udziałem go martwił.

Dzisiaj miał zaplanowany spokojny kurs. Za jakieś trzy godziny dojedzie do punktu docelowego i po odłączeniu składu ruszy z powrotem. Potem miał mieć tydzień wolnego. Obiecał żonie wyjazd do Karpacza. Od dawna suszyła mu głowę, że wszyscy gdzieś jeżdżą, tylko oni ciągle siedzą w bloku. Dał się uprosić, chociaż uważał, że to zbytnia rozrzutność. Nie mieli tyle pieniędzy, by nimi szatać.

Wyjął z torby termos z kawą i kanapki, po czym spojrzął przed siebie. Dojeżdżał akurat do przejazdu kolejowego przy Chociebuskiej. Rozwinął kanapkę i wziął gryza. Przełączył światła i nagle poczuł, jak serce zaczyna mu bić szybciej. W oddali na torach stał człowiek. Patrzył prosto na lokomotywę. Wyglądał jak zahipnotyzowany.

Grzybowski upuścił kanapkę i wcisnął hamulec. Równocześnie dał sygnał syreną.

- Złaź, idioto – mruknął pod nosem.
- Człowiek jednak nadal stał w tym samym miejscu.
- Spierdalaj!
- Samobójca rozpostarł ręce na boki.
- Kurwa...

W momencie uderzenia Grzybowski zamknął oczy. Wiedział, że z człowieka zostanie miazga.

Gdy lokomotywa powoli wytracała prędkość, myślał o tym, że dzisiaj już nie zakończy kursu. Będzie musiał powiadomić dyżurnego i policję. Zacznie się żmudne dochodzenie, czy miał możliwość uniknięcia wypadku.

- I, kurwa, nici z Karpacza – westchnął, sięgając po radiostację.

* * *

Bożena Dąbrowska nie mogła zasnąć. Martwiła się, bo Szymek wciąż nie wrócił do domu.

Ostatnio jej młodszy syn dziwnie się zachowywał. Był nerwowy i zamykał się u siebie w pokoju. Zdarzało się, że słyszała, jak płacze. Podejrzewała, że może chodzić o jakąś dziewczynę. Zwłaszcza że bardziej o siebie dbał. Częściej się kąpał i zaczął używać kosmetyków. Dojrzewał i było to coraz bardziej widoczne.

W zeszłym roku chłopak poszedł do szkoły średniej. Dobrze się uczył, nie był może prymusem, ale wstydu im nie przynosił. Najwyraźniej miał jednak jakieś problemy, w które nie chciał jej wtajemniczyć. Kilka razy przyszedł do domu z wyraźnymi śladami pobicia. Nie dawało jej to spokoju, ale nic nie zrobiła. Andrzej powiedział jej, żeby się nie wtrącała. Stwierdził, że największym błędem, jaki mogą zrobić, to pójść do szkoły z pytaniem, co się dzieje. Należy zostawić sprawę własnemu biegowi. Nie zgadzała się z tym, ale też nie sprzeciwiła mężowi. Nie chciała pogarszać sytuacji Szymka.

Jedna koleżanka powiedziała jej, że w szkole średniej pierwszoklasiści, zwani przez starszych uczniów kotami, zawsze są gorzej traktowani. Fala, która dotąd miała miejsce tylko w wojsku, dotarła też do szkół. Bożena miała nadzieję, że za jakiś czas wszystko się unormuje i będą mogli się bardziej skupić na Tomku.

Z nim to ciągle mieli problemy. Swego czasu przystąpił do skinheadów. Ogołił się na łyso, kupił glany i słuchał głośnej muzyki. Powiedział też, że w przyszłości zapisze się do Polskiej Wspólnoty Narodowej. Bożena słyszała od ludzi, że to partia powiązana z pravicowcami. Miała nadzieję, że Tomek za jakiś czas zmadrzeje i nie zmarnuje sobie życia, wiążąc się z faszystami. Nie chciała, aby ludzie gadali, że wychowała nazistę. I tak już miała przez syna sporo problemów i wstydu. Co jakiś czas do ich domu przychodził dzielnicowy. Pytał o Tomka i kazał trzymać go krótko. Zawsze potem przeprowadzali z synem rozmowę, a na koniec on obiecywał poprawę. Zaraz jednak znowu wszystko zaczynało się od nowa. W zeszłym roku, w dzień wagarowicza, nawet zatrzymano go na kilka godzin na komisariacie, bo wdał się w bójkę. Tradycyjnie w ten dzień młodzież atakuje policję i miasto wygląda jak pole bitwy. Nie dość, że musieli go wtedy

z Andrzejem odebrać z komisariatu, to jeszcze zostali wezwani przez dyrektorę szkoły. Wstydzieli się, że wychowali chuligana. Obiecali, że zrobią wszystko, by Tomek się poprawił. Niestety jak dotąd im się to nie udało. Ich syn nadal zachowywał się nagannie. Bożena miała zamiar porządnie się za niego wziąć i dać mu szlaban na wyjścia. Koniec z kolegami i późnymi powrotami. Będzie siedział w domu, dopóki nie zmądrzeje. Ostatnio zapowiedział, że jak tylko skończy osiemnaście lat, zaciągnie się do Legii Cudzoziemskiej. Miała jednak nadzieję, że zanim stanie się pełnoletni, ten pomysł wywietrzeje mu z głowy. Podobnie jak kilka wcześniejszych, równie niemądrych.

Spojrzała na śpiącego obok męża. Wczoraj wrócił z drugiej zmiany, a dzisiaj miał na rano. Od kilku miesięcy brał nadgodziny, żeby mogli jakoś związać koniec z końcem. Kryzys zajrzał do ich rodziny. Ona, jako krawcowa, miała coraz mniej pracy. Cały dom był praktycznie na jego utrzymaniu. Andrzej pracował jako mechanik w Pafawagu, ale ostatnio coraz częściej wspominał, że musi poszukać czegoś nowego. Sugerowała mu, że w czasach szalejącego bezrobocia zwolnienie się z pracy byłoby głupotą, on jednak twierdził, że coraz częściej w fabryce mówi się o planowanych zwolnieniach grupowych. Niby miał być jakiś pakiet pomocowy dla zwalnianych pracowników, ale plotki, które krążyły po zakładzie, rozwiewały złudzenia. Wielu pracowników już zaczęło się rozglądać za nowym zajęciem.

Wstała z łóżka i poszła do kuchni. Przez chwilę patrzyła przez okno. Miała nadzieję, że zobaczy wracającego do domu Szymka. Wyszedł po południu i nie powiedział, dokąd idzie. Podeszła do kuchenki i włączyła gaz pod czajnikiem. Wiedziała, że dopóki syn nie wróci, nie zmruży oka. Zaczęła nasypywać sobie kawy do szklanki i w tym momencie usłyszała przeciągły pisk hamulców pociągu na pobliskich torach.

* * *

Komisarz Piotr Żmigrodzki zaparkował służbowego poloneza w pobliżu przejazdu kolejowego na Chociebuskiej. Wsiadł z auta i odpalił papierosa. Nigdzie mu się nie śpieszyło. Samobójstwa na torach mają to do siebie, że nie można się spodziewać po nich ciekawych widoków. Ot, zwykłe ciało rozciągnięte na odcinku kilkuset metrów.

Nie lubił wyjeżdżać do takich zdarzeń. Przygnębiał go ten rodzaj śmierci. Sam wiele razy miał myśli samobójcze i tylko silnej woli zawdzięczał to, że jak dotąd nie pożegnał się z tym światem. Może ktoś tam na górze postanowił, że musi dźwigać swój krzyż na tym padole łez. A może to pokuta za to, co zrobili z Mieszkowskim. Nie zastanawiał się teraz nad tym. Nie chciało mu się kolejny raz tego roztrząsać.

Był zły, że musiał pojawić się przy tym zgonie. Mógł siedzieć w komendzie i opróżniać w samotności butelkę. Jakby nie ten samobójca, pewnie właśnie by ją kończył i kładł się spać. Rano na lekkiej bańce pojechałby do domu i tam zaczął

kolejną flaszkę. Na mocnej bombie położyłby się do łóżka. Tak wyglądał praktycznie każdy jego dzień, czy to w pracy, czy poza nią.

Popatrzył na rozbłyśki latarek w pobliżu lokomotywy. Widział techników szukających fragmentów ciała desperata. Nie zazdrościł im tej roboty. Wziął kolejnego macha i spojrzął na zaparkowaną kawalek dalej policyjną nyskę. Obok sierżanta stał jakiś facet z jamnikiem. Żmigrodzki był pewny, że to świadek samobójczej śmierci. Rosnące bezrobocie i kryzys sprawiły, że coraz więcej ludzi podejmowało decyzję o pożegnaniu się z tym światem. Tylko nieliczni robili to jednak w taki sposób jak ten tutaj. Większość wieszala się w piwnicach lub mieszkaniach, zażywała leki lub podcinała sobie żyły.

Kusiło go, aby wyjąć z kieszeni piersiówkę i wziąć kilka łyków. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić. Narobiłby sobie tylko niepotrzebnych problemów. Chuchnął w zagłębienie dłoni i przyłożył ją do nosa. Woń alkoholu nie była mocno wyczuwalna. Mógł bez obaw porozmawiać ze świadkiem. Rzucił niedopałek na ziemię, zdeptał butem, po czym poprawił kołnierz kożucha i ruszył do nyski.

– Dzień dobry, komisarz Żmigrodzki, komenda miejska. Pan widział wypadek? – spytał mężczyznę z psem.

– Tak. Panie, ten Dąbrowski stał jak zahipnotyzowany!

– Dąbrowski? Znał pan denata?

– To syn sąsiadów.

Żmigrodzki wyciągnął z kieszeni papierosy i poczęstował mężczyznę, ten jednak pokręcił głową. Komisarz odpalił marsa i wydmuchnął dym.

– Adres tych Dąbrowskich da pan sierżantowi – powiedział i spojrzął na techników zbierających ślady.

– Powiem panu, że nie wiem, jak to zniosą. Ten był spokojny, za to ten drugi to kawał łobuza. Skinem jest – powiedział facet z jamnikiem.

Komisarz zdawał sobie sprawę, że ktoś musi powiadomić bliskich denata o tragedii. Miał tylko nadzieję, że uda mu się ten przykry obowiązek zrzucić na jakiegoś mundurowego.

* * *

Krzysztof Sawicki całą noc nie mógł spać. Rano miał się stawić w komendzie miejskiej. Dostał nowy przydział do wydziału zabójstw. Było to jego marzeniem, odkąd trzy lata temu założył mundur. Wcześniej po szkole służył na komisariacie na Jaworowej. To, że trafił do wydziału kryminalnego w komisariacie na Krzykach, było prawdziwym szczęściem. W szkole policyjnej się wyróżniał i poleceno go naczelnikowi wydziału. Przez cały okres służby miał dobre wyniki i wysoką wykrywalność. Został doceniony przez przełożonych, dostał kilka pochwał. Osobiście wolałby podwyżkę, ale miał świadomość, że prędzej otrzyma najwyższe wyróżnienie niż choćby milion więcej do pensji. Przeniesienie do komendy miejskiej traktował jako kolejne wyróżnienie. Był szczęśliwy, że trafia

do elitarnego wydziału, chociaż miał też obawy. Nie wiedział, jak się zaaklimatyzuje i czy nowi koledzy go zaakceptują.

U siebie na Jaworowej miał dobre relacje z resztą policjantów. Nikomu nie zależał za skórę i nikt nie zależał jemu. Był powszechnie lubiany i szanowany. Miał też wyniki w wydziale kryminalnym. Jednak przeniesienie było sporym awansem. Miał nadzieję, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku.

Wstał jeszcze przed świtem. Magda nawet się nie poruszyła, jak nad nią przechodził. Byli razem już dwa lata i planowali ślub. Jej ojciec był emerytowanym pułkownikiem wojska i dbał o swoją jedynaczkę. Krzysztof się zastanawiał, jak wdowiec potrafił pogodzić dyscyplinę i miłość. Magda opowiadała mu, że jak ojciec był jeszcze w czynnej służbie, trzymał poborowych w ryzach i wszyscy uważali go za despotę. W domu jednak przeistaczał się w spokojnego baranka. Krzysiek był tym zaskoczony, bo w większości przypadków oficerowie wojska w domowym zaciszu też są tyranami. Nadużywają alkoholu i pięści wobec bliskich. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to może być tylko stereotyp, niemniej zachowanie przyszłego teścia było dla niego zastanawiające.

Zaparzył kawę i włączył stare radio Kasprzaka. Przez chwilę poruszał anteną, żeby ustawić jakąś stację, ale z głośnika dobiegał tylko szum. W końcu dał sobie spokój. Włączył kasetę z piosenkami The Doors. Uwielbiał ballady Jima Morrisona. To przy jego piosenkach pierwszy raz całował się z Magdą, a przy *Love Her Madly* pierwszy raz się kochali.

Wziął łyk kawy i zabębnił palcami o blat stołu w rytm *Touch Me*.

– Wstałeś już? – dobiegło od drzwi.

Spojrzał na Magdę i się uśmiechnął.

– Tak. Obudziłem cię?

– Nie.

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek.

– Stresujesz się?

– Trochę.

– To może powinnam nieco tego napięcia z ciebie zdjąć? – zapytała z zalotnym uśmiechem.

Dotknęła jego krocza i zaczęła masować. Przymknął oczy. Chwilę później Magda przyklękła przed nim i wyjęła jego członka ze spodenek. Gdy wzięła go w usta, jęknął.

* * *

WROCLAW, 31 SIERPNIA 1993 R.

Był słoneczny wtorek, ostatni dzień wakacji. Pomyślałem, że od jutra zacznie się nowy etap w moim życiu. Pójdę do technikum na Poznańską i tam zobaczę, co to znaczy prawdziwe piekło. Czasy podstawówki się skończyły wraz z odebraniem świadectwa. Wchodziłem w nowe środowisko i wiedziałem, że będę musiał mocno się przyłożyć do nauki.

Pod warunkiem, że uda mi się przeżyć. Miałem zostać pierwszakiem, popularnie zwanym kotem. Już od połowy sierpnia Kozik z Harnasiem mnie straszili. Obaj byli o rok ode mnie starsi i pierwszą klasę liceum mieli już za sobą. Pamiętam, jak opowiadali, że fala w szkole jest podobna do tej w wojsku. Podobna, bo w wojsku to jednak jest łagodniej. W październiku siedzieliśmy z naszą paczką w sąsiedniej klatce i Harnaś mówił, że za rok czeka nas prawdziwe piekło. Opowiadał, jak się zachować w szkole średniej, aby nie oberwać zbyt mocno. Mój starszy brat także wiele razy mówił mi, że technikum to nie przelewki i trzeba mocno się pilnować, by nie oberwać od starszaków.

Byłem się wejścia w ten nowy świat. Miał to być dla mnie sprawdzian.

Ojciec uważał, że w końcu powinienem zachowywać się jak facet. Po skończeniu podstawówki złożyłem papiery do szkoły na Hauke-Bosaka, ale egzamin poszedł mi fatalnie. Ze swoją średnią nie miałem szans na prestiżowe liceum. Postanowiłem więc zanieść dokumenty do technikum mechanicznego przy Poznańskiej. Tam dostałem się bez trudu. Nikt nie patrzył aż tak bardzo na moje oceny.

Klasa o profilu mechanicznym wydawała się dla mnie odpowiednia. Z ojcem i starszym bratem wielokrotnie naprawialiśmy naszą ładę samarę. Mechanika była czymś, co nie sprawiało mi żadnych trudności. Wiedziałem, że bez trudu sobie poradzę. Przynajmniej tak mi się wydawało. Bo co innego pomaganie ojcu, a co innego szkoła, w której sam będę musiał wykonywać wszystkie czynności.

Ojciec, żeby odpowiednio mnie przygotować, kupił kilka części silnika i kazał mi je rozkładać i czyścić. Budowę rozrusznika do malucha, alternatora czy bloku silnika miałem w jednym palcu. Mój pokój wyglądał jak prowizoryczny warsztat. Pierwszy miesiąc wakacji spędzałem na przyswajaniu schematów maszyn. Ojciec powiedział, że należyte przygotowanie do przyszłego zawodu jest ważne. Nie protestowałem, chociaż wolałem spędzać czas z kumplami i dziewczynami. To mnie ciekawiło bardziej niż budowa maszyn.

Dwa tygodnie temu wyskoczyłem na weekend do Sulistrowiczek. Byłem z czterema kolegami z podstawówki. Matka nie protestowała, bo z Maćkiem jechali dwudziestoletni brat Karol i jego dziewczyna. Czas upłynął nam na paleniu papierosów, piciu piwa i opalaniu się. Staraliśmy się poderwać jakieś dziewczyny, ale nas spławiały. Byłem wściekły, bo właśnie wtedy na nosie wyskoczył mi ogromny pryszcz. Na dodatek nie miałem zbyt wielu pieniędzy. Matka stwierdziła, że w naszej obecnej sytuacji nie możemy sobie pozwolić na szastanie kasą. Byłem tym zdziwiony, bo starzy nie mówili wcześniej, że mamy jakiś finansowy dołek. Nie dopytywałem jednak. Nie chciałem psuć sobie humoru przed weekendowym wypadem.

Czas upłynął szybko i wróciliśmy goli i weseli. Każdy z nas wydał to, co ze sobą zabrał. Całe szczęście, że Karol miał jeszcze parę groszy i mieliśmy za co opłacić pociąg z Sobótki do Wrocławia. Nie wyobrażałem sobie powrotu pieszo. Niby to tylko trzydzieści kilometrów, ale dla przepitych i przepalonych chłopaków była to odległość nie do przebycia.

Kolejne dni spędziłem w domu. Rano tradycyjnie starałem się ogarnąć schematy maszyn, a po południu miałem czas dla kolegów.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Za piętnaście minut byłem umówiony z chłopakami na granie w piłkę. Poszedłem do przedpokoju i zacząłem wkładać buty.

– A ty gdzie? – spytała matka.

– Na dwór. Umówiłem się na piłkę.

– A przypadkiem nie masz jutro szkoły? Nie powinieneś naszykować sobie ciuchów?

– Przecież mam czyste.

– Bo ja ci je wyprałam. Nigdzie nie pójdziesz.

– Ale mammo...

– Bez gadania.

Spojrzałem na matkę i stwierdziłem, że nie ma sensu się z nią kłócić. Na usta cisnęło mi się przekleństwo, ale odpuściłem. Trudno, dzisiaj chłopaki zagrają beze mnie.

* * *

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki podszedł do techników i popatrzył, jak jeden z nich zbiera do woreczka fragment tkanki.

– Fest zmasakrowany?

Technik odwrócił się w jego stronę.

– Widziałem gorsze. Jest sporo fragmentów ciała. Na szczęście nie tak dużo jak zwykle w takich przypadkach. Po uderzeniu wpadł pod zderzak i koła. Trochę go zmieliło, ale korpus i głowa są całe. No, nie licząc kawałków czaszki i mózgu, które po uderzeniu znalazły się na lokomotywie.

Żmigrodzki wyjął paczkę marsów i poczęstował kolegę. Ten wziął jednego i włożył do ust. Komisarz podał mu ogień, a po chwili sam też zapalił.

– Powiem ci, że nie lubię jeździć do puzzli – stwierdził technik.

– Do puzzli?

– No, do rozwalonych przez pociąg. Za dużo fragmentów ciała trzeba zbierać na całej długości torów. Jak taki źle trafi, to rozciągnie go na kilkaset metrów.

– Ja w ogóle nie lubię samobójców. Źle na mnie działają. Wpadam potem w podły nastrój.

Żmigrodzki rozejrzał się dookoła. Po chwili wyjął z kieszeni kozucha pierśiówkę i skierował ją w stronę mężczyzny. Ten przez ułamek sekundy się wahał. W końcu machnął ręką i wziął łyka. Oddał butelkę Żmigrodzkiemu, a wtedy on także się napił. Miał ochotę wracać już do komendy i zdać służbę. Potem pojechałby do siebie i się dopił.

– Powiem ci, że w taką pogodę mały łyczek jest jak zbawienie. – Puścił oko do technika.

– Ale nie za dużo, bo trzeba zaszuwać. Nie chcę siedzieć tu pół dnia. Raz, że zimno, a dwa, że nie ma co robić zamieszania. Trzeba pozbierać dzieciaka i zawiązać się do chaty.

Żmigrodzki zobaczył, że w ich stronę idzie prokurator Zieliński. Zaraz przekaże mu dotychczasowe ustalenia i będzie mógł pojechać do komendy. Sprawa samobójstwa nie nadaje się do wydziału zabójstw.

* * *

Bożena Dąbrowska patrzyła na stojącego w progu policjanta. Sierżant przed kilkoma sekundami powiedział im, że wydarzył się wypadek i ich syn nie żyje.

Nie mogła w to uwierzyć. Andrzej chwycił jej dłoń i mocno ścisnął. Spojrzała na niego i zobaczyła, jak po jego policzku płynie łza.

– Jest mi niezmiernie przykro – dodał policjant. – Będą musieli państwo się do nas zgłosić. No i oczywiście zidentyfikować zwłoki.

Bożena skinęła głową.

– Na tę chwilę ustaliliśmy tożsamość na podstawie legitymacji szkolnej, którą państwa syn miał w portfelu.

– Czy on... – zaczął Andrzej Dąbrowski.

Sierżant patrzył na niego, czekając na pytanie.

– Czy on jest mocno okaleczony? – dokończyła za męża Bożena.

– Niestety tak. Nie chciałbym jednak o tym państwu mówić. Wolałbym oszczędzić tych drastycznych szczegółów.

– A czy cierpiał? – zapytała Dąbrowska.

– Zginął na miejscu. W takich wypadkach śmierć z reguły przychodzi natychmiast.

Dąbrowska skinęła głową. Nie była to dla niej żadna pociecha w tej sytuacji, ale przynajmniej jej ukochany synek nie cierpiał.

– Czy możemy zostać sami? Czy czegoś jeszcze pan od nas potrzebuje? – spytał Andrzej.

– Nie, to wszystko.

Policjant zaszalutował i skierował się w stronę windy. Dąbrowski zamknął drzwi i objął żonę. Zdawał sobie sprawę, że to nie ukoji ich bólu, ale nie wiedział, jak ma zareagować.

Bożena mocno się do niego przytuliła. Jej plecy drżały od płaczu.

– Musimy być silni – powiedział, całując ją w czoło. – Musimy...

Odsunęła się nieco.

– Silni? – powtórzyła. – Nie da się być silnym, jak twój syn rzuca się pod pociąg!

– Mamy jeszcze jedno dziecko – przypomniał jej.

– Właśnie. Gdzie jest Tomek?

– Mam iść go poszukać?

– Nie. Nie ma sensu. Teraz już nic nie ma sensu...

Bożena zaniósła się szlochem. Usiadła na podłodze w przedpokoju i schowała twarz w dłoniach.

* * *

WROCLAW, 31 SIERPNIA 1993 R.

Jednak wyszedłem na podwórko. Matka kazała mi znaleźć Tomka. Była na niego zła, bo mieli jechać do miasta poszukać podręczników do szkoły. Ja na szczęście nie miałem jeszcze listy książek, nie musiałem więc biegać po księgarniach. Wiedziałem zresztą, że podręczniki odkupię od chłopaków ze starszych klas.

Spojrzałem w stronę boiska. Krzysiek właśnie oddawał strzał. Mimowolnie napiąłem mięśnie, tak jakbym to ja kopnął. Niestety piłka odbiła się od słupka i wyszła w pole. Krzysiek dostał burę od pozostałych chłopaków z drużyny.

Dzisiaj grali do bramek przyniesionych z innego podwórka. Co jakiś czas zabieraliśmy je z Balonowej. Tam stały puste, bo dzieciaki miały inne, większe. Te hokejówki nie były im do niczego potrzebne. Tak przynajmniej uważaliśmy. Kusiło mnie, aby pobiec na boisko, ale wiedziałem, że matka by mi tego nie odpuściła. Spojrzałem w stronę okien i zobaczyłem, że otwiera się jedno z przynależnych do naszego mieszkania. Nie było na co czekać. Pora ruszyć na poszukiwanie Tomka. Matka oparła się o parapet, żeby wyjrzeć na podwórko. Wszedłem do tunelu i ruszyłem w stronę pobliskich ponemieckich bunkrów.

Mój brat był skinem i spędzał tam z kumplami większość czasu. Gdy kilka razy go śledziłem, widziałem, że jak weszli na teren niewielkiego lasku, to na flyersy zakładali opaski z krzyżem celtyckim. Jeszcze kilka lat wcześniej bunkry były miejscem, gdzie spotykali się sataniści. Odprawiali tam nawet czarne msze. Wiele razy widziałem długowłosych chłopaków w dzinsowych kurtkach z rogami wyszytymi na plecach. Ale teraz już ich na osiedlu nie było.

Pojawili się za to skini. Zawsze wyglądali groźnie – ogoleni na łyso, w wojskowych butach zasnurowanych białymi sznurówkami na tak zwaną drabinkę. Kurtki flyers i podwinięte spodnie z szelkami. Na dodatek każdy z nich miał czarny wojskowy pas. Ludzie się ich bali i schodzili im z drogi. Widziałem kiedyś, jak na przystanku przy Bystrzyckiej dorwali jakiegoś punka i go pobili. Ściągnęli pasy i lali go nimi po plecach i nogach. Na koniec go skopali. Nikt nie zareagował. Każdy się odwracał, udając, że nie widzi zajścia.

Mnie kumple Tomka nie robili żadnej krzywdy. Kilka razy nawet z nimi pogadałem. Żadne tam poważne tematy, głównie czy Tomek zaraz wyjdzie. Widząc mnie, zwykle pytali „Co tam, młody?”. Nie lubiłem tego pytania.

Teraz wszedłem do niewielkiego lasku i skierowałem się do pozostałości z czasów wojny. Bunkier był stałym miejscem spotkań okolicznej młodzieży. Kusił i przyciągał. Jak sataniści przestali się tu pojawiać, młodzież przestała się bać. Teraz jednak należało uważać, by nie wejść w drogę skinom. Ja jednak się nie bałem, bo co mi mogą zrobić kumple mojego brata?

Z rozpędu wszedłem do niewielkiego pomieszczenia i zobaczyłem coś, co sprawiło, że moje serce zaczęło bić szybciej. Mój starszy brat posuwał Kaśkę. Była odwrócona do Tomka tyłem. Majtki miała spuszczone do kolan, a sukienkę zadartą na plecach. Jej piersi, wyciągnięte ze stanika, kołysały się rytmicznie w takt pchnięć mojego brata. Tomek bzykał ją ze spuszczonej do kostek spodniami.

Zamierzałem się wycofać, gdy Kaśka spojrzała w moją stronę.

– Kurwa mać – przekleła i gwałtownie określiła się w bok, żeby podciągnąć majtki.

– Kurwa, uważaj trochę! Chuja mi połamiesz – zawołał Tomek i dopiero wtedy mnie zauważył. – A ty tu czego?

– Matka kazała cię zawołać do domu – powiedziałem, a mój wzrok powędrował w stronę Kaśki, która zaczęła wkładać piersi w stanik.

Tomek też na nią zerknął i się uśmiechnął.

– Podobało ci się, młody? – spytał, podciągając spodnie.

Nic nie powiedziałem.

– Trzeba było poczekać, aż się spuszcze. Może wtedy Kaśka też by ci dała.

Poczułem, że się czerwienię.

– Dobra. Spierdoliłeś mi ruchanie. Wisisz mi za to paczkę fajek. – Mój brat wyciągnął papierosy z kieszeni spodni, odpalił jednego i wydmuchnął dym. – No, na co czekasz? Spierdalaj – dodał, kolejny raz się zaciągając.

Wiedziałem, że nie ma sensu dłużej tu stać, dlatego się odwróciłem i szybko wyszedłem z bunkra.

– A starej powiedz, że zaraz będę! – usłyszałem jeszcze za plecami.

* * *

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Tomek Dąbrowski patrzył z przerażeniem na tkwiącą na torach lokomotywę. Obok niego stała Agnieszka, jego nowa dziewczyna. Poznał ją trzy dni wcześniej i już się z nią przespał. Początkowo nie miał takiego zamiaru. Od kilku miesięcy był w związku z Anką, jednak coraz częściej urządziła mu jazdy i stwierdził, że musi coś zmienić. Tak też zrobił. Tyle że nie zdążył jeszcze jej powiedzieć, że z nimi koniec. Na to przyjdzie czas. Wolał być z Agą, bo ona przynajmniej się go nie czepiała, no i była lepsza w łóżku. Wczorajszego wieczoru uprawiali seks u niej w mieszkaniu, a potem poszli na bunkry. To, co tam się wydarzyło, zupełnie go przerosło. Nic nie zapowiadało tragedii. Myślał, że z Agnieszką spędzą noc na małej imprezce z okazji walentynek, ale jego kumple przyprowadzili Szymka i wszystko się popieprzyło. Gdy zaczęli gnębić jego młodszego brata, początkowo się im postawił. Jednak po chwili z obawy o własną skórę stanął z boku i patrzył, co robią Szymkowi. Stał jak sparaliżowany. Nie miał odwagi zaprotestować ani zabrać brata z bunkrów. Gdy w końcu odpuścili i pozwolili Szymkowi odejść, został z resztą. Nie chciał pokazać chłopakom, że nie podobało mu się to, co zrobili. Gdy wyszli z Agą z bunkrów, zastanawiał się, czy młodszy brat jest już

w domu. Jak zobaczył stojącą na torach lokomotywę i błyskające niebieskie koguty policyjnych radiowozów, wiedział już, że stało się coś złego. Starał się jednak zaklinać rzeczywistość. W duchu liczył, że pod pociąg wpadł jakiś pies lub inny zwierzak.

Podeszli bliżej i usłyszał rozmowę dwóch mężczyzn. Jeden stwierdził, że jakiś świr rzucił się pod pociąg i została z niego miazga. Tomek mocniej ścisnął dłoń Agnieszki. Spojrzał na nią i widział, że ona myśli o tym samym – że pod kołami pociągu leży Szymek.

Chwilę później podeszli do nich Robo i Struna. Odpalili papierosy, po czym Struna spytał:

– Co tu się odjebało?

Tomek puścił Agnieszkę i chwycił go za szyję.

– Ty skurwielu, zobacz, co narobiliście – wycedził przez zęby.

– Ej, zbastuj, bo w ryja wyłapiesz – wtrącił się Robo.

Tomek puścił Strunę i odszedł na bok. Wiedział, że nie ma szans w starciu z dwoma silniejszymi od siebie skinami. Robo uśmiechnął się cynicznie.

– Na chuj się tak ciskasz? – mruknął. – Twój brachol pewnie teraz w domu siedzi i konia trzepie.

Tomek miał nadzieję, że kumpel się nie myli. Może rzeczywiście zbyt pochopnie założył, że Szymek popełnił samobójstwo. Ponownie wziął za rękę swoją nową dziewczynę i powiedział:

– Chodź, Aga, odprowadzę cię.

– A nie możemy jeszcze postać?

– Nie.

Szarpnął ją mocniej i ruszył w stronę bloków. Początkowo dziewczyna się opierała, ale po chwili szła już spokojniej. Gdy odeszli kilkanaście metrów, powiedziała:

– Szymek nie jest aż tak głupi.

– Co? – spytał, odwracając się w jej stronę.

– Mówię, że nie jest na tyle głupi, żeby rzucać się pod pociąg.

– Sama widziałaś, co z nim zrobili.

– Widziałam i jestem pewna, że nie byłby na tyle głupi, by rzucać się pod pociąg – powtórzyła. – Tak uważam.

– Mam do siebie żal, że się im nie postawiłem.

– Nic teraz nie zrobisz. Rano pogadaj z bratem i upewnij się, czy wszystko w porządku. A teraz chodź. Nie ma na co czekać.

– Może masz rację – powiedział i pocałował Agnieszkę w policzek.

Nie był pewny tego, że z Szymkiem wszystko w porządku. Wciąż myślał o tym, że przez swój strach i obawę przed ostracyzmem ze strony kolegów zawiódł młodszego brata.

* * *

Sawicki wszedł do komendy i udał się bezpośrednio do naczelnika wydziału. Nie wiedział, czego się może spodziewać po Pawlaku. Nic na jego temat wcześniej nie słyszał.

Stanął przed drzwiami, poprawił krawat i zapukał:

– Wlazł – dobiegło ze środka.

Nacisnął kłankę i pchnął drzwi.

Naczelnik podniósł głowę znad papierów i wskazał mu miejsce. Sawicki zajął krzesło na wprost nowego przełożonego.

– Nowy?

– Tak.

– No i dobrze. Z tego, co widziałem w twoich kwitach, dotąd robiłeś na Krzykach w kryminalnym. Zgadza się?

Sawicki potwierdził skinieniem.

– Czyli umarłak nie jest ci straszny. – Pawlak odłożył na bok akta, które przeglądał przed wejściem Sawickiego.

– Miałem już okazję zajmować się zgonami.

– U nas takich okazji będziesz miał bez porównania więcej.

Sawicki starał się wybadać naczelnika. Na Jaworowej podlegał służbiście, dla którego jedyne, co się liczyło, to statystyki i wykrywalność; nie widział nic poza tabelkami. Wiedział, że tak jest w wielu wydziałach, ale w niektórych nacisk był mniejszy niż w innych.

– Co tak się na mnie lampisz? – burknął naczelnik.

Sawicki dopiero teraz zauważył, że wgapia się w nowego przełożonego.

– Przepraszam.

– Dobra, nie ma co przeciągać. Zaraz pójdziemy do wydziału i poznasz resztę zespołu. Powiem ci, jakie panują tu zasady. Jesteśmy jak palce jednej ręki. Wszyscy mamy do siebie zaufanie. Jak zaczniesz coś odpiardalać i będziesz przyłaził na skargę, to polecisz z tego wydziału szybciej, niż ci się wydaje. Nie toleruję dwóch rzeczy: pierdolonego olewatorstwa i podpierdalania. Możesz rzucać kurwami, możesz łać zatrzymanych, możesz nawet łoić naftę w robocie, to zniosę. Ale kapowania nie. Kumasz?

Sawicki skinął głową.

– No, i tak ma być. Dobra, chodź, zobaczysz, jak wygląda wydział i z kim przyszło ci zapierdalać, żeby sprawców zbrodni wsadzać do pułda.

Pawlak wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Rusz się, młody, bo dnia szkoda! – zawołał, widząc, że podwładny wciąż tkwi na krześle.

Sawicki podskoczył jak oparzony i ruszył za nowym naczelnikiem.

* * *

Dąbrowska siedziała w kuchni ze wzrokiem wbitym w ścianę. Nie miała na nic siły. Andrzej kwadrans temu zadzwonił do Pafawagu i poprosił o wolne. Siedział teraz na wprost niej i patrzył na swoje duże dłonie.

Milczeli. Nie wiedzieli, o czym mają rozmawiać. Samobójstwo ich syna sprawiło, że świat zawalił im się na głowę. Bożena nie miała pojęcia, co teraz będzie z ich rodziną. Rodzic nigdy nie jest przygotowany na śmierć swojego dziecka. Przecież to naturalna kolej rzeczy, że matka czy ojciec umierają pierwsi. To sprawiło jej największy ból. Nie miała pojęcia, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

Nagle usłyszała odgłos przekręcanego w zamku klucza. Wrócił Tomek. Miała do niego żal, że był poza domem w takim momencie. Nie mogła jednak obarczać go winą za to, co zrobił Szymon. W milczeniu popatrzyła na syna, gdy ten stanął w progu kuchni.

Tomek był błądy jak ściana. Bożena miała pewność, że już wie, co zrobił jego młodszy brat.

– Mamo – zaczął cicho.

Wstała i podeszła do niego. Gdy tylko go objęła, zaczęła szlochać.

– Przepraszam... – wyszeptał Tomek.

Odsunęła się i spojrzała na niego zaskoczona.

– Co?

– Przepraszam. Powinienem o niego dbać.

– To nie twoja wina, dziecko. Nikt tu nie jest winny.

Ponownie objęła syna. Po jej policzkach popłynęły łzy wielkie jak groch. Jej ciałem raz za razem wstrząsały spazmy.

Andrzej też podniósł się z krzesła i podeszedł do nich.

– Musimy być teraz silni. Musimy – powiedział cicho.

Bożena wiedziała, że powinni się nawzajem wspierać. Los sprawił, że stracili część rodziny, ale nie mieli wyjścia. Musieli to przetrwać.

* * *

Po powrocie do komendy Żmigrodzki skierował się prosto do wydziału. Otworzył drzwi i zobaczył, że reszta siedzi już na swoich miejscach.

– Cześć pracy – rzucił cicho.

Powiesił kożuch na wieszaku, a następnie usiadł za swoim biurkiem i położył nogi na blacie.

– Jak nocka? – spytała aspirant Dorota Szymańska.

– A daj spokój. Całą noc był luz, ale nad ranem jakiś leszcz postanowił zdeżyć się z żelaznym koniem.

– Żelaznym koniem? – zaciekał się aspirant Mateusz Tretter.

– No z ciuchcią. Młodziak chyba myślał, że jak stanie na torach, to pociąg albo nad nim przeleci, albo zdąży wyhamować. Nie zdążył.

– To nieciekawie było – skwitowała Szymańska.

– Trochę tak. Powiem wam, że nie lubię takiej roboty. Dlatego cieszę się, że szybko pojawił się prorok i stwierdził, że nie ma udziału osób trzecich i można sprawę zamknąć. Ot, zwykły samobój. Można jechać na jamę i się kimnąć.

Żmigrodzki zdjął nogi z biurka, po czym otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę. Zaczął pisać raport z nocnej służby. Miał ochotę pojechać już do domu

i otworzyć butelkę wódki. Czuł, że musi się napić. W szufladzie miał ledwo zacetą flaszkę, ale nie chciał jej wyciągać tak na oczach wszystkich. To, że w komendzie się piło, do niedawna było normą. Jeszcze jakiś czas temu także w tym wydziale wódka lała się strumieniami. Rok temu wszystko się zmieniło, ale i tak zdarzało się wychylić kilka głębszych w ciągu dnia. Teraz jednak nie chciał pić tak na żywca. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął paczkę papierosów. Odpalił jednego, po czym podsunął kryształową popielniczkę.

Strzepnął popiół i zaczął się zastanawiać, co mogło być powodem samobójstwa tego dzieciaka. Nastolatek miał całe życie przed sobą, pewnie plany na przyszłość. Musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że nie widział już innego wyjścia, jak tylko rzucić się pod pociąg.

Na szczęście samobójstwa nie należały do spraw, jakimi zajmował się wydział zabójstw. Skoro nie było udziału osób trzecich, to nikt nie będzie drażył, co sprawiło, że dzieciak zdecydował się na taki drastyczny krok. On jednak był ciekawy, czy było to spowodowane zawodem miłosnym, problemami w szkole czy może to tylko zwykły szczeniacki wygłup. Rok temu był przy podobnym zdarzeniu. Dwóch małolatów stanęło na torach i równocześnie zginęło. Z tego, co udało się ustalić potem, założyli się, który stchórzy pierwszy i zejdzie z torów. Obaj okazali się w tej rywalizacji zwycięzcami i przegranymi zarazem. Wygrali zakład, przegrali życie.

Po chwili zdecydował się jednak napełnić piersiówkę. Potem mu się przyda. Łatwiej się ją nosi niż pół litra. Podszedł do wieszaka, zdjął swój kożuch i wrócił na miejsce. Ani Szymańska, ani Tretter nie patrzyli, co robi, zajęci przeglądaniem papierów. Wyjął piersiówkę i postawił na biurku. Z szuflady wyciągnął wyborową i odkręcił nakrętkę. Siedział z papierosem, starając się nie uronić ani kropli, choć ręce mu się trzęsły.

– Pomóc ci? – spytała Szymańska, gdy w końcu podniosła głowę znad biurka.

– Dam se radę, dzięki – powiedział i wystawił koniuszek języka, skupiając się na tym arcytrudnym dla niego w tej chwili zadaniu.

Gdy niewielka piersiówka była już pełna, zakręcił ją i włożył z powrotem do kieszeni kożucha. Resztę wódki schował do szuflady. Strzepnął papierosa i odniósł okrycie na wieszak. Stojąc przy drzwiach, jeszcze raz głęboko zaciągnął się dymem. Miał ochotę pojechać już do domu, usiąść w kuchni i porządnie się napić. Musiał jednak jeszcze napisać raport z nocnego dyżuru.

Wrócił do biurka i zgasił papierosa w popielniczce. W tym samym czasie otworzyły się drzwi i w progu stanął naczelnik z jakimś chłopaczkiem w garniturze.

– Macie nowego – powiedział Pawlak. – Sawicki. Trafił do nas z Jaworowej.

Żmigrodzki popatrzył na chłopaka i się uśmiechnął. Zastanawiał się, czym krewnym jest ten dzieciak. Wyglądał, jakby był tuż po szkole policyjnej. Musiał mieć mocne plecy, skoro trafił do komendy miejskiej z tak mizernym doświadczeniem.

Wstał z krzesła i znowu podszedł do wieszaka. Miał ochotę się napić. Zarzucił kożuch na plecy.

– A ty dokąd? – spytał Pawlak.

– Do sracza.

– A po co się tak ubierasz?

– Bo mi zimno.

Nacisnął klamkę i wyszedł na korytarz. Resztką silnej woli powstrzymał się przed wyjęciem piersiówki.

* * *

Tomek Dąbrowski siedział w swoim pokoju i zastanawiał się, co powinien teraz zrobić.

Nie stanął w obronie brata i teraz Szymek nie żył. Bał się tego, że stanie się wyrzutkiem. Od dawna był członkiem grupy skinów i czuł się wśród nich jak w rodzinie. Razem imprezowali, razem wyłapywali punków i spuszczaali im łomot. Był częścią tej subkultury i zamierzał się z nimi związać na dłużej. Wiedział, że ludzie w jego wieku szukają swojej drogi, łakną akceptacji, nie chcą sami mierzyć się z problemami okresu dojrzewania. Pragną przynależeć do jakiejś grupy. On wybrał skinów. Dwóch kumpli z klasy zostało punkami. Mieli niepisany pakt o nieagresji. W szkole nie było między nimi żadnych awantur i bójek. Za to jak się spotkali na mieście, nie było zmiłuj. W klasie miał jeszcze kilku metali. Reszta była „normalsami”, jak nazywał niczym niewyróżniających się rówieśników.

Teraz jednak wszystko się zmieniło. To, co stało się w bunkrach, sprawiło, że cała reszta przestała mieć znaczenie. Został sam. Sam też będzie musiał sobie z tym poradzić. Najgorsze było spojrzenie w oczy rodzicom. Był z Szymkiem i nie obronił go przed bestialskim zachowaniem swojej paczki. Nie miał odwagi postawić się Dragonowi, Strunie i Robo. Stał sparaliżowany strachem i patrzył, jak jego młodszy brat pada ofiarą ich niewybrednych zabaw. Bez słowa sprzeciwu patrzył, jak go biją i gwałcą. Gdy w końcu Szymek poszedł do domu, nie ruszył za nim. Został z resztą swojej grupy. Nie spodziewał się jednak, że młody zrobi coś tak bezdennie głupiego. Był zszokowany tym, że Szymek postanowił zakończyć swoje życie w taki sposób.

– Czemu to zrobiłeś, gnojku? – szepnął pod nosem.

Spojrzał w stronę drzwi. Były zamknięte i nic nie zapowiadało, że ktoś może tu zajrzeć. Rodzice siedzieli u siebie i cały czas płakali. Wcześniej słyszał, jak rozmawiają. Wciąż zadawali sobie pytanie, dlaczego Szymon to zrobił. Nie znali prawdy, a on nie miał odwagi im powiedzieć, co się wydarzyło w nocy. Sięgnął ręką za wersalkę i wyjął długi niemiecki bagnet. Znalazł go rok temu na bunkrach. Był pozostałością po drugiej wojnie światowej. Wtedy zabrał go do domu i wyczyścił. Teraz lśnił i wyglądał jak nowy.

* * *

Sawicki patrzył, jak Żmigrodzki wychodzi z wydziału. Spojrzał na pozostałych, czekając, aż wskażą mu jego miejsce.

– Poznaj zespół – odezwał się naczelnik. – Tam siedzi aspirant Tretter i aspirant Szymańska. Ten as, co wyszedł, to komisarz Żmigrodzki. Będziecie sparowani. W wydziale są jeszcze Lipiec i Romaniuk. Oboje sierżanci. Teraz są poza fabryką, więc poznasz ich potem. Szymańska jest w parze z tym tu obecnym Tretterem – powiedział naczelnik.

Sawicki podszedł do Szymańskiej i podał jej rękę.

– Krzysiek.

– Dorota – przedstawiła się policjantka.

Uśmiechnęła się do niego i poczuł, że w tej kobiecie mógłby się zakochać. Oczywiście pod warunkiem, że byłby wolny. Miała piękne blond włosy, lekko opadające na ramiona. Jej duży biust opięty był przez niebieski sweterek. Na nogach miała czarne adidasy i obcisłe granatowe dżinsy Wranglera. Nie wyglądała na policjantkę z wydziału zabójstw. W ogóle nie wyglądała na kogoś, kto pracuje w policji. Prędzej pasowała na sekretarkę albo modelkę.

Sawicki odwzajemnił uśmiech i podszedł do drugiego z policjantów.

– Krzysiek. – Ponownie wyciągnął rękę.

– Mateusz. Tam będziesz miał swoje biurko. – Tretter wskazał miejsce w rogu pomieszczenia.

– Na początek zajmiesz się starymi sprawami. Sprawdzisz, czy wszystkie kwity są na swoim miejscu. Jutro, jak Żmigrodzki będzie w fabryce, weźmiecie się do normalnej roboty – powiedział naczelnik.

Szymańska puściła do Sawickiego oko. Krzysiek, choć jeszcze rano miał obawy, wiedział, że został zaakceptowany w wydziale. Nie dostrzegwał tu żadnych oznak antypatii. Przynajmniej jak dotąd.

– No to do roboty. – Pawlak klepnął go w plecy.

Gdy Krzysiek ruszył w stronę swojego biurka, naczelnik wyszedł z wydziału i zamknął za sobą drzwi.

– No to witaj w zespole – powiedziała Dorota. – Dygasz się?

– Nie. Czego?

– Nie wiem. Nowi zawsze się boją. Takie prawo nowego. – Posłała mu szeroki uśmiech.

– Jak nie będziesz cwaniakował i podpierał, to wszystko będzie git – dopowiedział Tretter.

– Co wy tak z tym podpierałaniem? Naczelnik mi to gadał, teraz wy. O co chodzi?

Dorota spojrzała na partnera.

– Ty mu powiedz.

Tretter sięgnął po leżący na blacie długopis.

– W wydziale jest zasada, że nie kapujemy na siebie. Robię tu już siedem lat i zawsze trzymaliśmy się razem, wiesz, jak w *Robin Hoodzie*, wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich.

– To chyba z *Czterech muszkieterów* – nieśmiało zwrócił uwagę Sawicki.

Tretter zamyślił się, drapiąc długopisem skroń.

– Może i tak, nie ma co się spierać – rzucił. – Jak zaczynałem, byli tu sami gli-niarze z inną mentalnością. Wóda lała się strumieniami. Nie było dnia, by po robocie nie pękała jakaś flaszka. Takie czasy. Teraz jest inaczej, mniej się łoł. Już jedynie Żmigrodzki chleje w wydziale, ale on ma swoje powody.

Sawickiego kusiło, żeby spytać, jakie to powody, ale się powstrzymał.

– Ponad dwa lata temu trafił do nas młody, zaraz po szkółce – ciągnął Tretter. – Sławek mu było. Wojtowicz. Od pierwszego dnia wyczuliśmy, że jest dziwny. Jakiś taki śliski typ. Z nikim się nie zakumplował, z nikim kielicha nie wałnął. Na dodatek do roboty miał dwie lewe ręce. Za to do knucia był pierwszy. Facet postanowił zapisać się w historii wydziału jako podpierdalacz. I to zaledwie trzy miesiące po tym, jak przyszedł. Chuj myślał, że jak pójdzie do naczelnika na skargę, że w wydziale się łoł, to dostanie order. A tu dupa. Naczelnik się wkurwił i chłopaka zjebał. Ten jednak był tak tępy, że polazł wyżej. Wpadł tu komendant miejski i widzi najebanych Żmigrodzkiego i Romka Mieszkowskiego. Romek miał zaledwie dwa miechy do emki i, co tu dużo mówić, opierdalał się w robocie. Wiesz, jak to jest, jak masz już wszystko w dupie. Snujesz się po korytarzach i czekasz końca służby. No, chyba że siadasz ze Żmigrodzkim i chlejesz. Wtedy czas jakby staje w miejscu. Mniejsza jednak z tym. No więc wpada komendant i co widzi? Żmigrodzki z Romkiem wałnął naftę. Na stole wóda i słoik ogórków. Komendant do nich z krzykiem, że co tu się odpierdala i takie tam. Romek wtedy wstał, a ledwo potrafił ustać na nogach, i wyskoczył do miejskiego z ryjem i łapami. Jakby nie to mordobicie, sprawa poszłaby pod dywan. Romek wyleciał z wydziału w trybie natychmiastowym. Poleciał na komisariat do Leśnicy i tam te dwa miechy odsłużył. Tylko to chłanie sprawiło, że podstawę do emerytury miał mniejszą. Zobacz, chłop w resorcie ponad ćwierć wieku i na ostatniej prostej tak się wyłożył.

– To za takie coś ten młody powinien wyłapać – powiedział Sawicki.

– Ano powinien – stwierdziła Dorota.

– A Żmigrodzki? – spytał Krzysiek.

– Jemu komendant odpuścił. Wiedział, z jakiego powodu pili, i pewne rzeczy rozumiał. Akceptować nie akceptował, ale rozumiał. Zresztą Żmigrodzki, jak ten wlaź do wydziału, to siedział cicho, nie kozaczył. Romek co innego. Postawił się i oberwał klapsa. Co tu dużo gadać, w komendzie zawsze się mocno chłało. Ważne jest, aby nie łązić najebanym po korytarzach. A Żmigrodzki, jak pije, to nie szlaja się po fabryce.

– A ten nowy? Sławek, tak? – spytał Sawicki.

– Wyleciał. Rok temu się okazało, że zgwałcił jakąś kurwę. Babka złożyła zawiadomienie i sprawa poszła do proroka. Wywalili Sławusia w try miga. Zresztą nim nie ma się co zajmować. Frajer i tyle. Romek za to po przejściu na emeryturę się powiesił. Był na niej zaledwie dwa miesiące. – Tretter machnął ręką.

– O kurwa...

– Niestety. Jak Żmigrodzki usłyszał, że Romek się zważył, to dwa dni nie trzeźwiał.

Sawicki zastanawiał się, jak mu się będzie współpracowało z pijącym partnerem. Sam rzadko sięgał po wódkę. Wolał wyskoczyć na piwo, niż pić czystą. Nie wiedział, jak się zaaklimatyzuje w wydziale. Jedno było pewne: nie będzie kapu-
siem.

* * *

Bożena Dąbrowska spojrzała na męża. Leżał na wersalce i patrzył w sufit. Kilka minut temu się położył. Powiedział, że boli go w klatce piersiowej. Bożena się obawiała, czy to przypadkiem nie zawał. Jego dziadek zmarł na atak serca, ojciec miał stwierdzoną chorobę wieńcową. Andrzej był więc w grupie wysokiego ryzyka. Martwiła się o niego. Nie chciała stracić dwóch najważniejszych ludzi w swoim życiu w ciągu jednego dnia.

– Jak się czujesz? – Podeszła do męża.

Andrzej spojrzał na nią załzawionymi oczyma.

– Źle. Nie potrafię tego ogarnąć – powiedział cicho.

Wiedziała, co ma na myśli. Ona też nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ich syn to zrobił. Zdawała sobie sprawę, że przechodzi trudny okres dojrzewania. Pierwsze miłości, zmiana szkoły, cała ta burza hormonów. To wszystko mogło sprawić, że Szymek czuł się niepewnie. Nie wierzyła jednak, że to mogłoby go popchnąć do samobójstwa. Była przekonana, że ma to związek raczej z bójkami, w jakie się wdawał w szkole. Wcześniej się nie wtrącała, nie chciała narobić dziecku wstydu. Teraz jednak uważała, że powinna się dowiedzieć, co się działo z jej synem w ostatnich miesiącach.

– Mam do siebie żal – odezwał się Andrzej.

– O co?

– Zastanawiam się, czy to nie moja wina. Trochę go dociskałem z tą mecha-
niką. Chciałem, żeby sobie poradził w szkole.

– Radził sobie. Na wywiadówce nie było na niego żadnych skarg.

– Może i tak, ale mam wrażenie, że zmuszałem go do czegoś, czego on nie czuł. Może powinienem mu odpuścić? Sam nie wiem...

– Tu chyba nie ma naszej winy. Przynajmniej jeśli chodzi o naukę. Bardziej mnie zastanawia, czy nie ma to związku z tymi siniakami.

– Myślisz, że ktoś w szkole się nad nim znęcał?

Andrzej uniósł się na łokciu. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

* * *

Żmigrodzki wziął kolejny łyk z piersiówki i strzepnął popiół do umywalki.

Chwilę później otworzyły się drzwi i w progu stanął Pawlak.

– Wódą od ciebie wali – powiedział naczelnik.

– A czym ma walić, jak wódę piłem? – prychnął Żmigrodzki. – Przecież nie kolońską albo brzozową.

Wyjął z kieszeni kozucha piersiówkę i skierował ją w stronę Pawlaka.

Naczelnik pokręcił głową.

– Za dużo pijesz.

Żmigrodzki wziął łyk i schował alkohol z powrotem.

– Nie jesteś moją starą, żeby mi pieprzyć takie rzeczy.

– Piotrek, zbstuj. Może i nie jestem twoją starą, ale widzę, jak się staczasz. Już się tak nie łoś w fabryce jak kiedyś.

– Ja tam różnicy nie widzę. – Żmigrodzki zagasił papierosa na podłodze.

– Wiesz, że ostatnio stary się dopierdala o naftę w firmie. Za jakiś czas nawet ty oberwiesz. Nie będzie taryfy ulgowej. Nie obronią cię ani twoje wyniki, ani...

Komisarz spojrział na naczelnika groźnie.

Pawlak zamilkł. Wiedział, że wszedł na grząski grunt. Wspominanie komisarzowi o sprawie Urbańskiego mogło się okazać kolosalnym błędem.

– Wiesz, że koło chuja mi lata, co ze mną będzie.

– Stracisz robotę.

Żmigrodzki uśmiechnął się i wyjął z paczki kolejnego papierosa. Odpalił go i przez chwilę milczał.

– Myślisz, że robota jest dla mnie wszystkim? – spytał w końcu.

– A nie?

Pawlak patrzył Żmigrodzkiemu w oczy. Obaj wiedzieli, że bez policji komisarz nie da rady. Prędzej czy później wybierze sznur lub skoczy z okna.

– Dobra, postaram się mniej pić – powiedział w końcu komisarz. – I tak już ograniczyłem.

– Nie, Piotrek. Od dzisiaj w robocie jesteś trzeźwy. Nie ma popijania w fabryce. Nie ma jazdy po kielichu. Myślisz, że nie wiem, że prowadzisz na bańce?

– Skończ, Grzechu.

– Nie. To ty masz skończyć. Nie będę wiecznie krył ci dupy.

– Wiesz, że jak się zaprę, to nie tknę. Ani kropli.

– No właśnie nie wiem. Odkąd jestem tu naczelnikiem, nie było dnia, żebym nie czuł od ciebie gorzały. To się musi skończyć. Rozumiem, że masz problem z Urbańskim. Każdy na twoim miejscu by miał. Ale do kurwy nędzy, minęło już osiem lat.

– Odkąd się okazało, że jest niewinny, zaledwie dwa.

– I od dwóch lat chlejesz praktycznie codziennie.

Żmigrodzki zmierzył Pawlaka wzrokiem i strzepnął popiół na podłogę.

– Jutro nie tknę ani kropli. Pasuje?

– Pasuje.

Wyciągnął dwa palce do góry w geście przysięgi.

– Ja, komisarz Piotr Żmigrodzki, obiecuję być od jutra trzeźwy. Od jutra – podkreślił i wyjął z kieszeni piersiówkę.

Wziął łyk, puszczając oko do naczelnika.

WROCLAW, 1 WRZEŚNIA 1993 R.

Czułem, jak drżą mi nogi. Stałem przed budynkiem szkoły i patrzyłem na ten ogromny gmach. To tutaj przez najbliższe pięć lat miałem się uczyć. Jadąc do szkoły, zastanawiałem się, jak to się ułoży. Nie wiedziałem, ilu będzie chłopaków w klasie, ile dziewczyn i czy w ogóle jakieś będą. Z tego, co słyszałem od kolegów, w technikach jest mało lasek. Z reguły wybierają licea lub szkoły zawodowe. Na podwórku było kilka dziewczyn, które kształciły się na sprzedawczyni lub fryzjerki.

Znowu spojrzałem w stronę wejścia na teren szkoły. Były tu dwa budynki. Widziałem gromadzących się uczniów na niewielkim boisku pomiędzy gmachami. To tam miał się odbyć uroczysty apel.

– Cześć – usłyszałem nagle z boku.

Odwrociłem się i zobaczyłem Mirka. Chodziliśmy do jednej podstawówki, ale do różnych klas. Nigdy nie miałem z nim jakichś zażyłych relacji, dwa czy trzy razy zamieniliśmy słowo na korytarzu. Nic więcej.

– No hej – powiedziałem.

– Też tu będziesz łąził? Do której klasy?

– Do pierwszej b.

– To tak jak ja. Idziesz na fajkę?

Mirek ruszył w stronę bloku na Poznańskiej. Widziałem stojącą tam młodzież, podzieloną na mniejsze grupki. Każdy palił papierosa. Podeszliśmy i Mirek przywitał się z jednym z chłopaków.

– To Marcin, mój ziomek z osiedla – zwrócił się do mnie.

Skinąłem mu głową i uściśnąłem wyciągniętą rękę.

– Szymon.

– Znam cię z parafii. Chodziłeś do naszej budy.

Nie kojarzyłem tego Marcina i zaskoczyły mnie jego słowa.

– Tylko że ty nie łąziłeś z nami do jednej budy. Wyprowadziłeś się ze starymi z Kuźnik i budę też zmieniłeś – zauważył Mirek.

– No fakt, ale go znam. Dobra, mniejsza z tym. Fajki jakieś macie? – spytał Marcin.

Skinąłem głową. Miałem pół paczki marsów. Nie było ich dużo, ale jakoś musiałem przełamać lody. Lepiej wejść do szkoły z jakimiś znajomościami, niż być samotnym kotem rzuconym starszakom na pożarcie. Wyciągnąłem paczkę do przodu i z lekkim przerażeniem patrzyłem, jak po papierosy sięga coraz więcej rąk. W końcu został w niej tylko jeden.

– Ostatniego to nawet kurwa nie bierze – powiedział Marcin, odpalając papierosa.

Ja też zapaliłem i patrzyłem na całe towarzystwo. Wiedziałem, że najbliższy rok spędzę z nimi. Uważnie ich obserwowałem. Chciałem wiedzieć, z kim mam do czynienia. Na kogo muszę uważać, a kto wygląda całkiem przyjaźnie.

– Ej, ziomki, fajki jakieś macie? – Podszedł do nas wysoki brunet. Miał wąs pod nosem i od razu było widać, że jest od nas starszy.

– Ja mam – powiedział jeden z naszej grupki.

Spojrzałem na niego zaskoczony. Grubas przed chwilą sam sięgał po moje marsy, a teraz wyciągał paczkę mocnych w stronę bruneta.

– Dzięki. Będę ci wisiął – powiedział tamten. Odpalił papierosa i rzucił: – Krzysiek.

– Paweł – powiedział grubas.

Zaczęliśmy się po kolei przedstawiać. Z grubsza wiedziałem już, kto jak ma na imię. Zdawałem sobie jednak sprawę, że dopiero za jakiś czas wszystkich spamiętam.

– Ej, leszcze, apel zaraz się zaczyna! – zawołał stojący kawałek dalej chłopak z trzeciej klasy.

Większa część młodzieży weszła na teren szkoły. Wziąłem ostatniego macha i ruszyłem w stronę swojego przeznaczenia.

* * *

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Tomek leżał na wersalce i ważył w dłoni bagnet. Miał już plan i zamierzał go jak najszybciej zrealizować.

Musiał pomścić Szymka. Nie mógł tego tak zostawić. Jego kumple, za których mógłby wskoczyć w ogień, sprawili, że młody ze sobą skończył. Nie mógł powiedzieć matce, co zamierza zrobić. Nie może jej też wyznać, że wie, co sprawiło, że Szymek rzucił się pod pociąg. Będzie musiał jak najszybciej dokonać zemsty. Co się stanie potem, nie miało już dla niego znaczenia.

Może trafi na długie lata do więzienia, a może ucieknie za granicę. Już jakiś czas temu marzył o służbie w Legii Cudzoziemskiej. Kilku ziomków wyjechało do Francji, żeby się zaciągnąć. Jak dotąd jednak żadnemu nie udało się przejść selekcji do tej elitarnej jednostki. Wrócili wszyscy z wyjątkiem Czachy. On został tam na budowie i teraz stawia domy w Paryżu i okolicy. Mundur żołnierza zamienił na ciuchy budowlańca. Karabin zastąpiła kielnia. Marzenie o akcjach bojowych wyparły rutyna i smutna rzeczywistość.

Tomek wstał z wersalki i podszedł do okna, za którym padał śnieg. Widział młodzież wracającą ze szkoły. On dzisiaj nie poszedł. Nie mógł ani nie chciał. Matka z ojcem też zostali w domu. Żadne z nich nie skupiłoby się na swoich obowiązkach. Nikt nie umiałby przejść nad tym, co się wydarzyło, do porządku dziennego. Samobójcza śmierć członka rodziny odcisnęła na nich swoje piętno. Na nim szczególnie. Nie wiedział, czy kiedykolwiek uda mu się zapomnieć, jak bardzo nawalił. Nie miał pojęcia, czy kiedykolwiek sobie wybaczy, że nie stanął w obronie młodszego brata. Może wystarczyło powiedzieć „dość” i kumple odpuszciliby Szymkowi? Fakt, na początku protestował, ale potem już tylko patrzył

w milczeniu. Mógł rzucić się na pozostałych, a potem postarać się z Szymkiem uciec. Nie zrobił jednak nic. A teraz musiał pomścić brata.

Zastanawiał się, czy nie pojechać od razu do Dragona i nie załatwić go tym bagnietem. Mógł zrobić to szybko, zanim ten zacznie się tego spodziewać. Bo że zacznie, było bardzo prawdopodobne. Każdy na miejscu Tomka chciałby wyrównać rachunek krzywd. Zdawał sobie sprawę, że musi go załatwić w momencie, gdy nie będzie przy nim nikogo z paczki. W przeciwnym razie reszta szybko by go powstrzymała. Kto wie, może nawet podzieliłby los Szymka. Grupa, do której należał, nie lubiła zdrajców.

Pewnie zostałby pobity, może nawet zgwałcony. Pokazaliby mu, że jest dla nich nikim.

Musiał to odpowiednio zaplanować.

Nagle usłyszał za drzwiami krzyk matki:

– Tomek, chodź tu!

* * *

Żmigrodzki wrócił do wydziału i spojrzał na nowego. Zastanawiał się, czy ten dzieciak długo zagrzeje u nich miejsce. Poprzedni młodzian, Sławek Wojtowicz, pierwsze, co zrobił, to podkablował jego i Romka za picie. Nie zapytał o powód chlania, tylko od razu uderzył na skargę. Jakby zadał sobie trud, żeby się dowiedzieć, dlaczego w godzinach służby rozpijają butelkę, sprawy potoczyłyby się inaczej. Romek dosłużyłby emerytury w wydziale, a młody nie wyleciałby za gwałt. Gwałt, którego notabene nie było.

Żmigrodzki uśmiechnął się na wspomnienie dnia, kiedy pojawił się na Gwarnej. Podeszedł do Ślepej Bachy i zaproponował jej interes. Kobieta była starą prostytutką pracującą w tym miejscu od końca lat siedemdziesiątych. W zawodzie od ponad piętnastu lat, sama miała trzydzieści pięć, ale wyglądała na pięćdziesiąt. Żmigrodzki znał ją od dawna. Przewinęła się w kilku sprawach zabójstw w okolicy Kościuszki. Nigdy nie była podejrzana, ale wiele razy pojawiała się w złym miejscu i w złym czasie. Parę lat temu na melinach w okolicy Dworca Głównego doszło do kilku awantur, które skończyły się tragicznie. Z reguły do zabójstw używano noża kuchennego. Ślepa Bacha dziwnym trafem zawsze znajdowała się na miejscu zbrodni. Oczywiście za każdym razem była tak pijana, że musiała dwa dni trzeźwieć. Potem trafiała przed oblicze Żmigrodzkiego i ten ją przesłuchiwał. Kiedyś podczas czynności zapytał ją, skąd się wzięła jej ksywa. Wyznała, że jedno oko ma szklane. Na potwierdzenie swoich słów wyjęła je z oczodołu i mu pokazała. Pamiętał to tak, jakby wydarzyło się wczoraj.

Po tym, jak kapuś doniósł na niego i Romka, postanowił się zemścić. Pojechał na Gwarną i wziął prostytutkę na bok. Powiedział, że ma dla niej propozycję wartą dwie butelki wódki i przymknięcie oka na erotyczną działalność jej i koleżanek. Zagroził, że ma świadka, który zeznał, że podczas igraszek został przez nią okradziony. Błefował. Bacha jednak nie chciała ryzykować odsiadki, więc poszła na zaproponowany układ. Przekazał jej zdjęcie Wojtowicza. Następnego

dnia pojawiła się w komendzie informacja, że na jednej z melin przebywa poszukiwany o zabójstwo menel.

Żmigrodzki pojechał tam z kapusiem i zaczęli czynności. Zawinęli kilku biesiadników do komendy. Polecił Wojtowiczowi, by został z pijaną Bachą na miejscu i czekał na radiowóz oraz przyjazd techników. Młody nie spodziewał się pułapki. Tydzień później na dworcowym komisariacie pojawiła się Ślepa Bacha i złożyła zawiadomienie o gwałcie. Powiedziała, że została zgwałcona przez policjanta, który pilnował jej na melinie. Na potwierdzenie swoich słów przyprowadziła koleżankę, która potwierdziła, że widziała, jak policjant brał Bachę od tyłu. Na dodatek obie kobiety zeznały, że Wojtowicz często pojawiał się na Gwarnej i pokazując policyjną blachę, domagał się darmowych usług.

Prokurator zajął się sprawą. Przesłuchano kilka prostytutek, które zgodnie zeznały, że kapuś pojawiał się tam często i za każdym razem żądał bezpłatnego seksu. Komendant zdecydował się wydalic Wojtowicza ze służby. Sprawa została zakończona.

Żmigrodzki w podziękowaniu za pomoc dał dziewczynom flaszkę więcej i powiedział, że jak ktoś będzie im się naprzykrzał, mają go powiadomić. Jak dotąd żadna nie zdecydowała się na skorzystanie z jego propozycji.

Teraz ponownie spojrział na Sawickiego.

– Młody, zbieraj się – powiedział.

– Dokąd?

– Przejedziesz się. Ja na dzisiaj mam już dość siedzenia za kółkiem.

Nie chciał mówić nowemu, że jazda autem w jego stanie byłaby już lekkim przegięciem.

* * *

Tomek patrzył na ojca, którego wkładali na noszach do karetki. Na dachu nyski błyskał niebieski kogut. Obok zgromadził się niewielki tłum gapiów. Kilku sąsiadów starało się zobaczyć, co się dzieje z jego ojcem.

Pięć minut wcześniej Andrzej Dąbrowski miał zawał. Tak przynajmniej podejrzewał przybyły na miejsce lekarz. Teraz zabierali go do szpitala na placu 1 Maja.

Tomek się zastanawiał, czy Bóg chce ich za coś ukarać. Nie wyobrażał sobie, że mógłby być tak okrutny i zabrać dwóch członków jednej rodziny praktycznie tej samej doby. Nie zrobili przecież nic złego. Do kościoła chodzili, nie byli bandytami. On czasem coś zbroił, ale nie zasługiwało to na tak okrutną karę. Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych ludzi. Widział sąsiadkę z parteru, która wskazywała go palcem, szepcząc coś na ucho facetowi z trzeciego piętra. Nie lubił tej Radziszewskiej. Uważał ją za plotkarę. Kiedyś powiedziała jego matce, że palił papierosy za blokiem. Dostał wtedy niezły opieprz. Od tamtej pory unikał jej, jak tylko mógł. Ten sąsiad zresztą nie był lepszy. Kilka lat temu, gdy bawili się z kolegami w bramie, Podgórski wezwał wtedy milicję. Przyjechał radiowóz i milicjanci zapakowali wszystkich do nyski. Dla dziesięciolatków to było traumatyczne przeżycie. Potem musieli odbierać ich rodzice. Pamiętał, że dostał

wtedy od ojca pasem. Z tego, co kiedyś słyszał od sąsiadów, ten Podgórski był ubekiem. Ponoć tuż po stanie wojennym przeszedł na emeryturę. Tomek nie wiedział, ile w tym prawdy, ale był skłonny w to uwierzyć. Wszystko pasowało do tej teorii. Oczywiście po upadku komuny Podgórski się nawrócił i w kościele siadał w pierwszych ławkach. Stał się najgorliwszym parafianinem. Ksiądz pojawiał się u niego równie często jak u Radziszewskiej.

Młody Dąbrowski spojrzął na sąsiadkę. Znowu wskazywała na niego głową. Dyskretnie podszedł bliżej. Chciał się dowiedzieć, o czym ta wścibska baba papie.

– Mówię, że to kara za to, że Dąbrowscy żyją bez ślubu – powiedziała Radziszewska.

– Jak bez ślubu? Małżeństwem przecież są.

– Ale bez kościelnego. Ksiądz, jak był po kolędzie, to mi powiedział. Cywilny tylko mają, a to przecież grzech. Z tego, co mówił proboszcz, Dąbrowski stwierdził, że nie mógł wziąć kościelnego, bo czekał na mieszkanie. Dlatego też zapisał się do partii. A potem, jak komuna padła, to już im się nie chciało. I tak żyją jak dotąd. Bezbożnicy.

– Powiem pani, że ja tam nie wiem. Mój syn też nie ma ślubu kościelnego. Kiedyś były inne czasy – stwierdził Podgórski.

– Ale teraz są inne i mogą przecież wziąć.

– W sumie fakt. Powiem pani, że jakoś nie darzę ich sympatią. Ten starszy chłopak to chuligan. Od dziecka łobuzował. Ten młodszy to był lepszy, ale ostatnio też się zmienił. Na gorsze niestety. A matka? Niby taka porządna. Pracuje jako krawcowa. Żaden to jakiś wyjątkowy zawód. A popatrz pan, jak się nosi. Niby grzeczna, ale ja tam swoje wiem. Pod nosem zawsze coś bzyczy. Ojciec tak samo. Podejrzewam, że uważają się za lepszych od innych. Kiedyś bym ich wziął w obroty i... A zresztą, nie warto się nimi zajmować.

– No tu sąsiad ma rację. Ja też widzę, że uważają się za nie wiadomo kogo. Ale teraz wszystko się zmieni. Bóg ich pokarał. Najpierw ten młody. Po co rzucił się pod pociąg? Toż to grzech. Samobójcy przecież nie mogą dostąpić zbawienia. A teraz ojciec. Bóg wie, jak ukarać...

Tomek czuł, że dłużej już nie wytrzyma.

– Ty stara raszplo! – wrzasnęła, doskakując do kobiety. – Co ty pierdolisz?

Radziszewska spojrzała na niego zaskoczona. Podgórski też wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Uważaj, młody człowieku – powiedział. – Jak ty się odnosisz do starszych? Matka kultury nie nauczyła?

Tomek zbliżył do niego twarz. Przez ułamek sekundy patrzył mu prosto w te wybałuszone gały. W końcu wycedził przez zęby:

– Słuchaj, kapusiu. Jeszcze raz coś powiesz na temat mojej rodziny, to strzele cię w mordę. Jarzysz, ubeku?

Był z siebie zadowolony. Należało im się za to, co gadali. Nie pozwoli, by ktoś szargał dobre imię jego bliskich.

Żmigrodzki wsiadł do poloneza i sięgnął do kieszeni kozucha. Wyjął z niej piersiówkę, po czym wziął dwa niewielkie łyki.

Sawicki spojrzał na niego ze swojego miejsca za kierownicą.

– Ciebie nie poczęstuję. Nie chcę, żebyś już pierwszego dnia jeździł na bani – powiedział Żmigrodzki, chowając alkohol z powrotem do kieszeni.

– Zauważyłem, że trochę przesadzasz z picciem – powiedział cicho Krzysiek.

– Ej, młody, zbastuj. Jesteś pierwszy dzień w fabryce i już zaczynasz szukać wrogów? Jak tak będziesz robił, wylecisz szybciej, niż wypakujesz kredki z tornistra.

– Sorry. Nie mój interes – stwierdził Sawicki i odpalił silnik.

Nie ruszył jednak z miejsca parkingowego. Nie wiedział, dokąd ma jechać.

– Ja też tak uważam – powiedział Żmigrodzki, wyciągając papierosa z paczki. Przez chwilę obracał go w palcach, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jarasz? – spytał w końcu młodego.

– Tak.

– No i dobrze. Zanim pojedziemy, możemy puścić dymka.

Poczęstował Sawickiego i chwilę później już obaj palili.

– Wcześniej robiłeś na Krzykach, zgadza się? – zagadał komisarz.

Sawicki skinął głową.

– W rodzinie masz jakiegoś generała czy coś?

– Nie. Czemu pytasz?

– Bo dziwnie to wygląda. Z doświadczenia wiem, że żeby zaraz po szkółce trafić do zabójców w miejskiej, trzeba spełnić jeden z kilku warunków. Albo jesteś wybitnie uzdolniony, albo masz w rodzinie kogoś, na czyich plecach możesz tu wejść. Jest jeszcze jedna możliwość: ktoś cię tu przysłał, żeby wywęszyć, co w trawie piszczy. Zamierzasz podpierdalać? – Żmigrodzki wziął macha i spojrzał na młodego uważnie.

– Nie. Nie mam takiego zamiaru – odparł Sawicki. – Mam w dupie, czy pijesz, czy dajesz w żyłę. W dupie mam też, co możesz sobie o mnie myśleć. Powiem szczerze, że sam byłem zaskoczony tym przeniesieniem. Nie mam żadnego wujka w psiarni. Nie mam też specjalnie wybitnych zdolności. Ktoś jednak zdecydował, żeby mnie przenieść. Nie mam pojęcia dlaczego. Z tego, co przekazał mi naczelnik, wiem, że będziemy robić w parze. Nie powiem, żeby mi to pasowało. Tobie pewnie też nie. – Sięgnął po korbkę, żeby opuścić szybę. Chwilę później do wnętrza poloneza wpadło mroźne powietrze.

– No to wyjaśniliśmy sobie pewne rzeczy – stwierdził Żmigrodzki.

Sięgnął z powrotem do kozucha i ponownie wyjął piersiówkę. Uniósł ją w geście toastu i upił łyk.

– Dobra, teraz możesz mnie zawieźć do domu. Na dzisiaj mam już wolne. Potem wrócisz do fabryki i zdasz trapeza.

– Dokąd mam jechać?

– Na Jedności Narodowej. Wyszadzisz mnie na CPN-ie.

WROCLAW, 1 WRZEŚNIA 1993 R.

Wróciłem ze szkoły i zjadłem obiad. Matka pytała, jak było, więc opowiedziałem jej, że po uroczystym apelu każda klasa miała spotkanie organizacyjne z wychowawcą. Dowiedzieliśmy się na nim szczegółów dotyczących planu lekcji. Byłem zaskoczony niektórymi przedmiotami. Spodziewałem się większej liczby tych ogólnych, a się okazało, że przeważają techniczne. Wychowawca powiedział nam, jak będzie wyglądała nasza najbliższa przyszłość. Dowiedziałem się, że warsztaty techniczne będę miał w szkole przy Młodych Techników. Nie wiedziałem wcześniej, że będą jakieś warsztaty w innej placówce.

Na szczęście zajęcia praktyczne miały się odbywać w środy, a najbliższe miały być dopiero za tydzień. Uprzedziłem matkę, że będę musiał kupić jakiś kombinezon roboczy na zajęcia. Powiedziała, że przekaze ojcu, żeby ogarnął temat, może uda mu się wynieść jakiś z pracy. Musiałem się tylko zmierzyć, żeby wiedział, jaki wziąć rozmiar.

Po obiedzie wyszedłem na dwór. Na boisku jeszcze nikogo nie było. Poszedłem za blok na papierosa. Stałem za budkami handlowymi i odpaliłem marsa. Wziąłem dwa machy, gdy zauważyłem nadchodzącą z boku Ankę. Szła z psem na smyczy. Uśmiechnąłem się na jej widok. Podobała mi się, chociaż nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by zaproponować jej chodzenie. Większość moich kolegów z klasy i podwórka miała sympatie, ale ja jeszcze nie spotkałem na swojej drodze kogoś, w kim mógłbym się zakochać. Na szkolnych dyskotekach tańczyłem wolne z koleżankami. Czasem z jakąś się pocałowałem, czasem którejs położyłem rękę na tyłku. Ale nie było nic więcej. Nie mogłem się doczekać, aż będę już miał za sobą ten pierwszy raz. Anka wpadła mi w oko. Z nią mógłbym to zrobić.

Zastanawiałem się, czy ciągle jeszcze jest dziewicą, czy może już z kimś się przespała.

W podstawówce były dwie łatwe dziewczyny, które miały opinie puszczalskich. Ja jednak z żadną nie miałem bliższych relacji. Nie podobały mi się i jakoś nie widziałem w nich nic specjalnego. Oczywiście jakby któraś z nich zaproponowała mi seks, to pewnie bym się zgodził. Miałem już swoje potrzeby. Masturbowałem się, oglądając pornosy znalezione w szafie rodziców. Uważałem jednak, że nadeszła pora, by naprawdę zacząć uprawiać seks.

Szybko dopaliłem papierosa i ruszyłem w stronę Anki.

– No cześć – powiedziałem, stając przed nią.

– No hej. Co tam?

– W sumie nic. Tak pogadać chciałem. Jak w szkole?

– Dzisiaj tylko rozpoczęcie. Nie było lekcji.

– U mnie też. A koleżanki? Fajne?

– Jeszcze tak do końca nie wiem. Poznałam kilka dziewczyn, ale wiesz, jak to jest. Wszystko wyjdzie w praniu.

Ania uśmiechnęła się do mnie i pokazała na parkującego kawalek dalej opłaconą.

– Ojciec przyjechał. Muszę już iść.

– Spoko. Może się zgadamy i obejrzymy jakiś film na wideo? Ostatnio w wypożyczalni widziałem kilka nowości.

– Nie ma sprawy. Byleby to nie było karate.

Uśmiechnąłem się do niej. Wiedziałem, że skoro nie odmówiła od razu, to może ja też wpadłem jej w oko. Teraz trzeba było tylko odpowiednio to wszystko rozegrać. Jak dobrze pójdzie, za kilka dni nie będę już prawnikiem.

* * *

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Krzysztof Sawicki wszedł do mieszkania i głośno westchnął. Był zmęczony. Po odwiezieniu Żmigrodzkiego do domu wrócił do komendy. Od razu dostał kilka teczek do przejrzenia.

W skupieniu przeglądał każdą z nich. Miał sprawdzić, czy wszystkie protokoły się zgadzają. Dorota powiedziała mu, że teczki idą do archiwum i musi w nich być porządek. Wspomniała też, że ostatnio papiery porządkowała Romaniuk i zauważyła, że w teczce dotyczącej zabójstwa studenta sprzed dwóch lat pojawiły się protokoły zeznań z innej sprawy. Błędów było zresztą znacznie więcej. Dorota stwierdziła, że takie rzeczy zdarzały się nagminnie, gdy w wydziale był jeszcze Romek Mieszkowski. Wtedy ze Żmigrodzkim ostro pili i mieli gdzieś, czy wkładają papiery do odpowiednich teczek.

Krzyśka wciąż kusilo, żeby zapytać, z jakiego powodu Żmigrodzki pije, ale się powstrzymał. Nie chciał wyjść na wścibskiego. Gdy w wydziale pojawili się Romaniuk i Lipiec, zapoznał się z nimi i pogadał chwilę na temat aktualnych premier kinowych i sportu. Z Lipcem umówił się na mecz koszykówki. Obaj byli fanami tego sportu, chociaż kibicowali różnym drużynom. On wrocławskiemu Śląskowi, a Lipiec uwielbiał lokalnego rywala ASPRO. Trochę narzekał, że w zeszłym sezonie wrocławski klub przeniósł się do Brzegu Dolnego, a te rozgrywki rozpoczął już jako ASPRO Świebodzice. Sawicki czuł, że z Lipcem nawiąże dobre relacje. Połączyły ich sport i podobne spojrzenie na świat.

Już miał wychodzić z wydziału, gdy zadzwonił telefon. Odebrał Tretter i chwilę z kimś pogadał. W końcu odłożył słuchawkę i powiedział, że dzwonił pijany Żmigrodzki. Podobno polecił, by Sawicki wziął poloneza i rano po niego przyjechał. Krzysiek nie skomentował tego polecenia. Był tu nowy i nie chciał robić sobie wrogów. Uważał jednak, że nie jest taksówkarzem i nie powinien być wykorzystywany.

Teraz wszedł do mieszkania i spojrzał w stronę kuchni.

– Wróciłem! – zawołał, wieszając kurtkę na kołku.

Zdjął buty i odstawił je na bok, na stare gazety. Nie chcieli, by brudne i wilgotne od śniegu obuwie zniszczyło ich nowy dywan.

– Obiad za kwadrans – usłyszał głos Magdy z kuchni.

Wszedł do środka, objął partnerkę i pocałował ją w policzek.

– O, widzę, że masz dobry humor – powiedziała Magda, odwracając się do niego przodem.

– Tak.

– A jak w pracy?

– Nawet dobrze. Spodziewałem się, że będzie gorzej. Wiesz, jak to jest. Nowi ludzie, nowe obowiązki.

– A właśnie. Jak ci nowi ludzie?

– Babki niezłe. – Krzysztof uśmiechnął się do niej i puścił oko.

Magda sięgnęła po wiszącą na uchwycie kuchenki szmatkę i udała, że chce go nią dzielić. Uchylił się w bok.

– Już ja ci dam babki. Jesteś mój! – Rzuciła ścierkę na jego głowę i objęła go.

– Jak Zbyszek Jagienki w *Krzyżakach* – powiedział z uśmiechem, ściągając materiał. – A co do roboty, to jest okej. Będę w parze z niejakim Żmigrodzkiem. Facet jest dla mnie zagadką. Wygląda na fest inteligentnego gościa, ale ma jeden mankament. To chlor. Pije w robocie i nawet się z tym nie kryje.

– To pewnie długo nie zagrzeje miejsca w policji. Ostatnio mówiłeś, że sporo się w tej kwestii zmieniło. – Magda odwiesiła szmatkę na uchwyt kuchenki.

– Na pewno już nie jest tak jak kiedyś. Słyszałem opowieści o tym, jak policjanci pili na umór. Teraz już nie ma takiego pozwolenia. Nadal chleją, ale już nie na widoku. Żmigrodzki jednak nic sobie z tego nie robi. No i trochę się mnie czepia.

– Czepia? Zgłoś to.

– Nie, dam sobie radę. Wiesz, jak to jest. Młody zawsze ma robić te najgorsze rzeczy. Latać po fajki, kawę parzyć.

– Byleby się nad tobą nie pastwił. A jak pije, to podejrzewam, że kiedyś ktoś nie wytrzyma i go pogoni ze służby.

– Może tak. Ale jak nie nadejnie komuś na odcisk, pewnie dosłuży do emerytury. Pod warunkiem, że się nie zapije na śmierć. A jest na dobrej drodze.

– W wojsku też tak było i nic się nie zmieniło. Pamiętam ojca, jak jeszcze służył. Praktycznie każdego dnia czułam od niego wódkę. W piątki kierowca przywoził go z jednostki pijanego jak bela. We dwóch z poborowym wnosili go do domu. Szok.

Krzysztof zobaczył, że Magda posmutniała. Nie wiedział, co było powodem, ale nie chciał dopytywać. Już kiedyś zauważył, że temat ojca jest dla niej drażliwy.

* * *

Żmigrodzki podszedł do meblościanki i utworzył barek. W środku znajdował się spory zapas alkoholu. Zawsze był. Już dawno stwierdził, że w mieszkaniu może brakować wszystkiego, byle nie wysokoprocentowych trunków. I tej zasady się

trzymał. Sięgnął po wódkę i postawił ją na stoliku przy wersalce. Następnie wrócił po kieliszek i postawił go obok flaszki.

Z reguły nie popijał alkoholu wodą czy innym napojem. Lubił za to zagryźć. W lodówce miał śledzie i ogórki. Był też kawałek kiełbasy, ale robił się już śliski i nie wzbudzał zaufania. Żmigrodzki wiedział, że jak już będzie miał nieźle w czubie, ta oślizgłość przestanie mu przeszkadzać. Nalał sobie kieliszek i odstaawił butelkę. Uniósł naczynie i przez chwilę wpatrywał się w jego zawartość. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, obiecując Pawlakowi, że rzuci picie. Łatwo obiecać, trudniej spełnić.

– Dobra, trza wałnąć, bo szkłem przejdzie – powiedział do siebie i wychylił.

Alkohol zapiekł w przetyku. Żmigrodzki natychmiast ponownie napełnił kieliszek. Odpalił papierosa i opadł na oparcie wersalki. Taki sposób spędzania czasu praktykował już od dawna. Pierwszy raz wpadł w ciąg alkoholowy, gdy wykonano wyrok na Urbańskim. Pił wtedy przez cały tydzień. Cieszył się, że sprawa zabójcy zakończyła się skazaniem go na karę śmierci i zrealizowaniem postanowienia sądu. Potem przez dłuższy czas nie zaprzątał sobie głowy tą sprawą.

Pił tyle co inni. Nie unikał imprez, ale też ich nie inicjował. Wszystko się skończyło, gdy zginęła kolejna nastolatka. Sposób zabójstwa, okaleczenie ciała i ujawnione na miejscu ślady wskazywały na tego samego sprawcę zbrodni. Dopiero wtedy dotarło do nich, że się pomylili. Żmigrodzkim tępnęło niemiłośiernie. Romek miał podobnie. Przy kieliszku analizowali całe śledztwo i popełnione przez siebie błędy. Nie rozmawiali tylko na temat swoich pozaregulaminowych działań. Mieli wtedy parcie na sukces i potrzebowali wyniku. To, co nie pasowało im do teorii, z góry odrzucali.

Poszlaki wzmacniali innymi dowodami, niekoniecznie prawdziwymi. Urbański pasował im na sprawcę jak mało kto. Znał swoje ofiary. Chodził za nimi, zaczepiał, nagabywał. Zamordowane nastolatki przed śmiercią skarżyły się bliskim, że boją się Urbańskiego. Za najważniejszy dowód przeciwko niemu uznali cienki naszyjnik z medalikiem porzucony w pobliżu miejsca odnalezienia zwłok. Świadkowie zgodnie zeznali, że widzieli taką biżuterię na szyi Urbańskiego.

Gdy go zatrzymali i zaczęli przesłuchiwać, przyznał się do obecności na miejscu zbrodni. Powiedział, że chciał ratować dziewczynę. Że dotknął jej i przez przypadek zerwał cienki łańcuszek. Nie zwrócił wtedy na to uwagi. A jak już zauważył, że brakuje mu biżuterii, nie pomyślał, że stanie się ona gwoździem do jego trumny. Nie tylko w przenośni.

Gdy po śmierci Urbańskiego usłyszeli o kolejnej identycznej zbrodni, byli zszokowani. Dotarło do nich, że na stryczek wysłali zupełnie niewinnego człowieka. Nie mogli niestety cofnąć czasu. Zaczęli śledztwo na nowo. Wytypowali Janiaka jako podejrzanego o zabójstwa. Doszło do zatrzymania i pierwszego przesłuchania. Niestety Janiak nie doczekał rozprawy. Powiesił się w areszcie. Cała komenda głośno mówiła o tej spektakularnej wpadce wydziału zabójstw. Wszyscy oficjalnie im współczuli, ale za plecami szeptali, że utarło im nosa. Wcześniej wydział zabójstw miał najwyższą wykrywalność w całej komendzie.

On i Mieszkowski byli parą naprawdę skutecznych śledczych. Udawało im się rozwiązać ponad dziewięćdziesiąt procent spraw. To kłuło innych w oczy. Po wpadce kilka osób cieszyło się z ich spektakularnej pomyłki. Razem z Romkiem widzieli te ukradkowe spojrzenia i ironiczne uśmiechy. Przez kolejne miesiące każdego dnia obaj pili.

Aż któregoś dnia w wydziale pojawił się kapuś i sprawił, że Żmigrodzki stracił kompana od kieliszka.

Romek w końcu trafił na emeryturę, a dwa miesiące po odejściu ze służby się powiesił. Nie wytrzymał ciężaru wyrzutów sumienia. To ich picie jeszcze jakoś trzymało go w ryzach. Ale gdy został sam w pustym domu, nie dał rady i postanowił ze sobą skończyć. Żmigrodzki się zastanawiał, czy jego też czeka taki los. Przymknął oczy, przez chwilę ważąc kieliszek w dłoni.

– Romuś, niech ci ziemia lekką będzie – powiedział, zanim wypił wódkę.

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał z kacem. Wczoraj znowu przesadził z alkoholem. Obiecał Pawlakowi abstynencję, ale kolejny raz nawalił. Miał ochotę wziąć dzień wolnego, by doprowadzić się do porządku. Wiedział jednak, że wtedy znowu otworzyłyby wódkę.

Postanowił doprowadzić się do ładu. Wszedł do łazienki i spojrzął w lustro. W ostatnim czasie znacząco się postarzał. Wszystkie mięśnie mu zwiotczały. Kiedyś mógł się pochwalić muskulaturą, której wielu rówieśników mu zazdrościło. Nie miał może bicepsów jak Stallone czy Schwarzenegger, raczej takie jak Marek Perepeczko w *Janosiku*. Ostatnio jednak mięśnie sflaczały, a na brzuchu pojawiła się niewielka oponka. Zdawał sobie sprawę, że powinien o siebie zadbać, ale mu się nie chciało. Rano nie miał głowy do gimnastyki, a jak wracał do domu, był już za bani. Potem tylko się dopijał i kładł spać.

– Może w przyszłym tygodniu poćwiczę – okłamał swoje odbicie w lustrze.

Podszedł do sedesu i się wysikał. Przez przypadek oblał deskę. Pamiętał, że jak jeszcze mieszkał z dziewczyną, zwracała mu na to uwagę. Czasem wręcz zmuszała go, żeby mył po sobie kibel i pomagał jej w codziennych obowiązkach, a on, chociaż nie cierpiał prac porządkowych, starał się ją choć trochę odciążyć. Wściekała się, gdy jej mówił, że sprzątać powinni ci, którym bałagan przeszkadza. W tamtym czasie uważał, że się dopasowali. Razem dobrze im się mieszkało i żyło.

Wszystko zmieniło się po sprawie Urbańskiego. Gdy zaczął pić, Gośka początkowo udawała, że jej to nie przeszkadza. Mieszkali razem jeszcze pół roku, aż w końcu stwierdziła, że nie będzie ciągle zbierać go pijanego z podłogi i podstawić miski do rzygania. Wyprowadziła się i zerwała z nim kontakt. Nie próbował jej zatrzymać. Alkohol stał się dla niego ważniejszy. Potem jeszcze dwa razy widział ją przypadkiem. Raz nawet pogadali przez parę minut, ale potem niezbyt pamiętał o czym. Był wtedy wypity. Drugim razem tylko skinęli sobie głowami i każde poszło w swoją stronę. Teraz już nawet nie potrafił sobie przypomnieć, jak wyglądała. Ciągle miał w portfelu jej zdjęcie, ale dawno na nie nie patrzył.

Odkręcił wodę w wannie i sprawdził jej temperaturę. Była odpowiednio zimna. Takiej teraz potrzebował, żeby doprowadzić się do względnego porządku. Ściągnął slipy i wszedł do środka. W dłoń wziął słuchawkę prysznicową i skierował na siebie lodowaty strumień.

Zacisnął zęby, żeby nie krzyknąć.

* * *

Sawicki zjadł śniadanie i dopił kawę. Magda jeszcze spała. Późno się wczoraj położyła, bo postanowiła poprasować ubrania. Tak jakby nie mogła zrobić tego w ciągu dnia.

Nie mówił nic, nie chciał jej denerwować. Ostatnio narzekała, że ma coraz więcej roboty w domu. Niby tylko pranie, sprząatanie, gotowanie i prasowanie, ale zaczęło brakować jej czasu na przyjemności. Zawsze lubiła czytać książki, a teraz po ogarnięciu wszystkich obowiązków padała na twarz. Usypiała, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Krzysiek wiedział, że będzie musiał coś wymyślić, by trochę ją odciążyć.

Nie potrafił prac ani prasować, ale mógł zrobić obiad lub zmyć podłogi. Będzie musiał z nią przysiąc i ustalić grafik prac. Teraz jednak powinien już wychodzić do pracy.

Odstawił szklankę do zlewu i poszedł do przedpokoju. Otworzył szafkę z boazerii, wyjął kurtkę i zarzucił na ramiona. Spojrzał jeszcze w lustro, poprawił lekko przesunięty krawat i uśmiechnął się do siebie. Następnie włożył buty i wyszedł z mieszkania. Zbiegł po schodach na dół, pokonując po dwa stopnie.

Na zewnątrz poczuł mroźny podmuch powietrza. Chodnik był śliski, więc ostrożnie stawiał kroki. Nie chciał złamać nogi na nieposypanym fragmencie drogi na parking. Podszedł do służbowego poloneza i spróbował przekręcić kluczyk w zamku, jednak bezskutecznie. Wyjął z kieszeni zapalniczkę i zaczął rozgrzewać metal. Po kilku próbach wreszcie udało mu się otworzyć auto. Niestety, gdy wsiadł do środka i chciał odpalić, rozrusznik tylko zakręcił. Silnik pozostał nieruchomy. Ponowił próbę. To samo. Wysiadł z auta i się rozejrzał. Potrzebował kogoś, kto go popchnie, ale w pobliżu nie było żywej duszy. Spojrzał na szybę i zdecydował się, że najpierw oczyści ją z lodu. Może w tym czasie ktoś się napatoczy.

Sięgnął do schowka w poszukiwaniu skrobaczki.

* * *

WROCLAW, 3 WRZEŚNIA 1993 R.

Byłem zmęczony. Na ostatniej lekcji mieliśmy wuef i nauczyciel kazał nam skakać w dal oraz biegać na sto metrów. Powiedział, że musi wiedzieć, z kim ma do czynienia. Byłem cały przepocony i czułem, że śmierdę. Co prawda w szatni znajdował się prysznic, ale chyba od dawna nieczynny. Brakowało mu nawet słuchawki, a brodzik był pordzewiały i zagrzybiony.

W autobusie ikarusie stanąłem na kole pośrodku i pogadałem z Mirkiem na temat nauczycielki od niemieckiego. Babka już na pierwszej lekcji dała się poznać jako wymagająca i złośliwa. Mirek uważał, że jest starą panną, bo z kimś takim to żaden facet by nie wytrzymał. Musiałem przyznać mu rację. Ochrzciliśmy ją Helga, chociaż tak naprawdę miała na imię Irena. Nazwisko Szmidt jednak sugerowało niemieckie korzenie. Zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy mieć

z nią ciężko, zwłaszcza że w naszej podstawówce nie było lekcji niemieckiego, tylko rosyjski. Trzeba będzie ostro wziąć się w garść, by zdać do następnej klasy. Babka od niemieckiego raczej taryfy ulgowej nam nie da.

Wysiadłem na swoim przystanku i od razu skierowałem się w stronę domu. Widziałem, że kilku chłopaków już kopie piłkę na boisku, ale nie dołączyłem do nich. Najpierw musiałem coś zjeść. Kanapki ze szkoły wywaliłem do kubła. Matka znowu naszykowała mi chleb z pasztetem. Jadłem go przez cały tydzień i miałem już dość. Marzyła mi się zupa żołądkowa z ryżem. Matka miała taką ugotować przed wyjściem do pracy. To była jedna z moich ulubionych, zaraz po niedzielnym rosole.

Wczoraj wieczorem mama powiedziała nam, że w najbliższych dniach będzie musiała więcej pracować w zakładzie krawieckim, bo właścicielka dostała zlecenie na uszycie fartuszków do szkoły. Mówiła, że wróci dopiero przed dwudziestą drugą. Miałem nadzieję, że zdążyła ugotować tę zupę. Ojciec znowu wziął nadgodziny i pewnie nie wróci wcześniej niż o dwudziestej. Cieszyłem się, przynajmniej nikt nie będzie mi truł, żebym odrabiał lekcje. Był piątek i należał mi się odpoczynek od nauki.

Wszedłem do mieszkania i przez chwilę nasłuchiwałem. Wyglądało na to, że Tomka też nie ma w domu. Nie było słyhać ostrej muzyki, która zwykle dobiegała z jego pokoju. Nie wyszedł też i nie spytał „Co jest, młody?“, jak to miał w zwyczaju. Poszedłem do siebie i rzuciłem chlebak na łóżko. Służył mi za tornister. W podstawówce nosiłem plecak, ale w szkole średniej poszedłem za przykładem starszych kolegów. Większość z nich miała wojskowe chlebaki. Nieliczni zaś nosili skórzane raportówki. Ja nie miałem takich znajomości, by dołączyć do grona tych wybranych. Liczyłem, że za jakiś czas Tomek odda mi swoją, czarną, ze skóry.

Z chlebaka na kołdrę wypadły zeszyty. Nie chciało mi się ich zbierać. Poszedłem do kuchni i zobaczyłem, że na kuchence stoi garnek z zupą. Była jeszcze ciepła. Uniosłem pokrywkę i zamieszałem chochlą. Wyłowilem dwa żołądki i palcami włożyłem je do ust. Przymknąłem oczy. Smakowały idealnie. Zastanawiałem się, czy nie wziąć kolejnego, gdy usłyszałem zgrzyt klucza w zamku. Chwilę później do mieszkania wszedł Tomek z jakąś dziewczyną. Nie znałem jej. Ubrana była jak skin. Zaskoczyło mnie to, bo nigdy wcześniej nie widziałem dziewczyn w ich towarzystwie. Na szczęście ta nie była ogolona na łyso.

- A ty w domu jesteś? – spytał Tomek, wyraźnie zaskoczony moją obecnością.
- A gdzie mam być? – odparłem, wkładając chochlę do garnka.
- To może się gub, młody. Idź pograj w gałę.
- Zjeść chciałem.

Dziewczyna zrobiła dziwną minę. Wyglądała, jakby się nudziła. Żuła gumę i nawijała włosy na palec.

- To szybko jedz i się gub – rzucił mój brat, kładąc dłoń na tyłku dziewczyny.

Wiedziałem, że przyprowadził ją na seks. Sięgnąłem po talerz i zacząłem nalewać sobie zupy. Tomek tymczasem wziął koleżankę do swojego pokoju. Słysza-

łem, jak przekręca klucz. Pięć sekund później rozległy się ostre brzmienia zespołu Legion.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Tomek czekał z matką na korytarzu oddziału kardiologicznego w szpitalu na placu 1 Maja.

Wczoraj już nikt ich nie wpuścił do ojca. Całą noc siedzieli w ciemnym domu. Matka łkała w kuchni, a on leżał na łóżku i rozmyślał. Bawił się bagnetem, planując zemstę. Bo to, że powinien pomścić Szymka, było dla niego jasne jak słońce. Nie widział innej możliwości. Dragon i reszta chłopaków zaatakowali jego rodzinę. Dawni kumple skrzywdzili jego brata. Nie mógł im tego puścić płazem.

Rano wstał i razem z matką przyjechał do szpitala. Chciała od razu wejść na oddział, ale pielęgniarka powiedziała, że nie mogą zobaczyć ojca, dopóki ordynator nie wyrazi zgody. Za kwadrans kończył obchód i wtedy będą mogli z nim porozmawiać. Tomek widział, że matka ma podkrążone i załzawione oczy. Było mu jej szkoda. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez ostatni czas sprawiał rodzicom same problemy. Uważał, że takie wilcze prawo nastolatka, by się buntować. Każdy w jego wieku odrzucał zasady i starał się pokazać, że jest osobną jednostką. Każdy chciał zademonstrować swoją indywidualność i samodzielność. Jedni wpadali w złe towarzystwo, szlajali się po osiedlu, szukając okazji do zadymy. Drudzy kradli radia z samochodów. Jeszcze inni wchodzili do subkultur i tam starali się zaistnieć. Ci najsłabsi zaczynali pić i brać narkotyki, tak jak Karol z sąsiedniej bramy. Tomek codziennie widział go, jak szedł w stronę nieużytków na Pilczycach. Tam siadał i wachał klej z torebki. Potem snuł się po osiedlu jak jakiś zombie. Kilka razy z chłopakami spuścili mu lanie. Teraz Tomek stwierdził, że Karol też szukał swojego miejsca na ziemi. Wybrał inną drogę, ale nie był od niego gorszy.

On związał się ze skinami. Czuł się z nimi dobrze. Był w grupie osób o podobnych poglądach i słuchających tej samej muzyki. Chciał coś zmienić w tym kraju i uważał, że może się to udać, jeśli pokaże się społeczeństwu, że warto zaufać patriotom i nacjonalistom. Dopiero teraz dotarło do niego, że mógł popełnić błąd. Towarzystwo nie było warte łez jego matki.

Spojrzał na nią i powiedział cicho:

– Przepraszam.

Bożena Dąbrowska oderwała zgnębiony wzrok od podłogi.

– Mówiłeś coś? Nie słuchałam...

– Przepraszam, mamu. Byłem gnojkiem, który myślał tylko o sobie.

Dąbrowska lekko przymknęła oczy. Tomek widział dużą łzę, która uwolniła się spod jej powieki i spłynęła po policzku. Miał ochotę objąć matkę. Czuł, że powinien tak zrobić.

* * *

Żmigrodzki spojrział przez okno. Ten nowy powinien już być.

– I weź tu się nie napij – mruknął, sięgając po leżące na stole papierosy.

Przez kilka chwil palił w milczeniu. Kusiło go, żeby wyjąć z lodówki wódkę i wziąć przynajmniej dwa sążniste łyki. Nie zdecydował się jednak. Sporo czasu zajęło mu doprowadzenie się do stanu, w jakim mógłby się pokazać Pawlakowi. Obiecał mu trzeźwość i zamierzał tej obietnicy dotrzymać. Przynajmniej spróbuje. Nie chciał już na wstępie pokazać, że zawiódł. Stojąc w wannie pod strumieniem zimnej wody, postanowił, że na początku będzie pił w domu po służbie. Te kilka godzin w trzeźwości na sto procent da radę wytrzymać.

Strzepnął popiół do zlewu i zobaczył, jak w uliczkę wjeżdża służbowy polonez. Zagasił papierosa w stojącej w zlewie szklance po kawie i poszedł do przedpokoju. Założył kozuch, odruchowo sprawdzając, czy w kieszeni jest piersiówka. Nie zamierzał jej wyciągać w ciągu dnia, ale czuł się pewnie, mając ją przy sobie. Następnie włożył buty i wyszedł z mieszkania.

Już po chwili stał przed wejściem do bramy, czekając, aż Sawicki zaparkuje. Polonez ślizgał się na oblodzonej osiedlowej drodze. Żmigrodzki wstrzymał oddech, widząc, jak auto wpada w poślizg i bezwładnie sunie bokiem w stronę ławki. Sawicki jednak jakimś cudem wymanewrował i zatrzymał się kilka centymetrów od przeszkody.

Komisarz głośno wypuścił powietrze. Podeszedł do drzwi kierowcy i pokazał, by nowy otworzył okno. Ten dał znak, że nie może, po czym wysiadł.

– Szybka zamarzła – wyjaśnił, stając na skutej lodem drodze.

– Spóźniłeś się. – Żmigrodzki wyjął z kieszeni papierosy.

– Akumulator siadł. Musiałem prosić ludzi, żeby mnie popchali.

Żmigrodzki odpalił marsa i skierował paczkę w stronę Sawickiego. Ten poczęstował się jednym. Przez chwilę palili w milczeniu.

– Piotrek – powiedział nagle Żmigrodzki, wyciągając rękę w stronę partnera.

– Krzysiek.

– Powiem ci, że zrobiłeś wrażenie, wychodząc z tego poślizgu. Myślałem, że jebniesz w ławkę.

– Kiedyś chciałem być rajdowcem. Z ojcem jeździłem na Rajd Polski i patrzyłem, jak kierowcy się ścigają. Moim idolem był Marian Bublewicz. Jak w zeszłym roku zginął, płakałem jak dziecko. Miałem resoraka forda sierrę cosworth. Własnoręcznie pomalowałem go w takie same barwy, jakie miał ford „Bubla”.

– To czemu wybrałeś bycie gliną, zamiast ścigać się w rajdach? – spytał Żmigrodzki, biorąc macha.

– Matka się bała. Mówiła, że ma tylko jednego syna i nie chce go pochować. Jak zginął „Bubel”, stwierdziła, że śmierć upomina się nawet o takie asy, a co dopiero o takiego amatora jak ja.

– Jesteś jedynakiem?

– Nie. Mam siostrę. Ale jestem jedynym synem.

Komisarz rzucił niedopałek na oblodzoną drogę i zdeptał go.

– Dobra, Senna. Dowieź mnie do fabryki w jednym kawałku. Droga to nie tor wyścigowy – powiedział i ruszył w stronę drzwi pasażera.

Zaraz jednak stanął w miejscu, widząc, że nie uda mu się wsiąść. Ławka była za blisko, żeby otworzyć drzwi.

– Odjedź kawałek – rzucił do Sawickiego i poprawił kołnierz kożucha.

* * *

WROCLAW, 3 WRZEŚNIA 1993 R.

Zjadłem zupę i wyszedłem na dwór. Nie chciałem przeszkadzać Tomkowi w bzykaniu tej skinki. Wiedziałem, że uprawiają seks, bo laska raz głośniej krzyknęła.

Stanąłem przed bramą i spojrzałem na boisko. Kilku chłopaków ciągle grało. Planowałem do nich dołączyć, ale spojrzałem w drugą stronę i zobaczyłem Ankę siedzącą na ławce z Justyną. Postanowiłem podejść i zagadać.

– No cześć, dziewczuchy – rzuciłem.

– No hej – odpowiedziała Ania.

Justyna tylko skinęła głową. Obie uśmiechały się do mnie.

– Co słychać?

– Nic ciekawego. Pierwszy weekend po tygodniu w liceum – odpowiedziała Justyna.

– To fakt. Ja dzisiaj też miałem sporo zajęć. Najgorszy był wuef. Facet zrobił nam sprawdzian. Biegaliśmy i skakaliśmy w dal. Do tej pory mam piasek w butach.

– Współczuję. Ale przecież ty lubisz sport – powiedziała Ania.

– Lubię, ale piłkę i kosza. Skoków i biegów to nie za bardzo.

– No coś ty? Taki wysportowany i nie lubi biegów?

Miałem wrażenie, że się ze mną droczy.

– Wysportowany? – zapytałem, starając się uśmiechnąć najlepiej, jak potrafiłem.

– Widziałam. Nie jesteś gruby, masz mięśnie...

Poczułem, że się czerwienię. Nie znałem się na tym, ale wydawało mi się, że Anka mnie podrywa.

– Szymek! – dobiegło nagle z boku.

Odwrociłem głowę i zobaczyłem Andrzeja machającego w moją stronę.

– Kumple cię wołają – rzuciła Justyna.

Byłem wściekły, że mi przeszkodził.

– Poczekają – rzuciłem, ponownie patrząc na Anię.

Uśmiechała się do mnie zalotnie. Wyczułem swoją szansę.

– To co z tym filmem? Kiedy obejrzymy? – zapytałem.

– Z jakim filmem? – zainteresowała się Justyna.

W duchu się modliłem, aby tylko nie zaproponowała, że do nas dołączy.

– Może jutro? Rodziców nie ma, bo jadą do babci. Możesz wpaść – zaproponowała Ania.

– A ja? – zapytała Justyna.

A ty nie, pomyślałem. Miałem nadzieję, że Ania coś wymyśli, żeby Justyna nam nie przeszkadzała.

– A ty nie masz jutro przypadkiem jechać z ojcem do szpitala do matki? – spytała, jakby czytała mi w myślach.

– No fakt. To może przeniesiemy to na później, jak już wrócę? Co wy na to?

– Zobaczymy – mruknąłem.

– Szymek, no dawaj! – krzyknął znowu Andrzej.

Miałem ochotę go udusić.

– To leć już – zaśmiała się Anka. – Potem się zgadamy co do godziny.

Skinąłem głową i ruszyłem biegiem na boisko.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Gdy tylko Sawicki zaparkował poloneza przed wejściem do komendy, Żmigrodzki wysiadł i odpalił papierosa. Musiał zasłonić ogień dłonią przed mroźnym podmuchem wiatru. Poprawił kołnierz kozucha, bo przeszedł go dreszcz. Było chłodniej niż wczoraj. Powinien się rozgrzać. Ręką odruchowo dotknął wewnętrznej kieszeni, wyczuwając znajomy kształt piersiówki. Kusiła go, przyciągała jak magnes. Po kilku łykach na pewno zrobiłoby mu się cieplej. Nie chodziło tu o nałóg, tylko o podniesienie temperatury ciała.

W sumie zrobiłbym to dla zdrowia, pomyślał.

Spojrzał w górę i zobaczył w oknie Pawlaka. Zdał sobie sprawę, że naczelnik go obserwuje. Uniósł kciuk i się uśmiechnął. Myśl o napiciu się wódki odsunął na później. Przez chwilę palił w milczeniu, podczas gdy Sawicki zaglądał do komory silnika. Maskę samochodu była podniesiona.

– Tu chyba nikt jeszcze nigdy nie sprawdzał poziomu płynu akumulatorowego – powiedział.

– Od tego są inni. Przecież ja nie będę tego robił.

– Ale przed zimą warto by zadbać o auto. Nie chciałbyś chyba stanąć w szarym polu i czekać na przyjazd holownika. – Sawicki wytarł dłonie o jakąś brudną od smaru i oleju szmatę.

– Zgłoś to do wydziału transportu komendy i nie zwracaj mi głowy – prychnął Żmigrodzki. – Myślisz, że nie mamy tu nic lepszego do roboty niż sprawdzenie, czy trapez jest sprawny. Zjebie się, to się wystąpi z wnioskiem o nowy.

– Jak tam chcesz. – Sawicki wzruszył ramionami. – Po prostu szkoda by było, żeby się gdzieś na mieście rozkraczył. Zresztą nie tylko bateria jest do dupy. Opony też łyse. Słaby kierowca może się zawinąć na latarni.

– Dlatego od dzisiaj ty prowadzisz. Chciałeś być rajdowcem? To będziesz. Oczywiście nie chciałbym, żebyś szarżował po Wrocku. Masz mnie dowieźć z punktu A do punktu B. Bez wpadania na latarnie i ławki. – Komisarz puścił do

niego oko, a potem rzucił niedopałek na chodnik i skierował się w stronę wejścia do komendy.

* * *

Tomek patrzył na ojca leżącego na szpitalnym łóżku. Płatania przewodów podłączonych do jego ciała sprawiła, że zaczął się bać. Lekarze powiedzieli, że tylko cudem wyszedł z tego zawału. Ordynator zaznaczył, że zawdzięcza życie wyjątkowemu szczęściu i temu, że na oddziale był akurat najlepszy kardiolog. Tomek miał nadzieję, że szczęście ich nie opuści. Nie wiedział, jak spojrzalby w oczy matce, gdyby stracili ojca. Oczywiście on nie byłby temu winny, to los by tak sprawił. Miałby jednak wyrzuty sumienia. To przecież on nie pomógł Szymkowi, kiedy Dragon i reszta go gnębili. To wszystko zaczęło się w bunkrze, a potem poleciało jak domino. Kostka przewracała kostkę. Gnębienie, samobójstwo Szymka, zawał ojca. To za dużo jak na jedną rodzinę.

– Rosołu ci przyniosę – powiedziała matka, trzymając ojca za rękę.

– Dobrze. Nawet bym zjadł. Tu nie dbają o pacjenta. Rozmawiałem z takim jednym dziadkiem. Powiedział, że ma specjalną dietę. A jak zobaczyłem, co przynieśli mu na śniadanie, byłem w szoku. Dwa plasterki jakiejś marnej kiełbasy, serek topiony i dwie małe kromeczki chleba. Z tego nie da się wyżyć.

– To przyniosę ci też jakiejś wędliny.

Tomek podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Znowu padał śnieg. Na dachu sąsiedniego budynku dostrzegł stado wron. Poczul, jak jego ciało przesywa dreszcz.

– Pani, niech mu pani chleba doniesie. Bez chleba to się człowiek nie naje. – Mężczyzna na sąsiednim łóżku z trudem podniósł się na boku.

– Tomek, pomóż panu – powiedział ojciec.

– Nie ma potrzeby – zapewnił tamten. – W szpitalu trzeba umieć sobie radzić. Chwilę później usiadł i wsunął stopy w kapcie.

– Na dymka idę. Jakby piguła pytała, to poszedłem do świetlicy na telewizor.

Puścił im oko i wyszedł z sali, kierując się na lewo.

– Powiadomiłaś zakład? – zwrócił się do matki ojciec.

– Dzwoniłam. Powiedzieli, że masz wyzdrowieć.

– Mam nadzieję, że nie zaważy to na moim zatrudnieniu. Wiesz, jak jest. Zaczynają się te grupowe zwolnienia i mogą trafić na listę.

– Jutro podjadę do zakładu i pogadam z brygadzystą. Przecież Heniek to twój dobry kumpel. Był u nas nawet...

– Heniek sam nie jest pewny, czy nie wyleci na bruk. Kapitalizm, psia twoja mać.

Tomek dostrzegł, że w kąciaku oka ojca pojawiła się łza. Nie chciał na to patrzeć. Odwrócił się do okna, akurat gdy z dachu poderwały się do lotu wszystkie wrony.

Czul, że to zły znak.

WROCLAW, 4 WRZEŚNIA 1993 R.

Rano wstałem i od razu wziąłem prysznic. Tomek patrzył na mnie dziwnie, bo jednak nie zdarzało mi się to codziennie. Nie powiedziałem mu, że idę do Anki na film. Nie chciałem, by mi dogryzał. Z szafki ojca wyciągnąłem dezodorant Old Spice, który dostał na urodziny, i cały się spsikałem. Wtedy już też matka patrzyła na mnie podejrzliwie.

Po drodze do Anki wszedłem do pobliskiej wypożyczalni kaset wideo i wypożyczyłem *Edwarda Nożycorękiego*. Miałem nadzieję, że jeszcze nie widziała tego filmu. W końcu stanąłem pod jej bramą i drżącą ręką chwyciłem za klamkę. Tutaj nie założono jeszcze domofonu, ale w ścianie wykuta już była dziura pod instalacją. Wszedłem do środka. Ania mieszkała na drugim piętrze. Nie czekałem na windę, tylko wbiegłem po schodach na górę. Dopiero gdy znalazłem się na jej piętrze, zdałem sobie sprawę, że to mógł być błąd. Jadąc windą, bym się tak nie spocił. Powąchałem pachy. W sumie nie było aż tak źle.

Stanąłem przed drzwiami w boazerii i z lekką obawą nacisnąłem dzwonek.

Chwilę później Ania otworzyła. Wyglądała przepięknie. Ubrana była w krótką sukienkę w kwiatki, miała delikatny makijaż, a włosy spięła w kucyk. Jej widok mnie onieśmielił. Zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem, przychodząc tutaj. Napaliłem się i nie chciałem się rozczarować, jeśli do niczego nie dojdzie.

Ania zaprosiła mnie do środka. Cały przedpokój był w takiej samej jak drzwi drewnianej boazerii. Widać było, że jej rodzice nieźle zarabiają. Popatrzyła na kasety w moich rękach i zawołała:

– *Edward Nożycoręki!* Jejku, nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam go zobaczyć. Super!

– No to sobie obejrzymy. Wideo gdzie masz? – spytałem.

– W pokoju. Naszykowałam ciastka i napój Orange. Zaraz przyniosę.

Uśmiechnąłem się i ściągnąłem trampki. Wszedłem do dużego pokoju i od razu skierowałem się do odtwarzacza. Wsunąłem kasety i pilotem uruchomiłem odtwarzanie. Pojawiły się napisy informujące o prawach autorskich. W tym momencie zatrzymałem taśmę i zaczekałem na Anię. Kusilo mnie, aby zapalić. Nie wiedziałem, czy jej rodzice palą. W zasięgu wzroku nie znalazłem żadnej popielniczki.

Ania weszła z tacą, na której był półmisek z ciastkami i dwie szklanki napoju gazowanego.

– Można u ciebie palić? – spytałem.

– Tylko na balkonie. Rodzice nie palą i by wyczuli.

– Spoko. Mogę na balkonie.

Postawiła tacę na stoliku, odsunęła firankę i otworzyła drzwi balkonowe.

– Zaraz przyniosę ci jakąś popielniczkę. Nie rzucaj niedopałka na zewnątrz, bo sąsiad z dołu to świr i by się dopieprzył.

Wyszedłem na balkon i przykucnąłem. Nie chciałem, żeby moi rodzice widzieli mnie palącego, a balkon Ani był widoczny z ich okien. Przez chwilę paliłem, zastanawiając się, jak się potoczy ten dzień. Miałem nadzieję, że zakończę go już jako mężczyzna.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał z krzesła i skierował się do drzwi.

Po drodze zatrzymał się przy wieszaku i wyjął z wewnętrznej kieszeni kożucha piersiówkę. Odwrócił się w stronę pozostałych. Przypatrywali mu się uważnie. Gdy zmierzył ich wzrokiem, powrócili do swoich czynności. Nikt nic mu nie powiedział. Nikt się nie odważył.

Schował piersiówkę do kieszeni spodni i nacisnął klamkę. Naprawdę musiał się napić. Czuł, że jeśli zaraz nie weźmie choćby jednego łyka, oszaleje.

Wszedł do toalety i drżącymi rękami odkręcił nakrętkę. Nagle jednak jego dłoń zawisła w powietrzu.

Co ty robisz? Marnujesz sobie życie! – usłyszał w swojej głowie.

Chwilę później inny głos się wtrącił: A czemu masz nie marnować? Co to za życie? Zakończ to. Nie ma sensu się tak męczyć.

Zasłonił uszy rękami. Piersiówka wypadła na podłogę, zawartość chlusnęła ze środka.

– Kurwa mać! – zaklął i rzucił się ratować pozostały alkohol.

Gdy podniósł piersiówkę, zobaczył, jak otwierają się drzwi i w progu staje naczelnik. Przez chwilę Pawlak przyglądał mu się w milczeniu. Potem spytał:

– To już z ziemi chlejesz?

Żmigrodzki wyprostował się i zakręcił pojemnik.

– Nie chleję. Upadła mi.

– I niby nie wzięłeś nawet łyka? Jakoś nie chce mi się wierzyć.

– To wezwij dyżurnego. Dmchnę w rurę i sam zobaczysz. Nie tknąłem nawet łyka.

Pawlak patrzył na Żmigrodzkiego przenikliwie. Widać było, że stara się wyczytać z jego twarzy, czy podwładny mówi prawdę.

– Obiecałem i słowa dotrzymam – powiedział Żmigrodzki.

– Nie będę cię obwąchiwał. Jak ci się uda wytrwać w postanowieniu, to super. Dasz dupy, twoja sprawa. Ja nie mam zamiaru cię dłużej niańczyć.

– Nie musisz. Jestem już duży i potrafię sam o siebie zadbać.

– No to bierz cztery litery w troki i zasuway. Macie sztywnego. Zabierz ze sobą młodego.

– Gdzie?

– W bloku na Zaporoskiej. Sąsiad znalazł ciało jakiejś babki. Ponoć od dawna jej nie widział. Polazł sprawdzić i zobaczył zasuszone zwłoki.

– Jak, kurwa, zasuszone?

– No normalnie, wyschła.
– Jak mumia?
– A mnie skąd wiedzieć? Pojedziesz, to się dowiesz.
Pawlak ruszył w stronę drzwi. Będąc już na progu, rzucił:
– Trzymam kciuki za twoje postanowienie. Powodzenia.
Żmigrodzki schował pierśiówkę do kieszeni spodni. Nie była mu na razie potrzebna.

* * *

Po wyjściu Żmigrodzkiego Sawicki podszedł do szafki, na której stały szklanki i pudełka z kawą oraz herbatą. Obok leżała grzałka.

– Czy mogę skorzystać z jakiejś szklanki? – zwrócił się do Doroty. – Swojej zapomniałem.

– Jasne. Możesz wziąć moją – odparła policjantka.

Włożył grzałkę do szklanki i wcisnął wtyczkę do kontaktu. Czekając, aż woda się zagotuje, odpalił papierosa. Spojrzał na Karolinę Romaniuk i się uśmiechnął. Przypominała mu koleżankę z podstawówki. Miała takie same dołeczki w policzkach jak Marta. Podobnie też się uśmiechała. Zaczął się zastanawiać, jak potoczyły się losy koleżanki. Ostatni raz widział ją w osiemdziesiątym dziewiątym na wrocławskim rynku. Było to tuż po pierwszych wolnych wyborach. Stała z ojcem i komentowali wyniki bloku wolnościowego. Cieszyła się, że „Solidarność” zmieni kraj i wreszcie pozbedziemy się komunistów. Od tamtego dnia minęło kilka lat i dziś Krzysiek mógł stwierdzić, że niewiele zmieniło się na korzyść. Wydawało mu się nawet, że jest gorzej. Wzrosło bezrobocie, na ulicach pojawili się bezdomni. Narkomania zaczęła dotyczyć nie tylko ludzi z marginesu, ale po prochy coraz częściej sięgały dzieci z tak zwanych dobrych domów...

– Trzeba będzie się z nią skiknąć... – szepnął pod nosem.

– Co? – spytała Romaniuk.

Podniósł na nią wzrok. Zdał sobie sprawę, że powiedział to odrobinę za głośno.

– Nic, do siebie mówiłem.

– To może być oznaka jakichś poważniejszych zaburzeń. Zbadaj się – powiedziała sierżant z figlarnym uśmiechem.

Już miał zamiar jej odpowiedzieć, gdy do pokoju wrócił Żmigrodzki. Krzysztof się zastanawiał, ile partner wypił w toalecie. Bo że wypił, było pewne.

– Zbieraj się, młody – powiedział komisarz. – Robotę mamy.

– A dokładniej?

– A dokładniej to się dowiesz, jak ruszysz dupę – rzucił Żmigrodzki, po czym zgarnął kożuch i wyszedł na korytarz.

Krzysiek spojrział na szklankę z bulgoczącą wodą.

– Jak ktoś chce herbatę, to śmiało – powiedział i wyjął grzałkę z kontaktu.

W drzwiach ponownie pojawił się komisarz.

– Długo mam na ciebie czekać? – warknął. – Zaproszenie potrzebne?

WROCLAW, 4 WRZEŚNIA 1993 R.

Prawą ręką miętosilem pierś Ani. Od dłuższego czasu całowaliśmy się i pieściliśmy. Film leciał w tle, ale zupełnie nie zwracaliśmy uwagi na to, co się dzieje na ekranie. Kasetę zawsze można cofnąć.

Czułem narastające podniecenie, gdy dotykałem jej zgrabnego ciała.

– Zróbmy to – powiedziałem w pewnej chwili.

Ania popatrzyła mi głęboko w oczy. Widziałem w nich strach.

– Ale ja nigdy jeszcze...

– Ja też nie. Damy radę – starałem się ją przekonać.

Moja dłoń lekko zsunęła się w dół.

– Boję się.

– Nie ma czego. To nie boli – zapewniłem.

– W „Bravo” pisali, że pierwszy raz powinien się odbyć w szczególnych okolicznościach. Powinien być odpowiednio przygotowany...

Spojrzałem jej w oczy.

– No to przecież jest. Oboje tego chcemy. Prawda?

– No tak. Ale ja się boję.

– Czego?

– Że będzie bolało. Że mogę zająć w ciążę. Że się zakleszczymy.

– Co? Jak zakleszczymy? Co to znaczy?

– No... chodzi o to, że twój może się zakleszczyć w mojej... Wtedy trzeba wzywać karetkę.

– Pierwsze słyszę o jakimś zakleszczeniu. Nic takiego się nie zdarza.

– Koleżanka mi mówiła, że na Nowym Dworze jakaś para tak miała.

– Bzdura. Ktoś puścił plotkę – stwierdziłem z uśmiechem.

– A ciąża?

– Za pierwszym razem nie ma takiej możliwości – powiedziałem z przekonaniem.

– Jak to nie?

– No przecież to niemożliwe. Plemniki nie popłyną, bo krew je wypłukuje. Czytałem kiedyś o tym – stwierdziłem, chociaż nie byłem tego aż tak bardzo pewny. Kumpie mi tylko mówili, że dziewica nie może zająć. A ja nie miałem powodów, by im nie wierzyć.

– Ale będziesz delikatny? – upewniła się.

Skinąłem głową. Czułem, że zaraz nie wytrzymam i wystrzelę w spodnie. Ania zsunęła majtki i położyła się na wersalce. Przymknęła oczy. Drżącymi rękoma zacząłem rozpinać spodnie. Zsunąłem je do kolan i po chwili to samo zrobiłem z majtkami. Położyłem się obok Ani.

– Tylko delikatnie – powiedziała cicho.

Przesunąłem się na nią i w tym samym momencie wytrysnąłem. Nasienie poleciało na jej nagie udo.

- Ojej... – sapnąłem, zaciskając zęby. Całe moje ciało drżało.
- Już? – spytała Ania, patrząc ze zdziwieniem na mojego sterczącego członka.
- Przepraszam.

Chwilę później mój penis zaczął flaczeć. Nie tak wyobrażałem sobie swój pierwszy raz.

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Sawicki zaparkował poloneza obok kontenera na śmieci przy Zaporoskiej. Gdy tylko wysiedli z auta, Żmigrodzki odpalił papierosa. Postawił kołnierz, patrząc na idącego po murku starego wyliniałego kota.

Kiedyś nie lubił tych sierściuchów. Uważał, że lepszym towarzyszem dla człowieka jest pies. Można z nim złapać kontakt i nie jest takim samotnikiem jak kot. Za nastolatka razem z kumplami rzucał w koty kamieniami. Taki jeden Andrzej chciał nawet kiedyś podpalić kota benzyną. Na szczęście nie udało mu się tego zrobić. Ściągał paliwo z junaka stojącego w piwnicy kamienicy, w której mieszkali. Na swoje nieszczęście został przyłapany przez właściciela. Oberwał w ucho i odpuścił. Dzięki temu kot nie ucierpiał. Potem Żmigrodzki przestał się z Andrzejem kumplować. Nie chciał mieć do czynienia z piromanem i sadystą. Po latach się okazało, że dawny kolega trafił za kraty. I to wielokrotnie. Raz za podpalenie stodoły w podwrocławskiej wiosce, drugi raz za rzucenie butelką z benzyną podczas zadymy po meczu Śląska. Trafił wtedy w milicyjnego dużego fiata. Ostatni raz został zatrzymany podczas próby podpalenia bezdomnego nocującego na ogródkach działkowych. Było to cztery lata temu. Żmigrodzki miał nadzieję, że po wyjściu z pudła ktoś będzie monitorował zachowanie Andrzeja. Facet robił się coraz bardziej niebezpieczny.

Wziął macha i spojrzał na Sawickiego. Całą drogę milczeli. Kilka razy odniósł wrażenie, że młody pociąga nosem. Pewnie starał się wyniuchać alkohol. Teraz stał kilka metrów dalej i patrzył na blok, w którym znaleziono zwłoki kobiety.

– Dobra. Nie ma co czekać – powiedział Żmigrodzki i pstryknął niedopałek w stronę kota.

Zwierzak natychmiast zerwał się do biegu.

– Nie musiałeś – powiedział Sawicki, patrząc za bieżącym zwierzęciem.

– Nie musiałem – przyznał komisarz, po czym ruszył w stronę wejścia do bloku.

Mieszkanie, w którym znaleziono zwłoki, mieściło się na pierwszym piętrze, więc nie było sensu jechać windą. Weszli po schodach i zobaczyli niewielki tłumek gapiów.

– Przejście – zażądał krótko Żmigrodzki, przepychając się przez stłoczonych sąsiadów.

Gdy weszli do mieszkania, komisarz przywołał głową sierżanta stojącego w kuchni.

– Może ogarniesz to zbiegowisko? Zaraz wejdą na kwadrat i zadepczą ślady – burknął, gdy mundurowy się zbliżył.

Sierżant skinął głową i wyszedł na klatkę schodową. Żmigrodzki tymczasem wszedł w głąb mieszkania. W jednym z pokoi pracowali technicy, starszy z nich pisał już raport.

– Co tu mamy? – spytał komisarz, podchodząc do ciała.

– Kobieta, Rozalia Wolak, lat osiemdziesiąt dwa. Mieszka sama. Śmierć w wyniku urazu głowy. Ktoś walnął ją tamtą ciężką popielnicą. – Technik wskazał na znajdujące się w woreczku strunowym narzędzie zbrodni.

– Ile tak leży?

– W mojej ocenie śmierć nastąpiła jakieś trzy tygodnie temu. Wtedy też sąsiedzi przestali ją widywać.

Żmigrodzki uniósł biały materiał, którym przykryte były zwłoki.

– I tak się zasuszyła? – spytał zaskoczony. – Wygląda jak śliwka.

– Zwłoki leżą przy grzejniku. To przyspieszyło proces.

– To znaczy?

– Czasem ciało się wysusza, zamiast rozłożyć. Jeśli znajduje się w pobliżu źródła ciepła, może wyschnąć na wiór. Kiedyś widziałem takie zwłoki. Jak chcieli zabrać do zakładu medycyny, to prawie im się w rękach rozsypały.

– Pierdolisz! – Żmigrodzki patrzył na technika, starając się wybadać, czy ten nie robi sobie z niego jaj.

W końcu odwrócił się do stojącego z tyłu Sawickiego.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

Partner zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja też nie. Dobra, nie ma co gadać. Trzeba zająć się robotą. Kto znalazł ciało? – spytał stojącego kawałek dalej mundurowego.

– Sąsiad. Alojzy Firkuć – przeczytał z notesu sierżant.

– Gdzie go znajdziemy?

– Jest u siebie. Po znalezieniu zwłok zadzwonił po nas, ale źle się poczuł. Musiał zażyć nitroglicerynę.

– No to idziemy do gościa.

Komisarza kusiło, aby przed tą rozmową sięgnąć do kieszeni kożucha i zwilżyć usta. Nie mógł jednak tego zrobić. Obiecał Pawlakowi – i sobie.

– Dam radę – powiedział cicho.

– Co? – spytał Sawicki.

– Nic. Do siebie gadam – mruknął i ruszył w stronę wyjścia.

* * *

Tomek otworzył drzwi i przepuścił przodem matkę. Oboje skierowali się prosto do kuchni.

– Całkiem przemarzłam. – Bożena Dąbrowska usiadła na taborecie przy stole i zaczęła zdejmować kozaki.

Tomek postawił torbę z zakupami na blacie obok kuchenki i wrócił do przedpokoju. On też ściągnął buty.

– Ty odpocznij, a ja zetrę ten śnieg – powiedział.

Matka popatrzyła na niego zaskoczona.

– Ktoś cię podmienił?

Zaraz jednak zamilkła. Tomek powiesił kurtkę na wieszaku i poszedł do łazienki po szmatę do podłogi.

– Przepraszam – powiedziała, gdy wrócił. – Nie powinnam była tak żartować.

– Nic nie mów.

Chłopak zawiązał ścierkę na miotłę i szybkimi ruchami stał błoto pośniegowe.

– Zrobię ci herbatę. Ty się połóż.

– Nie mam czasu. Muszę rosół dla ojca naszykować.

– Jutro zrobisz. Będzie świeży. Teraz odpocznij.

Kobieta przez kilka chwil patrzyła na syna zdziwiona. W końcu skinęła głową i wstała z miejsca. Tomek patrzył za nią, jak szła do pokoju. Dokończył zmywanie i odłożył miotłę do schowka. Następnie wypakował zakupy z torby.

Ciągle się zastanawiał, czy pomysł na zemstę jest dobry. Analizował wszystkie za i przeciw. Starał się podjąć jak najlepszą decyzję. Był słabszy od tego skina, ale tamten nie spodziewał się zagrożenia. Musi być bezlitosny. Wiedział, że jeśli się zdecyduje załatwić Dragona, nie będzie już drogi odwrotu. Jak wyjmie bagnet, będzie musiał go zabić.

* * *

WROCLAW, 5 WRZEŚNIA 1993 R.

Wyszedłem na podwórko i skierowałem się prosto pod sklep „Mały Market”. To tam stale przesiadywaliśmy z chłopakami. Obsługa co jakiś czas nas wypraszała, ale my nic sobie z tego nie robiliśmy. Oni nas gonili, a my po czasie wracaliśmy. W końcu coraz rzadziej się czepiali.

Już z daleka zobaczyłem chłopaków siedzących na murku. Dwóch z nich ukradkiem paliło papierosy. Serce zabiło mi szybciej, jak zobaczyłem, że stoją z nimi Ania i Justyna. Wczoraj nawaliłem. Spuściłem się zbyt wcześnie i mój pierwszy raz okazał się niewypałem. Po wszystkim posiedzieliśmy w milczeniu jeszcze z godzinę. Jakoś odeszła nam ochota na oglądanie filmu. Potem wróciłem do domu i wziąłem prysznic. Matka była zdziwiona, że już drugi raz w ciągu jednego dnia. Następnie zamknąłem się u siebie w pokoju i poczytałem książkę. Miałem wypożyczony z biblioteki horror Mastertona.

Wieczorem obejrzałem jakiś film i poszedłem spać.

Teraz się zastanawiałem, czy do nich podejść. Było jednak za późno, już mnie zauważyli. Przywitałem się z chłopakami. Jak podawałem rękę Krzyškowi, ten spytał:

– Czysta?

– Nie rozumiem. – Popatrzyłem na niego zaskoczony.

– No pytam, czy nie jest ospermiona. Konia waliłeś?

Wszyscy się roześmiali.

– Ania powiedziała nam, jaki z ciebie sprinter – dopowiedział Jacek.

Poczułem, że się czerwienię. Nie miałem pojęcia, jak zareagować. Spojrzałem na Ankę. Ta jednak tylko wzruszyła ramionami. Poczułem się zdradzony. Myślałem, że to, co było między nami, zostanie w tajemnicy. Rozczarowała mnie, przez nią stałem się pośmiewiskiem.

– Zanim zaczął, to już skończył – powiedziała Justyna, puszczając do mnie oko.

– Powiedz, chłopaku, jak było. Poczułeś chociaż cipkę? – Krzysiek objął mnie ramieniem.

– Pierdol się – warknąłem, strącając jego dłoń, po czym spojrzałem na Ankę. – Tak cię to śmieszysz?

– O co ci chodzi? – parsknęła.

– O nic. Jesteś za tępa, żeby zajarzyć.

Przestała się uśmiechać. Początkowo cała ta sytuacja ją bawiła, a teraz jakby zdała sobie sprawę, że postąpiła źle.

Podeszła do mnie i powiedziała cicho:

– Szymek, przestań. Nic się przecież nie stało.

– Pieprz się – wycodziłem jej w twarz.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę domu. Za plecami słyszałem śmiech kumpli.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Stali przed drzwiami mieszkania sąsiada, który znalazł ciało. Żmigrodzki odpalił papierosa i odwrócił się do Sawickiego.

– Co ty mnie tak niuchałeś w trapezie? – spytał, wydmuchując dym.

– Co?

– No, sprawdzałeś, czy jestem po wódzie. Widziałem, jak wąchasz.

Sawicki milczał.

– Jak chcesz wiedzieć, to nie tknąłem nafty. Nie musisz świrować – powiedział Żmigrodzki i nacisnął guzik dzwonka.

Czekali kilkanaście sekund. W końcu otworzyła im młoda kobieta.

– Dzień dobry. Panowie do?

– Policja. Szukamy Alojzego Firkuć – powiedział komisarz.

– Firkucia. To się odmienia. Dziadek jest w pokoju. Źle się poczuł. Panowie wejdą. – Kobieta odsunęła się w bok, robiąc im miejsce. – Proszę do salonu – powiedziała, gdy ją mijali.

Weszli do wskazanego pomieszczenia, gdzie na wersalce leżał mężczyzna w starszym wieku. Trzymał się za pierś. Na ich widok podniósł się z wyraźnym grymasem bólu.

– Dzień dobry. Żmigrodzki i Sawicki, komenda miejska policji – przedstawił ich komisarz.

– Firkuć.

– Pan znalazł ciało sąsiadki? Zgadza się?

– Tak – potwierdził mężczyzna.

– Niech pan nam opowie, jak to było – polecił Żmigrodzki.

Firkuć wskazał im krzesła przy stole. Sam też zajął tam miejsce.

– Asiu, zrobisz nam herbatki? – zwrócił się do wnuczki, a następnie przeniósł wzrok na policjantów. – A może kawy albo coś mocniejszego?

Sawicki spojrzał na partnera. Było widać, że Żmigrodzki się waha.

– Herbaty – powiedział w końcu komisarz.

Gdy wnuczka mężczyzny poszła do kuchni, spojrzał wyczekująco na świadka.

– Rozalii nie widziałem już od dawna. Jakies dwa, może trzy tygodnie – zaczął Firkuć. – Początkowo myślałem, że pojechała do córki do Leśnicy. Potem jednak coś mi przestało tu pasować. Nie mówiła, że zamierza do niej jechać. Poza tym od dawna nie utrzymywały ze sobą kontaktów. W ostatni piątek podszedłem do jej drzwi i zapukałem. Nikt nie otworzył. Stwierdziłem, że jakoś trzeba się z nią skontaktować. Zadzwoiłem na informację, żeby uzyskać numer do jej córki, ale nie pamiętałem, jak się nazywa, więc niczego nie załatwiłem. A wczoraj spotkałem na schodach sąsiadkę z drugiego piętra. Powiedziała, że tuż przed tym, jak Rozalia przestała się pojawiać, widziała, jak z jej mieszkania wychodził młody chłopak. Rozalia podobno żegnała go w drzwiach. Potem mówiła, że to wnuk ją odwiedził i chciał pożyczyć jakieś pieniądze. No a później już nikt nie widział Rozalii.

Sawicki zanotował słowa mężczyzny. Do pokoju weszła wnuczka Firkucia z tacą, na której stały trzy szklanki z herbatą. Postawiła ją na stole i zaczęła rozkładać naczynia.

– A tego wnuka to widywał pan wcześniej? – spytał komisarz.

– Nie. Raz tylko. Taki był... – Firkuć pokazał dłonią wysokość od podłogi, może na poziomie metra dwudziestu centymetrów.

– Czyli jak był jeszcze dzieciakiem. A kiedy to było?

Firkuć przez chwilę się zastanawiał. W końcu powiedział:

– Dawno. Jakies piętnaście, siedemnaście lat temu. Może więcej. Nie pamiętam dokładnie.

– Nic nie szkodzi. – Sawicki sięgnął po cukiernicę.

– Panowie myślą, że to wnuk zabił Rozalię? – spytał mężczyzna.

– Sprawdzamy wszystkie możliwości – stwierdził Żmigrodzki.

– Nie do pomyślenia...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Sawicki zamieszał herbatę i sięgnął po notatnik.

– A dzisiaj dlaczego poszedł pan do sąsiadki? – spytał komisarz.

Firkuć wziął łyk herbaty i otarł usta grzbietem dłoni.

– Coś mnie tak tknęło jakoś. Poszedłem i zapukałem. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale nacisnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły, co mocno mnie zdziwiło. Rozalia zawsze była ostrożna i pilnowała, by zamykać je na klucz i łańcuch. Wszedłem do środka i zobaczyłem ciało. Wyglądała jak...

– Jak mumia – dopowiedział Żmigrodzki.

– No, trafnie to pan określił. Była taka zaszuszona. Zaskoczyło mnie to, bo od śmierci minęło na pewno sporo czasu, ale nie tyle, by ją tak całkiem zaszuszyć. Powinien też chyba być jakiś zapach. Rozkładających się zwłok albo coś...

Komisarz sięgnął po herbatę. Żałował, że to nie jest coś mocniejszego.

* * *

Tomek postanowił, że podjedzie w pobliże domu Dragona i przyjrzy się okolicy. Musiał poznać wszystkie drogi ucieczki na wypadek, gdyby coś poszło źle. Wsiadł do autobusu i podjechał na Żerniki. To tam w starym domu mieszkał skin, przez którego wszystko w życiu jego bliskich się zmieniło. Wiedział, że Dragon mieszka z babcią. Jego ojciec siedział w więzieniu, a matka zostawiła syna, kiedy ten miał siedem lat. Dragon nazywał ją kurwą. Kiedyś przy jabolu powiedział, że choć to matka, nie ma obowiązku jej szanować. Podobno wybrała jakiegoś inżynierka i się puściła. Po kilku tygodniach wyjechała z nim do Niemiec. Raz wysłała synowi paczkę. Był w niej za mały sweter, dwie tabliczki czekolady i list, w którym tłumaczyła swoje postępowanie. Ojciec akurat przebywał wtedy w areszcie, babcia powiedziała, że to dobrze, bo jakby był w domu, na sto procent poszedłby w tango i narozrabiał. To po tym liście Dragon znenawidził matkę. Nic już dla niego nie znaczyła, była zerem, o którym nawet nie warto wspominać.

Tomek wysiadł z ikarusa i naciągnął kaptur. Było mu zimno w łusą głowę. Poza tym nie musiał w tej chwili pokazywać wszystkim, do jakiej subkultury należy. Wręcz przeciwnie, nie powinien rzucać się w oczy. Na szczęście zapadł już zmrok i na ulicach nie było ludzi.

Podszedł do starego płotu okalającego posesję. Rozejrzał się dookoła, a gdy się upewnił, że nikt go nie widzi, przeskoczył przez ogrodzenie. Starając się poruszać niepostrzeżenie, podszedł do jednego z okien i zajrzał do wnętrza domu. Zobaczył starszą kobietę siedzącą przed telewizorem. Oglądała jakiś program publicystyczny.

Nagle poczuł ruch za plecami. Wstrzymał oddech. Serce zaczęło mu galopować w piersi. Był przekonany, że został przyłapany przez Dragona. Odwrócił się powoli, gotowy do ataku, ale za sobą zobaczył tylko czarnego kota siedzącego na daszku starej szopy.

Wypuścił powietrze z płuc. Odrobinę za głośno. Zasłonił usta dłonią i ponownie zajrzał przez okno. Tym razem dostrzegł Dragona. Kumpel chodził po domu w samych majtkach i podkoszulku, jedząc jakąś kanapkę z serem i keczupem. Tomek sięgnął za pasek spodni i poczuł rękojeść bagnetu. Zastanawiał się, czy zaatakować skina już dziś, czy odłożyć to na jakiś bardziej sprzyjający moment. Podjął decyzję. Poczeka, aż wszyscy zasną.

* * *

Żmigrodzki wyszedł z mieszkania Firkucia, odpalił papierosa i spojrzął na stojących na klatce gapiów.

– Trzeba będzie z każdym z osobna pogadać. I wezwać wsparcie. Zajmij się tym – wydał dyspozycje partnerowi.

Sawicki ruszył po schodach na dół.

– Czekaj! – zawołał za nim komisarz. – Dowiedz się też, gdzie mieszka córka denatki. Trzeba będzie się do niej przejechać. Mamy pierwszego podejrzanego i musimy go wziąć w obroty, zanim skuma, że trzymamy go na celowniku.

Gdy młody skinął głową i zniknął mu z pola widzenia, Żmigrodzki wziął macha i podszedł do okna na klatce. Stał lekko na palcach i je uchylił. Do wnętrza wpadło ostre, mroźne powietrze. Miał ochotę na niewielki łyceczek. Dotknął piersiówki w swojej kieszeni. Czuł się bezpieczniej ze świadomością, że ma ją przy sobie. Jak dotąd się nie skusił, chociaż kosztowało go to sporo silnej woli. Wziął kolejnego macha i spojrzął na napisy na elewacji klatki schodowej. Małolaci pomazali ją flamastrami i wydrapali różne treści. Były tu miłosne wyznania skierowane zarówno do chłopców, jak i do dziewczyn. Były też napisy z gatunku tych informacyjnych. Żmigrodzki dzięki nim dowiedział się, że „Kisiel to chuj” i że „Patka ciągnie druta”. Zaciągnął się ostatni raz i zagaszył papierosa na poręczy schodów. Wielu przed nim musiało robić podobnie, bo plastik był upstrzony osmalonymi, nadtopionymi śladami.

Spojrzał na drzwi mieszkania denatki i zobaczył, że dwóch mężczyzn wnosi ciało na noszach. Kilka osób zaczęło głośniejsze komentować sytuację. Żmigrodzki starał się wyłapać co istotniejsze rewelacje. Z doświadczenia wiedział, że to może potem być pomocne podczas rozpytywania sąsiadów zamordowanej kobiety.

Sawicki wspinał się z powrotem do góry. Lekko się odsunął, by przepuścić na schodach mężczyzn wynoszących zwłoki, a potem stanął przy Żmigrodzkim.

– Zaraz dojadą Lipiec i Romaniuk – powiedział. – Zajmą się rozpytywaniem sąsiadów.

– A adres córki? – Komisarz wskazał na drzwi mieszkania zamordowanej.

– Rytownicza w Leśnicy. – Sawicki otworzył notatnik. – Denatka miała troje dzieci. Jedno zmarło zaraz po porodzie. Syn Jan, lat pięćdziesiąt pięć, wyjechał do Niemiec dwadzieścia lat temu i nadal tam siedzi. W kraju została córka, Teresa Malicka, lat czterdzieści osiem. Ma dwoje dzieci. Małgorzatę, lat dwadzieścia sześć, i syna Marka, lat dwadzieścia cztery. Chłopak w zeszłym roku wyszedł z wojska. Był w jednostce w Żaganiu. Oboje mieszkają z matką na adresie.

– Dobra. Trzeba się przejechać do chłopaka.

Gdy Żmigrodzki odruchowo sięgnął do kieszeni kożucha, Sawicki spojrzął na niego uważnie. Komisarz się uśmiechnął i poklepał się po klatce piersiowej.

– Żartowałem, młody. Żartowałem.

* * *

Gdy Dragon zaczął się szykować do wyjścia, Tomek poczuł szybsze bicie serca. To była jego szansa. Zaatakuję, jak skin będzie wychodził z budynku. Przy ganku był nieoświetlony kawałek drogi, idealne miejsce do tego celu.

Przesunął się w bok i zamarł. Przed wejściem na posesję stali Robo i Struna. Cały jego plan szlag trafił. Przecież nie napadnie na Dragona przy pozostałych. Nie miałby z nimi szans.

Wycofał się w pobliskie krzaki. Chwilę później do stojących przy furtce dołączył kolejny skin. Tomek rozpoznał go od razu. To kolega z klasy Szymka, który oskarżył jego brata, że jest zboczeńcem. Był wściekły na małolata. Gdyby nie on, sprawy potoczyłyby się inaczej. Wcześniej żaden z jego kolegów nie czepiał się jego brata. Był nietykalny. Dopiero po tych oskarżeniach wszystko się zmieniło. Przez tego gnojka doszło do tragicznych w skutkach zdarzeń. Tomek poczuł wściekłość. Kusiło go, by wyskoczyć na niego z bagnetem i dźgać na oślep. Wiedział jednak, że to byłby największy błąd, jaki mógłby popełnić.

W końcu z domu wyszedł Dragon. Podszedł do czekających na niego skinów i z każdym się przywitał. Tomek przesunął się bliżej, by usłyszeć, o czym rozmawiają.

– Babka zaraz pójdzie w kimono, zawsze o tej porze łązi. Bierze jakieś prochy i śpi jak suseł – powiedział Dragon.

– To dobrze. Przynajmniej ci nie pierdoli za uszami – powiedział Robo.

– No nie. Zawsze pyta, kiedy wrócę. Mówię, że przed dwunastą. Wracam nad ranem, a ona nie ma pojęcia, że ją zrobiłem w chuja.

Pozostali się zaśmiali.

Tomek też uśmiechnął się pod nosem. Ta informacja była dla niego bardzo pomocna. Jak zaczął się na Dragona u niego w domu, nikt z jego paczki nie będzie wiedział, że skin zginął. To pozwoli mu zdecydować, co zrobić dalej.

* * *

Zajechali na adres matki podejrzanego przez nich mężczyzny. Żmigrodzki wysiadł z poloneza i spojrział na rozsypującą się kamienicę. Budynek od lat wymagał gruntownego remontu. Elewacja była skuta i odsłaniała cegły. Do tego brudne i popękane okna. Drzwi do budynku zdjęto z zawiasów i oparto o ścianę.

Przy pobliskim trzepaku dwóch zniszczonych mężczyzn rozpijało butelkę denaturatu. Żmigrodzki poczuł ogromną ochotę na łyk z piersiówki. Spojrzął na Sawickiego, który bacznie obserwował meneli.

– Powiem ci, jak zrobimy – powiedział komisarz.

Sawicki oderwał wzrok od pijaków.

– Nie wiemy, czy młodzian jest na kwadracie. Jak będzie, to od razu go wyjmujemy. Jeśli wybył, trzeba będzie czekać, aż wróci. Nie chcemy go spłoszyć.

– Okej.

– Matce nie gadamy, że przyjechaliśmy po niego. Powiemy, że jesteśmy tu po to, by powiadomić ją o śmierci tej... – Żmigrodzki zamilkł. – Jak jej było?

– Rozalia Wolak.

– No. Tej Wolak.

– Dobra, ty decydujesz.

Komisarz wszedł na śmierdzącą od moczu i kału klatkę schodową. Przy schodach ktoś całkiem niedawno zwymiotował. Przesząpił nad plamą rzygowin i wszedł na górę. Pod sufitem na przewodzie zwisiała goła żarówka. Wcisnął przycisk i wnętrze kamienicy zalało bladeżółte światło.

– Które piętro? – spytał Sawickiego.

– Pierwsze.

Szli po schodach, podziwiając napisy na ścianach. Żmigrodzki wiedział, że część z nich pochodzi jeszcze z czasów stanu wojennego. Teraz nikt raczej nie pisał „Wrona orła nie pokona” czy „ZOMO – bijące serce PZPR”.

Po chwili stanęli przed drzwiami mieszkania podejrzanego. Stary, zniszczony dzwonek już na pierwszy rzut oka wyglądał na niesprawny. Ze środka dobiegała głośna muzyka.

Żmigrodzki zapukał.

– Chyba nie słyszeli – powiedział Sawicki.

Komisarz zaczął walić w drzwi pięścią. Chwilę później muzyka ucichła.

Po kilku kolejnych sekundach drzwi otworzyła im kobieta, najpewniej matka podejrzanego. Była przed pięćdziesiątką, ale wyglądała co najmniej na siedemdziesięciolatkę. Miała na sobie tylko starą poźółkłą halkę. Tłuste strąki, przekrwione oczy i wyraźny zapach alkoholu dobywający się z ust dopełniały obrazu nędzy i rozpacz.

– Jehowi? Spierdalać – warknęła.

– Policja – powiedział Żmigrodzki i lekko pchnął kobietę do mieszkania.

– Ej, co ty odpierdalasz? Czasy ZOMO się skończyły!

– Nie pierdol, laska.

Komisarz stanął w przedpokoju i rozejrzał się po wnętrzu.

– Chyba trzeba mieć jakiś nakaz, co? – Teresa Malicka pociągnęła nosem i spojrzała na Sawickiego.

– Nie trzeba – odparł. – Nie przyszliśmy tu, by przeszukiwać mieszkanie.

– A po co? Ja was nie zapraszałam.

Żmigrodzki wszedł do kuchni i spojrzał na zalegające w zlewie brudne naczynia. Po blacie szedł jakiś robak. Komisarz nie był pewny, czy to karaluch, czy zwykły żuk.

– Ktoś jeszcze jest w mieszkaniu? – spytał.

– A co cię to obchodzi? – burknęła kobieta.

– Lubię wiedzieć. – Komisarz spojrzał na partnera. – Rozejrzyj się, czy nikt się nie chowa.

Sawicki skinął głową i poszedł do salonu.

– Ej, co jest? Mam tam bałagan!

– Spoko. Nie takie rzeczy widzieliśmy.

Żmigrodzki wyjął z kieszeni papierosa i włożył jednego do ust.

– Poczęstuj ćmikiem – poprosiła Malicka, już nieco pokorniej.

Komisarz skierował paczkę w jej stronę, patrząc, jak wyjmuje papierosa. Paznokcie miała poobgryzane i brudne. Odpalił najpierw sobie, a później jej.

– Dobra, Borewicz. Po co przyeżliście? – spytała, wydmuchując dym.

– Jesteśmy tu, żeby powiadomić bliskich o śmierci Rozalii Wolak.

– Stara zdechła?

– Ktoś ją zamordował.

Malicka przez chwilę paliła w milczeniu.

– Dobrze jej tak – stwierdziła w końcu.

– Czemu?

– A bo się suka mną w ogóle nie interesowała.

– Jak to?

– No tak to. Ciągłe tylko Janek i Janek. A wiesz, co on zrobił?

– Nie mam pojęcia.

– Chuj mnie ruchał. Odkąd miał piętnaście lat, przyłąził do mnie do pokoju. Najpierw wsadzał mi łapy pod kołdrę i walił sobie konia. Potem kazał mi obciągać. A jak skończyłam trzynaście lat, zaczął mnie ruchać.

Żmigrodzki wydmuchał dym. Przez lata pracy słyszał wiele podobnych historii. Wiedział, że musi pozwolić kobiecie się wygadać.

Malicka otworzyła lodówkę i wyjęła z niej butelkę z jakąś mętną cieczą.

– To bimber – oznajmiła, sięgając do szafki po brudną literatkę.

Żmigrodzki wziął macha. Wtedy do kuchni wrócił Sawicki.

– Pusto – powiedział i spojrzał na Malicką, która ścisnęła w dłoni flaszkę.

– Chcecie?

Żmigrodzkiego kusilo, by się zgodzić, ale wiedział, że to byłby błąd.

– Czasem sobie wypiję. – Córka zamordowanej wzruszyła ramionami.

– Czasem można – stwierdził Żmigrodzki i zagasił papierosa w przepelnionej popielniczce.

– Siadajcie. – Kobieta wskazała na stare krzesła stojące przy ścianie.

– Nie, dzięki. Postoiimy.

Nalala sobie alkoholu do literatki, wychyliła ją duszkiem, po czym otarła usta dłonią i głośno wypuściła powietrze.

– Uuu, mocne – sapnęła.

Żmigrodzki oblizwał wargi.

– Na czym to ja skończyłam? Aha, na tym, że mój braciszek mnie ruchał. No więc jak zaszłam w pierwszą ciążę, to się przestraszył. Bał się, że wszystko wyjdzie na jaw. Powiedziałam matce, ale ta nie uwierzyła. Stwierdziła, że gadam bzdury. Urodziłam Goškę. Bałam się, czy nie będzie jakaś chora czy kaleka. Wiecie, jak to jest, jak się ma dziecko z własnym bratem. Na szczęście wszystko było w normie. Myślałam, że Janek da mi teraz spokój. On jednak dalej przyłąził do mnie prawie każdej nocy. Zanim się tam zagoiłam, kazał mi sobie obciągać. Potem już normalnie ze mną sypiał. Jak zaszłam w drugą ciążę, powiedział tylko, że tak się zdarza.

– A matka?

Malicka ponownie napełniła literatkę. Zagasiła papierosa w popielniczce i spojrzała w okno.

– Nic. Powiedziała, że żałuje, że urodziła taką kurwę, co się na mieście puszcza. Nie wierzyła, że to Janka dzieci. Dotąd by nie wierzyła, gdyby nie to, że

przyłapała Janka, jak dobierał się do Gośki.

– Do córki? – upewnił się Sawicki.

– Tak. Byłam akurat z Markiem u lekarza. Matka miała opiekować się Goską. Jak z pracy wrócił Janek, poszła na chwilę do sąsiadki i zostawiła Goškę pod jego opieką. Wróciłam do domu i zobaczyłam, jak ten zbok maca małą. Opieprzyłam go. Początkowo się stawiał. Mówił, że jak ja mu nie damę, to ktoś inny musi. Był w szoku, jak zobaczył za moimi plecami matkę.

Malicka wychyliła alkohol.

– Daj jeszcze ćmika – poprosiła.

Żmigrodzki pchnął papierosa po stole w stronę kobiety. Sam także zapalił.

– Powiedziałam, że pójde na milicję. Przestraszył się. Zaczął się kajać. Mówił, że więcej nie będzie. Ale byłam nieugięta. Poszłam na komisariat, potem przyszedł dzielnicowy i pogadał z Jankiem. Kilka dni później się dowiedziałam, że mój brat będzie miał sprawę. Wtedy skurwiel postanowił zwiąć. Nie wiem, jak to się stało, że wylądował w Reichu. Pewnie przez zieloną granicę uciekł. Stara miała do mnie o to pretensje. Powiedziała, że na rodzinę się nie kapuje. Ale siostrę można ruhać, tak?

Żmigrodzki milczał.

– Oznajmiła, że nie może ze mną dłużej mieszkać. Mały miał dwa lata, jak odziedziczyła gospodarstwo po jakiejś ciotce. Sprzedała je i kupiła mieszkanie w bloku. To był siedemdziesiąty trzeci albo czwarty. Wyniosła się, a ja zostałam tu sama z dwójką dzieci. Raz tylko ją odwiedziłam na tej Zaporoskiej. Mały miał wtedy jakieś siedem lat. Potem już nie utrzymywałyśmy kontaktów. Z tego, co wiem, ciągle miała do mnie pretensje o to, że Janek musiał uciekać.

– A Malicka to nazwisko po mężu?

– Tak. Jak Marek miał dziesięć lat, to poznałam Heńka. Mieszkał tu kawałek dalej. Powłóczył nogą i miał rentę. Chajtnęliśmy się. On potrzebował kogoś do pomocy przy codziennych czynnościach, a ja kogoś, kto ma kasę, żeby czasem coś wypić.

– I gdzie ten Heniek? – spytał Sawicki.

– W piachu. Zapił się w osiemdziesiątym szóstym. Były wtedy mistrzostwa w Meksyku. Od rana chlał z kolegami. Mówił, że nie może uwierzyć, że nasi odpadli. Pił bimber i położył się, żeby odpocząć. Dwie godziny później patrzę, a on sztywny.

Malicka wzięła macha i spojrzała na Żmigrodzkiego.

– Widzisz, Borewicz, jakie miałam popierdolone życie? Chyba w związku z tym mam prawo czasem wypić?

– Masz. Każdy by miał.

* * *

Bożena Dąbrowska zastanawiała się, jak ma sama pozałatwiać wszystkie sprawy związane z pogrzebem syna. Nie miała pojęcia, gdzie się udać, jak odebrać jego ciało. Zawsze w trudnych sytuacjach miała wsparcie Andrzeja. On pomógł jej

załatwić formalności po śmierci jej matki. Ona nigdy nie miała do takich rzeczy głowy. Teraz jednak Andrzej leżał w szpitalu po zawale i wyjdzie najwcześniej za kilka dni. Będzie musiała udać się do urzędu i zapytać, jakie dokumenty są potrzebne do odebrania zwłok Szymka. A potem jeszcze wybrać zakład pogrzebowy, który zajmie się pochówkiem.

Ostatnie wydarzenia mocno się na niej odbiły. Na zewnątrz starała się być silna, ale tak naprawdę miała ochotę umrzeć. Spojrzała w stronę drzwi. Zaskoczyło ją zachowanie Tomka. Wydoroślał. Zastanawiała się tylko, na jak długo. I co właściwie było powodem tej zmiany. Wcześniej co rusz stwarzał problemy, nie słuchał nikogo. Był w okresie buntu i dawał im to odczuć. Teraz jednak zaopiekował się nią, starał się odciążyć w codziennych obowiązkach. Dwie godziny temu wyszedł z mieszkania, powiedział, że musi ochłonąć. Martwiła się, czy nie zrobi czegoś głupiego.

Wstała z wersalki i podeszła do okna. Na dworze, jak to w zimie o tej porze, było już ciemno. Widziała jednak kilkoro dzieciaków lepiących bałwana. Obok stali ich rodzice. Wszystko wyglądało normalnie, jak każdego zimowego wieczoru. Ludzie zwyczajnie żyli swoim życiem. Tylko ona już nigdy nie doświadczy takiej normalności.

Poczuła napływające do oczu łzy. Nie chciała się teraz rozkleić. Nie mogła. Musiała być silna dla siebie, dla Andrzeja i Tomka. Musieli przetrwać ten czas próby. Razem.

* * *

Wyszli z mieszkania i zeszli na dół po schodach. Przy wejściu do budynku stało trzech zniszczonych przez alkohol meneli. Zagroźili im drogę.

– Poczęstuj jakimś petem – rzucił facet z limem pod okiem.

– Możesz też poratować jakąś kasiorką. Strasznie suszy – wtrącił drugi. Ten także nosił ślady pobicia. Na dodatek miał obtłuczone kostki na rękach.

Żmigrodzki czuł, że zaraz może się zrobić nieciekawie. Kiedyś by się czymś takim nie przejmował. Kilka ruchów i menele leżeliby skuci na ziemi. Teraz jednak już ani mięśnie nie te, ani refleks.

– Nie mamy – powiedział stojący z boku Sawicki.

– Jakoś wam nie wierzę – powiedział trzeci z mężczyzn i nie wiadomo kiedy w jego dłoni błysnął nóż. – Dawać portfele i fanty, frajerzy.

Żmigrodzki spojrzał na napastnika. Sawicki stanął z boku. Widać było, że przygotowuje się do odparcia ataku.

– Popiełniacie błąd – powiedział spokojnie. – Jesteśmy z policji.

Ten z nożem przyglądał się im uważnie. Widać było, że analizuje sytuację.

– Myślę, że najlepiej będzie, jak schowasz, gościu, kosę i zabierzesz swoich ziomków – odezwał się Żmigrodzki. – Zrobisz coś głupiego, to zaraz cała psarnia z miasta się tu zjedzie i będziecie mieli ciepło. Podejrzewam, że wielu kumpli menela się wkurwi, że przez twoje głupie zachowanie zrobimy kipsisz na melinach i u paserów.

Mężczyzna schował nóż.

– Po co te groźby? – mruknął pokornie. – Nic się przeca nie dzieje. Pożartować nie można?

– A to ty taki kawalarz? – spytał komisarz.

– No, psotnik. Nie ma co się gniewać. Na żartach się nie znasz?

Żmigrodzki wiedział, że nie ma sensu przedłużać tej patowej sytuacji.

– Dobra, szkoda czasu na bzdety. Zwłaszcza że zimno.

Przeszli obok meneli, którzy grzecznie się przed nimi rozstąpili. Gdy znaleźli się obok poloneza, Żmigrodzki powiedział:

– Zawieziesz mnie do chaty. Potem przekaż do wydziału, żeby postawili tu obserwację. I niech nie robią nic głupiego. Mają tylko patrzeć, kiedy nasz Mareczek wróci na kwadrat. Rano się go wyjmie.

– Okej.

Czekał, aż Sawicki otworzy samochód, patrząc jeszcze na stojących przed klatką meneli. Cieszył się, że sytuacja zakończyła się polubownie. Nie miał ochoty na bójkę, zwłaszcza kiedy nie był pewny jej wyniku.

* * *

Tomek wrócił do domu i od razu poszedł do swojego pokoju. Wyjął zza paska spodni bagnet, po czym wsunął go za wersalkę. Ledwo to zrobił, usłyszał pukanie do drzwi.

– Tomek. Mogę wejść?

– Tak.

Matka stanęła w progu. Przez chwilę tylko patrzyła na niego w milczeniu.

– Gdzie byłeś? – spytała w końcu.

– Mówiłem, że muszę się przejść.

– Nie zrobiłeś nic głupiego?

– A co niby miałbym zrobić?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Pytam tylko. Nie chciałabym, żeby...

Podszedł do niej i ją objął. Wiedział, że cała ta sytuacja odcisnęła na nich wszystkich swoje piętno. Rodzice cierpieli nie mniej niż on. Stracili syna. Nie potrafił sobie wyobrazić, jaki wielki to ból.

– Spokojnie, mamó. Wszystko jest w porządku. Staram się to sobie jakoś poukładać. Ciężko mi zrozumieć.

Matka otarła łzę.

– A czy Szymek nie mówił ci o jakichś problemach?

– Nie.

– Te siniaki, te lima pod oczami. Nie wiesz, kto go pobił? – drążyła.

– Mamó, mówiłem ci już, że chłopaki się biją. Nie on pierwszy miał limo i nie ostatni. Ja też kilka razy przecież miałem.

Matka milczała. W końcu skinęła głową.

– Wiem. Przepraszam.

– Nie ma za co. Uważam, że to nie przez te bójkę zrobił to, co zrobił. Może była inna przyczyna, o której nie mamy pojęcia.

– Myślisz, że dziewczyna?

– Nie wiem. Nie gadałem z nim o tym.

– Narkotyki?

– Mamo, nie wiem. Mogę spróbować się dowiedzieć, ale nic nie obiecuję.

– Dziękuję – powiedziała cicho.

Tomek wiedział, że ta rozmowa trochę jej pomogła. Sam czuł ulgę, że z kimś porozmawiał. Nie mógł jednak powiedzieć jej prawdy. Zwyczajnie nie mógł.

* * *

Żmigrodzki nie mógł się doczekać, kiedy wysiądzie z poloneza i ruszy na górę.

Szybko pożegnał się z partnerem i praktycznie wbiegł do bramy. Stał jeszcze na półpiętrze i wyjrzał przez okno. Widział, jak Sawicki odjeżdża. Sięgnął do kieszeni kozucha i wyjął piersiówkę. Drżącymi rękami odkręcił nakrętkę i przyłożył gwint do ust.

Alkohol zapiekł go w przełyku. Oparł się o ścianę i westchnął z ulgą. Cały dzień powstrzymywał się od sięgnięcia po wódkę. Teraz już nie musiał się ograniczać. Jeśli odpowiednio wcześniej skończy dziś pić, rano będzie trzeźwy. Nie chciał pokazać Pawlakowi swojej słabości. Powiedział, że nie tknie alkoholu, i planował słowa dotrzymać. Oczywiście o odstępstwach od umowy nie zamierzał informować. Co robił w czasie wolnym, nie powinno nikogo interesować. Wziął jeszcze jednego łyka i ruszył do siebie. Przez całą drogę myślał o tym, jak się sprawdzi ten Sawicki. Chłopak jak dotąd był w porządku. Nie kapował, przynajmniej nic takiego do Żmigrodzkiego nie dotarło. Może za jakiś czas pokaże inną twarz, może prawdziwszą. Niczego nie wykluczał. Nie miał zaufania do nowych. Ci, którzy zaczęli robotę jeszcze za milicji, mieli wpojone inne zasady. Każdy miał tak samo źle i nikt się nie wywyższał. Teraz sytuacja była trochę inna. Nowi ludzie, nowe porządki.

Wszedł do mieszkania i powiesił kozuch na wieszaku. Buty kopnął kawałek od wejścia. Nie nosił kapci, od dzieciństwa ich nie lubił. Spojrzał na swoje dziurawe skarpetki. Dawno już wymagały wymiany. Jeszcze kilka miesięcy temu cerował, teraz mu się nie chciało.

Podszedł do lodówki i wyjął z niej butelkę. Uzupełnił piersiówkę, a resztę zaniósł na stół. Z szafki nad zlewem wziął kieliszek. Usiadł na krześle i spojrzał w okno. Śnieg coraz mocniej sypał. Jutro znów będą problemy z poruszaniem się po drogach. Cieszył się, że ma kierowcę. Nie będzie musiał uważać, prowadząc samochód. Trochę współczuł Romaniuk i Lipcowi, którzy siedzieli przed domem Malickiej. Sam nie lubił obserwacji w takich warunkach. Padający monotonnie śnieg sprawiał, że zwykle chciało mu się spać. Cieszył się, że jest teraz w domu, a nie w aucie pod starą kamienicą w Leśnicy.

Sięgnął po kieliszek i szybko wypił zawartość. Otarł usta i ponownie napełnił szkło. Spojrzał na zegarek. Pora była jeszcze wczesna, miał cały długi wieczór

przed sobą. Uśmiechnął się na myśl, że dzisiaj da radę opróżnić butelkę.

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Romaniuk przeciągnęła się w fotelu poloneza. Od wczorajszego wieczoru siedzieli w Leśnicy i obserwowali wejście do kamienicy, w której mieszkał Marek Malicki. Coraz bardziej doskwierał jej kręgosłup. Od kilkudziesięciu minut siedziała w jednej pozycji. W nocy dwa razy wyszła z auta rozprostować kości. Teraz jednak już nie mogli zbyt rzucić się w oczy. Coraz więcej mieszkańców pobliskich klatek wychodziło z domów. Część zapewne szła do pracy, a część w sobie tylko znanym kierunku. Romaniuk wiedziała, że w tej okolicy nie mieszka zbyt dużo ludzi mających stały etat. Ostatnio w kraju zwiększyło się bezrobocie i każdy łapał jakąkolwiek pracę. Ci, co mieli zatrudnienie, z reguły robili na czarno. Zarobki zresztą też ledwo pozwalały wiązać koniec z końcem. Sama jeszcze dwa lata temu mieszkała w takiej kamienicy. Wychowała się na Reymonta. Wiedziała, co to bieda i konieczność wyboru pomiędzy jedzeniem a ubraniem. W liceum musiała nosić ciuchy po starszej siostrze i z zazdrością patrzyła na koleżanki z bogatszych domów. Ona nie miała tyle szczęścia. Jej rodzice starali się zapewnić im wszystko, co mogli, ale zdarzały się dni, kiedy głodowali. Nie narzekała jednak.

Po liceum postanowiła zostać policjantką. Jak trafiła do służby w komendzie miejskiej, jej pensja pozwoliła całej rodzinie odetchnąć. Czasy się zmieniły. Pomagała też jej starsza siostra. Potem Aneta wyniosła się do chłopaka. Rodzice zostali ze swoimi małymi dochodami i pensją Karoliny. Romaniuk wiedziała jednak, że taki stan nie może trwać wiecznie. Gdy poznała Karola i stwierdziła, że chce się z nim związać, miała wyrzuty sumienia. Nie wiedziała, czy dobrze robi, zostawiając rodziców samych, czy dadzą sobie radę. Rachunki rosły w zastraszającym tempie. Ojciec brał nadgodziny. Matka dorabiała na drugim etacie. Na czarno i za minimalne wynagrodzenie. Romaniuk była pewna, że podobnie żyją mieszkańcy tej części miasta.

– Działo się coś? – dobiegło ją z boku.

Spojrzała na Lipca i pokręciła głową.

– Nic. Cisza i spokój. Ludzie tylko do roboty poszli.

– A nasz figurant?

– Nie było go. Może wyprowadził się od starej? Może poznał jakąś laskę i u niej mieszka?

– Może. W systemie nic na ten temat nie ma.

– Bo może nie zgłosił, że nocuje u jakiejś dupy.

Partner poprawił się w fotelu.

– Powiem ci, że mam dość takiej roboty. Siedzisz na dupie i tylko kręgosłup obrywa.

– Zawsze możesz zostać jakimś umysłowym. Ponoć na uniwersytecie przyjmują ludzi do pracy jako wykładowców. – Karolina puściła do niego oko.

Lipiec uchylił lekko okno i odpalił papierosa. Przez chwilę palił w milczeniu.

– A ten Malicki to gdzieś pracuje? – spytał, wydmuchując dym.

– Nie wiadomo. Może na czarno coś dłubie.

– W wojsku ponoć był.

– A przed wojskiem co robił?

– Nie wiem.

– Może wrócił do roboty.

– Może.

Romaniuk patrzyła na wejście do kamienicy.

– Może niech Żmigrodzki skontaktuje się z tą Malicką i ją wypyta. – Lipiec przetaił dłonią zaparowaną szybę.

– Rano ma dojechać z młodym. Powiemy mu, żeby podszedł na górę i pogadał z babką. Może wie, gdzie zastaniemy synka – stwierdziła Romaniuk i poprawiła się w fotelu.

* * *

Żmigrodzki wstał, zanim weszło słońce. W głowie mu lekko szumiało. Wczoraj wypił mniej niż zwykle, ale organizm zareagował inaczej. Całodniowa abstynencja sprawiła, że bardziej go zmogło. Musiał wytrzeźwieć, zanim przyjedzie po niego młody.

Poszedł do łazienki i napuścił wody do wanny. Była letnia. Ściągnął slipy, wszedł do środka i położył się, mocząc głowę. Chwilę leżał, rozmyślając, kiedy właściwie stoczył się na samo dno. Przed sprawą Urbańskiego pił tyle co inni. Nie był alkoholikiem, przynajmniej za takiego się nie uważał. Jak złapali mordercę, to też nic się nie zmieniło. Chwila, gdy ogłoszono wyrok, a potem go wykonano, także nie była tą, po której zaczął się staczać. Dopiero wiadomość, że się pomylili i oddali w ręce kata niewinnego człowieka, łączyła nim i Romkiem. Od tamtej pory w ich życiu alkohol rozgościł się na dobre.

Gdy w końcu Romek popełnił samobójstwo, on był już na dnie. Przez dwa lata chłwał praktycznie dzień w dzień. Nie patrzył na to, że obniżyła się jego skuteczność, a na pewno tak było. Miał wrażenie, że trzymają go w wydziale tylko dlatego, iż obawiali się, że pójdzie w ślady Romka. Sprawa pomyłki w śledztwie nie była roztrząsana przez media, więc nie chcieli, by ktoś się zainteresował faktem, że dwóch gliniarzy odpowiedzialnych za wsadzenie Urbańskiego popełniło samobójstwo. To wywołałoby lawinę pytań i artykułów.

Komenda wolała przymknąć oko na picie, niż użerać się z mediami. Teraz Żmigrodzki otrzymał szansę, żeby znów stać się dobrym gliną. W sumie nie wie-

dział nawet, czy chce tej szansy. Gdyby nie to, że obiecał Pawlakowi, że nie będzie chlał, już teraz sięgnąłby po butelkę.

Podniósł się do pozycji siedzącej i wziął do ręki słuchawkę prysznicową. Przełączył na zimną wodę, po czym zaczął sobie polewać głowę. Miał ochotę krzyknąć z bólu. Lodowaty strumień od razu go otrzeźwił.

* * *

WROCLAW, 1 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Umówiłem się z chłopakami z klasy na balety. Jak zwykle mieliśmy iść do Koloru pod plac Nowy Targ. Mirek powiedział, że dobrze byłoby się wcześniej odpowiednio przygotować. W pobliskiej bramie wypiliśmy więc dwa jabole. Nie wiele, jak na nasze możliwości, zaledwie po pół butelki na głowę, bo było nas czterech. Więcej nie ryzykowaliśmy. Bramkarze z lokalu nie dopieprzali się do nastolatków chcących dostać się do środka, pod warunkiem że ci nie byli pijani.

Ostatnio coraz więcej czasu spędzałem z kumplami z klasy. Stare towarzystwo z podwórka przestało mi już odpowiadać. Kilka razy Justyna starała się mnie wyciągnąć na dwór. Wiedziałem, że robiła to dlatego, że Anka ją o to prosiła. Od tamtego dnia, kiedy nie wyszło nam w łóżku, unikałem jej. Nie miałem pojęcia, o czym mógłbym z nią rozmawiać. Poza tym jej nie ufałem. Z tego, co słyszałem, zrozumiała, że dała ciała, ale mnie już to nie interesowało. Nie potrzebowałem jej. Na świecie było tyle dziewczyn, że nie zamierzałem się przejmować tą jedną. Jak mawiała matka, „tego kwiatu to pół świata”.

Weszliśmy do lokalu i skierowaliśmy się prosto do baru. Mirek zamówił dla nas po piwie. Odpaliłem papierosa i spojrzałem w stronę wejścia. Bramkarze właśnie wyciągali za wszarz jakiegoś chłopaka. Widziałem, jak jeden z ochroniarzy bije go z otwartej dłoni w twarz. Standardowy widok w tym miejscu. Kilka razy widziałem, jak okopywali jakiegoś pijaczka wywleczonego z klubu. W pobliżu stała policyjna nyska z gliniarzami w środku. Żaden jednak nie zareagował. Podejrzewam, że ochrona Koloru jest poukładana z policją. Wiedziałem, że jak podpadnę bramkarzom, to nie będę miał znikąd ratunku.

A podpaść było wyjątkowo łatwo.

– Słuchajcie. Co wy na to, żeby za tydzień znowu wyskoczyć na miasto? – spytał Piotrek Koterba.

– Jeszcze dzisiaj dobrze nie zaczęliśmy, a ty już planujesz kolejny wypad – powiedziałem, sięgając po piwo.

Wziąłem łyk i poczułem, że browar jest rozcieńczony. Nie smakował tak jak zwykle. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób chrzci się piwo, ale tajemnicą poliszynela było, że w tej knajpie jest to norma.

– Chyba wody dolali – powiedziałem.

Mirek wziął łyk swojego i z hukiem odstawił szklanę.

– Chuje! Dobrze, że bełta obaliliśmy wcześniej. Tak to by nas wcale nie siekło.

Mimo wszystko zgarnęliśmy swoje szklanki i poszliśmy na poszukiwanie wolnego stolika. O tak wczesnej porze w klubie nie było jeszcze zbyt wielu ludzi. Największy ruch zwykle zaczynał się koło dwudziestej drugiej. Wtedy pojawiały się też dziewczuchy.

– Patrz na tamte dupy. – Piotrek wskazał na tańczące na parkiecie nastolatki.

Jedna z nich chodziła do naszej szkoły. Kilka razy widziałem ją na przystanku, jak czeka na tramwaj. Jechała zawsze w stronę centrum. Raz nawet chciałem z nią pojechać i zobaczyć, gdzie mieszka, ale zrezygnowałem.

– Tę jedną znam. Znaczą się kojarzę – rzuciłem, biorąc łyk piwa.

– A faktycznie. To ta Agnieszka. Ponoć jest łatwa. Daniel raz ją puknął – stwierdził Mirek.

– Niby kiedy? – zapytałem z powątpiewaniem, bo wiedziałem, że Daniel to stary ściemniacz.

– Jak były nasze otrzęsiny. Wziął ją obok hurtowni napojów.

Miejsce, o którym mówił Mirek, było mi znane. Na otrzęsinach kotów łąziłem tam na papierosa. W jednym z budynków szkoły rzeczywiście mieściła się hurtownia. Chodziliśmy tam po wufie po coś do picia. Pół ściany zajmowały kontenery z butelkami. Było to idealne miejsce, by zapalić lub zaliczyć szybki numer.

– Może jak się ją podleje, to i nam da – powiedział Piotrek.

Uśmiechnąłem się na tę myśl. Czuję, że dzisiaj w końcu mogę przestać być prawiczkim.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wyszedł z budynku i podszedł do parkującego poloneza. Sawicki zatrzymał auto i wysiadł, ale nie gasił silnika. Komisarz wyjął z kieszeni kożucha papierosy i odpalił jednego.

– Czemu nie gasisz? – spytał.

– Bo potem może nie odpalić. Nie chcesz chyba pchać?

– Ty byś pchał. Ja mam za dużo służby, żeby robić takie rzeczy.

Sawicki nie skomentował jego słów.

– A ty zamierzasz codziennie się tak ubierać? – spytał Żmigrodzki, wskazując na garnitur partnera. – Nie jesteś Kojak, żeby w gangu łązić.

– W czym ci to przeszkadza?

– Ogólnie twój ubiór nie pasuje do roboty. Robisz w trupach. Czasem trzeba się ubrudzić. Chyba nie chcesz, żeby gajer wyglądał jak ściągnięty z denata.

– Moja sprawa, w co się ubieram.

– Niby tak, ale zobacz, jak ja się noszę. – Żmigrodzki okręcił się dookoła własnej osi. – Widzisz?

– No. Stary kożuch, brudne dżinsy i sweter. Nie powiedziałbym, że to ostatni krzyk mody. W Paryżu albo Mediolanie nie pokazywali tej kolekcji. Przynajmniej

nie w ostatnich pięciu dekadach.

Żmigrodzki uśmiechnął się na te słowa. Podobało mu się, że młody ma poczucie humoru.

– Dobra. Nie ma co tak stać – stwierdził, rzucając niedopałek na chodnik. – Jedziemy do Leśnicy wycząić, czy nasz Mareczek się tam nie pojawił w nocy. Będzie, to zawijamy go na dzwonek. Nie będzie, czekamy, aż się pojawi.

Wsiadł do poloneza i od razu przykręcił ogrzewanie. Chwilę później swoje miejsce zajął Sawicki. Policjant sięgnął do pokręta, aby zwiększyć grzanie.

– Co ty robisz? – spytał komisarz.

– Daję grzanie na maksa.

– Po co?

– Zima jest. Chcę, żeby było ciepłej.

– Jakbyś nosił cieplejsze ciuchy, tobyś nie marzył. Ale nie, lepiej w garniturku jak jakiś stróż w Boże Ciało. Nie ma grzania. Nie chcę się zapocić. Potem taki zgrzany wyjdę na zewnątrz, zawieje mnie i choróbsko gotowe.

Sawicki nie skomentował. Wrzucił bieg i powoli ruszył.

* * *

Bożena Dąbrowska skończyła gotować rosół. Zamierzała zawieźć go Andrzejowi do szpitala.

Odłożyła chochlę, usiadła na krześle i wbiła wzrok w ścianę. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że nie mogła znaleźć sobie miejsca. Co chwilę płakała. Zastanawiała się, czy nie powinna poprosić kogoś o pomoc w załatwieniu formalności związanych z pogrzebem Szymona. Wcześniej myślała, że da sobie radę sama, ale teraz dotarło do niej, że nawet nie wie, od czego zacząć. Będzie musiała wziąć się w garść.

Wstała i poszła do pokoju Szymona. Spojrzała na półkę z książkami. Szymek uwielbiał książki podróżnicze i przygodowe. Miał prawie wszystkie wydania Jamesa Fenimore’a Coopera i Aleksandra Dumasa. Pamiętała, że jak był mały, chciał być Sokolim Okiem albo jednym z muszkietarów. Uśmiechnęła się teraz na to wspomnienie. Jej młodszy syn kochał też piłkę nożną. Marzyła mu się kariera w jakimś zagranicznym klubie. Na ścianach miał plakaty z piłkarzami, ale oprócz kopania w piłkę na podwórku nigdy nie zapisał się do żadnego klubu. Do wszystkiego zresztą miał słomiany zapał. Ostatnio to nawet nie wiedziała, czym się interesował. Odkąd poszedł do technikum, więź między nimi osłabła. Kiedyś często siadał z nią w kuchni i opowiadał o tym, co widział na podwórku lub co działo się w szkole. Mieli dobre relacje. Wszystko zmieniło się w ostatnich miesiącach. Początkowo myślała, że to wina dojrzwania, że nie chce się zwierzać. Potem była przekonana, że wszedł w okres buntu. Teraz jednak nie była już tego pewna. Miała przeczucie, że coś musiało pchnąć Szymona do tak desperackiego kroku. Komuś musiało zależeć na skrzywdzeniu jej dziecka.

Żal ścisnął ją za serce. Pod powiekami poczuła piekące łzy.

WROCLAW, 2 PAZDZIERNIKA 1993 R.

Ledwo stałem na nogach. Czuję, że przesadziłem z alkoholem. Spojrzałem na zegarek. Pięć minut temu minęła północ. Stałem oparty o murek przy wejściu do Koloru. Nigdzie nie widziałem swoich kumpli. Nie byłem pewny, czy nie zostali w środku. Ruszyłem z powrotem do drzwi.

– Nigdzie, koleś, nie wejdiesz. Najebany jesteś – powiedział bramkarz, zastępując mi drogę.

– Allle jija muuuszzę... – wybełkotałem.

– Jedyne, co musisz, to stąd spierdalać.

Chciałem przejść obok niego, ale poczułem mocne uderzenie w brzuch. Skuliłem się, z trudem łapiąc oddech. Chwilę później poczułem, jak dwóch ochroniarzy chwytą mnie pod ramiona i wyprowadza na górę. Nie miałem siły protestować. Oparłem się o barierkę. Głowa kiwała mi się w przód i w tył.

Spojrzałem w stronę zaparkowanej w pobliżu policyjnej nyski. Siedzący w środku gliniarze grali w karty. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Ostrożnie stawiając kroki, ruszyłem w stronę rynku. Zamierzałem przejść do placu 1 Maja i tam wsiąść w nocny tramwaj. Zdążyłem przejść zaledwie pięć kroków, gdy usłyszałem za plecami znajomy głos:

– Czekaj.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że woła mnie chłopak, który cały wieczór siedział z kolegą przy sąsiednim stoliku. Mirek znał brata tego drugiego. Chwilę z nimi pogadał i wrócił do nas. Ja z tym Pawłem też zamieniłem kilka słów. Nie potrafiłem sobie jednak przypomnieć, o czym ta gadka była. Teraz Paweł stał kilka metrów dalej i odpalał papierosa.

– Cccoo jest? – spytałem, starając się utrzymać równowagę.

Podszedł bliżej i się uśmiechnął.

– Lepiej gdzieś klapnij.

Wziął mnie pod ramię i poprowadził w stronę znajdujących się nieopodal ławek. Usiedliśmy. Miałem ochotę na papierosa. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem zmiętą paczkę. Była pusta. Paweł wyciągnął swoje marlboro i mnie poczęstował. Niezdarnie trzymałem papierosa w dłoni. Odpalił mi i zaciągnąłem się głęboko. Spojrzałem na niego z uśmiechem. Poczulem do niego sympatię.

– Nie mieliśmy okazji pogadać – powiedział. – Narzuciliście szybkie tempo picia. Powiem ci, że dawno nie widziałem kogoś, kto chleje tak szybko.

Kiwałem się w przód i w tył. Cały świat wirował mi przed oczami.

Nagle Paweł mnie objął. Nie strąciłem jego ramienia. Spojrzałem na niego. Wtedy on chwycił w dłonie moją twarz i zbliżył swoje wargi do moich. Nie miałem pojęcia, jak zareagować. Zaczęliśmy się całować. Poczulem, jak mój penis powoli się unosi. Pomimo wypitego alkoholu narastało we mnie podniecenie. Paweł złapał mnie za rękę i przeniósł ją na swoje krocze. Zacząłem go masować. Jego penis rósł, czułem to wyraźnie. Po chwili on też zaczął mnie pieścić. Marzy-

łem, by wyciągnął mojego fiuta i zaczął mi go walić. Przymknąłem oczy w oczekiwaniu. Ale wtedy Paweł przestał mnie całować, stanął przede mną i rozpiął rozpoke. Zobaczyłem jego penisa w pełnej okazałości.

– Possij mi – powiedział.

Byłem kompletnie zaskoczony. Nigdy dotąd nie kręcili mnie faceci. Uważałem, że jestem stuprocentowym hetero. Podniecały mnie dziewczyny. Teraz jednak znalazłem się w zupełnie nowej sytuacji.

– Proszę... – szepnął.

Zbliżyłem usta do jego członka. W tym samym momencie usłyszeliśmy jakiś szmer w zaroślach. Na drogę wyszedł Mirek i spojrzał prosto na nas. Paweł odsunął się ode mnie i schował członka w spodniach. Opuściłem głowę. W tamtej chwili pragnąłem tylko znaleźć się jak najdalej stąd.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Sawicki zaparkował za polonezem, w którym siedziała Romaniuk z Lipcem. Całą drogę nie mieli włączonego ogrzewania. Co jakiś czas parowała im przednia szyba i musiał przecierać ją szmatką. Zgasił teraz silnik i spojrzał na partnera, który właśnie wysiadał.

– Pierdolony... – mruknął pod nosem.

Żmigrodzki wsadził głowę do wnętrza poloneza.

– Mówiłeś coś?

– Nie.

– Coś jednak słyszałem.

– Powiedziałem, że zimno – skłamał Sawicki.

– Jest luty. Będziesz się ubierał cieplej, to nie zmarzniesz.

Komisarz podeszedł do auta Romaniuk i Lipca. Policjanci właśnie wyszli na zewnątrz.

– Działo się coś? – spytał, wyciągając rękę na powitanie.

– Nic. Gościa nie ma – powiedział Lipiec.

– I tak właśnie pomyśleliśmy, że mógłbyś podejść na górę do jego matki i spytać, czy synek gdzieś pracuje – dopowiedziała Romaniuk.

– A nie ma żadnych danych?

– Nie.

Żmigrodzki odpalił papierosa i spojrzał na kamienicę. Zaciągnął się kilka razy, po czym rzucił peta na bok.

– Zostań tu, młody – powiedział do Sawickiego i ruszył w stronę budynku.

Wszedł do klatki i omal się nie potknął o leżącego na podłodze pijaka. Facet spał, kompletnie zamroczony alkoholem. Żmigrodzki się zastanawiał, czy spędził w tym miejscu całą noc. Jak nie zapomni, spyta Romaniuk, czy widzieli, jak wchodził do kamienicy. Pijak był przykryty starą kurtką. Komisarz pomyślał, że

ta zniszczona kapota nie chroniła go zbyt dobrze przed chłodem. Przystąpił nad menelem i zaczął się wspinać po schodach.

Po chwili stanął przed drzwiami mieszkania Malickiej. Dzisiaj ze środka nie dobiegała muzyka. Żmigrodzki się zastanawiał, czy kobieta jest w domu. A może wyszła ukradkiem, żeby się ukryć przed wymiarem sprawiedliwości? Zapukał, ale odpowiedziała mu cisza. Zniecierpliwiony, zaczął się dobijać. Wtedy usłyszał za plecami odgłos przekręcanego zamka. Odwrócił się. Po paru sekundach w drzwiach mieszkania naprzeciwko stanęła kobieta z wałkami na głowie i w starym szlafroku frotté.

– Pewnie śpi – powiedziała.

– Pewnie tak.

– Widziałam wczoraj, jak byliście. Psiarnia, co?

– Ano.

Żmigrodzki wyjął z kieszeni papierosy i wyciągnął je w stronę kobiety. Ta wzięła jednego, szczerząc się w uśmiechu. Miała spore braki, a zęby, które się ostały, były brudne od nikotyny i kawy.

– A syna pani widziała? – spytał, odpalając jej papierosa.

– Marka? Ostatnio to rzadko. Pewnie gdzieś się szlaja. Bo skoro nie siedzi, to musi się szlajać, prawda?

– Siedzi?

– No, hultaj z niego. Sprawia kupę problemów. Co jakiś czas wdaje się w bójkę. Raz to nawet włamał się do piwnicy na sąsiedniej ulicy i słoiki ukradł. Czaisz, glino?

– Zdarza się. Może miał smaka na ogórki. – Żmigrodzki strzepnął popiół.

– Może. Ale kto to pomyślał. Kiedyś złodziej obrabiał domy i piwnice gdzieś dalej na mieście, a nie u siebie na parafii. Teraz wszystko się pozmieniało.

– Czasy się zmieniają, droga pani.

Kobieta pociągnęła nosem i oparła się o framugę drzwi.

– A coś zbroił? – spytała po chwili, biorąc macha.

– Nie, czemu? Tak tylko pytam.

– Wy nigdy nie pytacie tak tylko.

– Czasem się zdarza. A ta Gośka? Mieszka tu?

– Wyjechała. Mówiła, że chce zrobić karierę modelki. Ponoć do Paryża miała jechać.

– Paryża?

– No, tak gadała. Ale ja uważam, że pojechała do Niemiec i zwykłą kurwą jest. Za stara na modelkę.

– A ile ma lat?

– No za stara. Modelki to tak dwadzieścia, a ta to ma koło trzech dych już. Poza tym urody specjalnej nie ma. W miarę ładna jest, nie powiem, ale żeby od razu modelka, to nie. Wiele ładniejszych widziałam. Ta pewnie skończy na ulicy albo jak matka, dając dupy u siebie na chacie.

Chwilę później otworzyły się drzwi mieszkania Malickiej.

– O, porucznik Borewicz. Znowu mnie odwiedzasz – powiedziała do Żmigrodzkiego, po czym przeniosła wzrok na sąsiadkę. – A ty powinnaś się zająć swoim życiem. Córeczka, zdaje się, kolejny raz w ciąży? Tym razem urodzi czy znowu wyskrobie?

* * *

Tomek wszedł do kuchni. Na kuchence stał garnek z rosółem, a w zlewie w durszlaku czekał makaron. Wiedział, że matka przygotowywała obiad dla ojca. Niedługo mieli do niego jechać i zawieźć mu kilka potrzebnych rzeczy.

Obiad był najważniejszą z nich. Posiłki w szpitalu nie należały do wyjątkowo sycących i ojciec prosił, żeby coś podrzucić. Tylko że matki nigdzie nie było. Wcześniej słyszał, jak się krzątała, ale teraz w mieszkaniu panowała cisza. Przestraszył się. Zajrzał do łazienki. Pusto. Spojrzał na wieszak w przedpokoju. Płaszcz matki wisiał na swoim miejscu. Kozaki stały na gazetach obok drzwi wejściowych. Sprawdził zamki. Wszystko było pozamykane. Łańcuch też wisiał jak zawsze. Jedno było pewne: matka nie wyszła z mieszkania.

W końcu skierował się do pokoju Szymka i lekko pchnął przymknięte drzwi. Matka leżała na wersalce. Oczy miała przymknięte. Przeraził go ten widok. Podbiegł do niej, padł na kolana i chwycił ją za dłoń.

– Mamo...

Miał wrażenie, że kobieta nie oddycha. Serce prawie wyskoczyło mu z piersi. Puścił jej dłoń i nachylił się nad nią blisko.

– Mamuś! – zawołał ponownie.

Sekundę później otworzyła oczy. Popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Zdrzemnęłam się... – Uniosła się na ramieniu i uśmiechnęła słabo. – Jakoś tak mnie zmogło. Przyszłam tu chwilę posiedzieć i poczułam się senna.

– Przestraszyłem się. – Ponownie położył rękę na dłoni matki.

– Spokojnie. Nie zamierzam zrobić nic głupiego. Nie musisz się martwić.

– Wiem. Ale i tak się przestraszyłem. – Podniósł się z kolan. – Do ojca kiedy jedziemy?

– Zaraz. Najpierw sami spróbujemy tego rosółu. Robiłam go jakoś tak mechanicznie. Nawet nie pamiętam, czy go doprawiłam.

* * *

Sawicki przez chwilę patrzył na kamienicę, w której zniknął Żmigrodzki. W końcu odwrócił się do Romaniuk i Lipca.

– On zawsze taki jest?

– Zawsze. – Romaniuk się uśmiechnęła.

– Nie dziwię się, że nikt z nim nie robi w parze. Z takim nie da się wytrzymać.

– A co? Dał ci już popalić?

Sawicki skinął głową.

– Co takiego zrobił? – zapytała policjantka.
Machnął ręką.
– Dużo by gadać.
– No dajesz – ponaglił Lipiec.
– Najpierw się dosrał do mojego ubrania. Powiedział, że pies z zabójców nie powinien się tak nosić.
– Poniekąd ma rację. Dziwnie się ubierasz.
– Ale chyba mam prawo mieć własny styl, tak?
– A na Jaworowej też w gajerze łąziłeś?
Sawicki zamilkł.
– No widzisz. Tam pewnie dzinsy, a tu laczki i garniturek – skwitował Lipiec.
– Ale tam byłem na zwykłym komisariacie. A tu chciałem pokazać, że jestem gliną z miejskiej – stwierdził Sawicki.
– I garnitur to niby jak szkolny mundurek? Bez przesady. Możesz łązić normalnie.

Sawicki wyjął papierosy i poczęstował pozostałych. Odpalili, wciąż patrząc na kamienicę.

– A co było dalej? – przerwała ciszę Romaniuk.

Krzysiek strzepnął popiół.

– Nie pozwolił mi włączyć ogrzewania w aucie. Powiedział, że nie chce się zapocić. I że jak zacznę się ubierać odpowiednio do roboty i pogody, to też nie będę potrzebował grzania.

– No to wróciliśmy do ciuchów.

– Fakt.

– Nie przejmuj się, młody. Żmigrodzki taki jest. Kiedyś był inny, ale sprawa Urbańskiego go zmiotła – powiedziała Romaniuk.

– To znaczy?

– Naprawdę nie kojarzysz?

– Nie. Skąd mam kojarzyć.

– Nie pamiętasz sprawy zabójstw w latach osiemdziesiątych? Urbański został zatrzymany pod zarzutem zamordowania kilku nastolatków. Miał cztery ofiary na koncie. Dostał czapę. Potem okazało się, że był niewinny, a śledztwo prowadzone było pod tezę. Wyszło na to, że Żmigrodzki z Mieszkowskim wsadzili Bogu ducha winnego faceta. To mogło nieźle namieszać w bani. Obaj zaczęli chlać. Resztę już znasz.

Sawicki wziął macha i popatrzył na Romaniuk. Przypomniała mu się ta sprawa. Słyszał o niej na szkółce. Wtedy się nie spodziewał, że po latach będzie pracował w parze z jednym ze śledczych, którzy posłali niewinnego człowieka na stryczek.

– Teraz coś kojarzę. Ten Urbański był jednym z ostatnich, na których wykonano wyrok.

– I gdyby wcześniej ktoś zrezygnował z wykonywania kary śmierci, teraz pewnie byłby na wolności.

Sawicki podszedł do kubła na śmieci i zagaślił papierosa.

– A Żmigrodzki chleje? – spytał Lipiec.

Odwrócił się w jego stronę zaskoczony.

– Ponoć obiecał naczelnikowi, że nie tknie nafty – wytłumaczył Lipiec.

– Ja nie widziałem, żeby popijał. Ani nie wyczułem od niego wody.

– Patrz, jaki hardy. – Lipiec zerknął na Romaniuk. – Może wytrzyma.

– Okaze się.

Sawicki dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ostatnio rzeczywiście nie widział, żeby partner popijał z piersiówki. Wyglądało na to, że przynajmniej ograniczył spożycie. Na jak długo, czas pokaże.

* * *

WROCLAW, 4 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Byłem się iść do szkoły. Przez cały weekend zastanawiałem się, czy wszyscy w szkole już wiedzą, co wydarzyło się przy dyskotecie. Byłem pewny, że Mirek nie omieszkiał opowiedzieć, w jakiej sytuacji mnie przyłapał. Jak wyszedł w sobotę z tych krzaków, wiedziałem, że popełniłem największy błąd w życiu. Jak głupi dałem się przyłapać z tym Pawłem. Nie miałem pojęcia, jak długo Mirek nas obserwował, ale stanowczo widział zbyt dużo. Po tym, jak nas nakrył, wrócił do Koloru. Czuję, że poleciał po resztę chłopaków. Nie czekaliśmy na jego powrót. Ja poszedłem w swoją stronę, a Paweł w swoją.

W sobotę rano, jak matka zajrzała do mnie do pokoju, aż się złapała za głowę. Krzyczała, że śmierdzi jak w gorzelnii. Nie odpowiedziałem jej, bo wiedziałem, że ma rację. Cały dzień leczyłem kaca. Zastanawiałem się, co wymyślić, żeby przekonać rodziców do zmiany szkoły. Na Poznańskiej nie widziałem już dla siebie miejsca.

Byłem pewny, że wszyscy tam będą mnie wyzywać od pedałów. Ciekawe, czy Paweł też będzie miał problemy z powodu tego, co między nami zaszło. Choć właściwie nie zrobiliśmy nic złego. Nie zdążyliśmy.

Niestety przez cały weekend nie wymyśliłem żadnego racjonalnego powodu, by rzucić szkołę. Teraz stałem przed wejściem i zastanawiałem się, czy nie dać nogi.

– Trzeba się zmierzyć z tym wszystkim – powiedziałem cicho i ruszyłem do budynku.

Tuż za progiem usłyszałem:

– Uwaga, chłopaki, ciota przyszła! Zasłaniać dupska!

W korytarzu rozległ się rechot. Cała moja klasa śmiała się do rozpuku. Przechodzące obok dziewczyny z liceum zasłoniły usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Uwaga! Pedał się ślini na wasz widok! Tadek, jesteś namierzony przez pedryla! – zawołał Mirek.

Janek i Grzesiek objęli się i udawali, że uprawiają seks od tyłu.

Spuściłem głowę. Poczuję, że to już nie moja klasa. Byłem tu obcy.

* * *

Żmigrodzki wszedł do mieszkania i uśmiechnął się do gospodyni.

– Słyszałam, jak wypytywałeś tę szmatę. Pierdolone kurwisko.

– Nie wnika. I nie wypytywałem, tylko chciałem uzyskać pewne informacje.

– A nie lepiej mnie zapytać? – rzuciła Malicka z uśmiechem. Sięgnęła dłonią do halki i lekko ją uniosła. Była to ta sama halka, w której wczoraj utworzyła mu drzwi. Lekko zsunęła ramiączko, odsłaniając poźółkły stanik. – Wpadłeś mi w oko – powiedziała zalotnie.

– To idź do okulisty. A tak doraźnie rumianek sobie przyłoż.

– Czemu jesteś taki niedostępny? To cię kręci? – Kobieta podeszła bliżej i starała się objąć Żmigrodzkiego.

Odsunął się i rozejrzał w poszukiwaniu popielniczki. Zobaczył ją w kuchni. Wszedł do pomieszczenia i zagaślił peta.

– No co? Nie masz ochoty na małe co nieco? – naciskała Malicka.

– Nie, dzięki. Ostatnio, jak ruchałem, to podłapałem syfa. Nie chcę ryzykować, że zarażę – skłamał.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– No dobra, orle organów ścigania. Co cię interesuje? Pytałeś o Gośkę i Marka. Czego od nich chcesz?

– Niczego. Jak już mówiłem, prowadzę śledztwo. Muszę pogadać z bliskimi ofiary.

– Herbaty chcesz? Mam, mogę zrobić.

Weszła do kuchni i wyjęła z szafki szklankę. Żmigrodzki zobaczył, że naczynie jest brudne; na brzegu widniały ślady szminki. Pewnie korzystała z niej córka kobiety, bo Malicka raczej nie malowała ust.

– Nie, dzięki. Dobra, gwiazda, czas zacząć. Gdzie twoje dzieciaki?

– Tak jak mówiła ta szmata – kobieta kiwnęła głową w stronę drzwi wyjściowych – Gośka pojechała za granicę. Ma plany.

– A syn?

Malicka wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć. Widzisz tu jakąś sutannę?

– Nie kumam.

– Nie spowiada mi się.

Żmigrodzki odpalił papierosa.

– Poczęstujesz ćmikiem? – poprosiła.

– Jasne. – Przesunął paczkę w jej stronę, a gdy po chwili wydmuchnęła pierwszą chmurę dymu, zapytał: – Pracuje gdzieś?

– Marek? Ponoć tak, ale ja tam nie wiem.

– A gdzie mogę go spotkać?

– Nie mam pojęcia. Może się szlajać po Leśnicy albo siedzi u siebie.

Żmigrodzki zastygł z papierosem w połowie drogi do ust.

– Jak u siebie? To on tu nie mieszka?

– A po co miałby tu mieszkać, jak ma kwadrat?

– Gdzie?

– No siedzi w chałupie Heńka. Jak Heniek się tu wprowadził, to jama została wolna. Poszedł na swoje. Gośka została przy mnie, bo u Heńka kibel jest na klatce, a tu pełna kulturka. Sracz w mieszkaniu.

Żmigrodzki uśmiechnął się pod nosem. Czuł, że ta informacja przybliży go do zatrzymania mordercy.

* * *

WROCLAW, 8 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Mieliśmy dzisiaj na trzecią lekcję, ale ja przyszedłem wcześniej. Musiałem podjechać na plac 1 Maja kupić sobie bilet miesięczny na autobus. Ostatnio stałem w kolejce ponad pół godziny, więc nie chciałem ryzykować. Dziś jednak było mniej osób i udało mi się szybko załatwić sprawę. Pojechałem do szkoły i usiadłem przed klasą, gdzie miałem mieć zajęcia.

Po jakimś kwadransie zachciało mi się jarać. Poszedłem do toalety i odpaliłem papierosa. Byłem sam. Wiedziałem, że na przerwie wpadnie tu tłum chłopaków na dymka. Zawsze wtedy uczniowie albo szli w okolice pobliskich bloków i tam siadali na ławkach, albo przyłazili do toalet. W kiblach jednak nie było tak bezpiecznie jak na dworze. Często zachodzili tu nauczyciele i zabierali papierosy. Teraz jednak, podczas lekcji, byłem bezpieczny.

Wziąłem kolejnego macha i usłyszałem, że otwierają się drzwi. Schowałem papierosa za siebie i spojrzałem w stronę wejścia.

W progu stali Janicki z Tomasikiem. Tuż za nimi zobaczyłem Mirka.

– O, ciota jara szluga! Poczęstuj jednym – rzucił Janicki.

Miałem zaledwie pięć papierosów. Jak ich poczęstuję, sam nie będę miał co palić.

– No co? Kumplom nie dasz zajarać? – spytał Mirek, zamykając za sobą drzwi.

– Mało mam – powiedziałem.

Mirek popatrzył na pozostałych.

– Słyszeliście? Powiedział, że ma mało. A czy ja pytałem, czy ma dużo? Trzymajcie frajera!

Janicki z Tomasikiem chwycili mnie za ramiona i popchnęli na ścianę. Mirek podszedł bliżej i zaczął mi grzebać w kieszeniach. Wyjął paczkę marsów, po czym schował sobie do kieszeni kurtki. Ponownie mnie obszukał. Wyjął portfel i spojrzał na jego zawartość.

– O, kasiorką też możesz poczęstować.

Byłem wściekły. Resztę z biletu miesięcznego miałem oddać matce. Specjalnie podkreśliła, że bym nie wydawał.

– Zostaw – warknąłem, szarpiąc się.

Koledzy mocniej mnie przytrzymali. Mirek wyjął pieniądze i schował je do kieszeni spodni. Portfel rzucił na podłogę.

– Dajcie go tu bliżej – rozkazał.

Czułem, jak ich silne ręce popychają mnie do przodu. Mirek z całej siły uderzył mnie w splot słoneczny. Nie mogłem złapać tchu. Do oczu napłynęły mi łzy. Ból był ogromny.

– Dajcie go tu – zawołał Mirek.

Wskazał otwarte drzwi kabiny. Janicki i Tomasik pociągnęli mnie do środka.

– Włóżcie mu głowę do klopa.

Patrzyłem na sedes. Widziałem pływające w wodzie niedopałki, a na pozóółkiej porcelanie ślad po kupie. Starłem się zaprzec i nie dopuścić, żeby włożyli mi głowę do środka. Poczuję silny ból w okolicy nerki. To Mirek z całej siły uderzył mnie pięścią.

Chwilę później moja głowa znalazła się w sedesie. Po chwili Mirek pociągnął za spłuczkę i zimna woda zalała mi twarz.

* * *

WROCLAW, 16 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wyszedł z kamienicy i odpalił papierosa. Spojrzał w stronę policjantów stojących przy służbowych polonezach i uniósł kciuk.

– Nasz Mareczek ma metę – oznajmił, podchodząc bliżej. – Stacjonuje teraz w mieszkaniu po ojczymie.

– Tym Heńku?

– Tak. Kwadrat stał pusty, jak Heniek się tu przeniósł. – Żmigrodzki wskazał na kamienicę. – Więc Mareczek się zawinął.

– Czyli trzeba się tam przejechać i zobaczyć, czy typ jest na chacie – stwierdziła Romaniuk.

– Nie ma sensu jechać. To rzut kamieniem. Szkoda marnować wachę. – Komisarz upuścił papierosa na ziemię. – Trapezy zostawiamy tutaj i idziemy z buta. Jak nasz podejrzany jest w środku, to go zawijamy.

– I tak przez Leśnicę będziemy z nim paradować?

– Nie. Karolina i młody pójda po auta i podjadą pod kamienicę, gdzie siedzi nasz zbój. Tyle. Nie będziemy musieli łazić.

Żmigrodzki dotknął kieszeni, w której znajdowała się piersiówka. Zauważył, że coraz rzadziej chce po nią sięgnąć. Oczywiście nadal miał ochotę się napić, ale jakimś cudem udawało mu się powstrzymać.

– Może wezwiemy wsparcie? – zapytał Sawicki.

– Po co?

– Nie wiemy, jak się zachowa ten Malicki. Może być niebezpieczny.

– To zwykły luj, co zajebał własną babkę. Nie jest Alem Capone ani nawet Vitem Corleone. Damy sobie radę sami. Nie bój. W razie czego schowasz się za Romaniuk. – Komisarz się uśmiechnął.

Sawicki zrobił się czerwony na twarzy. Zaczął nerwowo poruszać szczęką.

– Dobra, młody, nie obrażaj się. Żartowałem. – Żmigrodzki wyciągnął do niego dłoń.

Sawicki jednak schował ręce do kieszeni kurtki.

– Dobra. Chcesz się obrażać, to się obrażaj. Nie ma co siedzieć po próznicy. Idziemy – powiedział komisarz i ruszył w stronę mieszkania Heńka.

* * *

Tomek patrzył, jak matka podaje ojcu słoik z rosółem. Ten odkręcił go i włożył do środka starą łyżkę z aluminium, którą dostał w szpitalu. Zaczął jeść.

– Dobrze. O takim rosółku od rana marzyłem – powiedział, mlaszcząc.

– A kiedy cię wypiszą? Mówili coś? – zapytała matka.

– Ordynator powiedział, że jak dobrze pójdzie, to w piątek może być wypis. Ale rozmawiałem z pielęgniarką i twierdzi, żebym raczej się szykował na poniedziałek.

– A wyniki jak?

– Ponoć dobrze. Zawał nie był rozległy i już jest dużo lepiej. Mam się tylko oszczędzać i nie forsować zbyt. Ale jak mam się nie forsować? Z roboty przecież nie zrezygnuję.

– Może pogadasz z brygadzystą i znajdzie ci coś innego. Co myślisz?

– Oszalałaś? Teraz, kiedy są zwolnienia? On sam nie jest pewny, czy zostanie.

Raczej nic z tego nie będzie.

– Pogadać zawsze możesz.

Ojciec wrócił do jedzenia. Po chwili spojrzał w stronę Tomka.

– A u was jak? Do szkoły chodzisz?

– Nie. Nie skupiłbym się na lekcjach.

– Nie możesz odpuścić szkoły. To ważne.

– Wiem.

Tomek zdawał sobie sprawę, że ojciec ma rację. Nie mógł zawalić nauki. Ale miał ważniejsze rzeczy na głowie. Musiał się zemścić na Dragonie za to, co zrobił Szymkowi. Musiał odzyskać honor, który stracił, patrząc, jak jego młodszy brat jest gębiony przez jego kolegów.

– Powtarzam wam: teraz musimy być razem. Musimy być silni – powiedział ojciec i spojrzał na matkę.

– Staramy się. Muszę załatwić te wszystkie formalności. Nie wiem, czy dam radę...

– Pogadaj z Teresą. Z Tadkiem przecież ostatnio chowali jego ojca. Może ci doradzi.

– Będę musiała. Sama nie potrafiłabym chyba wybrać trumny, pójść do urzędu. To wszystko mnie przerasta.

– Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Matka spojrzała na ojca i lekko się uśmiechnęła.

– Nie forsuj się. Pogadam z Teresą.

Tomek patrzył na swoich rodziców i miał ochotę krzyczeć. To wszystko przez niego. Gdyby się postawił Dragonowi i reszcie, nie musieliby teraz rozmawiać o przygotowaniach do pogrzebu Szymka. Był wściekły i chciał już stąd iść. Podjął decyzję. Zabije Dragona.

* * *

Żmigrodzki stanął przed drzwiami mieszkania, w którym miał przebywać podejrzany o zabójstwo mężczyzna. Nacisnął dzwonek. Reszta czekała z boku. Chwilę później usłyszeli odgłos przekręcanego klucza w drzwiach lokalu po lewej. W progu stanął mężczyzna w podartym i brudnym podkoszulku. Był potężnej postury. Ramiona miał całe w więziennych tatuażach. Wyglądał na takiego, co w zakładach karnych spędził większość życia.

– Czego? – warknął.

– Nie do ciebie – rzucił Żmigrodzki i ponownie nacisnął dzwonek.

– A ja pytam, czy do mnie? Pytałem czego?

– Powiedziałem, że nie do ciebie. Idź obejrzyj coś w telewizji. Albo może zajmij się czymś pożytecznym. – Komisarz nawet nie odwrócił się w jego stronę.

Mężczyzna spojrział na pozostałych policjantów i się uśmiechnął.

– Psa wyczuję na kilometr.

– To możesz wystartować w jakichś zawodach.

Lipiec i Sawicki podeszli trochę bliżej. Romaniuk stała na schodach. Wszyscy patrzyli na recydywistę, gotowi do działania, na wypadek gdyby ten zrobił coś głupiego.

– Heńka nie ma – stwierdził po chwili sąsiad.

– My nie do Heńka.

– Aaaa, czyli do młodego. Jego też nie ma.

– A gdzie może być? – Żmigrodzki dopiero teraz się odwrócił.

– Z psami nie gadam.

– Jak nie, jak stoisz tu i bajerzysz. Jakiś taki niekonsekwentny jesteś.

– Jaki?

– Niekonsekwentny. – Komisarz popatrzył na recydywistę i machnął ręką. – Dobra. Nie ma co pieprzyć po próżnicy. Widziałeś Malickiego?

– Nie.

– A masz jakąkolwiek wiedzę, gdzie mogę go zastać?

– Nie.

– No to dzięki. Organy ścigania są ci dozwonnie wdzięczne za okazaną pomoc i współpracę.

Dał znak pozostałym, że mogą schodzić.

– Co? Jaką współpracę? – zapytał kryminalista.

– Pomogłeś nam. Kiedyś bym wystąpił o jakiś dyplom dla ciebie albo złożyłbym wniosek, żeby cię przyjęto do ORMO. Czasy jednak się zmieniły i jedyne, co mi pozostaje, to zwykle „dziękuję” – wytłumaczył komisarz. – Dobra, nie przedłużajmy. Idziemy.

Żmigrodzki zaczął schodzić po schodach. Mężczyzna chwilę jeszcze stał w progu jak wmurowany.

* * *

Anna Matysek kolejny raz spojrzała na test ciążowy. Wynik był dla niej całkowitym zaskoczeniem. Nie mogła teraz być w ciąży. Nie w momencie, kiedy za rok matura.

Nie wyobrażała sobie siebie w pieluchach. Inne jej koleżanki bawiłyby się, chodziły na dyskoteki, a ona miałaby niańczyć jakiegoś bachora?

– Pieprzony Tomek... – warknęła, rzucając testem o ścianę.

Była zła na swojego chłopaka. Od kilku dni nie miała z nim kontaktu. Wyraźnie jej unikał. Na dodatek od Kaśki słyszała, że ponoć kręciła się koło niego ta Agnieszka z Drzewieckiego. Miała ochotę złapać ją za kudły i wybić z głowy podrywanie cudzego faceta.

Podniosła słuchawkę telefonu i na tarczy wykręciła numer Tomka. Przez chwilę słuchała sygnału połączenia. Nikt nie odbierał. Dopiero teraz przypomniała sobie, że wczoraj Szymek popełnił samobójstwo, a ich ojca karetka zabrała do szpitala.

– Pewnie jest u starego – powiedziała do siebie i odłożyła słuchawkę.

Podniosła z podłogi test. Musiała się go pozbyć. Matka nie mogła go znaleźć, bo zaraz poszłaby do starego i zaczęłyby się jakieś jazdy. Schowała go do szuflady. Chciała go zachować, na wypadek gdyby Tomek stwierdził, że robi go w konia.

Położyła się na wersalce i włączyła kasetę New Kids on the Block. Tomek nie lubił piosenek tego boysbandu. Uważał, że to muzyka dla słabych ludzi, a nie dla kogoś, kto zamierza zmienić kraj. Skini i prawdziwi patrioci powinni słuchać muzyki odpowiedniej dla ich subkultury. Anka nie miała pojęcia, jak chłopak zareaguje na to, że zostanie ojcem. Miała nadzieję, że stanie na wysokości zadania i weźmie odpowiedzialność za swoje czyny.

Była wściekła, że się nie zabezpieczali. Tomek mówił jej, że prezerwatywa go ciśnie i lepiej mu bez. Zapewniał, że zdąży wyciągnąć, zanim wystrzeli. Ale nie zdążył. Była też zła na siebie, że nie poczekała dłużej z podjęciem współżycia. Dała się namówić Tomkowi, pomimo że Kaśka odradzała jej seks. Mówiła, że najlepiej poczekać do osiemnastki, chociaż sama miała już swój pierwszy raz za sobą. Anna była zła, że nie posłuchała przyjaciółki.

Wstała z wersalki i podeszła do okna. Na dworze matki lepiły z dziećmi bałwana. Za jakiś czas będzie jedną z nich. Ale przecież była za młoda, żeby tak sobie niszczyć życie. Sięgnęła po stos leżących na stoliku gazet i rzuciła je na wersalkę. Rozsypały się, część spadła na dywan. Były tam „Bravo”, „Bravo Girl”, „Popcorn” i „Przyjaciółka”. Zaczęła je po kolei wertować, szukając porad, jak pozbyć się niechcianej ciąży. Musiała być gotowa na każdą okoliczność.

* * *

Żmigrodzki wyszedł z kamienicy, odpalił papierosa i popatrzył na resztę.

– Dobra, plan jest taki – zaczął. – Wy zawijacie się do domów i odpoczywacie. Ja z młodym siedzimy tu na dupie i czekamy, aż Malicki wróci na kwadrat. Wicezorem nas zmieniacie. Pasuje?

Lipiec i Romaniuk skinęli głowami.

– To zmykajcie. Ty, młody, idź po trapeza i postaw go na tym parkingu. – Komisarz pokazał dłonią. – Ja tu postoję i będę się rozglądał.

Sawicki ruszył wraz z pozostałą dwójką w stronę, gdzie zostawili służbowe polonezy. Żmigrodzki wziął macha i spojrzał na kamienicę. W jednym oknie zza firanki ktoś go obserwował. Zastanawiał się, czy nie przejść się po reszcie sąsiadów i nie popytać o chłopaka. Może ktoś udzieliłby mu więcej informacji niż ten sąsiad kryminalista.

Uśmiechnął się na wspomnienie rozmowy z mężczyzną. Gdyby był sam, raczej by się nie odważył na takie potraktowanie recydywisty. Wiedział, że takie typy szybciej działają, niż myślą. Mogłoby dojść do bójki, w której on raczej nie miałby zbyt dużych szans.

Marnym pocieszeniem byłoby to, że potem facet poszedłby siedzieć. Złamany nos długo boli i długo się goi, a to starcie na sto procent miałoby taki rezultat. Facet był potężny, widać było, że sporo ćwiczy. Żmigrodzki był pewny, że koleś sztangę dźwiga częściej, niż on sięga po piersiówkę. Dotknął kieszeni i wziął dwa szybkie wdechy.

– Wytrzymasz – powiedział do siebie. – Dasz radę.

Wziął macha i wydmuchnął dym w mroźne powietrze. Kusiło go, żeby się napić, ale nie mógł się złamać.

Żałował trochę, że zaproponował Romaniuk i Lipcowi, że będzie z Sawickim tu siedział. Mógł ściągnąć Dorotę i Trettera.

– Nic, słowo się rzekło, więc trzeba cierpieć – rzekł do siebie i spojrzał w stronę ulicy.

Sawicki właśnie parkował poloneza na sąsiadującym z kamienicą parkingu. Żmigrodzki rzucił niedopałek na ziemię i ruszył w stronę służbowego auta.

* * *

Bożena Dąbrowska została sama z mężem. Tomek poszedł do toalety.

– Jak on się trzyma? – spytał Andrzej.

– Nie wiem. Zmienił się i nie mam pojęcia, jak na to patrzeć.

– Zmienił się?

– Tak. Jest grzeczny i pomocny. Nie jak zwykły Tomek.

Dąbrowski podał żonie słoik po rosole. Bożena schowała go do starej torby.

– To, co się stało, zmieniło nas wszystkich. Może my tego nie widzieliśmy, ale jednak łączyła ich jakaś więź. Nie tylko braterska. Tomek tego nie pokazywał, a Szymek ostatnio był jakiś taki skryty.

– Też ciągle się zastanawiam, co sprawiło, że on...

– Nie myśl o tym. W niczym to nie pomoże. Nie zrozumiemy już tego – powiedział Dąbrowski i spróbował się podnieść na łóżku. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. Złapał się za pierś i opadł z powrotem na cienki materac.

– Andrzej... – Żona spojrzała na niego przerażona.

– Spokojnie. Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

– Na pewno?

– Tak. Lekko mnie złapało, ale nie ma powodu do zmartwień.

Uśmiechnął się i uniósł kciuk.

– A wracając do Szymona... Już nigdy się pewnie nie dowiemy, dlaczego to zrobił. Nie zostawił nawet listu.

– Może był gnębiony? Przecież wracał ze szkoły z siniakami. Może w klasie ktoś się nad nim znęcał?

– Może. Nie dojdziemy jednak do tego sami. Jak już stąd wyjdę, pójdziemy na policję i powiemy o naszych podejrzeniach. Niech się tym zajmą.

Bożena wiedziała, że mąż ma rację. W szkole nie powiedzą jej, czy działo się coś złego. Będą chcieli takie rzeczy zataić. Będzie musiała poczekać, aż Andrzej wróci do domu. Wtedy razem udadzą się na komisariat. Uśmiechnęła się do niego i pogłaskała po policzku.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak. Już mi lepiej.

* * *

Żmigrodzki odpalił papierosa i sięgnął do korbki w drzwiach. Otworzył okno, żeby wydmuchnąć dym.

– Powiem ci, że nigdy nie lubiłem takiego bezczynnego siedzenia na dupie – powiedział do Sawickiego.

– Mnie to nie przeszkadza. Przynajmniej nie musimy jeździć po mieście. Opony są tak łyse, że cud, że nie wpadamy w poślizg na każdym skrzyżowaniu.

– Bublewicz by nie narzekał.

– I nie żyje.

– To fakt. – Komisarz dotknął kieszeni kożucha.

– Kusi?

– Co?

Krzysiek wskazał na jego dłoń.

– Wiem, że tam masz wódkę. Pytałem, czy kusi.

– Co ty tam możesz wiedzieć. W dupie byłeś, gówno widziałeś.

– Ale wiem, że starsz się rzucić chłanie.

Żmigrodzki popatrzył na niego uważnie.

– A niby skąd?

– Obiło mi się o uszy.

Wziął macha i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Weź się z kimś na coś umów, to zaraz polecisz po całej komendzie i wykłepie. Ja pierdolę.

– To nic złego, że ktoś się o ciebie martwi.
– Nie ma powodów. Daję sobie radę.
– Pijąc?
– A co cię to, kurwa, obchodzi? Masz swoje życie? – Żmigrodzki popatrzył na partnera ze złością.
– Mam. Nawet całkiem udane. Chciałbym jednak ci pomóc. Robimy razem i nie chcę patrzeć, jak się staczasz.
– Staczałem się, zanim się pojawiłeś. Nie jesteś mi do niczego potrzebny. Jak chcesz, to możesz spierdalać.
Żmigrodzki wziął ostatniego macha i wywalił niedopałek przez okno.
– Mógłbym spierdalać, fakt. Ale dopóki robimy razem, chcę wiedzieć, że mogę na tobie polegać. Nie wyobrażam sobie, że robimy wejście na czyjś kwadrat, a ty jesteś napruty jak szpadel. Muszę mieć do ciebie zaufanie. Tyle. Jak ci się nie podoba, to sam możesz spierdalać.
– Jestem w wydziale dłużej niż ty.
– I może czas najwyższy, żebyś odszedł. Chlejesz i udajesz, że coś robisz.
Żmigrodzki zmierzył młodego z góry na dół.
– Masz jaja, żeby tak do mnie mówić.
Sawicki sięgnął do kieszeni po papierosa. Przez chwilę nerwowo palił, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem.
– Może masz rację – odezwał się nagle komisarz.
Krzysiek odwrócił się do niego, biorąc macha.
– Opierdalam się i tylko udaję, że coś działam. Chleję, to fakt. Nie będę pierzył, że jestem abstynentem. Ale ostatnio się ograniczam.
– Widzę.
– Wiem. A wiesz, czemu piję?
– Coś mi się obilo o uszy. Chodzi o sprawę Urbańskiego.
Żmigrodzki dotknął dłonią kieszeni kożucha. Zaraz jednak ją cofnął.
– Tak. Daliśmy z Romkiem dupy. Mieliśmy tezę, że Urbański jest sprawcą. Wszystko nam pasowało. Ofiary znały go i się go bały. Znaleźliśmy na miejscu zbrodni wisiołek należący do Urbańskiego. To nam wystarczyło. Mieliśmy w dupie, co nam mówi. Twierdził, że ma alibi. My jednak je olaliśmy i nawet nikt tego nie weryfikował. Wszelkie dowody jego niewinności Romek ukrywał. Potrafiliśmy nawet w papiery wpisać, że uchole nam powiedzieli o typie, który kręcił się w pobliżu miejsca zamieszkania ofiar. Podawali rysopis Urbańskiego. Oczywiście z tymi ucholami to ściema. Mieliśmy wtedy parcie na sukces i wszystko nam pasowało, żeby udupić Urbańskiego. Prokurator także chciał mieć wynik. Sąd wszystko przyjął i wydał wyrok. Wydawało nam się, że sprawiedliwy. Zabójstwa się skończyły. Do czasu. – Żmigrodzki odpalił papierosa. – Jak Urbańskiego stracono i doszło do kolejnej zbrodni, wiedzieliśmy już, że daliśmy dupy po całości. Sprawdziłem wtedy alibi Urbańskiego i okazało się, że nie mógł zabić jednej z dziewczyn. Poszperaliśmy przy kolejnych datach i wyszło, że był niewinny. To jebło w nas okrutnie. Zaczęliśmy chlać. Wiesz, jak takie coś potrafi walnąć? Czuję, jakby mi ktoś obuchem trzasnął w klatę.

Sawicki milczał.

– Zamordowano kolejną nastolatkę. Charakterystyka zbrodni była taka sama jak tych, które poszły na konto Urbańskiego. Pewnie tego nie wiesz, ale zabójca okaleczał swoje ofiary i wkładał w ich pochwy różne przedmioty. Jedna miała patyk, druga długopis, kolejna zwiniętą w rulon kartkę, taką z zeszytu szkolnego. Następna miała kapsel po piwie. To były te wcześniejsze. Ta ostatnia po śmierci Urbańskiego miała niewielki kamyk. Złapaliśmy faceta, którego wytypowaliśmy jako prawdziwego sprawcę tych pięciu zbrodni. Nazywał się Janiak. Znał ostatnią ofiarę. Mieszkał na tej samej ulicy co ona, kilka numerów dalej. Na dodatek wcześniej został spisany, jak obnażał się w przejściu podziemnym na placu 1 Maja. To nam wystarczyło, by go zawinąć do sprawy. Facet nie miał alibi, nie potrafił sobie przypomnieć, co robił i gdzie był podczas zbrodni. Dowodem przeciwko niemu był bilet kolejowy znaleziony na miejscu odnalezienia ciała ostatniej ofiary – ze stacji Mikołajów do stacji na Osobowicach. Po sprawdzeniu okazało się, że gość jeździł tym pociągiem do swojej matki, która mieszkała na Pełczyńskiej. Pokazaliśmy zdjęcie faceta kolejarzom i bez wahania go rozpoznali.

– Taki był łatwy do zapamiętania?

– Miał myszkę na policzku, wiesz, takie znamię. – Żmigrodzki pokazał palcami wielkość.

– To, że został rozpoznany, nie oznacza jeszcze, że zabił – zauważył Sawicki.

– Wiem. Romek wziął go jednak w obroty. Powiem krótko: fest go sponiewierał. Facet przyznał się, że zabijał, chociaż nie chciał powiedzieć, w jaki sposób to robił. Nam to nie przeszkadzało. Wiedzieliśmy, że trafi na Świebodzką i jeszcze nad nim popracujemy. Niestety powiesił się, zanim wzięliśmy go na kolejną rozmowę. I powiem ci, że od tego zważenia się typa wciąż mam w głowie jedną myśl.

– Jaką?

– Że może znowu daliśmy ciała i prawdziwy sprawca jest gdzieś na wolności, czekając tylko na okazję, by znowu zabić.

Krzysiek zrobił wielkie oczy.

– I czekam na kolejne ciało nastolatki, żeby się przekonać, czy to prawda.

WROCLAW, 17 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał z łóżka i podszedł do okna. Wczoraj wygadał się młodemu i teraz tego żałował. Pierwszy raz powiedział komuś, że sfałszowali z Romkiem dowody i że to przez nich zawisł na stryczku niewinny człowiek. Wcześniej wszyscy myśleli, że tylko nie sprawdzili wszystkich tropów i alibi podejrzanego. Teraz się dowiedzą, że zrobili coś znacznie gorszego.

Komisarz był świadomy, że młody to rozpowie. Sumienie nie pozwoli mu żyć spokojnie z taką wiedzą. Zresztą każdy na jego miejscu zrobiłby tak samo. Nie mógł go za to winić.

Odpał papierosa i spojrzął na swoje dłonie. Miał na nich krew Urbańskiego i może tego Janiaka. Wcześniej nikomu nie mówił, że nie jest pewny, czy kolejny podejrzany rzeczywiście był winny. Z Romkiem, gdy pili, nigdy nie wspominali Janiaka. Nie mówił też Mieszkowskiemu o swoich rozważaniach, że zabójcą jest ktoś inny niż mężczyzna, który wymknął się sprawiedliwości w celi aresztu.

Odpał papierosa, zastanawiając się, czy nie wziąć dzisiaj wolnego i nie schlać się w trupa. Nie miał pojęcia, co będzie dalej. Jeśli młody doniósł Pawłakowi, to czeka go postępowanie dyscyplinarne i spotkanie z prokuratorem. Może dojść nie tylko do wydalenia ze służby, ale i do skazania. Nie miał pojęcia, co dalej robić.

Podszedł do lodówki i wyjął butelkę wódki. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Kusila niczym wąż rajską Ewę. Uśmiechała się, prosiła, by ją otworzył. W końcu zamachnął się i rzucił nią o ścianę. Szkło rozsypało się po podłodze w kałużę ostro śmierdzącej cieczy. Nie przejmował się tym zbytnio.

– Do piekła – powiedział, biorąc macha.

Wygrał tę bitwę. Wiedział, że to niewielki sukces, ale się cieszył. Miał szansę zerwać z piciem. Nie wiedział tylko, czy warto.

* * *

Sawicki nie miał pojęcia, co zrobić z tym, co usłyszał wczoraj od partnera. Zdawał sobie sprawę, że powinien coś takiego zgłosić. Żmigrodzki z Mieszkowskim popełnili przestępstwo i powinni zostać ukarani. Pytanie tylko, czy to by cokolwiek zmieniło.

Mieszkowski nie żył, a Żmigrodzki był wrakiem człowieka. Policja to wszystko, co miał. Wydalenie ze służby i zarzuty mogłyby go dobić. A wtedy najprostszym rozwiązaniem byłoby samobójstwo. Krzysiek nie chciał mieć go na

sumieniu. Życia Urbańskiemu i Janiakowi to nie zwróci. Było jeszcze coś: nie chciał mieć łatki kapusia. Postanowił zapomnieć, o czym powiedział mu partner. Miał nadzieję, że nie zemści się to na nim w przyszłości.

Podszedł do szafy i sięgnął po dzinsy, podkoszulek oraz gruby, wełniany sweter. Dzisiaj nie zamierzał wkładać garnituru. Żmigrodzki miał rację: mógł się ubierać normalnie. Tak było wygodniej. No i nie musiał uważać, by nie zniszczyć gajera.

– O, widzę, że zmieniasz styl. Teraz tak będziesz się nosił? – usłyszał za plecami.

Obrócił się i spojrzął na Magdę.

– W dzinsach będzie mi wygodniej.

Podeszła i pocałowała go w policzek.

– Koszmar jakiś miałeś? Rzuciłeś się przez sen.

– No coś ty? – Kompletnie nie pamiętał, co mu się śniło.

– Mówiłeś coś w stylu „nie kapuję”... Zastanawiałam się nawet, czy cię nie obudzić, ale w końcu przestałeś. Męczyłam się prawie godzinę, zanim zasnęłam.

– Przepraszam.

– Krzysiek, coś się dzieje? Problemy w pracy?

– Nie – odparł i objął Magdę. Nie chciał jej martwić. Zresztą postanowił już, że to, co powiedział mu partner, zostanie między nimi. – Muszę się zbierać, bo Żmigrodzki mnie zjedzie za spóźnienie.

– Nadal się czepia?

– Trochę, ale widzę, że już odpuszcza.

Odsunął się i zaczął wkładać spodnie. Magda klepnęła go w tyłek i rzuciła:

– Nie pękaj. Będzie dobrze.

Uśmiechnęła się do niego i poszła do kuchni.

* * *

WROCLAW, 21 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Ze wszystkich moich urodzin te były najgorsze.

Zaczęło się już rano. Najpierw nie było wody, więc nie mogłem umyć zębów. Potem poszedłem do kibla i okazało się, że skończył się papier toaletowy. Podtarłem się starą gazetą przyniesioną z kuchni. Od razu wyniosłem ją do zsypu. Nie mogłem przecież wrzucić jej do sedesu, bo zapchałaby cały pion. Starzy za coś takiego by mnie chyba zabili.

Wyszedłem z domu i ruszyłem na przystanek. Już wychodząc zza bloku, zobaczyłem stojący w zatoczce autobus. Przyjechał pięć minut wcześniej, niż było napisane w rozkładzie jazdy. Chyba że to wcześniejszy miał opóźnienie. Zacząłem biec. Miałem kawałek, ale liczyłem, że zdążę. Kierowca ikarusa widział, że biegnę, a jednak zamknął mi drzwi tuż przed nosem. Pukałem jeszcze w bok autobusu, ale on powoli ruszył z przystanku. Wiedziałem, że zrobił to specjalnie. Już jakiś czas temu zauważyłem, że kierowcy autobusów i motorniczy tramwa-

jów mają ubaw, zamykając pasażerom drzwi w ostatniej chwili. Chcąc nie chcąc, musiałem czekać na kolejny.

Postanowiłem podejść na następny przystanek przy Drzewieckiego. Odpaliłem papierosa i powoli ruszyłem chodnikiem. Gdy doszedłem do skrzyżowania Balańskiej z Drzewieckiego, zaczął padać deszcz. Znowu ruszyłem biegiem, chociaż wiedziałem, że i tak zmknę – na przystanku nie było żadnej wiaty, pod którą mógłbym się schronić. I rzeczywiście – kiedy wreszcie wsiałem do autobusu, byłem cały mokry.

Przed szkołą stanąłem z dala od reszty chłopaków. Chciałem poczekać na dzwonek i wejść do sali jako ostatni. W ten sposób uniknąłbym nieprzyjemnych komentarzy. Praktycznie każdego dnia czepiali się mnie i robili mi na złość.

Gdy dzwonek zadzwonił, ruszyłem do budynku. Pierwszą lekcją miała być technologia maszyn z Wójcikiem. Stanęliśmy pod salą, czekając na nauczyciela. Nagle Mirek szturchnął Jacka i pokazał na mnie.

– Patrzcie, pedałowi się makijaż rozmazał.

Chłopacy zaczęli się śmiać.

– Może pójdziesz do kibla i podmalujesz usteczka? – Mirek podszedł i stanął na wprost mnie. Przez chwilę patrzył mi w oczy. – A może pójdę z tobą i podam ci do japy. Lubisz to, cwelu, prawda?

Nie zareagowałem. Wiedziałem, że cokolwiek powiem, będzie źle.

– On to lubi być zapinany w dupała – wtrącił Krzysiek.

– W gębę też lubi. Widziałem, jak miał brać – prychnął Mirek.

Zacisnąłem zęby. Nadal jednak milczałem.

– I co, frajerze? Uderzysz mnie? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Bo nie masz jaj, cioto! – Splunął mi w twarz.

Kumple z klasy znowu zaczęli się śmiać, gdy wycierałem policzek.

– Wójcik idzie – syknął Rafał.

Wszyscy się uciszyli. Mirek rzucił w moją stronę szyderczy uśmiech.

* * *

WROCLAW, 17 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki patrzył, jak Sawicki wysiada z poloneza. Przetarł oczy, bo nie dowierzał w to, co widział. Młody nie był tradycyjnie w garniturze, ale w dżinsach i zwykłej zimowej kurtce. Komisarz odpalił papierosa i podszedł do partnera.

– Widzę, że postanowiłeś zmienić styl – powiedział.

– Przynajmniej będzie mi cieplej, skoro nie pozwalasz włączać ogrzewania.

Komisarz spojrzął na swoje buty, a chwilę później podniósł wzrok na Sawickiego.

– I jak?

– Cieplej.

– Nie o to pytam.

Sawicki zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał.

– Pytam, czy już polazłeś do Pawlaka i powiedziałeś o tym, co zrobiłem – wyjaśnił komisarz.

– Nie jestem kapusiem. Nie mam zamiaru cię podpieprzać.

– To co zrobisz?

– Nic. – Krzysiek wzruszył ramionami. – Nie muszę nic robić. To, co zrobiliście, obciąża twoje sumienie. Jak cię podpieprzę, to nic się nie zmieni. Urbański nadal będzie sztywny. Podobnie ten Janiak. Ty może i oberwiesz po dupie, ale odnoszę wrażenie, że jest ci wszystko jedno.

Żmigrodzki patrzył na niego uważnie. W końcu wyciągnął rękę.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Może i jestem gnojem i zasłużyłbym na karę, ale... – Zamilkł na chwilę. – W sumie nie wiem nawet, co powiedzieć. Przepraszam.

Sawicki uściśnął dłoń partnera.

– Nie będę cię wybielał i ściemniał, że jest mi obojętne to, co zrobiliście. Dla mnie to nie tylko niedopełnienie obowiązków, ale zwykłe skurwysyństwo. Nic tego nie usprawiedliwia.

– Wiem.

– Może jeszcze jakiś czas temu zrobiłbym to, co powinienem. Polazłbym i załatwił ci wilczy bilet z policji. Teraz jednak uważam, że to naprawdę nic nie da. Może twoją pokutą jest to, że każdego dnia katujesz się rozkminianiem, co było i co będzie dalej. Może to twoja kara. Nie wiem.

Żmigrodzki w milczeniu rzucił niedopałek na ziemię.

– Dobra, powiem ci, jak będzie – podjął młody. – Odpieprzysz się ode mnie i zaczniesz traktować jak partnera, a nie jakiegoś wioskowego głupka. To, że jestem w służbie krócej, nie oznacza, że masz mnie dojeżdzać. To się musi skończyć. Druga rzecz: ograniczysz chłanie. Nie chcę się martwić, czy nie nawalisz w sytuacji zagrożenia.

– Nie wziąłem dzisiaj piersiówki. Została w chacie na stoliku. – Żmigrodzki poklepał się po kieszeni kozucha. – Zawsze ją brałem, bo chciałem być pewny, że jakby zaszła konieczność, to mam czym... zwilżyć usta. Teraz jednak chcę się uwolnić od wody. Jak w tym programie *Wódko, pozwól żyć*. No to ja też chcę, żeby mi pozwoliła.

Sawicki pokiwał głową. Z trudem udało mu się ukryć zdziwienie, ale był zadowolony z takiego obrotu spraw.

* * *

Tomek stanął przed budynkiem szkoły. Zastanawiał się, czy wejść do środka. Powinien zacząć normalnie żyć i na powrót uczęszczać na lekcje. Wczoraj w szpitalu ojciec powiedział mu, że muszą funkcjonować normalnie pomimo nie-normalnych okoliczności. A jednym z pierwszych kroków powinno być wrócenie na lekcje.

Początkowo chciał zaprotestować, ale w końcu obiecał ojcu, że dzisiaj pójdzie.

Zapalił papierosa. Widział stojących na boisku kolegów z klasy. Miał świadomość, że jak do nich podejdzie, zaraz zaczną się pytania o Szymka. Wolał uniknąć takich rozmów. Nie chciał rozdrapywać rany, która nie zaczęła się jeszcze zasklepiać. Wziął macha i splunął na chodnik, akurat gdy rozległ się dzwonek wzywający na lekcje.

Cała klasa skierowała się do budynku. Jeśli nie chciał się spóźnić, powinien także ruszyć do środka. Zaczął sypać śnieg. Tomek zaciągnął kaptur na głowę. Zdecydował, że jednak nie dotrzyma danego ojcu słowa. Nie mógłby usiedzieć w ławce, wiedząc, że gdzieś tam Dragon spokojnie sobie żyje, nie przejmując się tym, do jakiej tragedii doprowadził.

Pstryknął niedopałkiem w pobliski żywopłot i odwrócił się na pięcie. Zdecydował. Dzisiaj pojedzie dokończyć sprawy, które zaczęły się w bunkrze. Dokona zemsty i zabije Dragona. Jego czas się skończył. Nie było sensu dłużej czekać.

Ruszył w stronę przystanku tramwajowego.

* * *

WROCLAW, 27 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Stałem na szkolnym korytarzu z Bašką. Rozmawialiśmy o muzyce. Podobała mi się ta piętnastolatka. Miała urocze dołeczki w policzkach i piękne oczy. Jak się uśmiechała, one także się śmiały. Miałem ochotę zaprosić ją do kina. Poznałem ją wczoraj w szkolnej bibliotece. Minęliśmy się w drzwiach. Była zajęta rozmową z koleżanką i weszła prosto we mnie. Przeprosiła i pięknie się uśmiechnęła, a ja poczułem szybsze bicie serca.

Teraz miałem okienko w planie lekcji. Nauczycielka od rysunku technicznego była chora i nie dali nam zastępstwa. Reszta klasy poszła na dwór. Była ładna pogoda i każdego ciągnęło na powietrze. Ja jednak wolałem zostać w szkole. Nie chciałem przebywać z klasą. Miałem już dość tych głupich docinków. Nie zrobiłem nic złego i nie rozumiałem, dlaczego próbowali mi wmówić, że jestem pedałem. Kilka razy starałem się zdementować te pogłoski, ale nikt mnie nie słuchał. Byłem wściekły na tego Pawła i na Mirka. Gdyby jeden mnie nie pocałował, a drugi na tym nie przyłapał, wszystko byłoby jak dawniej.

– Co ty na to, żeby wyskoczyć gdzieś razem? – zapytała nagle Basia.

Spojrzałem na nią zaskoczony. To ja miałem wykazać inicjatywę i coś jej zaproponować. Skoro jednak zdobyła się na wykonanie pierwszego kroku, oznaczało to, że nie jestem jej obojętny. Znowu poczułem szybsze bicie serca.

– Jasne, chętnie. Może kino?

– A na co byśmy poszli?

– Teraz w Warszawie grają *Człowieka demolkę* ze Stallone'em – powiedziałem.

– Eee, nie lubię go. Może coś innego?

– Na przykład?

– Moja siostra była na *Parku Jurajskim*. Mówiła, że fajny. Ma sporo efektów specjalnych i nawet można się trochę tego bać.

– Czego? Efektów specjalnych?

Baśka pokręciła głową.

– Nie. Tego wszystkiego. Wyobraź sobie, że komuś udaje się wyhodować prawdziwe dinozaury i one uciekają. Przecież na milion procent by na nas polewały!

– Ale na szczęście nikt tego nie zrobi. Nie ma takich technologii.

– No nie wiem. Mój stary czytał książkę, taką naukową, i tam było napisane, że kwestią najbliższych lat będzie zdobycie technologii, która pozwoli na klonowanie komórek.

– Klonowanie?

– No, że będzie się z jednej tworzyło kilka.

Nie wierzyłem w jej słowa. To było dla mnie nie do pomyślenia. Przypominało wizję rodem z filmów science fiction.

Uśmiechnąłem się i spytałem:

– To na którą to kino?

– Trzeba zobaczyć w gazecie, o której grają. Spotkamy się na miejscu.

Cieszyłem się na tę randkę. Nie mogłem się już doczekać.

* * *

WROCLAW, 17 LUTEGO 1994 R.

Gdy tylko Żmigrodzki z Sawickim weszli do wydziału, komisarz zauważył leżącą na jego biurku teczkę.

– Co to? – spytał Trettera.

– Protokół sekcji jakiegoś Szymona Dąbrowskiego.

– Kogo? – Nie kojarzył nazwiska, nie potrafił przyporządkować go do jakiegokolwiek prowadzonej przez wydział sprawy.

– To chyba ten, co rzucił się pod pociąg.

– Ale przecież prorok dał sprawę do umorzenia. Nie było udziału osób trzecich.

– Ale sekcja była.

Żmigrodzki podniósł teczkę i ją otworzył.

– Wypada chociaż zajrzeć – mruknął i zaczął czytać.

Sawicki zajął swoje miejsce i skinął głową Szymańskiej. Dorota uśmiechnęła się do niego.

– Będziecie jechać zmienić Karolinę i Andrzeja? – spytała.

– Taki jest plan.

Żmigrodzki przełożył kartkę i zmarszczył czoło.

– Ki chuj...

– Co tam? – zainteresował się Tretter.

Komisarz usiadł na swoim miejscu i przełożył kilka kolejnych kartek. Chwilę później zrobił to samo w drugą stronę.

– Powiesz czy zachowasz to dla siebie? – zapytała Szymańska.

– Tutaj jest napisane, że ten Dąbrowski nie był pod wpływem narkotyków, a ilość alkoholu w organizmie była znikoma. Można nawet powiedzieć, że takie stężenie jest naturalne po śmierci.

– I co w tym dziwnego?

– W tym akurat nic. Ale tu jest wzmianka, że odbył denata był poważnie uszkodzony. Są obtarcia i otwarte rany.

– Czyli pedał? – spytał Tretter.

– Na to by wyglądało, gdyby nie fakt, że rany są poważne. Nie wynikają ze zwykłego seksu. Ślady wskazują, że coś, co spowodowało obrażenia, miało dużą średnicę. Mógł to być jakiś przedmiot.

– I co w związku z tym? – zainteresowała się policjantka.

– A to, że nikt by nie wytrzymał takiego bólu. Więc albo ten dzieciak był kurewsko odporny i sam wkładał sobie coś w dupsko, albo...

– Albo ktoś mu to zrobił – odpowiedział Sawicki.

* * *

Tomek wszedł do domu i od razu skierował się do swojego pokoju. Matki nie było. Pamiętał, że miała skontaktować się z ciotką Teresą, żeby wspólnie zająć się organizacją pogrzebu Szymka. Pewnie trochę im zejdzie.

Wszedł do siebie i zza wersalki wyjął bagnet. Chwilę ważył go w dłoni. W końcu położył go na biurku. Z wojskowej raportówki wyciągnął kanapki, które naszykował sobie do szkoły. Usiadł i zaczął jeść. Musiał sobie to wszystko ułożyć w głowie. Z tego, co usłyszał ostatnio pod jego domem, wynikało, że w nocy Dragon zwykle wychodzi na miasto. Jego babcia śpi, a on wtedy wyłazi. W tym Tomek widział swoją szansę. Zakradnie się do środka pod jego nieobecność i w ciemności zaczeka. Potem dokona zemsty i niepostrzeżenie opuści dom. Wszystko mu pasowało. Musiał tylko odpowiednio się przygotować.

Zastanawiał się, czy nie poznać się trochę nad skinem. Mógłby mu pokazać, co to ból. Zrobiłby z nim to samo, co ten zrobił z jego młodszym bratem. Tomek chciałby usłyszeć, jak błaga o litość. Pragnął zobaczyć jego łyzy. Uśmiechnął się na samą myśl o tym.

Wstał z wersalki i poszedł do kuchni. Na stole leżała kartka zostawiona przez matkę. Wziął ją do ręki i przeczytał na głos:

– Ryż masz w kocu u mnie w pokoju. Sos jest w garnku. Podgrzej sobie i zjedz. Smacznego. Będę wieczorem. Pa.

Spojrzał na kuchenkę i zobaczył niewielki garnek. Po kanapkach ze szkoły nie był głodny. Może później się skusi. Musiał jednak wyjść wcześniej z domu. Nie chciał, żeby matka go wypytywała, dokąd idzie. Zastanawiał się, gdzie ma przejechać do wieczora.

Sięgnął do kieszeni po papierosy. Przez chwilę palił, patrząc na kartkę. Kusiło go, żeby coś odpisać, ale zrezygnował. Nie chciał, by wiedziała, że wrócił po szkole do domu. Zgasił papierosa w stojącej w zlewie szklance, po czym splukał popiół. Niedopałek wyrzucił do kosza na odpadki i przykrył jakimś śmieciem.

Wrócił do swojego pokoju i schował do szafy swoją raportówkę. Bagnet wsunął za pasek spodni.

Wziął głęboki oddech i ruszył do drzwi.

* * *

WROCLAW, 27 PAŹDZIERNIKA 1993 R.

Kolejny raz zerknąłem na zegarek. Film zaczął się już kwadrans temu. Baśka się nie pojawiła. Zdecydowałem się poczekać jeszcze piętnaście minut. Może uciekł jej autobus albo tramwaj. Odpaliłem papierosa i patrzyłem na stojące przed kinem osoby. Część z nich wychodziła z poprzedniego seansu; słyszałem, jak komentują film.

Spojrzałem na stojącą kawalek dalej parę. Całowali się. Poczuję się dziwnie. Ja też pragnąłem czułości. Chciałem mieć kogoś, do kogo mógłbym się przytulić, z kim mógłbym spędzać czas. Chciałem mieć w końcu kogoś, z kim mógłbym stracić dziewictwo. Miałem swoje potrzeby i masturbacja już mi nie wystarczała. Chciałem poczuć, jak to jest z kobietą. Wiele bym dał, żeby w końcu spróbować seksu. Wcześniej z dziewczynami tylko się całowałem i pieściłem, czasem zrobiłem którejś palcówkę. Incydentu z przedwczesnym wytryskiem podczas wizyty u Anki nie chcę nawet wspominać. Wiedziałem, że nie jestem ani brzydki, ani garbaty, żeby nie znaleźć sobie dziewczyny. Skoro mój brat potrafił sobie coś przygruchać, to mogłem i ja.

Tomek co jakiś czas sprowadzał do domu dziewczyny. Byłem zaskoczony, że ma takie powodzenie. Wcześniej myślałem, że jako łysy skin nie będzie miał takiego wzięcia, ale prawda okazała się inna. Miał gadane i potrafił zakręcić laskami. Zastanawiałem się, czy ja też bym potrafił. Byłem jednak trochę nieśmiały. Zawsze jak widziałem jakąś fajną dziewczynę, początkowo wszystko szło w dobrym kierunku. Potem jednak zaczynały mi się pocić ręce i gadałem głupoty.

Może Baśka się do mnie zraziła, bo powiedziałem coś głupiego? – przemknęło mi przez głowę.

Spojrzałem na tamtą parę. Odchodzili, trzymając się za ręce. Zerknąłem na zegarek. Byłem pewny, że Basia już nie dojedzie.

Ruszyłem w stronę przystanku.

* * *

WROCLAW, 17 LUTEGO 1994 R.

Całą drogę do Leśnicy Żmigrodzki myślał o protokole sekcyjnym Szymona Dąbrowskiego. To, co tam wyczytał, rzucało nowe światło na całe zdarzenie. Jeśli

nastolatek został brutalnie zgwałcony za pomocą jakiegoś przedmiotu i to sprawiło, że postanowił popełnić samobójstwo, prokurator powinien się nad tym pochylić. Oczywiście sprawa nie leżała w ich gestii jako wydziału zabójstw, należała do kryminalnych. Będą musieli przekazać protokół do prokuratury i niech oni decydują, co dalej.

Spojrzął na Sawickiego. Zastanawiał się, czy może temu chłopakowi ufać. Niby zapewnił go, że nie zamierza nigdzie zgłaszać tego, co zrobili z Mieszkovskim, ale nie wiadomo, czy za jakiś czas nie zacznie go tym szantażować. Może też po złości zmienić zdanie. Wiedział, że popełnił błąd, zdradzając mu szczegóły sprawy, ale czasu już nie cofnie.

– Powiesz mi coś o sobie? – spytał Sawickiego.

Krzysiek odwrócił się do niego zaskoczony.

– Niby co?

– No nie wiem. Może ile masz lat, skąd pochodzisz, czy masz pannę. Takie pierdoły, jakie zwykle się mówi kumplowi z roboty.

Sawicki wzruszył ramionami.

– W sumie nie ma co gadać.

– Z Wrocka jesteś?

– Tak. Tu się urodziłem i mieszkam.

– A ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery.

– I co sprawiło, że postanowiłeś zostać psem? Tradycje rodzinne?

– Nie. U mnie nikt nie miał związku z resortem. A dlaczego zostałem psem?

Podjąłem pewną decyzję i to są jej skutki.

Żmigrodzki uniósł brew.

– Dostałem się na uniwersytet, chciałem być nauczycielem historii – wyjaśnił młody. – Po pierwszym roku jednak poczułem, że wolę robić coś innego. Przerwałem studia i nawet nie pomyślałem, że wtedy upomni się o mnie wojsko. Dostałem wezwanie po bilet. Wtedy przestraszyłem się na poważnie. Ojciec miał znajomego, który miał brata w policji. Udało się tak załatwić, że wojo mogłem odsłużyć w psiarni. I już zostałem. Poszedłem do szkółki, a zaraz po niej trafiłem na Jaworową.

– No to szybko ci poszło. A na Krzykach to w jakim wydziale tyrałeś?

– W kryminalnym.

– To chyba jednak szczęścia miałeś wyjątkowo dużo. Albo ktoś cię holował w górę. Teraz miejska. Myślę, że masz jakiegoś protektora, który dba o twoją karierę.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ja o nic się nie prosiłem.

Żmigrodzki popatrzył na wejście do kamienicy, w której mieszkał Marek Malicki. Faceta nie było i nie wiedzieli, kiedy może się pojawić.

– Nie lubię tak siedzieć na dupie – stwierdził.

– Mówiłeś już.

Przez chwilę trwali w milczeniu. W końcu Sawicki spytał:

– Co zamierzasz z tym zrobić?

- Z czym?
 - Z tym protokołem sekcji.
 - Przekażę prorokowi, niech on decyduje. Pewnie zostanie wszczęte śledztwo i kryminalni się tym zajmą.
 - A czemu nie my?
 - Bo nie ma tu bezpośredniego udziału osób trzecich. Nikt chłopaka nie popchnął pod tę lokomotywę. Świadek i maszynista zeznali, że stał na torach sam.
 - Możemy to zrobić na nieoficjalu.
- Żmigrodzki popatrzył na partnera zaskoczony. Nie wiedział, dlaczego Sawickiemu tak zależy na tej sprawie.

* * *

Anna podjęła decyzję, że powie Tomkowi o wpadce. Musiała wiedzieć, na czym stoi.

Sięgnęła po telefon i wybrała numer Dąbrowskich. Czekala kilka sygnałów, a gdy nikt nie odebrał, odłożyła słuchawkę na widełki. Dopiero teraz do niej dotarło, że Tomek może być w szkole. Ona zrobiła sobie dziś wagary.

Podeszła do okna i zobaczyła, że jej chłopak idzie w stronę sąsiedniego bloku. Tam na tarasach przesiadywała młodzież i było to jedno z jego ulubionych miejsc. Szybko narzuciła kurtkę, a na nogi włożyła kozaczki. Wypadła z mieszkania, nawet nie fatygując się, żeby zamknąć drzwi na klucz. Miała zamiar zaraz wrócić. Zjechała windą na dół i wyszła z bramy. Widziała, jak Tomek zniknął za rogiem bloku. Pomimo oblodzonego chodnika przyśpieszyła kroku. Miała nadzieję, że się nie poślizgnie i nie złamie nogi.

- Tomek! – zawołała.
- Dąbrowski odwrócił się i ją zauważył.
- Poczekaj! – Podbiegła do niego.
- Nie mam czasu – mruknął.
- Musimy pogadać.
- Anka, potem. Teraz się śpieszę.
- Odwrócił się i ruszył dalej.
- Ej! Nie odwracaj się do mnie dupą!
- Ponownie na nią spojrzął.
- Śpieszę się. Mam coś do załatwienia.
- Ale ja naprawdę...
- Anka – przerwał jej ze złością. – Mój brat rzucił się pod pociąg. Ojciec miał zawał i jest w szpitalu. Nie mam siły dzisiaj na gadki. Jutro do ciebie przyjdę i pogadamy. Pasuje?

Widziała wściekłość w jego oczach. Skinęła głową. W sumie rozmowa mogła poczekać jeszcze ten jeden dzień.

* * *

Zobaczyłem Baškę przed wejściem do szkoły. Stała z dwiema koleżankami i o czymś rozmawiała. Widziałem, że co chwila zerka w moją stronę. Postanowiłem się dowiedzieć, dlaczego wczoraj mnie wystawiła. Początkowo się łudziłem, że coś jej wypadło. Potem jednak stwierdziłem, że zrobiła to specjalnie. Nie wiedziałem tylko dlaczego. Przez cały wieczór próbowałem to zrozumieć. Po co w ogóle zaproponowała wspólne wyjście, skoro jej się nie podobałem?

Postanowiłem ją o to zapytać. Podeszedłem do niej i stanąłem obok. Koleżanki Basi zasłoniły usta. Miałem wrażenie, że coś je bawi.

– Czekalem wczoraj przed kinem – powiedziałem.

– No i? – spytała Baška.

– No i nie przyszłaś.

Koleżanki odwróciły się w drugą stronę. Wiedziałem, że ledwo się powstrzymują, by nie zaśmiać się na głos.

– A po co miałam przychodzić? – Baška uniosła brwi.

– Bo się ze mną umówiłaś?

Uśmiechnęła się nieznacznie, jednak inaczej niż wcześniej. Ten uśmiech był szyderczy.

– Ale ty to powinieneś do kina chodzić chyba z chłopakiem. Do czego ja ci jestem potrzebna?

– Nie rozumiem.

– No przecież ty wolisz chłopaków.

– Jak wolę? Co ty pieprzysz? – Czułem, że nogi zaczynają mi drżeć ze stresu.

Koleżanki Baški odwróciły się w moją stronę.

– Przecież wszyscy wiedzą, że jesteś pedałem – powiedziała jedna z nich.

– Nie jestem! – zaprotestowałem.

– Ponoć łąsisz z jakimś za rączkę i się z nim liżesz w parku – powiedziała druga.

Byłem wściekły. Bzdury, jakie wygadywał na mój temat Mirek, dotarły do dziewczyny, co do której miałem plany. Miałem ochotę go zabić.

– Szymon, daj sobie spokój. Jeśli chciałeś się mną zabawić i zrobić ze mnie głupią, to ci się nie uda. Ja nie mam nic do tego, że wolisz chłopaków. Naprawdę.

– Wolę dziewczyny. Wolę ciebie.

– Nie przerobisz mnie. Nie chcę być niczyją zabawką. I nie mam zamiaru być dla ciebie przykrywką. Nie będziemy razem, pogódź się z tym.

– Daj nam szansę. Nie niszczy tego już na wstępie – poprosiłem.

Czułem, jak do oczu napływają mi łzy. Baška dała mi kosza, zanim cokolwiek się między nami zaczęło. Czułem ból.

– Zwyczajna ciota. Patrzenie, jak beczy – powiedziała jedna z jej koleżanek.

Otarłem łzę i popatrzyłem na Baškę. Pokręciła głową. Zdałem sobie sprawę, że nie uda mi się jej przekonać. Żadna dziewczyna nie będzie chciała być z chłopakiem, o którym mówią, że jest pedałem.

WROCLAW, 17 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki patrzył na poloneza, który właśnie podjechał ze zmianą. Lipiec zaparkował kawałek dalej i zgasił silnik. Wysiedli z partnerką z auta i spojrzeli w ich stronę. Romaniuk machnęła do nich ręką. Sawicki odwzajemnił gest.

– Nie – powiedział Żmigrodzki.

Krzysiek odwrócił się do niego zaskoczony.

– Co nie?

– Nie będziemy nieoficjalnie zajmować się sprawą tego maślaka. Niech prokuratura zadecyduje, co dalej.

– Ale przecież ktoś dzieciaka skrzywdził.

– Ale my nie jesteśmy siostra Teresa z Kalkuty, by ukoić ból wszystkich skrzywdzonych. Nie było zabójstwa, więc to nie nasza sprawa.

– Matka.

– Co matka?

– Matka Teresa.

– Mniejsza z tym. Chłopak sam się rzucił i tyle. Nie nasza sprawa. Jak prorok będzie chciał przy tym grzebać, wtedy najwyżej się tym zajmiemy.

– Ale...

– Nie ma „ale” – przerwał Żmigrodzki. – Młody, powiedz mi jedno: dlaczego tak ci zależy na tej sprawie?

Sawicki wzruszył ramionami.

– Zwyczajnie mi zależy, jak na każdej.

– Nie. Tutaj jest jakieś drugie dno. Ty też jesteś ciepły?

– Co? Nie! No co ty! Mam dziewczynę.

Komisarz odpalił papierosa, patrząc na idących w ich stronę zmienników.

– To co tak ich bronisz? – spytał, wydmuchując dym.

– Nie bronię. Mówię tylko, że warto się dokładniej przyjrzeć sprawie. Tyle. Nie szukaj tu drugiego dna, bo go nie ma.

– Jak tam chcesz. Dobra, pora zdać służbę i zmykać.

Żmigrodzki wysiadł z poloneza i zapiął guziki kożucha.

– Cisza i spokój – powiedział, witając się z Lipcem.

– A jak długo zamierzasz prowadzić tu obserwację? – spytała Romaniuk.

– Do skutku. Dopóki się nie pojawi.

– To może potrwać – zauważył Lipiec.

– Tak uważasz? Mieszka tu, więc kiedyś musi wrócić. Trzeba będzie sprawdzić wytrzeźwiałkę. Może zapił. Na dołku go nie ma, bo już byśmy wiedzieli.

– To może puścić do patroli, że go szukamy? – podsunęła policjantka.

Żmigrodzki rzucił niedopałek na ziemię i pokręcił głową.

– Nie, jeszcze za wcześnie. Jak się nie pojawi do rana, może tak zrobimy. Teraz my się zmywamy, a wam życzę cieplej i spokojnej nocki – dodał, po czym wsiadł z powrotem do poloneza.

Tomek wysiadł z autobusu i poszedł w stronę posesji Dragona. Zaciągnął kaptur na głowę. Starał się iść po nieoświetlonej stronie ulicy. Stanął przy płocie i rozejrzał się dookoła.

Nikogo w pobliżu nie zauważył. Przeskoczył przez ogrodzenie i od razu przywarł do ziemi. Bagnet wypadł mu zza paska. Szybko go podniósł i włożył na miejsce. Kucał, starając się uspokoić oddech. Był zestresowany. To, co zamierzał zrobić, było złe i powszechnie nieakceptowalne. Musiał jednak pomścić Szymka.

Podszedł do okna i zobaczył, że Dragon szykuje się do wyjścia. Zakładał własnie dzinsy i podciągał szelki na ramiona. Ubrany był w białą koszulkę z napisem „White Power”. Chwilę później włożył na nogi wysokie głany. Tomek od razu je rozpoznał. Dwa tygodnie temu pobili młodego metala, który miał je na nogach. Dragon zdjął je nieprzytomnemu chłopakowi i sam założył. Stwierdził, że martensy pasują idealnie. I że czuje się jak Kopciuszek, który przymierza pantofelek. Śmiali się wtedy z tego żartu, stojąc obok nieprzytomnego metalowca. Teraz to już nie wydawało się takie zabawne.

Do pomieszczenia weszła babcia Dragona i ucałowała wnuczka w policzek. Tomek miał ochotę krzyknąć, by tego nie robiła. Uważał, że całowanie tego zwyrodnialca jest czymś niestosownym. To przecież Dragon sprawił, że Szymek rzucił się pod pociąg, a ta go obcałowuje. Zaciśnął pięść i patrzył, jak jego cel wkłada flyersa i kieruje się w stronę drzwi. Kusiło go, by od razu go zaatakować, ale wiedział, że to mógłby być błąd. Dragon jeszcze zaczęłby krzyczeć i zaalarmowałby sąsiadów. Poza tym był od niego silniejszy i mógł się obronić. Plan, który wcześniej obmyślił, był lepszy, chociaż wymagał ogromnej cierpliwości. A tej Tomkowi zaczynało brakować.

Dragon wyszedł z domu i ruszył w stronę furtki. Tomek szybko umknął w pobliskie krzaki. Wstrzymał oddech, gdy skin ruszył w stronę przystanku. Dopiero po chwili wypuścił powietrze ustami. Teraz pozostało mu czekać, aż babcia Dragona zaśnie. Wtedy wejdzie do domu i poczeka na swój cel.

WROCLAW, 18 LUTEGO 1994 R.

Tomek spojrział na zegarek. Dochodziła piąta rano, a Dragon jeszcze nie wrócił.

Nie było sensu dłużej czekać. Wstał z krzesła i rozprostował kości. Potem podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Babcia Dragona pochrapywała miarowo w sąsiednim pokoju. Tomek postanowił przejrzeć rzeczy skina. Pamiętał, jak ten wiele razy chwalił się swoimi znaleziskami. Wszyscy wiedzieli, że Dragon zbiera pozostałości z czasów wojny. Kilka razy przynosił do bunkrów jakieś przedmioty, z reguły naboje karabinowe. Kiedyś przyniósł pocisk, a raz pokazywał granat znaleziony w okolicy Głogowa.

Tomek spojrział na regał. Na półkach było pełno oczyszczonych pocisków i jakieś fragmenty broni. Był też stary niesprawny pistolet. Kojarzył taki z serialu o przygodach kapitana Klossa. Były tu też porzuczone niemieckie hełmy z czasów drugiej wojny. Podsunął sobie krzesło i stanął na nim, po czym zdjął jeden z nich i nałożył na głowę. Żałował, że w pokoju nie ma lustra. Chętnie zobaczyłby, jak wygląda. Odłożył hełm na miejsce, a krzesło odstawił z powrotem. Nie chciał zostawić żadnych śladów świadczących o swojej obecności w tym miejscu. Ponownie podszedł do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Pchnął drzwi i poszedł w stronę pokoju, w którym zostawił otwarte okno. Miał nadzieję, że nikt nie zauważy uszkodzeń framugi.

Aby się tu dostać, musiał ją podważyć i trochę pokieraszować. Rozejrzał się i wspiął na parapet, po czym wyskoczył na zewnątrz. Następnie przymknął okno. Wieczorem będzie musiał znowu przez nie wejść. Spojrzął na swoje ślady na śniegu. Miał nadzieję, że zaraz zacznie padać i zakryje odciski, jakie zostawiły jego buty. Liczył też na to, że Dragon po powrocie nie będzie obchodził posesji.

Ostrożnie skierował się w stronę bramy.

* * *

Żmigrodzki zerwał się z krzykiem. Śnił mu się koszmar. Był cały mokry od potu i ciężko oddychał. We śnie stał razem z Urbańskim w celi, w której wykonywano wyroki śmierci. Na szyjach mieli pętle i czekali, aż kat zwolni zapadnię. Na wprost nich siedziało kilkanaście kobiet i nastolatek. Część z nich kojarzył. Były to ofiary zabójcy, którego zbrodnie przypisali Urbańskiemu. Większości jednak nie znał. Kobiety wskazywały na nich palcami.

Ich spojrzenia wyrażały nieme oskarżenie. Nagle jedna z nich wstała i podszła bliżej. Była to trzecia nastolatka, której zabicie przypisali Urbańskiemu. Sta-

nęła przed nim i powiedziała:

– Morderca.

Kolejna, której nie kojarzył, stanęła obok niej i cicho rzuciła:

– To ty nas zabiłeś.

Chciał zaprotestować, ale nikt go nie słuchał. Zaczął krzyczeć, jednak nikt się tym nie przejmował. Kat zbliżył się i włożył mu do ust mokrą szmatę. Zaczął się krztusić.

Patrzył z przerażeniem, jak nastolatka, która stwierdziła, że to on je zabił, podchodzi do dźwigni otwierającej zapadnię. Spojrzała na kata, a ten w milczeniu skinął głową. Wtedy położyła dłoń na lewarze i zaczęła ciągnąć. Zbudził się z krzykiem.

Wstał z łóżka i sięgnął po papierosy. Drżącymi rękami odpalił jednego i wydmuchnął dym. Palił w milczeniu, starając się uspokoić oddech. W końcu zdecydował się wstać.

Spojrzał na zegarek leżący na stoliku. Dochodziła szósta. Nie było sensu już się kłaść. Poszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Alkoholu się nie spodziewał. Po tym, jak ostatnio rozwalił butelkę, nie tknął ani kropli. Męczyła go ta abstynencja. Zaczynał odczuwać objawy odstawienia alkoholu. Zastanawiał się, kiedy powie „dość” i jednak sięgnie po wódkę. Bo że tak będzie, miał pewność. Strzepnął popiół do zlewu i otworzył szafkę. Wyjął szklanke i wstawił wodę w czajniku. Następnie wyjrzał przez okno. Na zewnątrz było jeszcze ciemno. Parę osób odśnieżało swoje samochody. Świat zaczynał swój codzienny bieg.

Wziął macha, zastanawiając się, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby kiedyś nie zdecydował się na pewne rzeczy przymknąć oko, a inne wyolbrzymić. Jak wyglądałaby jego służba w policji, gdyby nie szli uparcie do celu i nie zdecydowali się z Romkiem zrobić niewinnego człowieka w zbrodni, których nie popełnił. Podszedł do zlewu i zagaścił papierosa. Niedopałek wyrzucił do kosza na śmieci. Popatrzył na zawartość kubła. Jego obecne życie było nic niewarte.

Był niczym śmieć. A miejsce takich jak on jest na wysypisku.

* * *

Bożena Dąbrowska całą noc nie zmrużyła oka. Zastanawiała się, gdzie jest Tomek.

Była zaskoczona, gdy wczoraj po powrocie nie zastała go w mieszkaniu. Obiad całkiem wystygł. Nic też nie świadczyło o tym, że po szkole wrócił do domu. Nie wiedziała, czego może się po nim spodziewać. Miała nadzieję, że nie zrobił nic głupiego. Liczyła, że śmierć Szymka odmieniła go na dobre. Nie potrzebowali z Andrzejem więcej problemów.

Przez cały wieczór chodziła od okna do okna. Miała nawet zamiar przejść się po kolegach Tomka, może oni coś by wiedzieli. Nie zdecydowała się jednak. Wiedziała, w jakim towarzystwie obraca się jej syn i że pewnie nikt nie zechce jej pomóc. Źle pojęta lojalność sprawiłaby, że kryliby Tomka, nawet gdyby zrobił coś złego.

Sięgnęła po zimną już herbatę i wzięła dwa łyki. Kilka minut wcześniej przeglądała album z rodzinnymi fotografiami. Patrzyła na uśmiechniętego Szymka pozującego do zdjęcia z gitarą, którą cztery lata temu dostał w prezencie pod choinkę. Marzyła mu się wtedy kariera piosenkarza i chciał się nauczyć grać na jakimś instrumencie. Najbardziej podobała mu się właśnie gitara. Mówił, że brat koleżanki z klasy jest harcerzem i jeździ na obozy. Tam przy ognisku grają na gitarze i śpiewają piosenki. Harcerzem też chciał być. Zapisał się nawet do drużyny, która działała przy szkole. Miał mundurek, po który jeździli do składnicy harcerskiej przy Jedności Narodowej. Oprócz niego kupili wtedy pas i finkę. Ale Szymek poszedł tylko na jedną zbiórkę. Wrócił wściekły. Powiedział, że został wyrzucony przez harcmistrza. Z tego, co mówił, za nic. Rzekomo stał z kolegą, który popalał papierosy, i wtedy przyszedł ten druh i powiedział, że w jego drużynie nie ma miejsca dla palaczy. Bożena była zła. Nie dość, że mundurek i pozostałe rzeczy sporo kosztowały, to jeszcze ciężko było je kupić. Dwa razy jeździli do składnicy i czekali, aż pojawią się niezbędne harcerskie akcesoria. Szymek po tej sytuacji nie chciał już być harcerzem i nie wziął więcej gitary do rąk. Stała teraz w jego pokoju za szafą, bezużyteczna.

Bożena otarła łzę. W tym samym momencie usłyszała odgłos przekręcane go w zamku klucza.

Wyszła Tomkowi naprzeciw.

* * *

Tomek spojrzął na stojącą w progu pokoju matkę.

– Gdzie byłeś? – spytała.

Zaskoczyła go tym, że już nie śpi. Mógł się jednak spodziewać, że się o niego martwi. Ściągnął kurtkę i powiesił na kołku. Następnie zaczął zdejmować ubłone buty.

– Pytałam o coś.

– Musiałem się przejść – powiedział.

– I całą noc tak chodziłeś?

– Mam wiele do przemyślenia.

Matka patrzyła na niego podejrzliwie. Widział, że stara się go wybać.

– Mamo, jakbyś nie zauważyła, Szymek był dla mnie tak samo ważny jak dla ciebie i ojca. Jego śmierć mnie też zmioła.

Podeszła bliżej. Wtedy zauważył, że ma czerwone od płaczu oczy.

– Przepraszam – powiedziała cicho.

– Muszę sobie życie poukładać na nowo.

Czuł, że zaraz może pęknąć. Rozsypać się jak szklanka na milion drobnych kawałków. Nie chciał się teraz załamać. Musiał wykonać zadanie, nie mógł się wycofać. Może nie potrafił zadbać o Szymka za życia, może nie postawił się Dragonowi, kiedy ten znęcał się nad jego młodszym bratem, może nie zrobił wielu rzeczy, ale tę jedną musi. Musi pokazać Dragonowi, co to prawdziwy ból. Zaci-

snął powieki, starając się powstrzymać łzy. Po chwili przełknął głośno ślinę i otworzył oczy.

Matka wciąż stała w miejscu, patrząc na niego ze smutkiem. Podeszedł do niej i ją objął.

* * *

Żmigrodzki wysiadł z poloneza i odpalił papierosa. W ich stronę szła Romaniuk.

– Nikogo. Może on tu jednak nie mieszka – powiedziała, zapinając kurtkę.

– Może. Trzeba się rozpytać miejscowej żulerni – zdecydował i skierował się w stronę pobliskiego spożywczaka.

Sawicki ruszył za swoim partnerem. Pomimo zimy i minusowych temperatur przed sklepem stała grupka mężczyzn. Żmigrodzki wiedział, że takie wystawianie i zaczepianie przechodzących w pobliżu wejścia ludzi z prośbą o postawienie jakiegoś trunku jest w tej okolicy tradycją przekazywaną z dziada pradziada.

Już po chwili komisarz stanął przed czterema mężczyznami, którzy popijali tanie wino.

– Cześć.

– Znamy się, kolo? – spytał jeden z mężczyzn.

– Jeszcze nie, ale możemy się poznać.

– Pies?

– Nie inaczej.

– Z psami nie gadamy.

– Ze mną pogadacie.

Facet przez chwilę przyglądał się komisarzowi. W końcu stwierdził:

– Powiem ci, że wyglądasz na kumatego. Nie wiem tylko, czemu chcesz to pozytywne wrażenie zatrzeć.

Żmigrodzki był zaskoczony. Spodziewał się kogoś, kto będzie przeklinał, a na pewno kogoś z ograniczonym słownikiem. Tymczasem gość wyglądał i zachowywał się, jakby był dobrze wykształcony i tylko jakieś wydarzenie w jego życiu sprawiło, że stał teraz z miejscowymi menelami i pił tanie wino.

– Dobra, nie będę się do was dopierdalał o te jabcoki. Nie interesi mnie to.

– No to cześć. – Mężczyzna odwrócił się do swoich kompanów.

– Chciałem miło, ale widać, trzeba inaczej – westchnął komisarz. – Do ściany i łapska na elewację.

– Pogięło cię, koleś? – wtrącił drugi z meneli.

Sawicki stanął przy nim i lekko pchnął go na ścianę. Romaniuk i Lipiec także podeszli bliżej. Mężczyzna, z którym wcześniej rozmawiał Żmigrodzki, uniośł ręce, jakby się poddawał. Komisarz wziął go pod ramię i pociągnął za sobą. Jakieś dziesięć metrów dalej odwrócił pijaka w swoją stronę i wycedził:

– Mogę ci narobić niepotrzebnych problemów. Twój wybór.

Mężczyzna w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Żmigrodzki odwzajemnił gest i go puścił.

– Chciałbym uzyskać pewną informację.

Następnie wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował mężczyznę. Ten włożył jednego do ust. Odpalili w milczeniu.

– Szukamy Marka Malickiego. Mieszka na kwadracie po Heńku – powiedział komisarz, wydmuchując dym.

– Skoro mieszka, to tam go szukajcie.

– Nie ma go teraz na jamie. Wiesz może, gdzie go spotkam?

Mężczyzna strzepnął popiół, spojrział na swoje buty i wytarł jeden o nogawkę spodni.

– Nie kojarzę go zbyt dobrze – powiedział po chwili.

– Odpuszczę ci grzechy.

– A ty co, ksiądz czy pies?

– Pies, ale mam chody. Także tam. – Żmigrodzki wskazał palcem niebo.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Dobra. Jakoś tak dobrze ci z oczu patrzy, że mnie przekonałeś. Chłopaka nie znam. Z nami nie przesiaduje. Dla niego jesteśmy zwykłymi menelami.

– A wiesz, czy gdzieś pracuje?

– Nie jestem pewny. Raz słyszałem, jak gadał z jakąś babką, że ma zacząć robotę w straży przemysłowej.

– Ooo – powiedział Żmigrodzki zaskoczony.

– Niby we Wrozamecie, ale wiesz, jak jest. Może chłopak ściemniał.

– Może. Dobra, nie będziemy się do was dopierdalać, ale proszę mam. Zwińcie się spod tego sklepu, bo ludzi to w oczy kole.

– Trudno, co zrobić. Jak ich kole, to niech patrzą w drugą stronę.

Żmigrodzki wziął macha.

– Kim jesteś z zawodu? – spytał po chwili.

– Żulem. Nikim. Wybierz sobie – odparł tamten.

– A wcześniej?

– Byłem nauczycielem. Ale już nie jestem. Wódka, baba, co rogi przyprawiła, i kilka złych decyzji sprawiło, że teraz jestem nikim.

Żmigrodzki zobaczył w oczach mężczyzny żal za tym, co było kiedyś.

* * *

WROCLAW, 4 LISTOPADA 1993 R.

– Dąbrowski, do cholery, podajesz jak baba! – krzyknął w moją stronę wuefista.

Podniosłem dłoń w geście przeprosin. Fagot sięgnął po gwizdek i dał przeciągły sygnał do rozpoczęcia gry.

– Bo on jest baba! – zawołał Krzysiek.

Wuefista odwrócił się w jego stronę.

– Co? Jak jest baba?

– Bo on chłopaków woli! Widzieliśmy, jak jednemu miał pałę pociągnąć – powiedział Krzysiek.

– Pewnie zapinają go w dupala. To zwykła ciota jest! – dopowiedział Rafał.

Nauczyciel spojrział na mnie zdumiony. Marzyłem tylko o tym, żeby zniknąć. Przełknąłem głośno ślinę.

– Dobra. Baba nie baba, ma podawać lepiej! – stwierdził Fagot.

Nie lubiłem wuefu, bo z reguły graliśmy w kosza lub piłkę nożną. Podczas tych gier nikt do mnie nie podawał. Czasem byłem na czystej pozycji i nie dostawałem piłki. Czułem się jak trędowaty. Zdarzały się też przypadki, że obrywałem specjalnie od kogoś piłką. A to bramkarz z premedytacją trafiał mnie w plecy podczas wyrzutu bramkowego, a to napastnik trafiał piłką we mnie, pomimo że nie stałem na drodze do bramki. Odnosiłem wręcz wrażenie, że niektórzy, zamiast normalnie grać, celują w moje plecy, a za trafienie doliczają sobie dodatkowe punkty. Na dodatek byłem najczęściej faulowanym zawodnikiem na boisku. Niektóre podcięcia były tak ostre, że tylko szczęściu zawdzięczałem to, że nie połamano mi nóg. Nie mogłem jednak odmówić udziału w zajęciach.

Wiktor Fagot był przewrażliwiony na punkcie swojego przedmiotu. Uważał, że każdy powinien chodzić na wuef. Podczas jednej z pierwszych lekcji powiedział, że tylko śmierć usprawiedliwia nieuczestniczenie w grze. Pomimo takiego traktowania znosiłem to wszystko dzielnie.

– Dąbrowski, orientuj się! – usłyszałem z boku.

W tym samym momencie oberwałem piłką w głowę. Uderzenie było silne. Mokra piłka z plaśnięciem trafiła w mój policzek. Przykleknąłem na jedno kolano.

– Pasterz, uważaj, jak kopiesz! – wrzasnął wuefista.

– A bo zniosło mi piłkę. Źle trafiłem. – Michał się uśmiechał.

– Widziałem, że to było specjalne. A ty, Dąbrowski, jak nie ogarniasz gry w męskie sporty, to może idź do dziewczyn. W gumę poskaczesz – dowalił mi Fagot.

Poczułem się upokorzony. Patrzyłem na niego. Uśmiechał się. Widać było, że jest zadowolony ze swojego żartu.

* * *

WROCLAW, 18 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki palił, patrząc na wartownię Wrozametu. Raz po raz zerkał też na czekający na przystanku tłumek. W ich stronę jechał tramwaj. Komisarz uśmiechnął się na ten widok. Zawsze wyglądało to podobnie. Ludzie starali się zająć jak najlepsze miejsca startowe, jeszcze zanim tramwaj się zatrzyma. Tuż po otwarciu drzwi zaczynał się wyścig o siedzenia. Pasażerowie się przepychali, nie patrząc na to, że deptają sobie wzajemnie po butach.

– Dobra, nie ma na co czekać – stwierdził, po czym rzucił niedopałek na chodnik i skinął do Sawickiego. – Idziemy.

Weszli do niewielkiego budynku i od razu podeszli do stojącego przy metalowej kracie wartownika.

– Komendant jest? – spytał Żmigrodzki.

Strażnik przemysłowy spojrzął na komisarza.

– A wy to kto?

– Policja.

Wyprostował się i podszedł do znajdujących się dwa metry dalej drzwi. Zapukał, po czym włożył głowę do środka. Żmigrodzki popatrzył na okienko z napisem „Biuro przepustek”. Siedziała za nim blondynka w średnim wieku, która bacznie im się przyglądała.

– Może zadzwonimy po wsparcie? – spytał Sawicki. – Przyjechałby Tretter z Szymańską. Zawsze to jakaś pomoc.

– Szkoda czasu. Sami zdejmijemy chłopaka.

Z pokoju komendanta straży przemysłowej wyszedł mężczyzna w garniturze. Podszedł prosto do nich.

– Nazywam się Plewa – powiedział. – Jestem tu komendantem straży.

– Żmigrodzki. – Komisarz wyjął legitymację służbową. – Możemy porozmawiać?

– A coś się stało? – Plewa wyglądał na przestraszonego.

– Na osobności. Nie chcę przy wszystkich.

Komendant skinął głową.

– Zaprosiłbym do siebie, ale tam będzie nam trochę ciasno. Możemy wejść do pomieszczeń dla wartowników i w pokoju dowódcy porozmawiać w bardziej komfortowych warunkach.

– Nam obojętnie. Pan decyduje – powiedział Żmigrodzki.

– To może u dowódcy. Zawsze to wygodniej. – Komendant wskazał kierunek.

Weszli po schodach i stanęli przed drzwiami po lewej. Plewa nacisnął klamkę, po czym skinął do siedzącego na krześle mężczyzny w mundurze.

– To dowódca warty, Lipiński. Może być obecny przy naszej rozmowie czy lepiej, żeby poszedł na obchód?

– Lepiej, jak zostanie – stwierdził Żmigrodzki.

Usiadł na wprost biurka. Plewa zajął miejsce, które zwolnił dla niego Lipiński. Sawicki z dowódcą warty stanęli przy drzwiach.

– Więc w czym możemy wam pomóc? – spytał komendant.

– Mamy informację, że pracuje u was niejaki Malicki. Zgadza się?

– Tak.

– A czy jest dziś w pracy?

Komendant spojrzął na swojego podwładnego.

– Tak. Jestem jego dowódcą. Marek jest na posterunku. Na trójce.

– Trójka to? – spytał Sawicki.

– Posterunek na końcu zakładu. Tam jest brama kolejowa. Czasem dostarczane są tamtędy materiały do produkcji kuchenek – wytłumaczył Lipiński.

– Ma broń? – spytał Żmigrodzki.

– Nie. To już nie te czasy. Kiedyś strażnicy mieli broń długą na posterunkach. Teraz to tylko zabierają P-64, jak jadą w konwoju do banku. Powiedzą panowie, o co chodzi? – spytał Plewa.

– Mamy uzasadnione podejrzenie, że Malicki może być zamieszany w zabójstwo. Nie chcemy go jednak spłoszyć, wjeżdżając tu na pełnej bombie.

– Mogę go tu ściągnąć pod jakimś pretekstem – zaproponował dowódca.

Żmigrodzki skinął głową. Plan był dobry. Ograniczał ryzyko, że podejrzany coś wyczuje i zacznie uciekać.

– Powiedz, że będzie musiał zmienić na bramie Grzeška – poradził Plewa.

Lipiński sięgnął po stojącą na blacie szafki radiostację, wcisnął guzik i wywołał:

– Trójka, zgłoś się do jedyńki.

Odpowiedziała mu cisza.

– Trójka, zgłoś się do jedyńki – powtórzył dowódca.

Żmigrodzki odpalił papierosa, patrząc na Lipińskiego. W końcu dowódca pokręcił głową.

– Nic z tego nie będzie. Pewnie stacji nie włączył – stwierdził.

– Często tak się zdarza? – spytał Sawicki.

– Zawsze jak wychodzą w teren, każemy im sprawdzić łączność. Czasem jednak dojdą na posterunek i wyłączają stację.

– Po co?

Lipiński spojrzał na Plewę. Widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Po co? – powtórzył Sawicki.

– Żeby się przespać. Dzieje się tak w nocy. Wyłączają i idą w kimono – odpowiedział dowódca.

Plewa zaczął nerwowo poruszać szczęką.

– Dobra. Skoro ma wyłączoną papugę, trzeba się po niego przejść – powiedział Żmigrodzki.

– To znaczy? – spytał komendant.

– To znaczy, że potrzebuję dostać jakąś roboczą kapotę na plecy. Będę wyglądał jak zwykły robol. Pójdę do niego, a jak nadarzy się okazja, to go zawinę. Wy trzymajcie ciszę w eterze. Nie chcę, żebyście mi go spłoszyli.

Żmigrodzki położył papierosa w popielniczce i zaczął zdejmować swój kożuch.

– Krzysiek, pójdziesz ze mną. Będziesz się trzymał kilkanaście metrów z tyłu. Jakby chciał zwiewać, to za nim gonisz. Rozumiesz? – Komisarz spojrzał na Sawickiego.

– Jasne.

– No. To nie ma co czekać. Dajcie mi jakąś kapotę i lecim.

* * *

Bożena Dąbrowska wysiadła z autobusu na placu 1 Maja i spojrzała w stronę przystanku na wprost Cuprum. Jak autobus stał na światłach, zdawało się jej, że po drugiej stronie ulicy na przystanku widzi Tomka. Była zdziwiona. Powinien być teraz w szkole.

Rano, gdy wrócił do domu, miała do niego żal, że nie wiadomo gdzie się szwendał. Ale kiedy wyznał, że musi sobie to wszystko poukładać, zrozumiała, że nie tylko ona i Andrzej cierpią po śmierci Szymka. Tomek także odczuwał stratę. Nie mogła mieć do niego pretensji, że stara się to wszystko zrozumieć. Postanowiła, że przestanie się go czepiać.

Kiedy wyszedł do szkoły, zrobiła szybki obiad, który zamierzała zawieźć mężowi do szpitala.

– Szpital... – szepnęła teraz. Dotarło do niej, że Tomek pewnie był u ojca, dlatego widziała go na przystanku.

Wiozła ze sobą kilka ubrań dla męża. Zastanawiała się, czy jak już go wypiszą, będzie miał na tyle sił, żeby dojść na przystanek, czy raczej wezmą taksówkę. Spojrzała na postój, gdzie stało parę taryf. W razie czego nie musieliby długo czekać.

Ruszyła w stronę szpitala. Przeszła pod szlabanem i skierowała się do ostatniego budynku. To tam na kardiologii leżał jej mąż. Miała nadzieję, że dzisiaj go wypuszczą i będzie mogła się nim zaopiekować już w domu. Odwróciła się w stronę wyjścia z terenu szpitala. Miała jakieś dziwne przecucie, że dzisiaj wydarzy się coś złego. Przestraszyła się, że coś może się stać Andrzejowi. Przyspieszyła kroku.

* * *

Już z daleka Żmigrodzki widział posterunek, na którym Malicki miał pełnić wartę. Żył nadzieję, że podejrzany nie włączy teraz radiostacji. Wcześniej może i lepszym wariantem było ściągnięcie go na wartownię, teraz jednak był realizowany inny plan.

Szedł powoli, udając zwykłego pracownika. Kurtka robocza była idealnym kamuflażem. Nie wyróżniał się. Odpalił papierosa i spojrzał na starą budkę. Widział Malickiego. Mężczyzna także go zobaczył. Wstał z krzesła i zaczął się ubierać. Na głowę włożył czapkę wartowniczą i wyszedł na zewnątrz.

Żmigrodzki palił, patrząc na bramę kolejową, przez którą dostarczano materiały do produkcji kuchenek.

– Przepustka jest? – spytał Malicki, stając z boku.

– Nie wychodzę przecież za bramę.

– Pierwszy raz się widzimy. Jesteś nowy? Nigdy cię nie spotkałem.

– Zdarza się.

Żmigrodzki czekał nadarzającej się okazji. Zobaczył idącego w ich stronę Sawickiego. Partner był coraz bliżej.

– Zaraz wezwę dowódcę i zobaczymy, kim jesteś – zagroził Malicki. Sięgnął do stacji i poruszył pokręteł. Chwilę starał się złapać częstotliwość. – Znowu złom się zjebał – warknął cicho.

Wtedy Żmigrodzki postanowił skorzystać z okazji. Rzucił się z impetem na podejrzanego i powalił go na śnieg.

– Ochujaleś? – zawołał Malicki, padając na ziemię.

– Policja. Jesteś zatrzymany. Nie ruszaj się! – krzyknął komisarz i przycisnął go nogą.

Malicki próbował się uwolnić. Przepchnął komisarza i już zamierzał wstać, gdy został podcięty przez Sawickiego. Młody fachowo założył mu dźwignię na ramię.

– Auuu... Kurwa, puść! To boli! – zawył z bólu zatrzymany.

Sawicki nic sobie z tego jednak nie robił. Przycisnął go mocniej, po czym z kieszeni kurtki wyjął kajdanki. Szybkimi ruchami skuł Malickiego i uniósł go do pozycji siedzącej.

– Policja. Jesteś zatrzymany pod zarzutem zabójstwa – wysapał, stając na wprost.

– To jakaś pomyłka! Nie wiem, o co biega!

– Dowiesz się na komendzie – powiedział Żmigrodzki, otrzepując śnieg z kolan.

Dał znak Sawickiemu, by pomógł zatrzymanemu wstać. Partner chwycił Malickiego pod ramię i uniósł do pionu.

– Dobra robota – uznał komisarz.

– Dzięki.

Żmigrodzki poczuł ochotę na coś mocniejszego. Dotknął dłonią kieszeni pożyczonej kapoty.

– Kurwa... – zaklął cicho.

Zapomniał, że nie ma przy sobie ani kropli alkoholu. W kozuchu, który został na wartowni, także nie było jego piersiówki. Została na stoliku w pokoju. Pusta.

– Coś się stało? – Sawicki spojrzał na niego.

– Nie. Tak do siebie gadam. W butach mam mokro. To tyle – skłamał komisarz.

Nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w domu i będzie mógł spokojnie pójść do sklepu. Kupi wódkę i napełni sobie kieliszek oraz piersiówkę.

Teraz jednak musiał się skupić na pracy.

– Idziemy, bo robota stygnie – rzucił i ruszył w stronę głównej bramy zakładu.

* * *

WROCLAW, 17 LISTOPADA 1993 R.

Gdy wszedłem do klasy, zobaczyłem na tablicy napis: „Dąbrowski to pedał, co lubi w kakało”. Obok były namalowane męskie członki. Chwyciłem za gąbkę i zacząłem energicznie ścierać malunki. Mirek stał w progu sali i pokładał się ze śmiechu.

Wściekły rzuciłem w niego gąbką.

– Takie to śmieszne?

Nie wiem, co mnie podkusiło do takiej reakcji. Wiedziałem, że mój oprawca tak tego nie zostawi.

Mirek zrobił się czerwony na twarzy i ruszył jak taran w moją stronę. Po drodze potrącił jakieś krzesło, które z hukiem upadło na podłogę. Dopadł do mnie i popchnął na tablicę. Siła, z jaką we mnie uderzył, sprawiła, że straciłem równowagę i upadłem. Wtedy na mnie usiadł i kolanami zablokował mi ramiona. Nie mogłem się ruszyć.

– Karol, Piotrek, chodźcie tu! Pomóżcie! – krzyknął do Koterby i Musiałowskiego.

Obaj zbliżyli się i przytrzymali mi nogi.

– Ściągnijcie mu gacie! Niech pokaże dupsko – komenderował Mirek, przyciskając mnie mocniej do podłogi.

Usiłowałem go z siebie zrzucić. Nie chciałem, żeby mnie upokorzył na oczach całej klasy. Nie po raz kolejny. Zaciśnąłem zęby i lekko wypchnąłem biodra. Liczyłem, że Grzeszczak straci równowagę i uda mi się spod niego wydostać. Niestety Mirek trzymał się mocno. Wyglądało to tak, jakby ujeżdżał byka na rodeo. Jakież ręce zaczęły rozpinać mi spodnie. Czułem, jak zsuwają się na dół. Napiąłem wszystkie mięśnie. Chciałem się uwolnić.

– Ej, chłopaki, dawać tu! – krzyknął Grzeszczak.

Kilku z moich kolegów się zbliżyło.

– Dajcie go na brzuch!

Poczułem, jak mnie obracają. Chwilę później leżałem na brzuchu ze spodniami spuszczoneymi do kostek. Ktoś położył mi na głowie szmatę, której czasem zamiast gąbki używano do wycierania tablicy.

I nagle usłyszałem głos polonistki:

– Co tu się dzieje?!

Mirek i reszta moich oprawców zerwali się na równe nogi. Ja też zacząłem wstawać, podciągając spodnie. Widziałem, że Mariola Dąbczak mimowolnie spojrzała na moje gołe krocze. Zasłoniłem się i podciągnąłem spodnie do końca. Czułem napływające do oczu łzy.

Nikt nigdy mnie tak jeszcze nie upokorzył.

* * *

WROCLAW, 18 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki spojrział w stronę drzwi do pokoju przesłuchań. Właśnie wprowadzono Malickiego. Sierżant posadził go na krześle przed stołem i odszedł do drzwi.

– No, koleżko, widzimy się ponownie. Musimy pogadać – powiedział komisarz.

– Ja nic nie wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem.

– To pozwól, że ci wytłumaczę. Ktoś zamordował twoją babcię, Rozalię Wolak. Mamy powody przypuszczać, że możesz mieć z tym związek.

– Bzdura. Nie odwiedzałem starej, odkąd skończyłem pierwszą klasę podstawówki.

Żmigrodzki uśmiechnął się do Malickiego, a następnie odwrócił się do siedzącego obok Sawickiego i spytał:

– Oglądałeś film *Podwójne uderzenie* z Van Damme’em?

– To ten, gdzie gra dwie role?

– Tak.

– No, miałem okazję, a co?

– Ten nasz Mareczek jest jak tamten bohater. Ma brata bliźniaka, o którym nie wiedział.

Żmigrodzki odwrócił się do zatrzymanego.

– Facet. Widziano cię na miejscu zbrodni. Kumasz?

Malicki spojrział na swoje skute dłonie.

– Więc przestań mi pierdolić, że babki od lat nie widziałeś – dopowiedział komisarz.

– Nie wiem, o co chodzi. Ja nic nie zrobiłem.

– Czyli chcesz wmówić staremu psu, że świadek się pomylił, a ty w momencie zabójstwa siedziałeś u dziewczyny.

– W domu byłem. Dziewczyna może poświadczyć.

Żmigrodzki pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrział na partnera.

– Patrz, niby taki bystrzak, a sam się wjechał na minę.

– To znaczy? – spytał Sawicki.

Komisarz odwrócił się do zatrzymanego.

– Upewnię się: powiedziałeś, że byłeś wtedy z dziewczuchą?

Malicki skinął głową.

– A powiesz mi, chłopie, jak możesz mi podać alibi, skoro nie powiedziałeś ci, kiedy ubito twoją babkę i kiedy widział cię świadek? Jasnowiedz jesteś czy co?

Malicki podrapał się po policzku.

– A może potrafisz też leczyć jak Kaszpirowski? Adin, dwa, tri... Masz takie magiczne zdolności?

– Świadek się pomylił. Ja codziennie siedzę w domu z dziewczyną. Nie musiałem myśleć, bo tak jest każdego dnia.

– Sprawdźmy. Daj namiary na tę laskę.

– Nie pamiętam adresu.

– Własnej dziewczyny? No chłopie, to z ciebie słaby Romeo. Dobra, dzisiaj mam dobry humor. Dam ci drugą szansę.

Żmigrodzki sięgnął po leżące na blacie papierosy i odpalił jednego.

– Mogę też zajarać? – spytał Malicki.

– Nie.

Komisarz uśmiechnął się, widząc minę zatrzymanego. Wiedział, że facet powoli będzie miękł i za jakiś czas zacznie inaczej gadać.

* * *

Tomek cały dzień krążył po mieście. Najpierw udał się na dworzec. Zwykle jeździli tam z chłopakami większą grupą i ganiali ćpunów. Dzisiaj jednak był sam.

Nie miał ochoty nikogo zaczepić ani prowokować bójek. Był głodny i wiedział, że tam zje najlepszą zapiekankę w mieście. Lubił też tosty z Zawalnej lub te z baru z przejścia podziemnego na Świdnickiej. Dzisiaj jednak miał ochotę na zapiekankę z pieczarkami i keczupem.

Po przyjeździe na Główny od razu skierował się do budki i zamówił posiłek. Do picia wziął oranżadę. Jadł zapiekankę, obserwując podróżnych. Zastanawiał się, czy nie wsiąść w jakiś pociąg i nie pojechać do innego miasta. Nie wiedział jednak do którego.

Kiedyś był na wycieczce w Krakowie, podobała mu się ta dawna stolica. Byli wtedy na Wawelu. Zastanawiał się, jak potoczyłyby się losy kraju, gdyby nie zdrajcy, których w historii było wielu. W jego ocenie zbyt wielu. Pamiętał, że stał z chłopakami w jakiejś sali zamku i głośno rozmawiali o bitwie pod Grunwaldem. Nauczyciel wtedy zwrócił im uwagę i powiedział, że po powrocie do Wrocławia wezwie ich rodziców na rozmowę. Słowa dotrzymał. Tomek dostał wtedy burę od matki.

Po godzinie przebywania na dworcu zwrócił na siebie uwagę sokistów. Stali kawałek dalej i bacznie mu się przyglądali. Nie chciał, żeby wezwali policję z komisariatu dworcowego. Musiałby się tłumaczyć, dlaczego nie jest w szkole, a wołał uniknąć pytań. Postanowił zmienić miejscówkę.

Z dworca pojechał tramwajem na rynek. Pod pęgierzem często spotykali się wrocławscy skini, podobnie było dzisiaj. Pogadał z kilkoma chłopakami z Nowego Dworu. Umówił się z nimi na koncert Legionu, który miał być grany w jednym z ich ulubionych klubów. Przez całą rozmowę obawiał się, że ktoś zapyta go, co u reszty chłopaków. Nie chciał powiedzieć, że jego drogi z Dragorem, Robo i Struną się rozeszły. Wołał uniknąć tego tematu. Pożegnał się i poszedł w stronę placu 1 Maja. Przez chwilę miał chęć podejść do szpitala do ojca, ale zrezygnował. Podejrzewał, że matka się tam pojawi, a nie chciał się z nią spotkać. Nie dzisiaj.

Zdecydował się pojechać na osiedle.

* * *

– Zdajesz sobie sprawę, że dla ciebie będzie lepiej, jak się przyznasz? – spytał Malickiego Sawicki.

– Nie mam do czego – rzucił zatrzymany.

Zmigrodzki zagasił papierosa.

– No jak nie, chłopie? Twoje alibi jest tak słabe, że nawet nie chce mi się go sprawdzać. Rozumiesz, że za zabójstwo trafisz do pułda na dwadzieścia pięć lat? Oczywiście jak sąd nie da ci czapy.

Zatrzymany się uśmiechnął. Zmigrodzki miał ochotę dzielić go w twarz. Nie mógł jednak tego zrobić, przynajmniej nie teraz.

– Nie ma w Polsce kary śmierci. Słyszałem w telewizji – powiedział Malicki.

– I tu się mylisz. Kara śmierci jest, ale niezmiernie rzadko się ją orzeka. Ludzie uważali, że lepiej dawać szansę. Wszystkie wyroki są zamieniane na

ćwiartkę. Może za jakiś czas zmieni się coś i tacy jak ty znowu będą trafiać w ręce kata. Jak sam widzisz, nie masz powodów do zbytniego optymizmu.

Sawicki dał znak partnerowi, że teraz on przejmie przesłuchanie.

– Daj nam coś, żebyśmy mogli powiedzieć prokuratorowi, że współpracujesz – powiedział.

Malicki uniósł dłonie do twarzy i wytarł płynącą po policzku łzę. Żmigrodzki zastanawiał się, czy już nastąpił moment, kiedy będzie chciał zrzucić z siebie ciężar. Taki moment zawsze nadchodził. U jednych szybciej, u innych później.

– Ona była zła... – powiedział cicho zatrzymany.

– Opowiedz mi o tym. Będzie ci łatwiej.

Malicki spojrzał na policjantów i skinął głową.

Sawicki sięgnął po leżący na biurku długopis i zaczął protokołować.

– Zła. Tak zwyczajnie. Nie wiedziałem, dlaczego nie utrzymujemy z nią kontaktu. Inne dzieci mają babcię i dziadków. Ja i Gośka nie mieliśmy. Nie miałem pojęcia, dlaczego stara nie chciała się z nią zadawać.

Mężczyzna spojrzał na leżące na stole papierosy. Tym razem Żmigrodzki przesunął paczkę w jego stronę, a gdy wyjął jednego, pochylił się nad stołem i mu odpalił. Malicki podziękował skinieniem głowy.

– Życie moje i Gośki było chujowe – podjął. – Bieda, woda i co jakiś czas inni faceci przyłazący do starej. Widzieliście jej melinę? To sami wiecie, jak to wygląda. Jak byłem w podstawówce i słyszałem, co to kto nie dostał od babci lub dziadka pod choinkę, to brał mnie taki wkurw, że mogłem rozpierdolić cały świat. Nosiło mnie wtedy. Na szczęście nie nawywijałem i nie trafiłem do pudła.

Żmigrodzki także sięgnął po papierosa. Malicki uważał, że miał szczęście, że nie trafił do więzienia? No to teraz szczęście go opuściło.

– A kiedy postanowiłeś zabić babcię? – spytał Sawicki.

– Jak się dowiedziałem, co zrobiła.

– Czyli?

– Kryła mojego wujka. To ten skurwiel gwałcił moją matkę. Ja i Gośka jesteśmy jego bękartami. To kurewsko boli. Najbardziej jednak bolało to, że ta suka wybrała jego. Babcia z piekła rodem. – Malicki wziął macha i wydmuchnął dym. Widać było, że stara się odpowiednio dobrać słowa. – Pojechałem do niej, chciałem z nią pogadać. A ona otworzyła mi drzwi i spytała, kim jestem. Nie poznała mnie. Gdy powiedziałem, że jestem jej wnukiem, wpuściła mnie, ale niechętnie. Najpierw naprawdę chciałem pogadać. Tak po dobroci. Powiedziałem jej, że tęskniłem za nią przez te lata. Że chciałem mieć tak jak inne dzieci. Ona wtedy się zaśmiała. Stwierdziła, że nigdy nie interesowała się, co się z nami dzieje, i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– I co dalej?

– Poszedłem. W bramie minąłem jeszcze jakąś jej sąsiadkę. Pojechałem do siebie. Całą noc myślałem i postanowiłem, że wrócę, żeby dokończyć rozmowę. Na drugi dzień przyjechałem na Zaporoską. Najpierw nie chciała mnie wpuścić. Włożyłem zapalną w dzwonek i w końcu otworzyła. Była wściekła. Powiedziałem, że chcę coś wyjaśnić i jak mnie nie wpuści, to narobię jej siary. Wszedłem

i powiedziałem, że jest dla mnie nikim. Że jest zwykłą nic niewartą suką. Zaśmiała mi się w twarz. Wtedy mnie poniosło. Sięgnąłem po popiołek i jeblem jej w banię. Padła, a ja się przestraszyłem. Przeniosłem ciało pod okno i wyszedłem z mieszkania.

Żmigrodzki zgasił papierosa.

– A kasę kiedy chciałeś pożyczyć?

– Jaką kasę? Ja nic nie wziąłem. Nie pożyczalem żadnej kasy.

– Sąsiadka zeznała, że przyszedłeś do Wolak po pożyczkę. Tak przynajmniej przekazała jej twoja babcia.

– Bzdury. Nie chciałem żadnej kasy. Chuj z jej kasą.

– A kiedy dowiedziałeś się, że twój wujek dymał twoją matkę?

– Podśluchałem rozmowę z Heńkiem. Chlali wtedy i stara powiedziała, że ma straszny grzech. Ten spytał jaki i się wysypała. Potem schlali się do końca i do tematu nie wracali. Pewnie nawet nie pamiętali, że go poruszyli.

– Ale na tobie zrobiło to wrażenie.

– Też nie. Najpierw myślałem, że to takie pijackie pierdolenie. Potem jednak znalazłem pamiętnik starej. Pisała go, jak jeszcze była nastolatką. Miała jakieś dwanaście, może trzynaście lat. Napisała w nim, że Janek znowu przychodzi i robi te złe rzeczy. Wkurwiłem się. Poszukałem bardziej i znalazłem w pawlaczu list, który mój wujek, a właściwie mój stary napisał do matki. Pisał, że przeprasza i że chciałby kiedyś się z nią spotkać. To upewniło mnie, że ten zbok ją skrzywdził. Chciałem pojechać do Niemiec i go załatwić.

– A skąd wiedza, że babka go kryła?

– Znalazłem w rzeczach matki jeszcze jeden list. Wysłała go do tej staruchy. Ta jednak nie odebrała i wrócił. Matka pisała w nim, że ma żal, że ta stanęła za Jankiem. I że nie chce mieć z nią żadnego kontaktu. Wtedy postanowiłem do niej pojechać.

– Mówiłeś, że na wstępie chciałeś po dobroci pogadać. Zgadza się? – spytał Żmigrodzki.

– Tak. Pomyślałem, że może przemyślała swoje postępowanie i będzie chciała coś naprawić. Pomyliłem się. Była zimna jak lód. Resztę już macie. – Malicki wskazał na Sawickiego i leżący przed nim protokół.

– Dobra. – Żmigrodzki plasnął dłonią w stół. – Powiem ci, jak będzie. Zaraz dasz mi swój autograf na protokole. Potem lecisz na dołek i czekasz, aż prokurator zdecyduje, co dalej. Jestem pewny, że będzie wnioch o sanki na trzy miechy. Cóż, podjąłeś decyzję i musisz się zmierzyć z jej konsekwencjami.

Malicki skinął głową i spuścił wzrok na blat stołu.

* * *

WROCLAW, 19 LISTOPADA 1993 R.

Dzisiaj miałem warsztaty na Młodych Techników. W planie były zajęcia z toczenia. Wszedłem na halę, gdzie znajdowały się tokarki, i stanąłem przy jednej

z nich.

Miałem pracować w parze z Jarkiem. On jako jeden z nielicznych nie traktował mnie jak śmiecia. Podejrzywałem, że mogło to być spowodowane tym, że miał sporą nadwagę. Pewnie wiedział, jak to jest być ofiarą innych uczniów. Kiedyś słyszałem, jak opowiadał Andrzejowi, że w podstawówce był gnębiony z powodu tuszy. Teraz jednak miał spokój. Klasa miała inną ofiarę: mnie. Grubasem nikt się nie interesował.

– Cześć – rzuciłem do Jarka.

Nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę w stronę stanowiska nauczyciela. Zdziwiłem się. Nie wiedziałem, jak mam z nim współpracować.

– Wiecie, co macie robić? – spytał Twardziszyn.

– Tak – potwierdziło chórem kilku chłopaków.

– Ci, co toczą, pozapinać rękawy koszul, by żadnemu łapska nie wjechało do maszyny. Ci, co nie robią teraz nic, niech pozamiatają halę – wydał dyspozycje nauczyciel.

Nie lubiłem toczenia, więc od razu podszedłem do stojącej przy ścianie miotły. Wziąłem ją i wróciłem do stanowiska, przy którym Jarek szykował się do toczenia. Sięgnąłem po rękawiczki i zaczęłem wkładać jedną na dłoń, gdy poczułem ogromny ból.

– Auu... Kurwa! – zakląłem, wyjmując rękę.

– Co to za przekleństwa? – spytał Twardziszyn. – Dąbrowski, co się stało?

Patrzyłem na dłoń, w którą wbitych było kilkadziesiąt niewielkich drobinek metalu. Pochodziły z toczenia. Ktoś zrobił mi żart, wrzucając opiłki do mojej rękawiczki.

– Skaleczyłem się – powiedziałem.

Twardziszyn podniósł moją dłoń wyżej i przez chwilę się jej przyglądał.

– Nic ci nie będzie – zawyrokował. – Do wesela się zagoi.

– Panie profesorze, nic z tego nie będzie – wtrącił Mirek, uśmiechając się szyderczo.

Nauczyciel odwrócił się w jego stronę.

– A niby czemu?

– Bo Dąbrowski to cwel. W dupę lubi się walić. Tacy ślubów nie biorą.

Mężczyzna znów popatrzył na mnie.

– To najwyżej nie weźmie. Ale nic mu nie będzie.

Zaczęłem wyjmować ze skóry drobinke metalu. Kilka razy syknąłem z bólu.

– Wracać do roboty – zarządził nauczyciel. – A ty, Dąbrowski, idź do szkolnej pielęgniarki. Niech ci to łapsko opatrzy. Tylko wróc potem. Nie chcę cię szukać.

Ruszyłem w stronę wyjścia z hali. Za plecami słyszałem śmiech chłopaków. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Mirek wysypuje wióry z drugiej rękawiczki. Twardziszyn stanął nad nim i patrzył na lecące na podłogę fragmenty metalu.

* * *

Żmigrodzki wysiadł z poloneza i udał, że idzie do siebie. Gdy samochód z Sawickim zniknął za rogiem, zawrócił i skierował się w stronę sklepu monopolowego.

– Pół litra – powiedział, stając przy ladzie. – Albo nie. Niech mi pani da dwie półlitrowki.

– Wyborowe?

– Tak.

Wyjął z portfela pieniądze i położył na blacie. Następnie schował obie butelki do kieszeni kożucha i ruszył do domu. Kusilo go, żeby napić się już po drodze. Wiedział jednak, że nie powinien.

Wszedł do mieszkania i nie ściągając butów, skierował się prosto do kuchni. Z szafki wyjął kieliszek i nalał sobie porcję. Wypił od razu i napełnił ponownie. Zanim wychylił drugą kolejkę, odpalił papierosa.

Wreszcie mógł odpocząć. Sięgnął po popielniczkę i usiadł na krześle. Zanim się upije, będzie musiał jeszcze napełnić piersiówkę. Popenił błąd, wychodząc z domu bez zapasu alkoholu. Udawał sam przed sobą, że jest silny, że ma mocną wolę, ale prawda okazała się inna. Był słabeuszem, z którym nałóg wygrywał bez żadnego problemu.

Po raz kolejny napełnił kieliszek i przez chwilę ważył go w dłoni. W końcu wypił. Podniósł do oka i zajrzał do środka.

– To tak wygląda zaglądnienie do kieliszka – powiedział cicho.

Zaśmiał się ze swojego żartu. Wiedział, że znowu wpadł w szpony nałogu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do komendy i nie powiedzieć, że rozłożyła go choroba. Miałby wtedy wolne na najbliższe dni i mógłby się spokojnie schlać w trupa. Ale musi to zrobić od razu, póki jeszcze nie bełkocze.

Wstał i skierował się w stronę pokoju. Uniósł słuchawkę i wykręcił numer komendy. Nie było jednak słyhać sygnału połączenia. Poruszył kablem. Nadał nic. Dopiero wtedy przypomniał sobie o piśmie z Telekomunikacji informującym o zaległościach w rachunkach.

– Pewnie chuje odłączyli... – mruknął.

Rzucił słuchawkę na widełki i wrócił do kuchni. Musiał się napić.

* * *

Bożena wróciła ze szpitala sama. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom, lekarze jednak nie zdecydowali się wypisać jej męża. Uważali, że przez weekend powinien zostać na oddziale.

Andrzej zjadł przyniesiony przez nią obiad i chwilę porozmawiali. Zaskoczył ją, mówiąc, że nie było u niego Tomka. A przecież była pewna, że Tomek wracał od ojca i dlatego widziała go na przystanku.

Zmartwiła się, gdy w domu też nie zastała syna. Zdejmowała kozaki, gdy zaczęła dzwonić telefon. Serce jej przyspieszyło. Bała się, że to ktoś z policji dzwoni, by poinformować ją o śmierci drugiego z synów. Drżącą ręką sięgnęła po słuchawkę.

– Słucham... – powiedziała cicho.

– Bożenka?
– Tak.
– Tereska z tej strony. Dzwoniłam wcześniej, ale nikt nie odbierał.
– U Andrzeja byłam.
– Nie wypuścili go?
– Nie. Dopiero w poniedziałek.
– To kiepsko. W poniedziałek jest pogrzeb Szymonka. Właśnie załatwiłam wszystkie formalności.

Bożena poczuła, jak nogi się pod nią ugięły. Dopiero te słowa dobitnie uświadomiły jej, że wszystkie te wydarzenia nie były tylko złym snem. Jej synek naprawdę nie żyje.

– Dziękuję.
– Jak sobie dajecie radę?
– Bez zmian. Ciągle myślę, dlaczego to zrobił.

Dąbrowska przełożyła słuchawkę do drugiego ucha i usiadła na niewielkim pufie.

– Tego nikt nie wie – powiedziała Teresa. – Trzeba jakoś żyć dalej, chociaż spróbować. Masz drugie dziecko. Pomyśl o Tomku.

Bożena wiedziała, że musi być silna.

* * *

Dąbrowski patrzył na dom, w którym mieszkał Dragon. Pięć minut temu skin opuścił budynek i skierował się w głąb ulicy. Tomka kusiło, żeby udać się za nim i tam go załatwić, ale pozostał przy swoim planie. Bezpieczniej, łatwiej. W nocy Dragon będzie zmęczony i może łatwiej da się zaskoczyć.

Patrzył teraz w okna domu i czekał. Babcia Dragona kręciła się jeszcze pomiędzy pokojem a kuchnią. Wiedział jednak, że za kilkanaście minut pójdzie spać. Wtedy on będzie mógł wejść do środka.

Dzisiaj to zrobi. Wyrówna rachunek krzywd i pomści brata. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po Dragonie zajmie się Robem albo Struną. Był jeszcze ten małolat, który chodził z Szymkiem do klasy. Tomek nie wiedział, gdzie mieszka, ale liczył na to, że wyciągnie tę informację od Dragona. W grocie na bunkrach oprócz Dragona, Roba i Struny był także Turoń, ale jego na razie nie dorwie. Z tego, co słyszał, wyjechał do ojca do Jeleniej Góry. Reszta małolatów obecnych tamtego dnia nie brała czynnego udziału w gwałcie i pobiciu Szymka. Im postanowił odpuścić.

Nie wiedział, czy w ogóle da radę zabić, ale liczył na to, że po pierwszym pchnięciu bagnetem wszystko pójdzie już z górki. Wyjął nóż zza paska i przez chwilę na niego patrzył. Zastanawiał się, jaka jest jego historia. Nie wiedział, czy ktoś od niego zginął. Jeśli nie, to dzisiaj będzie pierwszy raz. Ale nie ostatni. Uśmiechnął się i ponownie spojrzął w okna domu. Babcia Dragona wstała z krzesła i podeszła do drzwi. Chwilę później w pomieszczeniu zgasło światło. Tomek

wiedział, że kobieta poszła do siebie. Teraz musiał chwilę odczekać. Ale wiedział, że warto.

* * *

WROCLAW, 26 LISTOPADA 1993 R.

Skończyły się zajęcia na szkolnych warsztatach. Wszedłem do toalety umyć ręce pastą BHP i zobaczyłem, że moje nowe buty znajdują się w sedesie. Spojrzałem do tyłu. Mirek i Marcin stali pod ścianą i śmiali się do rozpuku.

Wyciągnąłem mokre adidas i postawiłem obok.

– Ale śmieszne – burknąłem.

Zdawałem sobie sprawę, że matka będzie wściekła. Kupiła mi je dopiero tydzień temu. Wydała kupę kasy, żebym miał w czym chodzić. Poprzednie podróby kupione na targowisku na Słubickiej wytrzymały ledwie dwa miesiące. Sprzedawca nie dał żadnego paragonu i nie było szans, żeby złożyć reklamację. Ojciec, jak zobaczył, że stare są zniszczone, powiedział tylko: „Tanie mięso psy jedzą” i zamknął się w pokoju. Matka stwierdziła, że nie ma co kupować kolejnego szajsu, który zaraz się rozleci. Trzeba wydać więcej na bardziej markowe. Cieszyłem się, bo chciałem jakoś wyglądać.

A teraz te buty były mokre i zniszczone. Miałem tylko nadzieję, że się nie rozkleją.

– Masz jakiś problem, cwelu? – spytał Mirek, podciągając rękawy flanelowej koszuli.

Widać było, że jest gotowy do bójk. Szukał tylko pretekstu, by mnie pobić.

– Nie – powiedziałem cicho.

– I tak ma być. Powiesz jeszcze słowo, to wsadzę ci te buty w ryj.

Wiedziałem, że jest do tego zdolny. Byłem jego ofiarą i powoli zaczynałem się z tym godzić. Nie miałem żadnych szans w starciu z tym psycholem. Reszta chłopaków w klasie powoli mu się podporządkowała. Nikt nie chciał być na moim miejscu. Woleli mu dopingować, ciesząc się, że to ja jestem chłopcem do bicia, a nie oni. Byłem pewny, że nikt nie stanie w mojej obronie. Każdy odwracał głowę i cieszył się, że nie jest na moim miejscu.

Sięgnąłem po buty i ruszyłem w stronę przebieralni. Spojrzałem jeszcze na swoją torbę. Ktoś wyrzucił z niej wszystko na zewnątrz. Jasny sweter był cały zdeptany. Widziałem ślady buciorów roboczych. Hamując łyzy, zacząłem zbierać swoje rzeczy.

WROCLAW, 19 LUTEGO 1994 R.

Tomek napiął wszystkie mięśnie i wstrzymał oddech.

Chwilę wcześniej usłyszał, jak Dragon przekręca klucz w zamku i wchodzi do domu. Słysząc było, jak się tarabani. Mogło to oznaczać, że jest po alkoholu, co w sumie było Dąbrowskiemu na rękę. Z jednej strony pijany skin wydawał się łatwiejszym celem. Przy braku odpowiedniej koordynacji ruchowej teoretycznie miał mniejsze szanse na obronę. Alkohol mógł jednak po pierwsze pozbawić go skrpułów, a po drugie uodpornić na ból.

Tomek przestał się nad tym zastanawiać. Musiał zrobić swoje, bez oglądania się na okoliczności. Teraz już nie mógł się wycofać.

Skryty za drzwiami, przyłgnął plecami do ściany. Czekał, starając się oddychać jak najciszej. Czuł narastający stres. Noga zaczęła mu drżeć. Wyjął zza paska bagnet i przymknął oczy. Chwilę później drewniana podłoga zaskrzypiała pod ciężarem kroków. Dragon zbliżał się nieubłaganie w stronę swojego przeznaczenia.

Tomek podniósł powieki i mocniej ścisnął rękojeść bagnetu. Zobaczył, jak drzwi się otwierają i skin wchodzi do pomieszczenia.

Dragon go nie zauważył. Przeszedł na środek pokoju i stanął przy stole.

Dąbrowski zacisnął szczęki. Za chwilę musiał ruszyć do ataku.

Wtedy Dragon wyjął z kieszeni spodni klucze i położył je na blacie. Chwilę później obok nich znalazły się papierosy i zapalniczka.

Gdy zaczął się odwracać, Tomek wyskoczył zza drzwi z wyciągniętym przed siebie bagnetem. W ułamku sekundy pokonał dzielącą go od skina odległość.

Kompletnie zaskoczony Dragon nie zdążył zareagować. Ostrze gładko weszło w jego brzuch. Tomek wyjął je i ponowił atak. Tym razem trafił w klatkę piersiową. Biała koszulka skina zabarwiła się na czerwono. Kolejny cios ostrzem trafił go w bok. Tomek czuł, że stal mija żebra i zagłębia się w środku. Zadał kilka kolejnych pchnięć. Nie patrzył, gdzie trafia. Liczyło się tylko jedno: musiał pomóc Szymka.

Dragon przez ten czas stał całkiem bezbronny, patrzył na napastnika zdeorientowany. W końcu złapał się za brzuch i osunął na kolana.

– I co, skurwysynu? Boli? – spytał Tomek, lekko się nad nim pochylając.

Skin zwinął się na dywanie. Jego koszulka była cała we krwi.

– Jakie to uczucie zdychać, co?

Nie odpowiedział. Dłonią starał się zatamować płynącą z brzucha krew. Innymi ranami się nie przejmował. Tomek nie był pewny, czy w ogóle jest ich świadomy. On sam był zaskoczony swoją brutalnością. Wcześniej nie wiedział, czy będzie do tego zdolny. Planował, myślał o tym, ale do samego końca sumienie szeptało mu, żeby się wycofał.

Teraz jednak już nie było odwrotu. Mocniej ścisnął rękojeść bagnetu. Był z siebie dumny. Pomścił Szymka. Teraz kolej na innych.

Odwrócił się w stronę wyjścia z pokoju i zamarł. W progu stała babcia Dragona. Patrzyła na niego przerażonym wzrokiem. Tomek czuł, że zaraz zacznie wrzeszczeć. Poczł się jak zwierzę w potrzasku. Kobieta otworzyła usta, nie zdążyła jednak wydobyć z siebie głosu. Dąbrowski doskoczył do niej i pchnął ostrze prosto w jej prawą pierś. Gdy ponowił atak, trafił prosto w serce.

Starsza kobieta zamarła. Sekundę później z głośnym odgłosem upadła na podłogę.

Spojrzał na jej twarz, na niewidzące, zamglone oczy. To, co zrobił, go przerażyło. Zabił niewinną osobę. Dragon zasłużył na śmierć, ale jego babcia przecież nic Tomkowi nie zrobiła.

Nagle poczuł mdłości. Upuścił bagnet na podłogę, tuż obok ciała swojej niewinnej ofiary. Następnie chwycił się za brzuch, dobiegł do ściany i zwymiotował.

* * *

WROCLAW, 1 GRUDNIA 1993 R.

Pałilem papierosa pomiędzy blokami przy Kruszwickiej. Miałem mieć jeszcze tylko jedną lekcję, przysposobienie obronne. Prowadził je emerytowany pułkownik Waclaw Paliwoda. Facet jednak miał nas wszystkich gdzieś. Już na pierwszym spotkaniu powiedział, że nie ma sensu, żeby nam mówił o obronie przed bombą atomową, bo i tak żaden kraj na świecie nie odważy się jej użyć. Stwierdził, że jak chcemy, możemy na jego lekcjach uczyć się do innych przedmiotów. Byłem zaskoczony takim postawieniem sprawy. Na kolejnych zajęciach nawet się nie fatygował, by realizować program. Zastanawiałem się, czy jest sens iść na lekcję. Postanowiłem dopalić papierosa i zobaczyć, czy ktoś w ogóle będzie stał pod klasą. Wziąłem ostatniego macha i rzuciłem na ziemię. Zajrzałem do paczki, żeby sprawdzić, ile mam jeszcze fajek, i w tym momencie zostałem popchnięty. Ledwo udało mi się utrzymać równowagę. Nawet nie zauważyłem, jak z tyłu zaszedł mnie Mirek. Nie spodziewałem się, że będzie z chłopakami szedł od strony przystanku na Legnickiej.

– Co jest, frajerze? – spytał mój oprawca.

– Nic – powiedziałem, starając się go wyminąć.

– Fajkę kopsnij.

– Mało mam.

Mirek chwycił mnie za kurtkę.

– Nie pytałem, czy masz dużo, tylko powiedziałem, żebyś mnie poczęstował.

Patrzył mi prosto w oczy. Wiedziałem, że nie chodziło mu wcale o papierosy. Chciał mnie kolejny raz pobić. Szukał tylko pretekstu. Wyjąłem z kieszeni paczkę marsów i skierowałem ją w stronę Grzeszczaka.

– Mało? Chłopie, to nie jest mało. Wezmę dwa na później – powiedział.

Zostały mi zaledwie dwa w paczce. Miałem na szczęście trochę pieniędzy, mogłem więc kupić w kiosku nowe.

Mirek odpalił jednego i spytał:

– Do szkoły idziesz?

Nie wiedziałem, jaka odpowiedź będzie lepsza. Powiem, że nie, to może się docześcić, że przez moje wagary cała klasa będzie mieć przesrane. Już kiedyś z tego powodu popchnął mnie na ścianę i uderzył w brzuch. Jak sam wagarował, to nikt nie mówił mu, że robił coś ze szkodą dla reszty klasy. Powiem znowu, że idę, to stwierdzi, że się wyłamuję, bo inni nie zamierzają marnować czasu na lekcje z Paliwodą.

– Jeszcze nie wiem. A wy? – spytałem.

– A chuj cię to obchodzi? Książkę, kurwa, piszesz?

Mirek splunął na chodnik i wziął macha. Rozejrzałem się, szukając drogi ucieczki. Reszta chłopaków zaczęła tworzyć kółko dookoła nas. Spodziewali się bójki. Zacząłem się odwracać w stronę Mirka i w tym momencie on wyprowadził cios. Trafił mnie prosto w szczękę. Poczułem ból i zgiąłem się wpół. Wtedy kopnął mnie kolanem w twarz. Trafił w oko. Upadłem na ziemię. Zanim zdążyłem się skulić, poczułem kopnięcie w brzuch. Potem ciężki martens trafił mnie w biodro.

Mirek stanął nade mną.

– Kasę jakąś masz? – spytał, odpalając kolejnego papierosa.

Próbowałem się podnieść, ale szarpnął moją kurtkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wyjął z niej portfel i zajrzał do środka.

– Pożyczę. Kiedyś ci oddam – powiedział, wyciągając dwa banknoty po sto tysięcy.

Patrzyłem, jak chowa je do kieszeni dżinsów z szyderczym uśmiechem.

* * *

WROCLAW, 19 LUTEGO 1994 R.

Nie pamiętał, jak wyszedł z domu Dragona. Szedł jak zahipnotyzowany. Nie wiedział nawet, kiedy znalazł się z powrotem na swoim osiedlu.

W całym bloku świeciło się tylko jedno światło. W ich mieszkaniu.

Tomek zdawał sobie sprawę, że matka na niego czeka. Spojrzał na swoje zakrwawione dłonie. Wiedział, że nie może jej się pokazać w takim stanie. Całą drogę się zastanawiał, co ma zrobić. Gdy wcześniej planował zemstę, brał pod uwagę, że może zostać złapany. Sądził, że więzienie zniósłby bez problemu. Myślał nawet, że będzie się czuł dumny z dobrze wykonanego zadania. Tej nocy jednak wszystko się zmieniło. Sprawy nie do końca potoczyły się po jego myśli.

Wszedł do klatki i skierował się w stronę windy. Kabina jakby na niego czekała. Jadąc na górę, zamknął oczy. Starał się sobie przypomnieć szczęśliwe chwile w swoim życiu. Było ich kilka. Pamiętał wakacje u babci. Pamiętał także, jak dwa lata temu pojechał z rodzicami na wczasy do Boszkowa. Chodzili wtedy na grzyby. Ojciec pokazał jemu i Szymkowi, jak rozpalić ognisko za pomocą zaledwie jednej zapalki. Tamtego lata każdego ranka chodzili z bratem na pomost. Obserwowali wędkarzy i sprawdzali, kto najwięcej złowił. To były miłe wspomnienia.

Winda zatrzymała się na ostatnim piętrze. Tomek otworzył oczy i wyszedł na zewnątrz. Spojrzał na biegnącą do góry drabinę. Wyjście na dach nigdy nie było zamykane na żadną kłódkę. W lecie często wchodziły tam dziewczyny, żeby się opalać. Chodzili wtedy z chłopakami je podglądać. Stał przed drabiną i zadarł głowę. A potem, niewiele myśląc, zaczął się wspinać. W kilka sekund dotarł na górę. Prawą ręką otworzył okno i wyszedł na zewnątrz. Zimny podmuch powietrza smagnął jego policzki. Zbliżył się do krawędzi dachu i omiół wzrokiem osiedle. Widział sąsiednie bloki, a także Nowy Dwór. W kilku oknach zaczęły się zapalać światła. Ludzie już wstawali.

Tomek zastanawiał się po co, skoro dziś była wolna sobota. Przeszedł kilka metrów w bok. Znajdował się teraz na wysokości sąsiedniej klatki.

A potem się przeżegnał i zrobił krok do przodu.

* * *

Żmigrodzki zasłonił głowę poduszką. Starał się ignorować uporczywy dzwonek u drzwi.

Nie miał ochoty na nic, a tym bardziej na pracę. Wiedział, że to Sawicki po niego przyjechał i teraz stara się go obudzić. Była jednak sobota i nie było konieczności, by stawiał się w komendzie, a już na pewno nie w takim stanie.

Wczoraj wypił całą półlitrowkę i zaczął drugą. Film mu się urwał koło północy. Wszystko, co było potem, zasłoniła mgła niepamięci.

Teraz jedynym jego marzeniem było to, żeby Krzysiek wreszcie sobie poszedł.

Partner jeszcze raz nacisnął dzwonek i w końcu nastąpiła upragniona cisza.

Żmigrodzki leżał tak jeszcze przez chwilę, aż wreszcie odłożył poduszkę na bok. Spojrzał na sufit i pomyślał, jak by to było fajnie, gdyby w nocy umarł. Nie musiałyby się o nic martwić. Poczul, że musi zapalić. Sięgnął na pobliski stolik, po omacku starając się znaleźć papierosy. Nie udało mu się. Podniósł się na ramieniu i spojrzał tam, gdzie spodziewał się znaleźć paczkę marsów. Z zaskoczeniem stwierdził, że jej nie ma. Pochylił się i spojrzał na podłogę. Tam też nic.

– Co, do chuja... – mruknął.

Zawsze jak kładł się spać, zabierał papierosy ze sobą. Lubił zapalić sobie w łóżku. Teraz jednak nigdzie nie widział paczki. Wstał i rozejrzał się po pokoju. Wszystko niby wyglądało zwyczajnie z wyjątkiem tych nieszczęsnych fajek.

Poszedł do kuchni i stanął jak wryty. Krzesło przy stole było przewrócone. Na podłodze leżały niedopałki i popiół z popielniczki. Obok nich znajdowała się

pusta butelka po wódce. Podrapał się po głowie. Nie pamiętał, żeby wywrócił krzesło. Poczł, że musi się czegoś napić. Podoszedł do zlewu i od razu się cofnął. Pośród brudnych naczyń zobaczył swoje wymiociny. Cofnął się, gdy w nozdrza uderzył go smród. Że rzygał, też nie pamiętał. Rzadko mu się coś takiego przytrafiło. Z reguły, gdy czuł nadchodzące mdłości, szedł do łazienki i kulturalnie wymiotował do sedesu. Teraz sytuacja wyglądała inaczej. O wiele gorzej.

Był pewny, że to przez ograniczenie picia. Taka ilość alkoholu w normalnych okolicznościach sprawiłaby, że byłby pijany, ale nie do takiego stopnia. Wymuszona abstynencja prawdopodobnie spowodowała, że urwał mu się film. Postanowił, że więcej do czegoś takiego nie dopuści.

* * *

Sawicki wyszedł z klatki i spojrzął w stronę okien Żmigrodzkiego. Kiedy wczoraj wysadził go przed blokiem, umówili się na dzisiaj. A teraz nie zastał go w mieszkaniu. Tak przynajmniej wnioskował, bo tyle razy naciskał dzwonek, że umarłego by obudził.

Wsiadł za kółko poloneza. Do głowy przyszła mu myśl, że może Żmigrodzki wyszedł po papierosy do jakiegoś kiosku i za chwilę wróci. Gdyby w takiej sytuacji pojechał do komendy bez niego, pewnie potem dostałby ochrzan. Postanowił poczekać kwadrans na rozwój sytuacji.

Obserwował, jak na ulicę wjeżdża śmieciarka. Stary liaz stanął kawałek dalej i ze stopni umieszczonych z tyłu zeskoczyło dwóch pracowników przedsiębiorstwa oczyszczania miasta. Obaj poszli do pobliskiego boksu i zaczęli wywozić z niego ciężkie kubły. Kiedy jeszcze był nastolatkiem, rodzice powtarzali mu, że jak nie będzie się uczył, to zostanie śmieciarzem. Takie słowa powodowały, że z miejsca brał się do nauki. Nikt przecież nie chciał skończyć jako pracownik MPO. Teraz inaczej się na to zapatrywał. Praca jak praca. A przecież żadna nie hańbi. Wielu jego kolegów na wieść, że został policjantem, pewnie stwierdziłoby, że zgłupiał. W miejscu, w którym się wychował, policjant był traktowany gorzej niż śmieciarz.

Przez lata mieszkał z rodzicami w blokowisku na Karłowicach. W pobliżu znajdował się zakład karny i wielu kryminalistów na przepustce zachodziło do jednej z kilku restauracji w tamtym rejonie miasta. Karłowiczanka pełna była wszelkiej maści elementu. Jak ktoś miał zbyt prosty nos i chciał to zmienić, to bez trudu mógł znaleźć tam pomoc. Milicja też kierowała w stronę speluny pierwsze kroki, gdy kogoś szukała. Czasem jak patrol wchodził, to później musieli podjeżdżać kolejne nyski, by zabrać wszystkich zatrzymanych na komendę. Często milicyjni wywiadowcy wzywali mundurowych, aby dokonali przeszukania lokalu. W Karłowiczance paserzy skupowali od złodziei różne wartościowe przedmioty, głównie złotą biżuterię. Zawsze wtedy wynoszono stamtąd kradzione towary i wyprowadzano w kajdankach amatorów cudzej własności.

Sawicki uśmiechnął się na wspomnienie tamtych lat. Spojrzął na zegarek i podjął decyzję. Dłużej nie będzie czekał na Żmigrodzkiego. Przekręcił kluczyk

w stacyjce i wrzucił bieg. Zerknął jeszcze w stronę wejścia do klatki. A potem ruszył, manewrując na śliskiej nawierzchni.

* * *

WROCLAW, 1 GRUDNIA 1993 R.

W domu poszedłem prosto do łazienki. Nie chciałem, aby matka widziała moje podbite oko. Ojciec był na drugiej zmianie i miał wrócić dopiero w nocy.

Słyszałem głośną muzykę dobiegającą z pokoju Tomka. Spojrzałem w lustro i lekko dotknąłem sińca. Zasyczałem z bólu. Mirek tym razem nie odpuścił. Wcześniej jeszcze się hamował. Bił, ale nie robił mi takiej krzywdy jak dzisiaj. Zdawałem sobie sprawę, że odtąd może być tylko gorzej. Wcześniejsze bójkі kończyły się otarciami, raz rozbitą wargą.

Matka wiele razy pytała, co się stało, ale zawsze potrafiłem ją okłamać, że to na wuefie zostałem podcięty i upadłem. Ojciec czasem w żartach nazywał mnie łamagą. Brat nie wierzył w te historie o przypadkowych upadkach. Kiedyś zapytał, kto mnie pobił, ale udałem, że nie wiem, o czym gada. Odpuścił. Wiedziałem, że nie mogę nikomu powiedzieć, co się dzieje. Matka poszłaby do szkoły i byłoby tylko gorzej. Mirek by mi nie odpuścił. Musiałem pokornie znosić swój los i liczyć na to, że za jakiś czas Grzeszczakowi się znudzi.

– Szymon, jesteś tam? – usłyszałem głos matki.

Odkręciłem kran i szybko obmyłem twarz. Marzyłem, aby woda zmyła powiększające się pod okiem limo.

– Szymek?

– Zaraz! – zawołałem i zacząłem wycierać twarz ręcznikiem. Każdy ruch sprawiał mi wielki ból.

– Co tam robisz?

Wiedziałem, że nie uda mi się przemknąć do swojego pokoju niepostrzeżenie. Przekreśliłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

– Jezus Maria! Co ci się stało? – Matka chwyciła w dłonie moją twarz. – Kto cię pobił?

– Nikt – odparłem.

– Jak nikt? Przecież ślepa nie jestem.

– Mamo, to nic takiego. Z takim jednym pokłóciliśmy się o dziewczynę i od słowa do słowa zaczęliśmy się tłuc. On też ma limo.

– Nic takiego? Przecież mógł ci oko wybić! Nie wiem, co mam o tym myśleć.

– Matka spojrzała na mnie ze złością.

– Nic nie myśl. Nic się nie stało.

Powiesiłem ręcznik na wieszaku i spojrzałem w lustro. Wiedziałem, że matka powie ojcu, a on przyjdzie do mnie, żeby poznać szczegóły.

– A to chłopak z twojej szkoły?

– Nie.

– Może powinnam pójść i pogadać...

– Jak to zrobisz, to ucieknę z domu – zagroziłem.

Byłem pewny, że wtedy już w ogóle nie daliby mi żyć. Byłbym nie tylko rze-
komym pedałem, ale także donosicielem.

Nagle otworzyły się drzwi pokoju Tomka.

– Nie rób tego, bo młodego zajadą – powiedział mój starszy brat.

– Jak zajadą? – Matka zmarszczyła brwi.

– No normalnie. Życ mu nie dadzą. Jest kotem, a koty czasem obrywają. Poza
tym bójka o laskę tylko dobrze o nim świadczy.

– Dobrze? Czy ty jesteś normalny, Tomek? – Matka złapała się za głowę.

– Dobrze. Pokazał, że warto się z nim liczyć. Nawet jak ma pizdę pod okiem,
to i tak sporo zyskał.

– Pizdę? Co to za słownictwo?

Tomek wzruszył ramionami i wrócił do swojego pokoju.

Matka popatrzyła na mnie i pokręciła z niedowierzaniem głową. Wiedziałem,
że jeszcze wróci do tego tematu. Pewnie jak ojciec przyjdzie z roboty.

* * *

WROCLAW, 19 LUTEGO 1994 R.

Tretter zatrzymał poloneza tuż za karetką pogotowia. Spojrzał na zgromadzony
przed blokiem niewielki tłum i powiedział do Szymańskiej:

– Nie lubię skoczków. Zawsze mam po nich podły nastrój.

– Jesteś tu pro forma. Pójdzie do umorzenia. Nie ma udziału osób trzecich,
więc zaraz się stąd zmywamy.

Policjant wiedział, że partnerka ma rację. Dopiero co zaczęli służbę, a już
dostali zgłoszenie o samobójstwie nastolatka. Początkowo mieli się tym zająć
kryminalni z Połbina, ale akurat byli na czynnościach, więc temat spadł na nich.

Tretter wysiadł z poloneza i odpalił papierosa. Dorota naciągnęła na głowę
czapkę i chwilę później także znalazła się na zewnątrz. Ciało denata leżało na nie-
wielkim daszku nad wejściem do bloku. Część zwłok zwisła poza krawędź. Do
ściany przystawiona była drabina, po której można się było dostać na daszek. Na
górze pracowało dwóch techników. Teren wokół wejścia do bloku otoczony był
taśmą, a policjanci pilnowali, by nikt zbyt blisko się nie zbliżył.

Nagle z boku dobiegł krzyk:

– O Boże!

Tretter odwrócił głowę. Wśród gapiów stała kobieta w średnim wieku
i patrzyła z przerażeniem na fragment ciała wystający poza daszek. Po chwili
zaczęła szarpać za taśmę oddzielającą miejsce znalezienia zwłok od reszty chod-
nika. Natychmiast podszedł do niej młody posterunkowy i starał się ją uspokoić.

Policjant wziął głęboki oddech i skierował się w stronę kobiety.

– Dzień dobry, aspirant Mateusz Tretter, komenda miejska. Proszę ze mną –
powiedział, łapiąc ją pod ramię.

Domyślał się, że jest to matka ofiary. Zaraz pewnie zacznie się to, co w takich chwilach jest normą. Kobieta zacznie płakać i do czasu, aż się nie uspokoi, nie będzie szans na uzyskanie od niej żadnych informacji. Musiał działać szybko, zanim nadejdzie szok.

Szymańska podeszła do nich i spytała:

– Wszystko w porządku?

– Nie, nic nie jest w porządku – powiedziała roztrzęsiona kobieta, nie odrywając załzawionych oczu od daszka.

– Potrzebuje pani pomocy lekarza?

– Nie. Nie potrzebuje... Boże...

Tretter dał znak partnerce, by jednak wezwała medyka. Gdy Szymańska odeszła kawałek dalej, zwrócił się do matki samobójcy.

– To pani syn?

Skinęła głową.

– Już drugi... Dlaczego to zrobił...?

Policjant nie wiedział, co odpowiedzieć. Wiedział za to, że przez kolejne samobójstwo będzie miał podły nastrój.

* * *

Sawicki już miał nacisnąć klamkę w drzwiach wydziału, gdy zobaczył, że z toalety wychodzi naczelnik.

– Czekaaj, Sawicki. – Pawlak machnął do niego ręką i zbliżył się. – Jak ci się robi ze Żmigrodzkim?

– Dobrze.

– A gdzie on jest?

Krzysiek nie wiedział, co odpowiedzieć. Mógł skłamać, ale to od razu by wyszło. Postanowił więc powiedzieć prawdę.

– Nie wiem. Przyjechałem po niego jak zwykle, ale nikogo nie zastałem w mieszkaniu.

– Może zachlał. – Naczelnik spojrział na zegarek.

Krzysiek też się zastanawiał, czy partner znowu zaczął pić.

– A może mu się coś stało? Może zasłabł i teraz dogorywa, czekając na pomoc? – Wyobraźnia podsuwała mu różne scenariusze.

– Złego diabli nie biorą. Powiem ci, że prędzej mnie szlag trafi niż jego. Zawsze spada na cztery łapy. Nawet przy sprawie Urbańskiego mu się udało. Potem, jak chlał z Mieszkowskim, to Romek wyleciał, a on został. Facet ma szczęście.

– Z tego, co mi mówił, tamta sprawa miała na niego duży wpływ.

Pawlak spojrział na niego zaskoczony.

– Rozmawialiście o Urbańskim?

Krzysiek nie wiedział, czy potwierdzić. Obiecał Żmigrodzkiemu, że pewne rzeczy zachowa dla siebie. Fakt, że z nim o tym rozmawiał, nie był jednak przecież równoznaczny z ujawnieniem tajemnicy. Skinął głową.

– Wspomnił, że prowadził sprawę zabójstw nastolatk.

– Razem z Mieszkowskim posłali podejrzanego na stryczek. Po czasie okazało się, że błędnie wytypowali. Dali dupy i tyle. Nie ma co się nad tym brandzlować.

Sawicki przez moment się wahał, czy powiedzieć naczelnikowi o obawach Żmigrodzkiego – że zabójca może nadal chodzić wśród żywych.

– Pytanie, czy ten kolejny podejrzany był prawdziwym zabójcą – powiedział w końcu.

– A niby że co? Że zabójca jest na wolności? Chłopaku, nie przesadzaj. Jesteś krótko w służbie i w wydziale, więc pewnych rzeczy możesz jeszcze nie dostrzegać. Nie powinienem źle mówić o Żmigrodzkiemu, ale trzeba jasno stwierdzić, jak sprawy stoją. Piotruś chleje i może mieć omamy. Tyle.

Sawicki się zamyślił. Naczelnik mógł mieć rację. Policjant, który od lat nadużywa alkoholu, zamiast białych myszek może widzieć nieistniejącego mordercę. Przypuszczenie to jedno, a rzeczywistość to drugie.

Pawlak uśmiechnął się do niego i powiedział:

– Dobra. Jedź i sprawdź, czy się ten as nie przekreślił.

Sawicki skinął głową.

– A jak się okaże, że jest najebany, niech mi się na oczy nie pokazuje. Powiedz mu, że jutro ma dyżur. Jak zachleje i się nie pojawi w fabryce, osobiście dopilnuję, by go wywalono. I tu nie żartuję.

Krzysiek wiedział, że Pawlak bez skrupułów pozbędzie się Żmigrodzkiego, gdy ten nawali. Mógł mieć gdzieś, co się z nim stanie, ale powinien być lojalny wobec partnera. Osobiście dopilnuje, by Pawlak nie miał powodów do wywalenia komisarza.

Odwrócił się i ruszył w stronę schodów.

* * *

Tretter patrzył, jak matka skoczka jest odprowadzana przez jakąś sąsiadkę do klatki.

– Zaraz się zawijamy – zwrócił się do Szymańskiej.

– Myślę, że trzeba by z babką pogadać.

– Po co?

– Bo dopóki prorok nie powie, że sprawa idzie do kubła, traktujemy ją tak, jakby to był ubój.

Sięgnął do kieszeni po papierosa i odpalił jednego.

– Nie przesadzaj. Typowy ikar. Nie on pierwszy i nie ostatni postanowił sprawdzić, czy poleci.

Po drabinie na daszek zaczął wchodzić lekarz. Za chwilę stwierdzi zgon i zwłoki zostaną przewiezione do zakładu medycyny sądowej. Prokuratura prawdopodobnie nawet nie zleci sekcji. Wszystko wyglądało na to, że było to zwykłe samobójstwo bez udziału osób trzecich.

– Jak gadałeś z matką chłopaka, to podsłuchałam rozmowę tamtych dwóch babek. – Szymańska wskazała na stojące kawałek dalej kobiety.

- No i?
 - I usłyszałam coś dziwnego. Mówiły, że ten na dachu jest drugim synem tej Dąbrowskiej.
 - Wspominała coś o drugim synu – potwierdził Tretter i wziął macha.
 - Ale obaj poszli do piachu w ciągu paru dni.
 - Co?
 - No mówię ci. Najpierw jeden rzucił się pod pociąg, a teraz ten skoczył. To już jest samo w sobie wystarczająco zastanawiające.
 - Czekał... Dąbrowska, Dąbrowska... – Policjant się zamyślił. – Pamiętam protokół z sekcji Szymona Dąbrowskiego. To nie tego dzieciaka zeszkrobywali ostatnio z lokomotywy?
 - Ten sam.
 - Kurwa mać. To faktycznie dziwne.
 - Też tak uważam. Żmigrodzki przy tym pierwszym powiedział, że prorok powinien zdecydować, co dalej. Tamten dzieciak miał ślady po gwałcie. A teraz skacze z dachu jego brat. Moim zdaniem to wystarczy, żeby przyjrzeć się sprawie bliżej.
- Tretter musiał przyznać partnerce rację. W tych okolicznościach to samobójstwo wyglądało co najmniej dziwnie.

* * *

WROCLAW, 17 GRUDNIA 1993 R.

Dzisiaj wyjątkowo nikt mi nie dokuczał. Nawet Mirek odpuścił. Przynajmniej takie miałem wrażenie.

Wkuwałem na niemiecki. Miałem najgorsze oceny w klasie i nauczycielka zapowiedziała, że może mi wystawić na semestr tylko jedynkę, chyba że poprawię ostatni sprawdzian. Mirek oprócz niemieckiego miał problemy z większością przedmiotów. Na ostatniej lekcji wychowawczej usłyszał, że jak w kolejnym półroczu się nie podciągnie, zostanie w pierwszej klasie. Widać było, że się przestraszył i wziął do pracy. Miałem nadzieję, że nie zda i w kolejnym roku szkolnym nie będzie już się nade mną znęcał. Nie wyobrażałem sobie, że miałbym przejść przez całe technikum w takiej atmosferze. Nie dałbym rady. Prędzej czy później coś bym mu zrobił. Nawet ja miałem swoje granice, a ostatnio byłem już bliski ich przekroczenia.

Za kwadrans mieliśmy zacząć lekcję z maszynoznawstwa. Spojrzałem w stronę swojego gnębiciela i zobaczyłem, że jest skupiony nad zeszytem. Zgłodniałem. Postanowiłem zjeść kanapki, które naszykowałem sobie rano. Dzisiaj miałem kromki z żółtym serem i czerwoną papryką. Gdy jednak sięgnąłem do chlebaka, z zaskoczeniem stwierdziłem, że ktoś w nim grzebał. Ja nie pakowałem tak kromek. Otworzyłem jedną i cofnąłem się z obrzydzeniem. Papryka była oblepiona zieloną, klejącą się flegmą. Spojrzałem na Mirka. Nie patrzył już w zeszyt. Teraz mnie obserwował z parszywym uśmiechem.

– Smacznego – powiedział.

Nie odpowiedziałem, tylko wyniosłem kanapki do kubła przy drzwiach wejściowych.

– Ej, czemu je wywalasz? Przecież to da się zjeść! – zawołał stojący przy oknie Jacek.

Miałem ochotę mu powiedzieć, że skoro tak uważa, może się poczęstować. Zmilczałem jednak. Wiedziałem, że wtedy wtrąciłby się Mirek, a to już skończyłoby się dla mnie źle. Opuściłem. Trudno, dzisiaj w szkole będę głodny.

* * *

WROCLAW, 19 LUTEGO 1994 R.

Bożena leżała na wersalce. Siedząca obok Teresa trzymała ją za rękę.

Wokół kręciło się kilka osób, ale Dąbrowska nawet nie miała pojęcia, kim są. Środki, które dał jej lekarz, zupełnie ją otepiły. Patrzyła w sufit. Nie wiedziała, co powie Andrzejowi. Samobójcza śmierć drugiego z ich synów całkowicie go dobije. Kto wie, może nawet skończy się kolejnym zawałem. Jeszcze jedno dziecko nie zostało pochowane, a już po drugie upomniała się śmierć. To było ponad jej siły. Miała ochotę już tylko zamknąć oczy i umrzeć.

Usłyszała jakieś głosy przy wejściu. Podniosła głowę i zobaczyła stojącego w progu policjanta, z którym rozmawiała wcześniej. Nie pamiętała, jak się nazywał ani nawet czy się jej przedstawił, ale nie miało to dla niej większego znaczenia.

– Pani Dąbrowska, możemy porozmawiać? – Podeszedł do niej teraz.

– Niech pan jej nie męczy – powiedziała Teresa. – Dostała zastrzyk i nie jest w pełni sił.

– Postaram się. Muszę jednak się czegoś dowiedzieć, a właściwie upewnić.

Dąbrowska skinęła nieznacznie głową.

– Niech pan pyta. – Sama nie poznała swojego głosu. Był dziwny, jakby dochodził z zaświatów.

– Czy Szymon Dąbrowski to pani syn? – spytał policjant.

Skinęła głową.

– Czy kilka dni temu popełnił samobójstwo?

Poczuła mocniejsze ukłucie w klatce piersiowej. Położyła dłoń na piersi.

– Niech pan skończy – odezwała się Teresa. – Chce pan, żeby dostała zawału?

– Nie.

– Jej mąż wylądował w szpitalu, a teraz ona może tam trafić.

– Nie chcemy nikogo skrzywdzić – wtrąciła stojąca dotąd z boku Szymańska.

– Ale musimy wykonać pewne czynności.

– Tak. Szymon popełnił samobójstwo – powiedziała Dąbrowska.

– A wie pani, co mogło go popchnąć do takiego kroku?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem... Tak samo jak nie wiem, co sprawiło, że Tomek poszedł w jego ślady. Po prostu nie wiem. Co my takiego złego zrobili-

śmy, że Bóg nas tak doświadcza? Pytam, co takiego zrobiliśmy? – Dąbrowska ponownie chwyciła się za pierś. Jej twarz wykrzywił grymas bólu.

Tretter spojrział na swoją partnerkę i dał jej znak, że na nich pora.

* * *

Żmigrodzki patrzył na stojącego w progu Sawickiego. Chwilę wcześniej otworzył mu drzwi.

– Co jest? – spytał, sięgając do kieszeni wiszącego na kołku kozucha w poszukiwaniu papierosów. Miał nadzieję, że jakieś tam będą, bo nie chciało mu się wracać do kuchni.

– Piłeś.

– No i? Duży jestem, to chyba mogę, nie?

– Wpuścisz mnie? Nie chcę stać na klatce.

– Jak musisz. – Komisarz cofnął się o krok.

Sawicki wszedł do środka, posyłając mu spojrzenie pełne wyrzutu. Żmigrodzki nic sobie jednak z tego nie robił. Skierował się do kuchni i zgarnął ze stołu paczkę marsów. Odpalił jednego i usiadł na krześle.

– Po co przyjechałeś? – spytał.

Krzysiek rozejrzał się po kuchni, oceniając chlew, jaki jego partner zrobił w nocy.

– Nie miałem czasu posprzątać. – Komisarz strzepnął popiół na podłogę, bo stojąca obok jego nóg popielniczka była już przepełniona.

– I to chyba od dawna – stwierdził Sawicki.

– A ty tu przyjechałeś, żeby robić mi wyrzuty o bałagan?

– Nie, ale mógłbyś to trochę ogarnąć.

Żmigrodzki wziął macha i wydmuchnął dym.

– Pamiętaj młody, sprzątaj ten, komu bałagan przeszkadza.

W odpowiedzi Sawicki tylko słabo się uśmiechnął.

– Więc co cię sprowadza?

– Byłem rano, ale nie otwierałeś.

– Spałem. Poza tym w sobotę nie musi być pełnego składu w komendzie. Wziąłem sobie wolne.

– Pawlak mnie zaczepił w fabryce.

Żmigrodzki schylił się i zagasił niedopałek, który zaraz wypadł z popielniczki.

– I co z tego?

– Nic. Powiedziałem, że byłem po ciebie, ale cię nie zastałem. Kazał mi sprawdzić, czy żyjesz.

– Że niby tak się o mnie martwi? Myślałby kto.

Krzysiek usiadł na sąsiednim krześle i wyjął z kieszeni kurtki papierosy.

– Powiedziałem mu, że gadaliśmy o sprawie Urbańskiego. – Odpalił jednego.

Żmigrodzki spojrział na niego przenikliwie.

– Wspaniałe mnie?

– Nie. Powiedziałem, że gadaliśmy tak ogólnie. Powiedziałem też, że czasem masz wątpliwości, czy wsadziliście winnego.

Komisarz wstał i podszedł do lodówki, po czym wyjął z niej do połowy opróżnioną butelkę wódki.

– Nie pij – powiedział Sawicki.

Prośbę partnera puścił mimo uszu. Wziął z blatu kieliszek i wrócił na krzesło. Gdy napełnił szkło, spojrzął na Krzyśka.

– Jest jeszcze coś, o czym ci wtedy nie wspomniałem. Romek kiedyś powiedział coś ciekawego. To było na samym początku sprawy. Jeszcze nie typowaliśmy Urbańskiego. Mieszkowski miał teorię, że zabójcą mógł być gliniarz.

– Gliniarz? – Sawicki uniósł brwi.

– Tak. Mówił, że ma przecucie, że za tym wszystkim stoi pies.

– A coś na poparcie tej teorii?

– Przecucie. Tylko tyle.

– Nie przekonuje mnie to. Jakieś przecucie to za mało, żeby oskarżać kogoś z naszych.

Żmigrodzki uśmiechnął się do partnera.

– Tylko że widzisz, Romek miał szósty zmysł. Jego przecucie wiele razy się w naszej robocie sprawdziło. Jeśli je miał, oznaczało to, że coś jest na rzeczy. – Sięgnął po kieliszek.

Sawicki patrzył, jak partner wypija alkohol. Zastanawiał się nad jego słowami. Jeśli Mieszkowski dobrze kombinował – i jeśli zaufać temu, co czuł – ten drugi podejrzany również był niewinny. To z kolei oznaczało, że zabójca mógł się im jeszcze dać we znaki.

* * *

Tretter podszedł do prokuratora Zielińskiego stojącego w pobliżu radiowozu. Mężczyzna zapisywał coś w trzymanej w dłoni teczce.

– Dzień dobry, panie prokuratorze.

– Dzień dobry. Zaraz kończymy. Sprawa idzie do umorzenia.

– Może niekoniecznie. Z naszych ustaleń wynika, że to już drugie targnięcie się na swoje życie w tej rodzinie. Ostatnie miało miejsce kilka dni temu.

– Czekaj... – Prokurator popatrzył na policjanta i zmrzył oczy. – Dąbrowski... Faktycznie. Byłem kilka dni temu na miejscu zdarzenia. Łebek chciał własnym ciałem zatrzymać pociąg. Niestety nie odniósł sukcesu.

Tretter patrzył na schodzących po drabinie techników. Ciało Tomasza Dąbrowskiego zaraz także opuści niewielki daszek nad wejściem do klatki.

Podeszła do nich Szymańska. Skinęła głową przedstawicielowi prokuratury i poprawiła kołnierz kurtki.

– Ten też zbyt wysoko się nie wzniosł – powiedział Tretter. – Jednak fakt, że dwaj bracia w ciągu kilku dni postanowili ze sobą skończyć, jest co najmniej zastanawiający.

– Uważacie, że ktoś im pomógł?

– Nie.

– Czyli nie było udziału osób trzecich – stwierdził Zieliński.

– Ale może warto sprawdzić, co spowodowało, że podjęli taką decyzję? – zasugerowała Szymańska.

Prokurator schował długopis do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– A mało macie roboty?

Tretter zdał sobie sprawę, że nie zamierza zająć się tą sprawą. Jeśli chcieli cokolwiek ustalić, czynności będą musiały być wykonane nieoficjalnie.

– Czyli sprawa na półkę? – upewnił się.

– Tak. Szkoda zajmować się tematem – stwierdził Zieliński. – Życia im to nie zwróci, a tylko nam doda nikomu niepotrzebnej roboty.

Dał znak policjantom stojącym przy drabinie, żeby pomogli znieść na dół ciało Tomasza Dąbrowskiego.

– Uważam, że... – zaczęła Szymańska, ale prokurator przerwał jej z uśmiechem:

– Nie ma sensu, koleżanko. Nikt nie da nam za to premii. Kiedyś za wyniki to może i by order dali. Teraz nie ma żadnej nagrody, więc nie warto dokładać sobie roboty. Dobrze wam radzę. Zajmijcie się zabójstwami, a nie szukajcie na siłę zajęcia. Pamiętajcie, robota głupiego szuka. A my przecież nie jesteśmy głupi, zgadza się?

Tretter dał znak Szymańskiej, że nic tu po nich.

* * *

Bożena patrzyła, jak lekarz wstrzykuje jej kolejną dawkę leku uspokajającego.

Najpierw się zdrzemnęła, ale sen miała płytki. Każdy szmer ją budził. Teresa w tym czasie wykonała kilka połączeń telefonicznych. Bożena słyszała, jak rozmawia z kimś z zakładu pogrzebowego. Była jej wdzięczna za okazaną pomoc. Sama by sobie nie poradziła. Po przebudzeniu leżała i rozmyślała. Nie wiedziała, co będzie dalej. Przede wszystkim jak ma poinformować Andrzeja. Przecież to może go zabić.

Gdy wstała, sama poczuła silny ból w klatce. To dlatego Teresa wezwała karetkę i lekarz postanowił dać jej kolejny zastrzyk. Teraz, gdy skończył wstrzykiwać przezroczysty płyn w jej żyłę, uśmiechnął się nieznacznie i powiedział:

– Po tym powinna pani zasnąć.

– Chciałabym zasnąć i już nigdy się nie obudzić – wyszeptała Bożena.

– Niech pani tak nie mówi. Życie jest piękne.

– Mam co do tego wątpliwości.

– Osobiście uważam, że trzeba się cieszyć. Dwa dni temu urodził mi się syn. Cieszę się niezmiernie, bo z żoną staraliśmy się o niego przez kilka lat.

Bożena spojrzała mu prosto w oczy.

– Ja miałam dwóch. Jeden rzucił się pod pociąg we wtorek. Dzisiaj jest sobota i drugi skoczył z dachu. Mąż miał zawał i leży w szpitalu. Nie wiem, czy przeżyje

kolejną śmierć w rodzinie. To go może dobić. Więc sam pan doktor widzi, nie mam zbyt wielu powodów do radości.

Lekarz gwałtownie poczerwieniał z zakłopotania.

– Nie miałem pojęcia... Przepraszam.

W pośpiechu zaczął pakować swoje rzeczy do walizki.

– Nie pana wina. To los tak zwyczajnie się uwziął na moją rodzinę.

Doktor podszedł do stojącej w progu pokoju Teresy.

– Jakby coś się działo, niech pani dzwoni. Ale po tym, co podałem pacjentce, powinno być lepiej.

Potem wyszedł z pokoju.

Bożena zamknęła oczy. Starła się nie myśleć o tym, co sprawiło, że Tomek postanowił ze sobą skończyć. Miała do siebie żal, że wcześniej nie interesowała się życiem swoich dzieci. Teraz było już za późno. Na wszystko za późno.

WROCLAW, 6 STYCZNIA 1994 R.

Za chwilę mieliśmy mieć wuef. Wszedłem do szatni i powiesiłem kurtkę na wieszaku. Kiedy wyjmowałem z plecaka strój, zostałem z całej siły kopnięty w tyłek. Odwróciłem się i spojrzałem na Mirka.

- Co się tak lampisz? – warknął. – Wypierdalaj stąd.
- Co? – spytałem, kompletnie zdezorientowany.
- No czego, pedale, nie jarzysz? Nie chcemy cię tu!
- Czemu się mnie czepiasz?

Mirek popatrzył po twarzach reszty chłopaków z klasy. Wszyscy w milczeniu czekali na rozwój wydarzeń. Wiedziałem, że nikt nie stanie w mojej obronie.

- Nie chcę, żebyś patrzył, jak się przebieram – ponownie zwrócił się do mnie.
- Podniecają cię męskie dupy?

Milczałem. Reszta chłopaków uśmiechała się pod nosem.

- Ja się będę rozbierał, a ty potem w domu pamięćciówę pierdolniesz, co?
- Nie rozumiem.
- Czego nie rozumiesz? Będziesz marszczył fredda, wspominając moje dupsko.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Miałem nadzieję, że ktoś jednak powie mu, żeby mi odpuścił. Nic takiego jednak się nie stało.

- Wypierdalaj do sracza się przebierać – rozkazał mój oprawca.

Myślałem, że żartuje, on jednak dał znak Jackowi i Krzyżkowi, a wtedy obaj podeszli do mnie i chwycili mnie pod ramiona. Mirek walnął mnie pięścią w brzuch. Ból był tak silny, że aż zgiałem się wpół. Wtedy Grzeszczak wziął mój plecak i wrzucił go do toalety. Cała zawartość rozsypała się po podłodze.

- Tam od dzisiaj masz się przebierać – powiedział z uśmiechem.

Puścili mnie. Trzymając się za brzuch, poszedłem zbierać swoje rzeczy.

Spojrzałem jeszcze w stronę Mirka. Przybijał piątkę z pozostałymi chłopakami.

* * *

WROCLAW, 20 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej już prawie pustą butelkę wódki. Postawił ją na blacie, po czym podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

Nikt nie musiał widzieć, że pije w komendzie. Dzisiaj miał dyżur w wydziale, więc potencjalnych świadków i tak byłoby mało. Nie chciał jednak rzucić się

nikomu w oczy. Cieszył się, że jest niedziela, nic też nie zapowiadało, by jakiś denat chciał się z nim spotkać. Jak zwykle mawiać, wszelkiej maści zbóje dzień święty święcą.

Wrócił do biurka i wyjął z szuflady kieliszek. Nalał sobie i zapalił papierosa. Przez chwilę się zastanawiał, czy dobrze robi. Obiecał Pawlakowi, że nie będzie pił w robocie, ale okazało się to ponad jego siły. Musiał sam przed sobą przyznać, że wpadł w nałóg. Myślał, że wystarczy postanowić sobie, że się nie pije, i to się w jakiś magiczny sposób ziści. Niestety tak to nie działało.

Wychylił kieliszek, otarł usta i schował butelkę z powrotem do szuflady. Resztkę wódki musiała mu starczyć na cały dzień. Miał co prawda jeszcze pierśiówkę, ale wolał jej nie ruszać. Jak znał życie, przyda się w najmniej spodziewanym momencie.

Palił i patrzył na tablicę korkową na ścianie na wprost biurka. Wisiała na niej kartka z hasłem odręcznie napisanym przez Szymańską: „sekcja T. Dąbrowskiego”. Zmarszczył brwi. Tak się nazywał samobójca, który rzucił się pod pociąg. Tylko on chyba miał na imię Szymon.

– Pewnie się pomyliła – powiedział cicho, gasząc papierosa.

W tym samym momencie zaczął dzwonić stojący na biurku telefon.

– Słucham.

– Cześć, Tomasik z tej strony. Mam dyżurnego dzisiaj. Szykuj się w teren. Macie trupa – usłyszał głos po drugiej stronie.

Żmigrodzki zaklął w myślach. Nie chciało mu się nigdzie jechać. Planował spędzić niedzielę w wydziale, co jakiś czas wychylając kieliszeczek. Mógł się także zdrzemnąć na łóżku polowym, które mieli w szafie.

– A nie może rejon się tym zająć? – spytał, licząc, że Tomasik uzna to za lepszy pomysł.

– Nie mają ludzi. Poza tym stwierdzili, że trzeba najlepszego asa w mieście, więc od razu pomyślałem o tobie.

Żmigrodzki wiedział, że Tomasik się z niego nabija. Znał go od lat. Kilka razy wspólnie imprezowali. Nie łączyło ich jednak nic więcej poza tym, że byli kolegami z jednej komendy.

– Dobra. Dasz mi jakiegoś mundurowego, co by trapeza prowadził?

Dyżurny westchnął głośno.

– Postaram się coś ogarnąć. Tylko nie pij już więcej.

Żmigrodzki wiedział, że Tomasik ma rację. Nie może jechać na trupa na bani.

– To daj znak, jak już będzie kierowca – powiedział, zanim odłożył słuchawkę na widełki.

Kusiło go, żeby wychylić jeszcze jeden kieliszek przed wyjściem, ale wiedział, że to byłby błąd.

* * *

Sawicki leżał na wersalce i oglądał w telewizji koncert życzeń. Choć tak naprawdę tylko bezmyślnie patrzył na ekran. Jego umysł zaprzętały słowa Żmi-

grodzkiego o podejrzeniach Mieszkowskiego, że mordercą mógł być policjant. Wydawało mu się to mało prawdopodobne. Nie spotkał się z takim przypadkiem podczas zajęć w szkole policyjnej. Żaden wykładowca nie wspominał, by kiedykolwiek w historii seryjnych zabójców mordercą okazał się ktoś z organów ścigania. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego miałoby się wydarzyć w Polsce. To byłoby zbyt nieprawdopodobne.

Magda gotowała obiad. Jak zwykle w niedzielę miał być rosół i kotlet z ziemniakami. Uwielbiał jej kuchnię. Cokolwiek wychodziło spod jej rąk, zawsze mu smakowało. Preferowała tradycyjne polskie potrawy. Rosół, bigos, schabowy i gołąbki. Gotowania nauczyła się, mieszkając z ojcem. Życie zmusiło ją do wcześniejszego dorostania i zaopiekowania się domem.

– Za ile będzie obiad? – zawołał Krzysiek, wychylając się w stronę kuchni.

– A co? Głodny już jesteś?

– Nie. Chciałem wyjść na chwilę.

Magda weszła do pokoju i uśmiechnęła się.

– A niby dokąd? Kochankę masz i zapomniałeś, że się z nią umówiłeś?

– Nie. – Wstał i podszedł do niej. – Chciałem podjechać do komendy i pogadać ze Żmigrodzkiem.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Jest niedziela i powinieneś ją spędzić ze mną.

– Wiem, ale...

– Krzysiek, nie ma żadnego „ale”. Ja rozumiem, że ten Żmigrodzki jest twoim partnerem. Rozumiem, że chciałbyś, żeby rzucił picie. Naprawdę wszystko rozumiem. Uważam jednak, że tak jak świata nie zbawisz, tak i jemu nie pomożesz. Jak ktoś jest alkoholikiem, to ciężko mu się wyrwać z nałogu. Wiem coś o tym.

– Jak ktoś nie spróbuje mu pomóc, to nawet nie ma co myśleć o sukcesie. Jestem pewny, że dałby radę, gdyby tylko miał wsparcie.

Magda spojrzała na Sawickiego i pokręciła głową.

– Nie, Krzysiek. On jest już skreślony. Będzie pił i ty tego nie zmienisz. Będzie się przed tobą ukrywał. Będzie chował alkohol w miejscach, w których byś się tego nie spodziewał. Przerabiałam to ze swoim starym. On też mi obiecywał, że zerwie z wódką. Ile ja się napłakałam, ile naprosiłam. Udawał, że przestał pić. Ja jednak widziałam, że nic się nie zmieniło. Nic, rozumiesz? To samo będzie ze Żmigrodzkiem.

Krzysiek wiedział, że Magda ma rację.

– To za ile ten obiad? – spytał, wracając na wersalkę.

* * *

WROCLAW, 12 STYCZNIA 1994 R.

Byłem zadowolony z informacji, którą właśnie usłyszałem. Mój największy prześladowca Mirek przenoślił się do innej szkoły. Jego rodzice przeprowadzali się do Legnicy i odtąd Grzeszczak miał się tam uczyć. Pierwszy raz od dawna na mojej

twarzy zagościł uśmiech. Miałem nadzieję, że prześladowanie wreszcie się skończy i teraz będzie już tylko lepiej.

– Ej, cioto. Co tak zęby szczerzysz? – usłyszałem głos Mirka.

Stał kilka metrów dalej i patrzył na mnie wściekle.

Nie chciałem się wdawać w dyskusję, on jednak nie odpuszczał.

– Powiedziałem coś, pedrylu! – wrzasnął i ruszył w moją stronę.

Kilku chłopaków zaczęło zbierać się w kółko. Wiedziałem, że zaraz znowu się zacznie.

– O co ci chodzi? – spytałem.

– O gównu, jebany pedale!

Czekałem na pierwszy cios, bo że oberwę, tego byłem pewny. Jeszcze nigdy nie udało mi się wyjść z takiej konfrontacji zwycięsko. Mirek był dla mnie zbyt silny. Chodził na siłownię, a w listopadzie zapisał się na zapasy. Poza tym miał wsparcie pozostałych chłopaków. Ja byłem sam. Musiałem pokornie znosić swój los, mając nadzieję, że tym razem nie skończy się limem. Nie chciałem kolejnej afery w domu. Matka co jakiś czas pytała o te bójkę, bała się, że wpadłem w złe towarzystwo. Tomek twierdził, że skoro nie potrafię się bronić, to obrywam. Powiedział też matce, że lepiej, żeby się nie wtrącała, bo jak pójdzie z tym do szkoły, to już w ogóle nie będę miał życia. Ojciec skwitował temat krótko: chłopaki od zawsze się bili i może powinienem zapisać się na karate albo judo. Łatwo mu było mówić. Nie był w mojej sytuacji.

– Zboczku w dupę jebany! – krzyknął Mirek i wyprowadził pierwszy cios.

Uchyliłem się i odskoczyłem w bok. Wtedy poczułem, jak jakieś ręce łapią mnie za ramiona. Chwilę później oberwałem w brzuch. Mirek trafił w okolicę pępka. Poczulem silny ból. Któryś z chłopaków podciął mnie i upadłem na podłogę. Widziałem, jak w moją stronę z zawrotną szybkością zmierza czyjś martens. Odruchowo zasłoniłem twarz, więc trafił mnie w ramię. Zgromadzeni dookoła chłopacy zaczęli dopingować Mirka do zadawania kolejnych ciosów.

Zacisnąłem powieki, marząc o tym, żeby to się wreszcie skończyło.

* * *

WROCLAW, 20 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wysiadł z poloneza i spojrzał na wejście do kamienicy na Kościuszki.

Sierżant, który służył mu za kierowcę, wycofał kawalek i zaparkował przy krawężniku. Komisarz poprawił kołnierz kozucha i podszedł do wejścia do budynku.

Stojący przy drzwiach mundurowy skinął głową.

– Melina na parterze – powiedział. – Technicy już są. Lekarz wezwany.

Żmigrodzki wszedł do mieszkania, w którym dokonano zbrodni. Była to typowa pijacka melina. Na podłodze walały się butelki po wódce i piwie, ściany od przynajmniej dwudziestu lat domagały się odmalowania. Drzwi były upstrzone śladami po palcach. Zrobił parę kroków w stronę kuchni i spojrzał na

bałagan w zlewie. U niego ostatnio był podobny. Wzdrygnął się, sam nie wiedział, czy na to wspomnienie, czy z powodu smrodu zepsutego jedzenia.

Odwrócił się do stojącego w progu mundurowego i powiedział:

– Otwórz okno, niech się wywietrzy.

Patrzył, jak sierżant odsuwa poźótkłą firankę i mocuje się z klamką. Chwilę później do środka wpadło świeże, mroźne powietrze.

Żmigrodzki udał się do salonu. Już wchodząc do mieszkania, wiedział, w którym pomieszczeniu doszło do zbrodni. Ciała były dwa. Mężczyzna siedział przy stole z twarzą w talerzu. Jego brudny podkoszulek był cały we krwi. Kobieta leżała na podłodze, z połową ciała przykrytą starą narzutą. Komisarz podszedł bliżej i uniósł materiał. Twarz ofiary była zmasakrowana. Z tego, co mógł stwierdzić, zgon nastąpił dużo wcześniej niż śmierć mężczyzny przy stole.

– Co mamy? – spytał zbierających ślady techników.

Jeden z nich schował długi nóż kuchenny do woreczka strunowego. Komisarz wiedział, że tym narzędziem zabito siedzącego przy stole mężczyznę.

– Babka prawdopodobnie zginęła dwa, może trzy dni temu. Świadczy o tym stopień rozkładu ciała. Ten przy stole nie żyje od kilku godzin – powiedział technik. – Kobitę ktoś mocno napierdalał. Połamane wszystkie kości. W mojej ocenie sprawca wpadł w szał i nie patrzył, gdzie uderza. Jako narzędzie obstawiałbym młotek albo coś podobnego.

– Ja bym raczej stawiał na tłuczek do mięsa – wtrącił drugi z techników.

– Też może być.

– W mieszkaniu nie znaleźliście narzędzia? – spytał Żmigrodzki.

Technik zaprzeczył ruchem głowy.

– A wiemy, kim są ofiary?

Stojący z boku policjant wyjął notatnik.

– Jestem tu dzielnicowym – powiedział, po czym zajrzał do zapisków i przeczytał: – Tamten przy stole to Andrzej Leszczyński. Lat czterdzieści siedem. Ksywa Lasek. Z zawodu mechanik, ale od kilku lat na rencie. Z tego, co wiemy, przepija wszystkie świadczenia. Kobieta to Barbara Sobolewska, rocznik pięćdziesiąty ósmy. Prostytutka. Stała kawalek dalej, na Gwarnej. W środowisku znana jako...

– Ślepa Bacha – dokończył Żmigrodzki.

– Komisarz ją zna?

– Przewijała się nam w kilku sprawach.

Komisarz pochylił się nad ciałem zamordowanej.

– Coś się kończy, Bacha – powiedział cicho. – Do zobaczenia po drugiej stronie.

* * *

Nie mogłem się doczekać ferii zimowych. Po ich zakończeniu Mirka miało nie być już w szkole.

Dzisiaj na jednej z przerw stałem przed klasą i czekałem na zajęcia. Grzeszcak stał kawałek dalej, razem z resztą chłopaków oglądali gazetkę z gołymi laskami. Mieli ją włożoną w książkę od niemieckiego. Co chwila parskali śmiechem. Nie podchodziłem bliżej, nie chciałem się rzucać w oczy. Stałem z boku i marzyłem, żeby mój oprawca wreszcie wyjechał do tej Legnicy. Wiedziałem, że po przerwie zimowej już nigdy go nie zobaczę. Miałem nadzieję, że pozostali odpuszczą mi choć trochę, gdy nie będzie głównego prowodyra. Musiałem wytrzymać jeszcze kilka dni. Potem powinno być lepiej.

Dwa dni temu spotkałem Agnieszkę, koleżankę z podstawówki. Zastanawiałem się, czy nie poprosić jej, żeby przez jakiś czas udawała moją dziewczynę. Może jak chłopacy z klasy zobaczą mnie w towarzystwie laski, przestaną posądzać mnie o pedałstwo. W końcu jednak nie odważyłem się zaproponować jej takiej mistyfikacji. Nie byłem pewny, jak by zareagowała.

Zaczął dzwonić dzwonek. Korytarzem szła już nauczycielka niemieckiego. Gdy otworzyła salę, ruszyłem w stronę wejścia. Wtedy za plecami usłyszałem głos Mirka:

– Ej, pedale, gazetka ci wyleciała!

Odwróciłem się i zobaczyłem leżące za moimi plecami pismo z gołymi facekami.

Pani Szmidt podeszła bliżej i podniosła je. Przez chwilę patrzyła na okładkę, a potem przeniosła wzrok na mnie.

– Ty się interesujesz takimi rzeczami, Dąbrowski? Nie spodziewałam się tego po tobie – powiedziała.

– To nie moje.

– Nie skomentuję tego. Gazeta zostaje u mnie. Będę musiała porozmawiać z waszym wychowawcą.

Gdy weszła do klasy, Mirek podeszedł bliżej.

– Szkoda, że zabrała. Nie będziesz miał przy czym walić konia – prychnął. – Trudno. Kupisz se nową.

Minął mnie i wszedł do sali.

* * *

WROCLAW, 20 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki sprawdził, czy nikt nie patrzy, i wziął łyk z piersiówki. Śmierć znajomej prostytutki sprawiła, że po prostu musiał się napić. Wiele razy kobieta stała przed nim jako świadek, a dzisiaj pojawiła się ostatni raz – jako ofiara. Poczuli się, jakby stracił przyjaciela. Wziął kolejny łyk i schował piersiówkę do kieszeni kożucha. Następnie wrócił do pokoju. Technicy zabezpieczali właśnie naczynia znajdujące się na stole. Żmigrodzki widział wśród dowodów pełno niedopałków papierosów.

– Coś wiemy o towarzystwie denata? Z kim najczęściej chlał? – spytał stojącego przy drzwiach dzielnicowego.

– Do Laska najczęściej przychodził niejaki Karol Szuster, pseudo Pająk. Facet karany za drobne kradzieże. Miał wyrok za włamanie. Oprócz niego pojawiali się Bogdan Kopiński, ksywa Paluch, i Kazimierz Domagała. Obaj niekarani.

– Trzeba sprawdzić, co się z nimi dzieje, i zawinać.

– Ten Pająk mieszka bramę obok.

– No to się do niego przejdziemy.

Żmigrodzki zapiął kożuch i ruszył w stronę wyjścia. Na klatce schodowej przepchnął się pomiędzy zaciekawionymi mieszkańcami kamienicy i wyszedł na zewnątrz. Stał przed wejściem, odpalając papierosa.

– Sami idziemy, panie komisarzy? – zapytał podążający jego śladem dzielnicowy.

– Zawołaj mojego kierowcę. Po Pajaka pójdziemy we trzech. Po resztę trzeba będzie wezwać wsparcie z komendy.

Dzielnicowy ruszył do poloneza, a chwilę później z auta wysiadł kierowca, który przywiózł tu Żmigrodzkiego. Komisarz wziął macha i spojrzał na budynek, w którym doszło do zbrodni. Kojarzył, że kilka lat temu już w nim był. Kusilo go, żeby wzmocnić się łykiem alkoholu, ale mogłoby to zostać źle odebrane.

– Komisarzy, jesteście gotowi. – Dzielnicowy stanął przy nim.

Żmigrodzki skinął głową, wziął ostatniego macha, po czym rzucił niedopałek na chodnik i zdeptał go butem.

– No to prowadź, mistrzu.

* * *

Po obiedzie Sawicki i Magda poszli na spacer do pobliskiego parku. Widzieli matki z dziećmi lepiące bałwana. Luty był w tym roku wyjątkowo mroźny i napałało sporo śniegu. W pewnym momencie Magda chwyciła Krzyśka pod ramię i wskazała na bawiących się kawałek dalej chłopców. Mieli nie więcej niż cztery lata.

– Co ty na to, żebyśmy mieli takiego szkraba?

– Ale to byłoby porwanie.

– Nie o tych konkretnie mówię! – zaśmiała się. – Pytam o nasze wspólne dziecko.

– Możemy pomyśleć.

– Dzieci nie biorą się od myślenia.

– Co ty nie powiesz. – Krzysiek uśmiechnął się do niej. – Jakbyś nie zauważyła, jestem duży i wiem, jak zrobić dzieciaka.

Poprawił kołnierz kurtki i już chciał ruszyć dalej, ale Magda go zatrzymała.

– No to powiem ci, że ci się powiodło.

– Co? – Spojrzał na nią zaskoczony.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– W ciąży jestem.

– Jak w ciąży? Co ty mówisz?

Krzysiek był kompletnie zszokowany. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć. Czasy były coraz cięższe, wzrastało bezrobocie, a ceny galopowały jak głupie. Utrzymanie rodziny było coraz trudniejsze.

– Zrobiłam test. Ciężko było go dostać w aptecce, ale się udało. Pokazał, że będziemy mieli dziecko. Jutro chcę iść do ginekologa, żeby potwierdził. – Magda patrzyła na niego przenikliwie. – Ale widzę, że ciebie to nie cieszy.

Krzysiek objął ją i pocałował w policzek.

– Cieszy, cieszy. Po prostu mnie zaskoczyłaś.

– Sama początkowo nie mogłam w to uwierzyć. Już przy obiedzie chciałam ci powiedzieć, ale jakoś tak zacząłeś o tym Żmigrodzkim, więc odpuściłam.

– Nie planowaliśmy tego...

– Ale się zdarzyło. Co, mam usunąć?

Sawicki spojrzał na nią groźnie.

– Co ty za bzdury gadasz? Jak usunąć?

– Nie chcę cię do niczego zmuszać. To dopiero początek, mamy jeszcze wybór.

Sawicki pokręcił głową.

– Urodzisz i razem go wychowamy na porządnego człowieka.

– Go? A może to będzie dziewczynka?

– Chłopak. Dobrych synów potrafię zrobić. – Krzysiek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Skąd ta pewność, skoro jeszcze żadnego nie masz? Chyba że o czymś nie wiem?

– Ten jest pierwszy, ale wyjątkowy. Zobaczysz, że to będzie chłopak.

Myśl o dziecku nagle przestała mu się wydawać taka straszna. Nie przejmował się już inflacją, bezrobociem i kłodami, jakie los rzuca pod nogi. Złe czasy szybko przeminą.

* * *

Żmigrodzki nacisnął guzik dzwonka. Obok niego na klatce schodowej stało dwóch mundurowych. Wiedział, że takie wsparcie było wystarczające. Nawet jeśli zabił Ślepą Bachę i Laska, Pająk nie powinien stawiać zbyt dużego oporu. Z tego, co mówił dzielnicowy, facet był chudzielcem. Miał blisko dwa metry wzrostu i był chudy jak szkapa. Z takim nie powinni mieć problemu.

– Może go nie ma – powiedział dzielnicowy.

Żmigrodzki zapukał, a potem nacisnął klamkę. Mieszkanie stanęło przed nimi otworem.

– Wchodzimy. Tylko bez kozaczenia – powiedział i ostrożnie przekroczył próg.

Na dywanie pełno było śmieci i starych gazet. W przeciwieństwie do meliny Laska, tutaj puste butelki po alkoholu stały w równym rzędzie przy ścianie. Skierował się do pokoju na wprost drzwi wejściowych. W środku na tapczanie leżał

mężczyzna. Komisarz podszedł bliżej i sprawdził puls. Facet żył, ale był zalany w trupa.

– To Pająk? – zapytał, odwracając się do dzielnicowego.

– Tak.

– Trzeba będzie wezwać do niego pomoc. Niech lekarz go obejrzy, a potem nasi biorą go na dółek. Zajmiemy się nim, jak wytrzeźwieje.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Wyglądało jak wiele innych w tej okolicy. Meble z początku lat siedemdziesiątych, odłóżką od ściany położyła tapeta, przedpokój pomalowany wałkiem z wzorkiem. Spojrzał na stary fotel stojący przy ścianie. Leżała na nim koszula. Już z tej odległości Zmigrodzki dostrzegł, że jest poplamiona krwią. Był przekonany, że to krew albo Ślepej Bachy, albo Laska.

– Trzeba wezwać techników, niech to zabezpieczą. – Wskazał na ubranie i podszedł do paczuanu.

Przez chwilę patrzył na Pajaka. W końcu sięgnął do kieszeni kozucha, wyjął pierśiówkę i nic sobie nie robiąc z obecności mundurowych, wziął solidny łyk. Alkohol przyjemnie zapiekł go w przełyku. Zakręcił pierśiówkę i schował na miejsce.

Teraz miał ochotę zapalić.

* * *

WROCLAW, 17 STYCZNIA 1994 R.

Wróciłem do domu z rozwaloną wargą.

Po niemieckim mieliśmy mieć rysunek techniczny. Poszedłem do toalety na papierosa. Wiedziałem, że w szkolnym kiblu jestem w miarę bezpieczny. Jeśli wszedłby jakiś nauczyciel, najwyżej musiałbym szybko wywalić peta do muszli. Jakbym poszedł na dwór, mogłoby się to skończyć dużo gorzej.

Palilem, patrząc przez niewielkie okno. Nagle za drzwiami usłyszałem hałas. Wzdrygnąłem się. Chwilę później do pomieszczenia wszedł Mirek z Jackiem i Krzyśkiem. Nie zdążyłem ich minąć. Mirek pchnął mnie na ścianę i uderzył pięścią w twarz. Poczułem ból i metaliczny smak krwi w ustach. Nie miałem pojęcia, dlaczego to zrobił. Nie powiedział nawet słowa.

Po lekcjach pojechałem prosto do domu. Wszedłem do łazienki i spojrzałem w lustro. Wargą nie była opuchnięta. Na dolnej zauważyłem tylko niewielkie strupki, nic poważnego.

Nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Tomek. Popatrzył na mnie, po czym chwycił w dłoń moją twarz i obrócił ją do siebie.

– Młody, chcesz o czymś pogadać? – spytał.

– Nie.

– Przecież widzę, że co jakiś czas dostajesz wpierdol. Może powinienem ci pomóc?

– Dam sobie radę.

– Kocą cię jeszcze?

– Trochę. Nie więcej niż innych – skłamałem.
– Jak byłem kotem, to też obrywaliśmy. Teraz, w trzeciej klasie, nikt już mi nie podskoczy. Mam zbyt mocną ekipę – powiedział z dumą mój brat.
Miałem nadzieję, że niedługo skończą się i moje problemy.
– A może zostaniesz skinem? – zaproponował niespodziewanie. – Mógłbym cię wciągnąć.
– Nie, dzięki. – Nie wyobrażałem sobie siebie jako skinheada. Nie podzielałem poglądów Tomka i jego znajomych.
– Przemyśl to jeszcze i daj znać. Z nami wpierdol ci nie grozi, no, chyba że od psiarni lub pierdolonych brudasów.
– Brudasów? – Zmarszczyłem brwi.
– No punków. To śmiecie i trzeba się ich pozbyć.
Patrzyłem na Tomka, zastanawiając się, czy Mirek też ma mnie za śmiecia. Pewnie tak.
Uśmiechnąłem się do brata.
– Przemyśle, ale niczego nie obiecuję.
Skinął głową i poszedł do siebie. Chwilę później usłyszałem mocne brzmienia zespołu Legion.

* * *

WROCLAW, 20 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki pisał notatkę z czynności wykonanych w mieszkaniu Laska.

Pająka zatrzymali na dołku. Jak wytrzeźwieje, zostanie przesłuchany. Mundurowi przywieźli do komendy także dwóch pozostałych podejrzanych, jednak oni również nie byli w stanie zeznawać. Komisarz wiedział, że następnego dnia będą mieć kupę pracy. Był jednak przekonany, że szybko uporają się z całą trójką. Zabójcą musiał być któryś z nich, choć nie wykluczał, że wszyscy trzej maczali w tym palce. Spojrzał na tablicę z karteczką, którą napisała Szymańska. Wciąż nie wiedział, dlaczego Dorota ją tu przypięła. Mieli już przecież protokół sekcyjny tego nastolatka. Oprócz dziwnych obrażeń odbytu nie było nic, co mogłoby się wydać podejrzane. Co więcej, Zieliński umorzył sprawę, więc tym bardziej było to zaskakujące.

Odpalił papierosa i położył nogi na blacie biurka. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Doroty i nie spytać, o co chodzi z tą karteczką. Była niedziela i nie chciał jej przeszkadzać. Zdecydował, że jutro po przesłuchaniu Pająka i pozostałych wypyta ją o szczegóły.

Spojrzał na zegarek. Do zdania dyżuru zostały mu dwie godziny. Nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się poza komendą. Miał ochotę napić się, a tu nie było czego. Wódka w szufladzie się skończyła. Piersiówkę także już wysuszył. Strzepnął popiół na podłogę i zaczął się zastanawiać nad swoim życiem. Od dawna już wyglądało tak samo. Wstawał rano i szedł do roboty. Potem wracał

i pił. W ciągu dnia także nie wylewał za kołnierz. Zupełnie bez sensu. A gdyby tak wyjął z szafki na broń służbowego P-83 i strzelił sobie w skroń?

Potrząsnął głową, żeby pozbyć się głupich myśli. Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pomieszczeniu.

– Gdzie jest ta pierdolona zmiana... – mruknął pod nosem.

Denerwował się. Ponownie spojrzął na zegarek. Minęła zaledwie minuta. Czas dłużył mu się niemiłosiernie.

* * *

Bożena Dąbrowska siedziała na krześle w kuchni i piła herbatę. Była już zimna, ale nie przeszkadzało jej to. Cały wczorajszy dzień przeleżała, zastanawiając się, co takiego złego zrobili, że Stwórca postanowił ich ukarać. Do kościoła chodzili nie rzadziej niż inni. Nigdy nie odwrócili się od wiary. Nie mieli co prawda z Andrzejem ślubu kościelnego, ale nie miała go spora część społeczeństwa. Czasy były takie, że wielu ze swoją wiarą się ukrywało. Nikt nie chciał podpaść komunistycznym władzom. Niby partia nie wtrącała się w to, czy ktoś jest wierzący, ale to były tylko pozory. Ludzie otwarcie obnoszący się z wiarą dłużej czekali na przydział mieszkania, mieli utrudnioną ścieżkę zawodową. Oni nie byli wyjątkowi. Może ślubu przed ołtarzem nie wzięli, ale żyli po bożemu. To nie mógł być powód, dla którego Bóg postanowił zabrać im obu synów.

Ciągle nie wiedziała, jak tę wiadomość przyjmie jej mąż. Jutro miała go odebrać ze szpitala. Potem mieli jechać na pogrzeb Szymka. Teraz jednak wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Nie mogła przecież zataić przed mężem, że Tomek także nie żyje. Nie miała odwagi dzisiaj pojechać do szpitala. Poprosiła Teresę, by zajechała na plac 1 Maja i odwiedziła swojego brata. Sama wolała zostać w domu. Nie miała siły wychodzić. Teresa początkowo nie chciała zostawić jej samej, Bożena jednak zapewniła ją, że nie zamierza popełnić samobójstwa. Nie mogła zostawić Andrzeja samego. Razem musieli przez to wszystko przejść. Razem stawić czoła okrutnemu losowi. Popatrzyła za okno. Na dworze sypał śnieg. Przypomniało się jej, jak zabierała chłopaków na sanki. Nie lubiła, gdy zamiast po śniegu Tomek ciągnął je po betonowych płytach. Drażnił ją ten dźwięk. Teraz oddałaby wszystko, żeby wrócić do tamtego okresu. Szuranie metalu o chodnik byłoby dla niej jak najlepsza muzyka. Wspomnień związanych z synami miała o wiele więcej. Pamiętała nieprzespane noce, gdy chorowali. Jak Tomek przechodził wiatrówkę, musiała pilnować, żeby Szymek się nie zaraził. Niestety bez powodzenia. Potem smarowała białą maścią obu. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Tomek stał caluśki goły i zakrywał krocze. Wstydził się, choć miał zaledwie siedem lat. Otarła łzę spływającą po policzku. Tęskniła za swoimi dziećmi. Tak bardzo pragnęła cofnąć czas.

* * *

Po powrocie do domu Żmigrodzki skierował się prosto do kuchni. Postawił na stole butelkę wódki, którą kupił w osiedlowym spożywczaku, i poszedł do przedpokoju ściągnąć buty. Kozuch odwiesił na kolek. Wreszcie mógł w spokoju oddać się ulubionej czynności.

Ledwo wytrzymał do zdania służby. Gdy do wydziału wszedł Lipiec, miał ochotę go wyściskać. Streścił mu, co się wydarzyło podczas dyżuru, i poprosił dyżurnego o załatwienie jakiegoś radiowozu, który mógłby odwieźć go do domu. Gdy wysiadł z poloneza, praktycznie biegiem ruszył do sklepu. Poprosił o butelkę wyborowej i trzy paczki marsów. Rzucił banknot na ladę, zgarnął zakupy i szybko wyszedł. Nawet nie wziął reszty. Ważniejsze było, by wreszcie otworzyć flaszkę.

Usiadł teraz w kuchni, odkręcił butelkę i z gwinta wziął kilka łąpczywych łyków. Zakrzusił się, z nosa poleciały mu bąbelki. Wytarł go, po czym sięgnął po papierosy. Odpalił i zaczął oddychać już spokojniej. Miał czas do rana. Mógł położyć się w pokoju i pić. Niedziela rządziła się swoimi prawami.

Jutro będzie musiał przesłuchać podejrzanych o zabójstwo Ślepej Bachy i Laska. Zaczął się zastanawiać, jak potoczyły się los tej kobiety, gdyby pewnego dnia nie stanęła na Gwarnej. W sumie nie wiedział o niej praktycznie nic. Do jakiej szkoły kiedyś chodziła, kim byli jej rodzice, czy miała rodzeństwo. Nie miał nawet pojęcia, w jakich okolicznościach straciła oko. Ciekawiło go natomiast, co sprawiło, że zaczęła sprzedawać swoje wdzięki. Niestety ona nie odpowie już na żadne z jego pytań.

Wstał, zgarnął z blatu kieliszek i opłukał go pod kranem. Następnie postawił na stole i napełnił wódką.

– Niech ci, Basiu, ziemia lekką będzie – powiedział, wznosząc toast.

Wychylił alkohol i ponownie napełnił szkło. Zapowiadał się długi wieczór.

WROCLAW, 21 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał skoro świt. Miał lekkiego kaca. Wczoraj nie dopił butelki wódki. Nie chciało mu się upijać na smutno. Jego myśli wciąż uparcie wracały do zniszczonej życiem prostytutki. Doszedł do wniosku, że bez niej jego egzystencja będzie wyglądała inaczej. Dotychczas Bacha przewijała się w materiałach jako świadek, tym razem zapisze się w protokole jako denat.

Pijąc, obiecał sobie, że postara się zorganizować Baśce godny pochówek. Zasłużyła na to. Będzie musiał poprosić młodego, żeby się dowiedział, czy kobieta miała jakąś rodzinę. Jeśli tak, trzeba będzie się z nią skontaktować. Nie wiedział nawet, czy była wierząca i czy pochówek powinien być katolicki, czy może wolałaby świecki obrządek.

Teraz siedział w kuchni i palił papierosa. Wcześniej wziął tabletkę przeciwbólową i czekał, aż zacznie działać. Chciał być dzisiaj w dobrej formie. Musiał przesłuchać wszystkich podejrzanych i sprawić, by zabójca Bachy odpowiedział za swój czyn.

Wziął macha i spojrzał na bałagan w kuchni. Miał jeszcze sporo czasu, zanim Sawicki po niego przyjedzie. Zagasił papierosa, podszedł do zlewu i spojrzał na jego zawartość. Wciąż czuł kwaśny odór wymiocin, pomimo że tamtego ranka zlał zlew ciepłą wodą. Nie chciało mu się jednak dokładnie myć naczyń. Teraz przyszła na to pora. Rozejrzył się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby usunąć zaschnięte już zabrudzenia. Na podłodze obok pustej paczki po papierosach zobaczył druciak. Nie miał pojęcia, jak się tam znalazł, ale nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy. Schylił się po niego, wrócił do zlewu i odkręcił kran. Woda, która popłynęła z rur, miała brunatny kolor. Przypomniał sobie, że ostatnio w okolicy była jakaś awaria. Odechciało mu się zmywać. Zakręcił kran i odruchowo spojrzał na lodówkę. Wiedział, że w środku jest jeszcze trochę alkoholu. Postanowił jednak, że będzie twardy. Poszedł do przedpokoju i wyjął z wewnętrznej kieszeni kożucha piersiówkę. Następnie zaniósł ją do kuchni i postawił na stole.

– Dasz radę, chłopaku – powiedział do siebie. – Kto jak nie ty?

* * *

Sawicki zaparkował koło bloku Żmigrodzkiego.

Ciągle myślał o tym, co powiedziała mu wczoraj Magda. Wieści o ciąży wytrąciły go z równowagi. Nie miał pojęcia, jak ma to wszystko poukładać.

Wczoraj powiedział Magdzie, że sobie poradzą, ale dzisiaj nie był już tego taki pewny. Nie wiedział, czy się sprawdzi w roli ojca. Tak naprawdę przerażała go myśl, że na świecie pojawi się ktoś zupełnie od niego zależny, jakiś szkrab, który będzie wymagał nieustannej opieki i troski.

Sam wychowywał się w niespecjalnej okolicy, chociaż rodziców miał spokojnych i normalnych. Nie byli patologią, pomimo że w domu się nie przelewało. Czasem musieli jeść makaron smażony z koncentratem pomidorowym. Wiedział, co to głód. Inni koledzy co jakiś czas dostawali nowe ubrania, a on tylko znożone po starszym o rok kuzynie. Bywało im ciężko. Rodzice jednak nie narzekali, miłość trzymała ich razem. Krzysiek wiele razy zazdrościł im tego uczucia i dziwił się, że jest takie silne. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek się kłócili. Niekiedy się go czepiali, mówili, że powinien się uczyć, by wyrwać się z tej ponurej rzeczywistości. Chcieli, żeby osiągnął więcej niż oni. Wtedy był na nich zły, ale po latach stwierdził, że mówili tak dla jego dobra.

A teraz sam był w takiej sytuacji. On też chciałby, żeby jego dziecko miało lepiej niż starzy. Magda nie będzie zarabiała ani w ciąży, ani na macierzyńskim. Pracowała na czarno i nie należały jej się żadne świadczenia. Z jego pensji ciężko będzie utrzymać rodzinę. Bał się o przyszłość. Wieczorem porozmawiają i podejmą decyzję, co dalej. Wypadałoby też zalegalizować związek. Rodzice na pewno chcieliby, żeby dziecko urodziło się w małżeństwie, a nie w konkubinacie. Postanowił, że pojedą na Karłowice i z nimi pogadają. Może pomogą im materialnie. Szansa na to była wprawdzie znikoma, ale jak nie pogada, to się nie dowie.

Podniósł wzrok i zobaczył idącego w stronę samochodu Żmigrodzkiego. Przyjrzał mu się uważniej, ciekawy, w jakim jest stanie, ale komisarz wyglądał normalnie. Nie plątały mu się nogi, szedł prosto.

– Cześć – powiedział, zajmując miejsce.

– No cześć – odpowiedział Krzysiek.

Mimowolnie pociągnął nosem.

– Nie piłem. Nie musisz niuchać.

– Przepraszam.

– Jedź do fabryki. Robotę mamy.

– A co się urodziło?

– Trzech typów do przesłuchania. Wczoraj pojechałem do trupa. Wszyscy podejrzani są już na dołku. Teraz trzeba tylko się dowiedzieć, który z nich ubił.

Sawicki skinął głową i odpalił silnik.

* * *

Wrocław, 7 lutego 1994 r.

Spóźniłem się na pierwszą lekcję. Wszedłem do klasy i stanąłem jak wryty.

– Może tak „dzień dobry”? Kolejny raz się spóźniasz – powiedział Domański.

– Dzień dobry – wydukałem i skierowałem się na swoje miejsce.

Kilka razy odwróciłem się w stronę ławki, w której siedział chłopak, przez którego przez ostatnie miesiące miałem problemy. Paweł dał mi znak, żebym się nie zdradził z tym, że go znam. Usiadłem w ławce i wyciągnąłem zeszyt. Przez chwilę patrzyłem na tablicę. Domaradzki zapisywał jakieś wzory matematyczne. Mój wzrok po chwili znowu uciekł w stronę Pawła. Nie mogłem pojąć, jak to się stało, że znalazł się w mojej klasie.

Do dzwonka siedziałem jak na szpilkach. Gdy wyszliśmy z klasy, od razu do niego podszedłem.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakich problemów mi narobiłeś? – spytałem cicho.

Paweł kiwnął głową, żebym odszedł z nim na bok.

– Pogadamy później. Jak chcesz, wpadnij do mnie po lekcjach. Mieszkam na Powowickiej – powiedział.

Patrzyłem na niego z wściekłością. To przez niego moje życie zamieniło się w prawdziwe piekło. To on sprawił, że stałem się ofiarą przemocy ze strony kolegów z klasy. To przez niego przeplakałem niejedną noc.

– Ej, koleś, ja cię kojarzę – dobiegło nagle z boku.

Obaj się odwróciliśmy w stronę głosu. Przed nami stał Piotrek Koterba. Moje serce przyspieszyło.

– To nie ty byłeś w Kolorze, jak ta ciota loda robiła jakiemuś typowi?

– Ja? – zapytał Paweł.

– No ty! Pamiętam, że siedzieliście z jakimś ziomkiem stolik obok. Nawet gadałeś z Mirkiem.

– No byłem, a co?

– A to przypadkiem nie tobie ten frajer kabla obrabiał? – dopytywał Piotrek.

Paweł popatrzył na niego z wściekłością.

– Odszczekasz to, skurwielu – wycedził przez zęby i zaczął podwijać rękawy.

Ruszył w jego stronę z rękami w gardzie. Widać było, że wie, jak walczyć. Sposób ułożenia rąk świadczył o doświadczeniu bokserskim.

Kilku chłopaków zgromadziło się obok nich. Paweł wyglądał naprawdę groźnie. Zaskoczył mnie swoją postawą.

Koterba uniósł dłonie w pojednawczym geście. Widać było, że przestraszył się konfrontacji. Poczulem satysfakcję. Zastanawiałem się tylko, dlaczego Paweł udaje, że mnie nie zna.

– Spoko, ziom. Zapytałem, bo ten tu – Koterba wskazał na mnie – to zwykła ciota. Pedrył pierdolony.

– I pomyślałeś, że ja też? Tak? – spytał Paweł.

– No co ty... Tak tylko, znaczy się... – Piotrek zaczął się motać.

Paweł popatrzył na niego ostro.

– Więc uważaj, co pieprzysz. Nie chciałbym cię połamać.

A potem odwrócił się, wziął z podłogi swój plecak i ruszył w stronę schodów.

Bożena Dąbrowska spojrzała na drzwi sali szpitalnej, w której przebywał jej mąż. Przeżegnała się i weszła do środka. Andrzej właśnie pakował swoją piżamę do torby.

– O, już jesteś – ucieszył się na jej widok. – Zaraz mam dostać wypis i możemy jechać do domu.

Przełknęła ślinę. Zastanawiała się, czy od razu powiedzieć mu o śmierci Tomka. Czuła, że powinna. Nie mogła tego przed nim zataić.

– Na cmentarz pojedziemy taryfą – dodał Andrzej, po czym wyjął z szuflady przybory kosmetyczne. – A jak ty się czujesz? Teresa mówiła, że miałaś wczoraj jakieś nerwobóle. Już lepiej?

Bożena podeszła do niego i otarła łzę.

– Andrzej, wydarzyła się tragedia... – zaczęła.

Dąbrowski zacisnął szczękę. Zdała sobie sprawę, że już się domyślił.

– Tomek?

Skinęła głową.

– Jak?

Patrzyła na niego. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Jak? – powtórzył Andrzej.

– Skoczył z dachu.

Mężczyzna rzucił torbę z kosmetykami o ścianę. Wypadły z niej pędzel i maszynka do golenia. Następnie objął żonę i mocno przytulił. Bożena potrzebowała tego jak nigdy dotąd. Czuła, jak szybko bije jego serce.

– Żałuję, że ten zawał mnie nie zabił – powiedział drżącym głosem. – Nie musiałbym tego doświadczać.

– Zostawiłbyś mnie samą... – wyszeptwała.

Odsunął się od niej i popatrzył jej w oczy.

– Przepraszam, nie powinienem tak mówić. Musimy wytrzymać. Nie wiem, czy damy radę, ale musimy się postarać.

– Kocham cię... – Dawno nie wypowiadała tych słów. Codzienność sprawiła, że uczucia odeszły na dalszy plan. Teraz jednak wiedziała, że mają tylko siebie i muszą się wzajemnie wspierać.

* * *

Żmigrodzki siedział z Sawickim w pokoju przesłuchań i patrzył, jak sierżant wprowadza Pająka do środka. Mundurowy posadził go na krześle i powiedział:

– Jak skończycie, dajcie znać.

Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– Cześć, Pająk – odezwał się z uśmiechem komisarz.

– Znamy się? – spytał mężczyzna.

– Osobiście nie, ale to się zaraz zmieni. Będziemy mieli okazję trochę pobajerzyć. Jak się spało na dechach? Nocka minęła spokojnie?

– Kielicha byście dali i te bransoletki zdjęli. – Pająk poruszył dłońmi. – Suszy niemilosernie. Kac się Bogu całkiem nie udał.

– To może później. Jak będziesz współpracować, to nawet jakiś browar się znajdzie.

Sawicki spojrzął na partnera zaskoczony.

– Ty mu proponujesz piwo?

– Jak będzie mówił prawdę, jestem skłonny postawić mu piasta, i to magnata, żeby nie było.

Pająk wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Dobra, Pająk. Gadaj, kto zabił Ślepą Bachę i Laska – powiedział Żmigrodzki

– Nie mam pojęcia, o czym ta mowa.

– Na melinie u Laska znaleźliśmy zmasakrowane zwłoki Bachy. Mamy twoich ziomków i wspólnie twierdzą, że to twoja sprawa.

– Pierdola. Nikogo nie zabiłem – zaprotestował Pająk.

– To kto zabił?

– Spytajcie tamtych. Ja u Laska ostatni raz byłem dwa dni temu. Bachy wtedy w ogóle nie widziałem. Pewnie w robocie była.

Żmigrodzki się uśmiechnął. Rano czytał protokół sekcyjny, z którego wynikało, że śmierć prostytutki nastąpiła przed co najmniej czterema dniami.

– Dwa dni temu, powiadasz? – upewnił się.

Zatrzymany skinął głową.

– No to jak wytłumaczysz słowa twoich ziomków, którzy zgodnie zeznają, że załatwiłeś Bachę, bo byłeś o nią zazdrosny? – zablefował Żmigrodzki.

– O tę starą kurwę? Chłopie, nie rozśmieszaj mnie, bo zajady mi popękają! Co jak co, ale stać mnie na lepsze towary.

Żmigrodzki sięgnął po teczkę i przekartkował kilka stron.

– Twój kumpel o ksywie Paluch zeznał, cytuję: „Laska zabił Pająk. Był zazdrosny o Ślepą Bachę. Ona mu się od dawna podobała. Na imprezie Bacha poszła z Laskiem do drugiego pokoju na seks. Pająk wtedy siedział wkurzony i co chwila zerkał w stronę tamtego pokoju. Gdy wyszli, wstał i pchnął Laska na ścianę. Później wziął ze stołu nóż. Ja i Kazik Domagała wyrwaliśmy mu ten nóż i kazaliśmy mu się uspokoić” – zablefował ponownie.

– Pierdolenie. Nic takiego nie miało miejsca.

– To słuchaj dalej. „Ja nie mam pojęcia, kto zabił Bachę. Byłem pijany. Z tego, co wiem, zrobił to Pająk. Był zazdrosny o to, że spała z Laskiem. Zabił ją cztery dni temu i ona tak leżała”. Koniec cytatu. Jak sam widzisz, twoi kumple zwalają winę na ciebie. Kazik potwierdził słowa Palucha. Miał tylko wątpliwości, czy pchnąłś Laska, czy tylko nóż wyciągnąłś. Powiem ci, że to prokuratorowi wystarczy, aby wsadzić cię na ćwiartkę.

Pająk przez chwilę mierzył Żmigrodzkiego wzrokiem. W końcu powiedział:

– Bachę zajebeł Lasek.

– Denat nie może zaprzeczyć twoim słowom – stwierdził Sawicki.

– Ale reszta może je potwierdzić. Lasek miał pretensje o to, że Bacha mu nie chciała dać za darmo. Powiedział, że przyszła i chleje na krzywy ryj. Chciał, żeby

mu obciągnęła, a ta wyjechała z tekstem, że obciążanie to za pół miliona u niej chodzi. Lasek powiedział, że wódy w sklepie za darmo nie rozdają. Bacha coś tam mu odpyskowała i on jebnął ją z otwartej. Potem się uspokoił. Ja się kimnąłem, a jak się obudziłem, Bacha już miała cały ryj rozjebany. Lasek powiedział, że zajeł ją tłuczkiem do mięsa. Potem siedzieliśmy i chlaliśmy dalej. A Bacha tak leżała. W końcu Kazik przykrył jej twarz jakąś narzutą czy kocem, nie pamiętam. Powiedział, że nie lubi pić, jak trup leży obok. Jakoś tak go to odpycha.

– A Laska kto zabił? – zapytał Żmigrodzki.

– Nie mam pojęcia. Ja poszedłem do siebie w środku nocy. Miałem butelkę bimbru i sam ją obaliłem. Tamtych pytajcie.

– Zapytamy, nie bój.

Komisarz odłożył teczkę i powiedział do Sawickiego:

– Weź to na papier. Ja idę do klopa.

* * *

WROCLAW, 7 LUTEGO 1994 R.

Przez pozostałe lekcje nie zamieniłem z Pawłem słowa. Staralem się też unikać wzroku pozostałych chłopaków z klasy. Wyszedłem ze szkoły i od razu skierowałem się w stronę przystanku na Legnickiej. Chciałem jak najszybciej dojechać do domu.

– Czekaj – usłyszałem za plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem, że w moją stronę biegnie Paweł.

– Co chcesz? – spytałem, gdy stanął obok.

– Przecież mówiłem, że możemy pogadać. Chcesz pojechać do mnie?

– Nie, dzięki.

– Nie masz co się bać. Nie zrobię ci krzywdy.

Patrzyłem na niego i zastanawiałem się, czy nie popełnię błędu.

– Ale tylko na chwilę – powiedziałem po namyśle.

Paweł uśmiechnął się do mnie i był to najładniejszy, najbardziej szczerzy uśmiech, jaki w życiu widziałem.

– Możemy pójść na tramwaj – zaproponował. – Mieszkam koło kina Studio. Wysiądziemy przy zakładach mięsnych i dalej uderzymy z buta.

– Jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami. – Mnie obojętne.

Paweł wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął w moją stronę. Byłem zaskoczony, widząc markę. Marlboro były jednymi z najdroższych na rynku, sam bardzo rzadko takie paliłem. Wziąłem jednego i włożyłem do ust. Paweł wyjął z kieszeni spodni zapalniczkę i mi go odpalił. Zapalniczka była albo złota, albo połączana.

– Mam od chuja kasy – oznajmił. – Stary zapierdala w Niemczech. Jest na kontrakcie w Berlinie. Od pięciu lat tam siedzi. Znaczy się wtedy to był jeszcze Berlin Zachodni i RFN. Dobra, mniejsza z tym, grunt, że jest w Reichu. Matka siedzi w Polsce, ale też rzadko ją widuję. Jest adwokatką. Podejrzewam, że ma

jakiegoś gacha i to z nim spędza czas. Przecież nie ma chyba wieczornych posiedzeń sądu, nie? Tak że kasy mamy od groma, ale miłości żadnej. – Puścił do mnie oko.

Po ciuchach widziałem, że pochodzi z dobrego domu, w którym nikt się nie martwi, czy będzie miał pieniądze na opłacenie rachunków. Pałac, szedłem z Pawłem na przystanek tramwajowy.

* * *

WROCLAW, 21 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki skorzystał z toalety i podszedł do umywalki. Myjąc ręce, patrzył na swoje odbicie w lustrze. Obmył twarz zimną wodą. Chciał zmyć z siebie cały brud tego świata. Odsunął się kilka kroków i wyjął z kieszeni spodni papierosy. Żałował, że nie zabrał z domu piersiówki. Chciał być twardzielem i udowodnić sobie, że da radę bez alkoholu. Pomylił się. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz.

Odpalił papierosa i spojrzął na drzwi. Do toalety wszedł Pawlak.

– Pijesz? – spytał naczelnik, patrząc na niego uważnie.

– Tak. Wodę z kranu – odparł Żmigrodzki, biorąc macha.

Pawlak stanął przy nim i spojrzął mu w oczy.

– Piotrek, ile my się już znamy, co?

– A czemu pytasz?

– Bo chciałbym wiedzieć.

– Będzie ponad dziesięć lat.

– Prawie piętnaście – poprawił Pawlak.

– No i?

– No i to wystarczająco długo, żebym szczerze ci powiedział, co myślę.

– Jak masz zamiar walić jakieś smęty o moim chlaniu, to daj se spokój. Powiedziałem ci, że ograniczę.

– Nie. Powiedziałeś, że nie będziesz pił. To różnica.

– A ty co, moja matka jesteś? Daj sobie spokój, bo zaczynasz już mnie drażnić.

Żmigrodzki strzepnął popiół na podłogę i zmierzył Pawlaka srogim spojrzeniem.

– Gadałem z młodym. Powiedział, że ostatnio wspomniałeś mu o wątpliwościach w sprawie Urbańskiego.

– No i co z tego? Gadam, z kim chcę.

– I masz do tego prawo. Chciałbym ci jednak przypomnieć, że jesteś gliną, który wsadził Urbańskiego, a potem Janiaka. Jeśli teraz łazisz i pieprzysz, że obaj byli niewinni, a ty się boisz, że prawdziwy zabójca żyje, to chyba mam prawo się martwić.

– Martwić? Czym?

– Czy wszystko z tobą w porządku. Chlejesz i możesz mieć omamy.

– Mieszkowski uważał, że Janiak też był niewinny.

– Nie wiem, co uważał Mieszkowski. Nie interesuje mnie to. Chcę tylko, żebyś zajął się robotą, a nie rozpamiętywał, co było kiedyś. Paniał?

Żmigrodzki wiedział, że nie ma sensu się spierać z naczelnikiem. Odwrócił się i wyszedł z toalety.

* * *

Bożena Dąbrowska patrzyła, jak ksiądz kończy ceremonię pogrzebową.

Oprócz najbliższej rodziny wokół grobu zgromadziło się sporo młodzieży. Rozpoznawała kilka twarzy. Byli to znajomi Szymka z podwórka. Wielu jednak nie kojarzyła. Podejrzewała, że to koledzy ze szkoły. Widziała ich smutne twarze i zastanawiała się, jakie łączyły ich relacje z jej Szymusiem. Nie wiedziała, czy syn był lubiany czy wręcz przeciwnie. Te siniaki, które co jakiś czas pojawiały się na jego twarzy, na pewno były wynikiem bójek. Obserwowała teraz uczniów i starała się wy badać, z którym z nich jej synek miał konflikt.

Przytuliła się mocniej do Andrzeja i przymknęła oczy. Jej mąż trzymał się dzielnie. Bała się, że informacja o samobójstwie Tomka uderzy w niego z całą siłą. Że się załamie i jego stan się pogorszy. Dopiero co przeszedł zawał, a nagły stres mógł spowodować kolejny. Jak dotąd jednak wyglądał normalnie. Oczywiście jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto właśnie chował jednego z synów, a za kilka dni będzie stał nad trumną drugiego.

Uniosła powieki i spojrzała na stojącą obok Andrzeja Teresę. Była jej wdzięczna za załatwienie wszystkich formalności. Sama nie dałaby z tym rady. Śmierć Tomka dołożyła jej zmartwień. Miała ochotę rzucić się do grobu i poprosić, by pochowali ją wraz z Szymkiem. Nie mogła jednak tego zrobić. Wiedziała, że Andrzej sam sobie nie poradzi. Ksiądz odsunął się od grobu i dał znak, by grabarze zaczęli opuszczać trumnę. Trębacz zagrał *Ciszę*. Po policzkach Bożeny potoczyły się łzy wielkości grochu. Andrzej wytarł twarz. On także w końcu się rozkleił. Chwyliła mocniej jego dłoń.

* * *

Żmigrodzki wszedł do wydziału i spojrzał na Szymańską. Przypomniała mu się notatka, którą policjantka zrobiła na temat sekcji Dąbrowskiego.

– Cześć – powiedział. – Mam pytanie. O co biega z sekcją Dąbrowskiego?

– To znaczy? – Szymańska zmarszczyła brwi. – Nie kumam.

Pokazał na wiszącą na tablicy karteczkę.

– A, o to. Czekamy na sekcję Tomasza Dąbrowskiego.

– Szymona – poprawił.

Dorota spojrzała na Trettera. Jej partner tylko wzruszył ramionami.

– To ty nie wiesz? – zwróciła się do Żmigrodzkiego.

– Niby o czym?

– Brat tego Szymona, co jego ciało zbierałeś na torach, skoczył z dachu.

Żmigrodzki był zaintrygowany. Samobójcza śmierć dwóch braci w ciągu kilku dni była co najmniej zastanawiająca. Coś mu tu nie pasowało.

– Zostawił jakiś list?

– Nie. Mamy podejrzenie, że coś się w tej rodzinie złego dzieje. Nie wiemy co, ale chcemy sprawdzić, czy dzieciak nie był pod wpływem prochów.

– Może nie wytrzymał ciśnienia po śmierci brachola i postanowił ze sobą skończyć. To bardzo możliwe.

Tretter odłożył akta i powiedział:

– Możesz mieć rację. Zastanawiające są jednak obrażenia tego młodszego. Chłopak został brutalnie zgwałcony. Może ten Tomek to zrobił.

– Myślisz, że bracia zabawiali się w domu i impreza wymknęła się spod kontroli? – spytał Żmigrodzki.

– A kto ich tam wie. Wiesz, jak to jest z pedałami.

– No właśnie nie wiem.

Komisarz usiadł na swoim miejscu. Sprawa samobójczej śmierci starszego z Dąbrowskich była dziwna. Wiedział, że samobójstwo Szymona zostało umorzona i prawdopodobnie w przypadku jego brata będzie tak samo. Chciał jednak bliżej się przyjrzeć tej sprawie.

– Kto ma nadzór? – zapytał.

Dorota usiadła wygodniej na krześle.

– Prokurator Zieliński – odparła. – Właściwie to nie ma, bo nie ma sprawy.

– Domyślam się. Uważam jednak, że śmierć braciszków wymaga od nas wykonania pewnych czynności. Może się okazać, że dzieciaki się brzydko bawiły i jeden po wszystkim postanowił się zajeść. Może się też okazać, że wydarzyło się coś innego i ktoś tu popełnił przestępstwo. A to już jest w naszej gestii, by doprowadzić sprawcę przed oblicze sądu.

– Czyli robimy coś nieoficjalnie? – upewnił się Tretter.

– Powiedziałbym, że weryfikujemy pewne tropy. W kwitach możemy napisać, że uchol nam powiedział o udziale osób trzecich w sprawie.

– Jaki uchol?

– Jakikolwiek. Jakiegoś się wpisze i możemy działać na legalu.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął mundurowy. W rękę trzymał szarą kopertę.

– Przesyłka do komisarza Żmigrodzkiego – powiedział.

– Skąd?

– Laboratorium.

Komisarz pokwitował mundurowemu odbiór. Następnie rozerwał kopertę i wyjął raport. Przez chwilę czytał w milczeniu.

– Ki chuj – mruknął w końcu.

– Co się stało? – spytała Szymańska.

– Mamy tu klasyczne połączenie prostytutki z muzyką.

– To znaczy?

– Coś tu, kurwa, nie gra – wyjaśnił Żmigrodzki.

Policjantka podeszła do niego i przez ramię spojrzała na raport.

– Mam tu protokół z analizy śladów na koszuli znalezionej w mieszkaniu podejrzanego w sprawie śmierci Ślepej Bachy i tego Laska – wytłumaczył komisarz.

– Tej dziwki? – upewnił się Tretter.

Żmigrodzki skinął głową.

– I jest tu napisane, że zabezpieczona na koszuli krew nie należy do żadnej z ofiar. Nie jest też krwią Pająka.

– Czyli Pająk zabił jeszcze kogoś?

– Na to wygląda.

– Pytanie tylko kogo.

– Tego właśnie trzeba się dowiedzieć.

* * *

WROCLAW, 7 LUTEGO 1994 R.

Mieszkanie Pawła urządzone bardzo gustownie. Na ścianach w przedpokoju była drewniana boazeria. Duży salon wyglądał jak z jakiegoś katalogu. Pierwszy raz widziałem fortepian w bloku. Byłem ciekaw, jak go tu wnieśli. Meble były masywne, drewniane i czarne. Na ścianach wisiały piękne obrazy. Nie znałem się na sztuce, ale byłem świadomy, że są sporo warte. W rogu stała duża rzeźba Buddy, a obok niej jakiś afrykański bębenek. W ogóle wszędzie było mnóstwo pamiątek z podróży po całym świecie, zupełnie jakby mieszkał tu Tony Halik. Patrzyłem na to wszystko jak zahipnotyzowany.

– Coli chcesz? – zapytał Paweł.

Skinąłem głową. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz piłem colę. U mnie w domu przeważnie kupowaliśmy pomarańczowe napoje gazowane. Na oryginalną colę nie było nas stać.

Weszliśmy do kuchni. Paweł otworzył lodówkę i moim oczom ukazały się cuda. Jakieś kabanosy, szynka i wędliny, których nazw nawet nie znałem. Oliwki w słoiku, ananasy w puszcze i krem czekoladowy z niemieckimi napisami. Poczuję, że burczy mi w brzuch. Paweł musiał to usłyszeć, bo zapytał:

– Chcesz coś zjeść?

– Nie. Mam jeszcze kanapki ze szkoły – skłamałem.

– Jak chcesz – odparł, wyjmując colę.

Z szafki wziął jeszcze dwie szklanki, po czym ruszył w stronę swojego pokoju. Poszedłem za nim.

Tutaj było inaczej niż w salonie i kuchni. Bez luksusów, choć meble na pewno sporo kosztowały. Na regale stały puszki po zachodnich piwach. Na wiszącej makacie pełno było pustych paczek po marlboro, camelach i innych papierosach, na które nie byłoby mnie stać. Zobaczyłem też plakaty z Arnoldem Schwarzeneggerem i Sylwestrem Stallone'em.

– Jestem fanem Arniego i Slya – powiedział Paweł, stawiając szklanki na biurku.

- Ja wolę Van Damme’a – odparłem.
- Siadaj. – Wskazał na miejsce na wersalce.

Usiadłem i po chwili dostałem do ręki szklanę z colą. Wziąłem łyk i poczułem bąbelki w nosie. Zasłoniłem go i wstrzymałem oddech, czekając, aż przestanie drapać.

Paweł zajął miejsce obok mnie.

- Sorki za tamto – powiedział.
- Czyli? – Spojrzałem na niego.
- No wiesz... Wtedy przy Kolorze. Poniosło mnie.

Milczałem.

– Widzisz, ja jestem bi i od czasu do czasu lubię zaszaleć. Myślałem, że będzie nam miło. Nie spodziewałem się, że ten typ nas przyłapie.

- Od tamtego czasu mam przejebane. Prawie codziennie mnie gnębią.
- Spoko. Potrafię dać w mordę i jak będziesz chciał, ustawię tych ziomków.

Patrzyłem mu prosto w oczy i zastanawiałem się, czy mówi prawdę. Węszyłem podstęp. Po tym, co w ostatnich miesiącach działo się w moim życiu, nie ufałem już nikomu.

– Boks trenowałem – powiedział Paweł, a ja wziąłem kolejny łyk coli. – Dwa lata mieszkałem z ojcem w Reichu. Dopiero w zeszłym roku wróciłem do Polski. Matka chciała mieć mnie bliżej. Ojciec zresztą nie miał dla mnie czasu. Ciągle w robocie. Ja w tym czasie włóczyłem się z różnymi takimi.

- A gdzie wcześniej chodziłeś do budy? – spytałem.
- Do liceum na Zaporoskiej.
- I czemu na Poznańską się przenieśli? I to do technikum.

Paweł wzruszył ramionami.

– Bo tylko tu mnie przyjęto. Miałem słabe oceny i na dodatek wywalono mnie za bójkę – rzucił i wziął łyk coli.

– Ooo...

– No. Jeden fagas się do mnie dojechał. Powiedział, że nie chce chodzić na wuef z pedałem. Obiłem mu mordę. Karetka go zabrała. Jego matka stwierdziła, że powinienem trafić do poprawczaka. Na szczęście moja stara załatwiła, że nic mi nie zrobiono. Jednak dyrekcja wolała się mnie pozbyć. I tak jakoś wyszło, że trafiłem do technikum.

– W sumie chyba dobrze.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie znam się na tej całej mechanice i chyba nie zależy mi, żeby się poznać. Zobaczmy, jak to będzie.

Siedziałem obok niego i zastanawiałem się, co powiedzieć. Chciałem mu wygarnąć, że przez niego byłem bity i traktowany jak śmieć, jednak nie potrafiłem wydusić słowa. Co jakiś czas patrzyłem na niego tylko i uśmiechałem się jak jakiś ćwok.

– Czuję, że chcesz mi coś powiedzieć... – zaczął Paweł.

– Tak. Powiedziałeś, że możesz mi pomóc. Znaczy się, chodzi o to gnębienie.

– No jasne. Nie ma problemu. We dwóch poradzimy sobie z tymi kmiotkami. Są mocni tylko w gębie. Widziałem po tym cwaniaku. Wystarczyło do niego

wystartować i od razu nawalił w pory.

– Dzięki.

Paweł położył dłoń na mojej. Poczułem, jakby mnie przeszył prąd. Cofnąłem rękę.

– Co się stało? – spytał.

– Nic.

– Jeśli mój dotyk cię krępuje, to okej. Nie ma sprawy.

Nie miałem pojęcia, co mu powiedzieć. Wziąłem kolejny łyk coli. Paweł uśmiechał się do mnie, pokazując swoje śnieżnobiałe zęby.

W końcu zacząłem:

– A jak to się stało, że... Nie obraż się...

– Spoko. Pewnie chcesz zapytać, jak to się stało, że z chłopakami ten teges. Zgadza się?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– To było w zeszłym roku. Miałem wracać do Polski. W ostatnim tygodniu pobytu w Berlinie poszedłem do kumpla. Niestety nie zastałem go w domu. Pojechał z ojcem na zakupy do Aldi.

– Gdzie?

– Taki sklep, mniejsza z tym. Postanowiłem na niego poczekać. Gadałem z jego starszym bratem. André podobał mi się już od dawna. Miał długie blond włosy, całkiem jak Thomas Anders z Modern Talking. Chociaż nie, bardziej był podobny do Michaela Praeda z *Robin Hooda*. Kojarzysz?

– Tak – potwierdziłem.

– No więc czekając na Martina, siedziałem z nim w jego pokoju i słuchaliśmy piosenek Army of Lovers. Nawet nie wiem, kiedy zaczęliśmy się całować. Nie doszło wtedy między nami do niczego więcej, ale nie mogłem przestać o nim myśleć. Wieczorem wróciłem do domu i zwałem sobie konia w łazience. Myślałem o André i o tym, jak było mi dobrze, kiedy się ze mną przelizał. Dwa dni później siedziałem w domu i usłyszałem dzwonek domofonu. Byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem André. Byłem sam i nie miałem pojęcia, co robić. Gdy wszedł do mieszkania, wyciągnął z kurtki działość LSD.

– Co to?

– Taki narkotyk. Popularny kwas. Więc André wszedł do środka i powiedział, że chętnie by ze mną tego kwasu zażył. Bałem się narkotyków. Wolałem napić się piwa. Ojciec miał nie wrócić na noc, więc nie obawiałem się, że coś mi powie. Miałem wtedy nieco ponad czternaście lat. Jakby ktoś się dowiedział, że piję, oberwałoby się i mi, i ojcu. Wziąłem z lodówki browara, a André zażył prochy. Włączyliśmy muzykę, piliśmy i żartowaliśmy, ale ja nie mogłem się doczekać, kiedy zaczniemy się całować. Po kilkunastu minutach André zaczął mnie dotykać. Jego ręka wędrowała po moich plecach. Całowaliśmy się i pieściliśmy. Wylądowaliśmy w łóżku. Powiem ci, że początkowo nie było mi fajnie. Bolało i nie czułem żadnej przyjemności. Ale potem wszystko się zmieniło. Jeszcze trzy razy spałem z André, zanim wróciłem do Polski. Tutaj też miałem już kilka zbliżeń z chłopakami. Zawsze było super.

– A dziewczyny?

– Były dwie. Też było fajnie, ale z nimi to ja bzykałem. Z chłopakami byłem tym, co daje dupy, i tym, który rucha. Powiem ci, że nie wiem, co lepsze. – Uśmiechnął się zalotnie.

Ja nie miałem takich doświadczeń. Pierwsza i ostatnia jak dotąd próba podjęcia współżycia okazała się niewypałem. Trochę mu zazdrościłem tego bujnego życia erotycznego.

– Powiem ci, że wtedy pod dyskoteką poczułem coś do ciebie – wyznał. – Myślałem, że wprowadzę cię w swój świat.

Poczułem się nieswojo. Nie miałem pojęcia, jak zareagować.

* * *

WROCLAW, 21 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wszedł do pokoju przesłuchań. Za biurkiem siedział Sawicki, a na wprost niego mundurowy posadził Kazimierza Domagałę.

– No to, Kazik, gadaj, jak było – powiedział komisarz, zajmując miejsce naprzeciwko zatrzymanego.

– Ja tam nic nie wiem.

– Jak nie wiesz? – Poprawił się na krześle. Położył dłonie na blacie biurka i spojrzął na Sawickiego, który zaczął protokołować. – Słyszałeś go? Nic nie wie!

Krzysiek uśmiechnął się i odłożył długopis.

– To pozwól, Kazik, że powiem ci, w jak wielkim syfie się znalazłeś. Mamy zeznania twoich ziomków, z których wynika, że wspólnie z Laskiem zabiliście Ślepą Bachę. Potem przez dwa dni chlaliście przy jej truchle. W końcu Lasek rzucił do ciebie jakiś krzywy tekst i zajebeł go kosą.

– To jakieś bzdury.

– Czemu tak mówisz? Przecież Pająk i Paluch nie dogadali swoich zeznań. Nie zdążyli. Obaj obciążają ciebie za śmierć Bachy i Leszczyńskiego. Komu mam więc wierzyć?

Zatrzymany patrzył na niego uważnie. W końcu powiedział:

– Bachę zajebeł Lasek. Poszło o seks. Chciał, by go wzięła do gęby, a ona, że za darmo to może jedynie mu pokazać cisko. Ten się wkurwił. Polazł do kuchni i przyniósł tłuczek. Zakurwił jej kilka razy w gębę. Powiedział, że to za jej niewyparzony jęzor.

– I co było dalej?

– Nic. Leżała tak, a my piliśmy. Potem ją przykryłem, bo drażnił mnie widok tej zmasakrowanej twarzy.

– A nie pomyślałeś, żeby powstrzymać Laska? Mogłeś zadzwonić do nas.

– Miałbym kapować na psiarnię? Bez przesady.

– A czemu sam go nie powstrzymałeś?

Domagała wzruszył ramionami.

– A Laska kto zajebeł? – zapytał Sawicki.

– Ja nie.

– A kto?

Kazik milczał.

– Jak tam sobie chcesz. – Żmigrodzki wziął teczkę od Sawickiego. Przewertował kilka kartek i w końcu zaczął czytać: – Mam tu protokół przesłuchania Pająka i Palucha. Paluch zeznał: „Laska zabił Kazik. Mieli jakieś kwasy z ostatniej imprezy. Ponoć poszło o to, że Domagała nie dokładał się do alkoholu. Pokłócili się i Domagała wziął nóż i wbił go Laskowi”. A twój drugi kompan Pająk zeznał: „Kazik był świrem. Mówił, że za Bachę to Lasek powinien wyłapać w ryj. Powiedział, że mógł jej normalnie zapłacić i nie byłoby problemu. Lasek powiedział, że Kazik powinien siedzieć cicho, bo i tak by z jej usług nie skorzystał”. Potem mamy jeszcze coś takiego: „Domagała jest chyba pedałem. Nigdy nie widziałem, żeby spotykał się z jakąś kobietą. To Domagała zabił Laska. Zrobił to za to, że Lasek uważał, że ten jest pedałem”. Na pytanie o śmierć Ślepej Bachy Pająk powiedział: „Bachę zabił Lasek. Domagała ją trzymał, gdy ten zadawał ciosy. Potem Kazik wyniósł tłuczek”. Co ty na to?

– To bzdury. Bachę Lasek zabił sam.

– A tłuczek gdzie jest?

– A skąd ja mam wiedzieć? Nie pamiętam, co się z nim stało.

Żmigrodzki zamknął teczkę i uśmiechnął się do Domagały.

– To będziesz miał trzy miesiące na przypomnienie sobie tego szczegółu.

* * *

Szymańska otworzyła kopertę z wynikami sekcji zwłok Tomasza Dąbrowskiego. Przez chwilę czytała w skupieniu.

– Czysty – powiedziała w końcu. – Zero alkoholu. Prochów też nie wykryto.

Tretter zamknął leżącą na stole teczkę i spojrzął na nią.

– I jaki z tego wniosek?

– Nie mam pojęcia. Myślałam, że może nie dał rady po śmierci brata. Naćpał się i skoczył. Zrobił to jednak na trzeźwo.

– Ale to nie wyklucza, że nie wytrzymał ciśnienia. Może szukamy czegoś, czego nie ma.

– Kiedy zmieniłeś zdanie? Jeszcze chwilę wcześniej uważałeś, że trzeba się przyjrzeć śmierci braci.

– Nadal tak uważam. Tutaj nic się nie zmieniło.

Szymańska położyła teczkę na biurku i podeszła do szafki, na której stały szklanki.

– Kawy ci zrobić?

– Możesz.

Zaczęła nasypywać kawę. Wciąż się zastanawiała, co mogło sprawić, że tych dwóch nastolatków postanowiło ze sobą skończyć. Wiele razy spotykała się na swojej drodze z nieletnimi samobójcami, zawsze jednak mieli jakiś powód. Jedni postanawiali się zabić z przyczyny problemów w domu lub szkole. Inni byli nie-

szczęśliwie zakochani. Jeszcze inni uważali, że świat zmierza ku zagładzie i trzeba odejść, zanim nastąpi koniec. Mieli przy sobie list pożegnalny albo chociaż znajomi wiedzieli, z czym się zmagali. Tutaj nie było żadnej informacji. Oczywiście śmierć tego starszego Dąbrowskiego mogła być spowodowana samobójstwem młodszego, ale nie wiedzieli, dlaczego młodszy targnął się na swoje życie.

– Powiem ci, że widzę zmianę u Żmigrodzkiego – powiedział Tretter, wyrывая ją z zamyślenia.

– Co?

– Mówię, że widzę zmianę u Żmigrodzkiego. Nie czuję od niego ostatnio nafty.

– Mniej pije, ale całkiem nie rzucił. Rano widziałam, że ma kaca. I trochę jeszcze walił wódką.

– Ale dzisiaj zobaczyłem u niego chęć.

– Chęć? – spytała, nie mając pojęcia, o co partnerowi chodzi.

– Tak. Chęć do działania. Pamiętam go takiego z czasów, jak zaczynałem robotę w wydziale. Nie było jeszcze wiadomo, że dali dupy z Urbańskim. Wtedy miał taki sam błysk w oczach jak teraz. Myślę, że jest na dobrej drodze, by wreszcie zacząć pracować jak dawniej.

– Poczekamy, zobaczymy – odparła Dorota.

Wyjęła grzałkę z kontaktu i zalała kawę.

* * *

Żmigrodzki patrzył na wprowadzanego do pokoju Bogdana Kopińskiego, w niektórych kręgach posługującego się ksywą Paluch. Sięgnął po papierosy i odpalił jednego.

– Może mnie pan poczęstować? – zapytał Paluch.

– Nie.

Mundurowy posadził Kopińskiego na miejscu.

– Słuchaj, Paluch. Szkoda mojego czasu, więc od razu powiem ci, o co chodzi. Mamy zeznania, z których wynika, że dokonałeś zabójstwa. Chodzi o Barbarę Sobolewską, znaną szerszemu gronu jako Ślepa Bacha, i Andrzeja Leszczyńskiego, ksywa Lasek.

– Kłamstwa. Bachę zabił Lasek. Powiedział, że nie będzie bładź mu się stawić. Poszło o seks. Wyjebał jej młotkiem.

– Młotkiem? Nie tłuczkiem do mięsa? – spytał Sawicki.

– Nie wiem dokładnie. Faktem jest, że zmasakrował jej ryło.

– A Laska kto zajebał?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Siedziałeś tam.

– No tak, ale byłem nachlany. Film mi się urwał.

– No nie pieprz, że ocknąłeś się i nie zapytałeś nawet, co zaszło na kwadracie Leszczyńskiego. Coś kręcisz.

- Prawdę mówię, jak Boga Kocham.
- Żmigrodzki wziął macha i zagasił papierosa w popielniczce.
- Dobra. Kiedy wyszłicie z chałupy Laska? – spytał.
- Jak się obudziłem i zobaczyłem, że Lasek siedzi na fikole z kosą w plecach, to wydygałem. Na tapczanie spał Kazik. Obudziłem go i postanowiliśmy się zawiąć. Zrobiło się grubo.
- Ale ciało Bachy leżące na podłodze ci wcześniej nie przeszkadzało?
- No to inna sprawa. Jak Lasek ją zajebał, pomyślałem, że dobrze jej tak. Nauczysz się szacunku.
- I co, nauczyła się?
- No nie, bo zaliczyła zgon.
- Komisarz ponownie sięgnął po papierosa.
- Jak powiesz nam wszystko, to dam ci zajarać – powiedział do Palucha.
- Mówię wszystko. Bacha była sobie sama winna. Kozaczyła i wyłapała. Lasek to jednak inna sprawa. To już było zbyt śliskie. Ja go nie zabiłem, więc wolałem się zawiąć.
- Czy Laska zabił Kazik? – zapytał Sawicki.
- Paluch spojrział na niego.
- Raczej nie. Podejrzewam, że to Pająk.
- A czemu Kazik nie?
- Bo był nachlany tak jak ja. Pająk ma za to mocny łeb. Potrafi wypić więcej. Miał też zatarg z Laskiem. Pokłócili się kiedyś o jakiś spirytus, co go Pająk miał załatwić po tanioci. Wziął kasę, a spirytu nie było. To mogło być powodem. Co jakiś czas Lasek się o to czepiał.
- Żmigrodzki przesunął paczkę w stronę zatrzymanego.
- Zapal. Potem lecis na sanki. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

* * *

WROCLAW, 7 LUTEGO 1994 R.

Wróciłem do domu i wziąłem szybką kąpiel. Potem poszedłem do swojego pokoju.

Matka przyszła sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku. Pewnie się spodziewała, że mam limo albo rozbitą wargę. Była wyraźnie zaskoczona, widząc, że nie mam żadnych widocznych obrażeń. Chwilę powstała w progu. W końcu weszła do środka i spytała:

- Wszystko w porządku?
- Tak. A czemu miałoby nie być? – rzuciłem.
- Bo ostatnio sytuacja wyglądała zgoła inaczej. Wracales pobity.
- Rozmawialiśmy o tym. Powiedziałem ci, że nie masz powodów do zmarwień.
- Jestem twoją matką. Nie chcę, żeby działa ci się krzywda.
- Uśmiechnąłem się do niej i wziąłem do ręki książkę Stephena Kinga.

– Mamo, nie masz powodów do zmartwień. Wszystko jest okej, naprawdę.

Patrzyła na mnie uważnie. W końcu skinęła głową.

– Ale jak będzie się coś działo, to mi powiesz, zgoda?

– Mamo, wszystko jest dobrze.

Gdy wyszła z pokoju, odłożyłem książkę na stolik. Nie mogłem się skupić na czytaniu. Moje myśli wciąż wracały do Pawła. To, co mi powiedział, sprawiło, że moje serce biło coraz szybciej. Jak mnie dotknął, poczułem coś jak wyładowanie elektryczne. Starłem się sobie przypomnieć jego twarz. Chciałem poczuć się tak samo jak u niego, gdy spokojnym tonem tłumaczył mi, dlaczego nie chce, aby inni wiedzieli, że już się ze mną spotkał.

Leżałem na wznak i patrzyłem w sufit, gdy nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął Tomek.

– Brachol, kasę pożycz – powiedział bez zbędnych wstępów.

– Nie mam.

– Masz. Matka ci ostatnio dawała.

– Ale to było na komitet rodzicielski.

– Olej komitet. Ta kasa to jak wsadzanie do wora bez dna. Nic z tego nie ma.

Tomek podszedł do moich wiszących na krześle spodni i zaczął grzebać po kieszeniach.

– Zostaw! – Zerwałem się na równe nogi.

Wyjął mój portfel i wyciągnął z niego banknot o nominale miliona złotych. Chuchnął na niego i schował do kieszeni.

– Oddaj, bo powiem matce – zaryzykowałem.

Brat popatrzył na mnie z wyraźną niechęcią.

– Kapować będziesz? Wiesz, co robią z kapusiami? Powiem ci: każdy kapuś to śmieć. Nikt takiemu nawet ręki nie poda. Kapuś jest gorszy niż pedał i Murzyn.

– Oddaj.

– Spoko. Jak dostanę od kumpla siano za kasety, to ci oddam. Ale teraz potrzebuję bardziej niż ten zasrany komitet rodzicielski.

Wiedziałem, że muszę się pogodzić ze stratą pieniędzy. Kapować nie zamierzałem.

* * *

WROCLAW, 21 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki odpalił papierosa i zerknął na siedzącego na wprost Pająka. Minutę temu przyprowadzono go z izby zatrzymań.

– No to powiem ci, Pająk, że nie zazdrościsz ci sytuacji. Nie dość, że ziomki obciążają cię w zeznaniach, to jeszcze ta koszula.

– Piwa nie dostałem – mruknął zatrzymany.

– Miałem posłać młodego po butelkę. – Żmigrodzki spojrzął na Sawickiego. – Ale dostałem protokół analizy krwi z plam, które miałeś na koszuli. I w ten oto sposób cały plan poszedł w pizdu.

– Można to jeszcze naprawić. Mocno mnie suszy.

Żmigrodzki wstał, podszedł do Pająka od tyłu i przedramieniem założył mu duszenie. Mężczyzna próbował zerwać chwyt, ale nie dał rady. Krzesło, na którym siedział, upadło na podłogę.

– Co ty robisz?! – zawołał Sawicki. – Udusisz go.

– Oj tam, tylko troszkę – powiedział komisarz i puścił Pająka.

Zatrzymany leżał na podłodze i próbował uspokoić oddech. Żmigrodzki stanął nad nim i poprawił krzesło.

– Chodź, posadzimy go na miejscu – powiedział do Sawickiego.

Krzysiek zbliżył się i wspólnie usadzili Pająka z powrotem.

– Pojebało cię, chłopie? – rzucił zatrzymany, rozcierając czerwoną szyję.

– Wiesz, czemu cię tak potraktowałem? – spytał Żmigrodzki.

– Bo jesteś pierdolnięty?

– Nie. Bo potraktowałeś mnie jak jakiegoś kmiotka. Co ty myślisz, że jesteś w restauracji, a ja jestem jakimś pierdolonym kelnerem, co będzie ci usługiwał? Byłem skłonny postawić ci browara, ale jak ty ze mną pogrywasz, to mogę ci zaofiarować jedynie wpierdol.

– Nie pogrywam.

Żmigrodzki zajął swoje miejsce i spytał:

– Czyja krew jest na koszuli?

– A skąd mam to wiedzieć?

– Koszula była u ciebie na kwadracie.

– Dostałem ją.

– Od kogo? – spytał Sawicki.

– Bacha mi dała. Powiedziała, że miała klienta, co nie miał kasy. Chciał ją za darmo puknąć. Zanim zdążył odejść, zawołała kilku chłopaków, co w bramie stoją i pilnują dziewczyn. Zbutowali frajera i skroili mu koszulę. Bacha dostała ją jako gratis. Powiedziała, że pasowałaaby na mnie, więc mi ją dała. Tyle.

Żmigrodzki patrzył na Pająka. Facet wyglądał, jakby mówił prawdę.

– Dobra. Decyzję co do ciebie podejmie sąd. Podejrzewam, że razem z ziomkami trafisz na Świebodzką. Potem się zobaczy, co dalej.

– Ale ja jestem niewinny.

– Trudno, i tak bywa.

Komisarz wstał z miejsca. Miał ochotę na kielicha. Oczami wyobraźni widział stojącą na kuchennym stole piersiówkę. Oddałby wszystko, by mieć ją teraz przy sobie. Już prawie czuł alkohol spływający mu do gardła. Otrząsnął się z tej wizji. Raz jeszcze spojrzął na Pająka, po czym skierował się do wyjścia.

* * *

Bożena Dąbrowska marzyła, by znaleźć się już w domu. Po pogrzebie Szymka Teresa zorganizowała skromną stypę dla rodziny. Wszyscy siedzieli i patrzyli ze smutkiem na nią i Andrzeja. Każdy miał z tyłu głowy, że za kilka dni spotkają się znowu, tym razem na pogrzebie Tomka. Wszyscy starali się zachowywać w miarę

normalnie, ale słyszała głosy za plecami. Kilka osób komentowało możliwe powody samobójstw obu chłopców. Miała tego dość.

Wyszła z restauracji i zobaczyła stojącą na zewnątrz nastolatkę. Była to dziewczyna Tomka. Nie pamiętała jej imienia, ale nie miało to dla niej większego znaczenia. Mało rzeczy miało teraz jakiegokolwiek znaczenie. Dziewczyna poprawiła czapkę i podeszła do niej powoli.

– Dzień dobry pani – powiedziała, stając przed Bożeną.

– Dzień dobry. Ty jesteś koleżanką Tomka. To znaczy byłaś...

– Tak. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. To musi być dla państwa ogromna tragedia.

Dąbrowska nie chciała być złośliwa, ale kusilo ją, by powiedzieć dziewczynie do słuchu. Nie знаła jej i nie wiedziała nawet, dlaczego chciała jej dogryźć. Może miała już dość tych uśmiechów i poklepywania po plecach ze słowami, że wszystko się ułoży.

Nic się nie ułoży. Miała ochotę dowalić tej Bogu ducha winnej dziewczynie za wszystkie gadki bliższej i dalszej rodziny.

– Spotykałam się z Tomkiem i tuż przed jego... – Dziewczyna otarła spływającą po policzku łzę i dokończyła szybko: – Jestem z nim w ciąży.

Wyznanie nastolatki kompletnie zaskoczyło Bożenę. Patrzyła na nią oniemiała.

– Zaliczyliśmy wpadkę – ciągnęła tamta. – Chciałam mu o tym powiedzieć, ale nie miał czasu. Obiecał, że później się ze mną spotka...

Bożena sięgnęła do twarzy nastolatki i starła palcem łzę. Sama czuła, że zaraz się rozsypie na milion drobnych kawałków. Los zabrał jedno życie, dając w darze drugie.

– Nie wiem, co mam teraz robić. Rodzicom jeszcze nie powiedziałam. Nie mam pojęcia, jak dam radę sama je wychować... – Dziewczyna załkała.

Bożena uśmiechnęła się słabo.

– Spokojnie, dziecko. Spokojnie. Damy radę. Wspólnie.

* * *

Żmigrodzki i Sawicki weszli do wydziału. Dorota z Tretterem pili kawę. Na nocny dyżur miała przyjść Romaniuk. W pokoju panowała cisza i spokój.

– A co to za rozluźnienie? – spytał komisarz.

– Jakie rozluźnienie? Ogarniamy zaległe sprawy i szykujemy się do kolejnych – powiedziała Dorota, puszczając do nich oko.

Żmigrodzki zajął swoje miejsce przy biurku.

– Jakie plany z tymi łebkami? – spytała Dorota.

– To znaczy?

– Co zamierzamy?

– Będziemy rzeźbić przy sprawie, dopóki się nie dowiemy, dlaczego obaj postanowili się zabić. Mówiłem już. Czego nie ogarniacie?

– Czyli na poważnie chcesz się tym zająć? – upewniła się policjantka.

Żmigrodzki popatrzył na Trettera.

– Wy coś ćpacie? Przecież jasno powiedziałem, że wydział zajmuje się sprawą.

– A Pawlak? – zapytał stojący z boku Sawicki.

– Co Pawlak? Pawlakiem się nie przejmujcie. Biorę go na siebie.

Odpalił papierosa, po czym otworzył szufladę. Zobaczył w niej pustą butelkę po wódce. Znowu naszła go chęć na choćby niewielką ilość alkoholu. Musiał jednak wytrzymać.

– Od jutra objeżdżamy szkoły obu chłopaków – oznajmił. – Rozpytujemy kolegów i nauczycieli. Może ktoś coś zauważył.

– Trzeba wziąć też na spytki znajomych z podwórka. Może coś wiedzą – powiedział Sawicki.

Wszyscy skinęli głowami, zgadzając się z młodym. Żmigrodzki zastanawiał się, dokąd doprowadzi ich to śledztwo. Wziął macha i wydmuchnął dym.

– Jak się dzielimy? – zapytał Tretter.

Komisarz strzepnął popiół.

– Ja i Krzysiek zajmujemy się tym młodszym. Wy możecie wziąć się za skoczka. Do pomocy weźmiecie Romaniuk i Lipca.

– A sprawa tego zabójstwa na Kościuszki? – spytał Tretter.

– Nic. Cała trójka leci na Świebodzką i czekamy, co się z tego wykluje.

– A którego podejrzewasz?

– Każdego. Wszyscy powinni odpowiedzieć za to, że nie powstrzymali tego Laska przed zabójstwem Bachy.

– Może się bali – powiedziała Dorota.

– Może. Nie zmienia to jednak faktu, że każdy powinien zostać dojechany. Ale mam do ciebie prośbę. – Żmigrodzki popatrzył na Szymańską.

– Jaką?

– Dowiedz się, czy Bacha miała jakąś rodzinę. Trzeba będzie zorganizować jej jakiś pogrzeb.

– Dziwce? – zdumiał się Tretter.

Komisarz skinął głową.

– Dla większości to dziwka. Dla mnie człowiek. Pies, kurwa i złodziej na jednym jadą wozie.

Widział, że jego słowa zaskoczyły kolegów. Nie przejmował się tym jednak. Uważał, że ta kobieta zasługuje na szacunek, choćby miała go dostać dopiero po śmierci.

* * *

Magda wstawiła kurczaka do piekarnika. Chciała zrobić Krzyskowi niespodziankę.

Wczoraj obawiała się, jak zareaguje na wieść, że zostanie ojcem. Sama nie miała pewności, jak sobie poradzą. Liczyła na wsparcie ojca. Wiedziała, że będzie musiała poprosić go o pomoc, choć wolałaby tego uniknąć.

Dziecko oznaczało nie tylko spory nakład finansowy. Będą musieli zaplanować dla niego całą przyszłość. Zastanawiała się, jaką będzie matką. Swoją straciła wcześniej i nie miała pojęcia, jak to jest wychowywać się z obojgiem rodziców. Ojciec ciągle pracował, a jak wracał, był w takim stanie, że nie było sensu nawet zaczynać z nim rozmowy. Opiekowała się nią ciotka. To ona doglądała, czy wszystko było w porządku. Magda jednak nie ufała jej na tyle, by się zwierzać. Bała się, że ta doniesie o wszystkim ojcu. Wychowywał ją ojciec pijak i ciotka stara panna, która miała za długie język.

Magda bała się też, że dziecko będzie źródłem konfliktów między nią i Krzyskiem. Kiedyś byli na imprezie u znajomych i Krzysiek wdał się w dyskusję, w trakcie której stwierdził, że w dzisiejszych czasach tylko ktoś całkowicie nieodpowiedzialny stara się o dziecko. Wciąż miała z tyłu głowy tamte słowa i obawiała się, że jak dziecko pojawi się na świecie, Krzysiek powie, że to był błąd.

Dotknęła dłonią brzucha, choć wiedziała, że jest za wcześnie, by poczuć rozwijające się w niej życie. Uśmiechnęła się do siebie. Chciała być matką. Pragnęła tego jak niczego wcześniej.

* * *

Żmigrodzki wszedł do mieszkania, wziął głęboki oddech i odkręcił świeżo zakupioną butelkę. Dłonie mu drżały. Upił kilka łyków. Wiedział, że kolejny raz okazał się słaby. Nie potrafił stawić czoła nałogowi. Był alkoholikiem i chyba dopiero teraz sam to przed sobą przyznał. Wziął kolejny łyk i poczuł się spokojniej. Całodzienna abstynencja była dla niego katuszą. Zastanawiał się, czy w piekle, gdzie zapewne po śmierci trafi, będzie alkohol. A może w ramach pokuty diabeł powie mu, że z picia nici. To byłaby największa kara.

Cały dzień męczył się bez wódki. Błędem było, że zostawił piersiówkę w domu. Nie powinien więcej tak robić. Mógł przewidzieć, że nie da rady. Przecież dobrze się znał.

Zdjął buty i kopnął je w stronę drzwi. Kozuch powiesił na wieszaku i skierował się do kuchni. Spojrzał na blat. Piersiówka stała na nim niczym posąg.

– Widzisz? Dałem radę bez ciebie – mruknął.

Usiadł na krześle i postawił butelkę obok piersiówki. Z paczki wyjął jednego marsa i odpalił. Dopiero teraz naprawdę się odprężył. Ponownie odkręcił butelkę i wziął łyk z gwinta. Wreszcie czuł się normalnie. Jego myśli podążyły do sprawy śmierci prostytutki i rencisty z meliny przy Kościuszki. Mieli trzech zatrzymanych, z których jeden był zabójcą. Bułka z masłem. Areszt wydobywoczy pozwoli zebrać im więcej materiału dowodowego. Za jakiś czas ponownie wezwą całą trójkę na przesłuchanie i wtedy na pewno któryś powie prawdę. Bardziej zastanawiała go sprawa tych nastolatków. To, że dwóch braci postanawia ze sobą skończyć, i to w odstępie kilku dni, było nie tylko zastanawiające, ale wręcz podejrzan.

Miał pewność, że coś skłoniło ich do takiej decyzji. Musiał tylko ustalić co. Wziął łyk alkoholu i odstawił butelkę na blat. Zastanawiał się, czy na dzisiaj

zakończyć już picie. Naprawdę chciał wyjaśnić, co sprawiło, że Dąbrowscy pożegnali się z tym światem.

WROCLAW, 22 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał z wersalki. Podrapał się po głowie i rozejrzał dookoła. Przez chwilę nie potrafił rozpoznać miejsca, w którym się znajdował. Wczoraj wypił więcej, niż planował. Kolejny raz nawalił. Spojrzał na leżący na stoliku zegarek. Dochodziła piąta rano. Miał jeszcze kupę czasu, zanim przyjedzie po niego Sawicki. Sięgnął po papierosy i odpalił jednego, rozmyślając o swoim życiu.

Jeszcze kilka lat temu był dobrze zapowiadającym się śledczym. Wstąpił do milicji z powołania. Nie patrzył na to, co ludzie mówią. Chciał być taki jak porucznik Borewicz z popularnego serialu. Uważał, że pomimo panującego w kraju systemu i nienawiści kierowanej w stronę organów ścigania musi być ktoś, kto oczyści zdrową tkankę społeczeństwa z wszelkiej maści elementu. Uśmiechnął się na wspomnienie kapitana Jarząbka w Szczytnie. Ten oficer polityczny starał się im wpoić, że system komunistyczny jest najlepszy na świecie i odnosi sukcesy na froncie walki z wszelkimi trudnościami. Żmigrodzki mógłby dodać, że z trudnościami, jakie nie istnieją u kapitalistów. Kiedyś wdał się w polemikę z Jarząbkim i wygrał na argumenty. Następnego dnia został wezwany na dywanik do komendanta i obsobaczony. Dowiedział się, że jest elementem rewolucyjnym i aspołecznym. Dostał ostatnią szansę na zmianę swojego podejścia do władz państwowych. Wtedy zrozumiał, że nie ma sensu zmieniać systemu i że musi się skupić na wykonywaniu swoich obowiązków.

Starał się dostać do wydziału zabójstw. Wiedział, że tam nie będzie musiał uważać na słowa. Trup nie złoży skargi, że oficer milicji nie myśli po linii partii. Początkowo trafił na komisariat na Grabiszynku. Tam spędził dwa lata, zajmując się głównie papierkową robotą. W końcu dostał swoją szansę. W pobliżu torów przy stadionie na Oporowskiej znaleziono zwłoki dziewczyny. Była brutalnie zgwałcona. Sprawca działał jak w amoku. Naczelnik przydzielił mu prowadzenie śledztwa. Żmigrodzki był zaskoczony tą decyzją, ale nie protestował.

Już pierwsze przesłuchania świadków pozwoliły wytypować sprawcę. Kilka osób widziało kręcącego się w pobliżu gościa mówiącego po rosyjsku. Podobno facet zaczepiał kobiety. Został spłoszony przez kilku mężczyzn. Postanowił pójść tym śladem. Wykonano portret pamięciowy i przekazano patrolom. Śledztwo jednak nie ruszyło z miejsca przez prawie trzy tygodnie. Naczelnik uważał, że popełnia błąd, szukając Rosjanina. Twierdził, że powinien szukać wśród Polaków. W to, że za zbrodnią mógł stać ktoś z bratniego kraju, nie chciał uwierzyć.

W końcu trzy tygodnie po zabójstwie dwóch ormowców zauważyło podejrzenie zachowującego się mężczyznę. Skryty w cieniu, obserwował stojącą na przystanku kobietę. Próbowali wylegitymować podejrzanego, ale ten zaczął uciekać. Wezwano na pomoc patrol milicji i dopiero po godzinie poszukiwań udało się znaleźć mężczyznę w piwnicy bloku przy Inżynierskiej. Okazało się, że nie miał przy sobie dokumentów. Przewieziono go na komisariat. Dyżurny zwrócił uwagę na uderzające podobieństwo do tego podejrzanego o zabójstwo kobiety przy stadionie. Wziął faceta na magiel i już po kilku minutach okazało się, że to Rosjanin z bazy wojskowej na Kozanowie. Koszary opuścił przez dziurę w płocie i ruszał w miasto polować na kobiety. Żmigrodzki poinformował dyżurnego, a ten górę. Pół godziny później po żołnierza przyjechał patrol z jego macierzystej jednostki i jakiś oficer GRU z jednostki na Karłowicach. Zabrali go ze sobą i śledztwo zostało zakończone. Następnego dnia dostał wezwanie do komendy wojewódzkiej do Służby Bezpieczeństwa. Za długim stołem siedział major, dwóch pułkowników i oficer, który przyjechał po zabójcę. Dostał ustną pochwałę za sumienność i rzetelne wykonywanie obowiązków. Oficer GRU bacznie go obserwował i robił notatki. Pułkownik spytał, jaką by chciał nagrodę. Powiedział wtedy, że zawsze jego marzeniem była służba w komendzie miejskiej. Dwa tygodnie później do komisariatu przyszedł rozkaz jego przeniesienia.

Była to nagroda za nierobienie szumu wokół sprawy ucieczki żołnierza i dokonania przez niego morderstwa. Od tamtego czasu jego kariera potoczyła się szybko.

Za partnera dostał Mieszkowskiego i wspólnie rozwiązywali sprawę za sprawą. Ich skuteczność była na imponująco wysokim poziomie. Tak było aż do czasu Urbańskiego.

* * *

Sawicki patrzył na śpiącą Magdę. Kochał ją i coraz łatwiej przychodziło mu wypowiedzenie tych słów. Zastanawiał się, czy ona też darzy go uczuciem i czy za jakiś czas nie dopadnie ich monotonia. Wczoraj zrobiła mu niespodziankę. Gdy wrócił z pracy, na stole czekał pieczony kurczak. Obok w półmisku leżały parujące ziemniaki. Była nawet butelka wina. Magda nie piła, ale on z chęcią wypił dwie lampki. Jedli i uśmiechali się do siebie. Zamienili raptem kilka zdań. Po posiłku położyli się na wersalce i przytulili do siebie.

Magda powiedziała mu, że zamierza poprosić ojca o pomoc. On przyznał się, że chciałby, aby udali się do jego rodziców. Pragnął też zaproponować jej ślub, ale nie miał pierścionka, żeby się porządnie oświadczyć. Dzisiaj podjedzie do Pedetu i sprawdzi, czy jest tam jubiler. Miał niewielkie oszczędności i chciał je dobrze wydać. Pierścionek miał być godny, ale w rozsądnej cenie.

– Już nie śpisz? – Głos Magdy wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Jakoś tak się obudziłem i nie mogę zasnąć.

– Która godzina?

– Wpół do szóstej. Jeszcze możesz spać.

– A ty już wstajesz czy jeszcze przy mnie poleżysz? – spytała zalotnie.

Wiedział, co zaraz się wydarzy. Jego członek zaczął rosnąć. Gdy Magda chwyciła go w dłoni, przymknęła oczy. Z każdym jej ruchem robiło mu się przyjemniej. Po chwili się zatrzymała. Gdy na nią spojrzął, oczy jej błyszczały.

– Możesz mnie wziąć od tyłu – zaproponowała.

– A nie zaszkodzi to dziecku?

– Co?

– No... nie chciałbym wiesz... pukać go w czoło.

Magda parsknęła śmiechem.

– No co? – Nagle poczuł się skrępowany.

– Krzysiek, to jest zarodek. Jeszcze nie ma czoła. Spokojnie. Możemy się kochać.

Uniosła się lekko i odwróciła do niego tyłem. Widział jej krągłe pośladki. Była na niego gotowa.

* * *

Żmigrodzki ocknął się, gdy do jego nozdrzy dotarł nikły zapach dymu. Przynął z papierosem w dłoni i wypalił sporą dziurę w wersalce.

Spojrzał na zegarek. Zdrzemnął się zaledwie kilka minut, ale to wystarczyło. Wstał, naciągnął spodnie i skierował się do kuchni. Do stojącej na blacie szklanki nalał trochę wody i wrócił do pokoju. Zalał tłącą się dziurę, upewniając, że nie spali mieszkania. Potem odpalił papierosa i otworzył okno na rozcież. Musiał przewietrzyć pokój.

Palił, obserwując budzące się do życia osiedle. W oknach zaczęły się pojawiać światła. Widział mieszkanie sąsiada z budynku naprzeciwko. Facet pracował w Fabryce Automatów Tokarskich jako brygadzysta. Kiedyś się spotkali na podwórku i chwilę pogadali. Było to jeszcze przed sprawą Urbańskiego. Potem kilka razy podglądał jego żonę przez okno. Patrzył, jak ta w samej bieliźnie chodzi po mieszkaniu. Masturbował się wtedy, popijając wódkę. Na samo wspomnienie poczuł rosnącą erekcję. Od dawna nie miał stałej partnerki. Zastanawiał się nawet, czy nie skorzystać z usług jakiejś prostytutki z Gwarnej. Otrząsnął się na tę myśl. Przed oczyma stanęła mu Ślepa Bacha ze zmasakrowaną twarzą. Podniecenie zniknęło jak ręką odjął.

Zagasił papierosa w popielniczce, poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Butelka kusiła go niczym najpiękniejsza kobieta. Dla niej mógłby teraz zrobić wszystko. Sięgnął po nią i zaniósł na stół. Nie odkręcił jej jednak.

– Dasz radę – powiedział cicho. – Nie musisz moczyć gęby.

Patrzył na jej kształt i marzył.

– Piękna jesteś.

Dotknął zimnego szkła i poczuł złość. Nie powinien pić. Nie chciał znowu nawalić.

Musiał zająć się sprawą samobójstw tych dwóch lebków. Nie powinien robić tego po pijaku. Gdy odniósł butelkę do lodówki, poczuł dumę.

Uśmiechnął się do siebie. Tym razem nie przegrał tej bitwy.

* * *

WROCLAW, 9 LUTEGO 1994 R.

Dzisiaj był pierwszy dzień, kiedy nikt z klasy się do mnie nie przyczepił. Wczoraj, jak tylko pojawiłem się w szkole, podszedł do mnie Wojtek i zażądał papierosa. Powiedział, że takie cioty jak ja powinny się cieszyć, że tylko częstują papierosami, a nie muszą brać do japy. Zanim zdążyłem wyjąć papierosy z kieszeni, pojawił się Paweł i ustawił Wojtka do pionu. Dwa szybkie na brzuch i jeden sierpowy sprawiły, że Wojtek padł jak długi.

Paweł spytał, czy wszystko w porządku. Byłem zaskoczony, że stanął w mojej obronie. Obiecywał, że wszystko będzie dobrze, i to właśnie zaczynało się ziszczać. Adam i Tomek pomogli Wojtkowi wstać i po chwili poszli do szkoły. Zapytałem wtedy Pawła, czy się nie boi, że zostanie wyrzucony. Zaśmiał się tylko i poczochnął mnie po głowie. Ten gest początkowo wydał mi się dziwny, taki dziecinny, po czasie jednak stwierdziłem, że to było fajne.

Dzisiaj wszedłem do szkoły i nikt nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Żadnych docinków, żadnego wyszydzania. Stałem pod klasą, gdzie miała być matematyka, i wyciągnąłem zeszyt z polskiego. Wczoraj nie zrobiłem zadania domowego i teraz musiałem nadrobić.

– Cześć – usłyszałem nagle z boku.

Podniosłem głowę i się uśmiechnąłem. Paweł patrzył na mnie tymi swoimi wesołymi oczami.

– No hej.

– Co robisz?

– Zadanie z polaka. Wczoraj nie miałem siły.

– Ja tam się tym nie przejmuję. Jak mnie weźmie do tablicy, to trudno. Nie mam zamiaru teraz marnować czasu na odrabianie lekcji.

– To cię obleją. Chcesz kiblować w pierwszej klasie?

Paweł wzruszył ramionami.

– Nie martwię się tym. W razie czego matka pogada, z kim trzeba. W podstawówce też raz miałem kiblować, ale dzięki matce i jej kontaktom przepuszczono mnie do następnej klasy. Nie martwię się na zapas.

Pokiwałem głową. Ja nie miałem takich znajomości. Moja matka co najwyżej mogła komuś zwięzić sukienkę albo uszyć koszulę. Ojciec też nie był kimś, dzięki komu można by coś uzyskać. Pracował jako zwykły robot i nie miał żadnych wpływów. Musiałem się z tym pogodzić.

– Wpadniesz do mnie po lekcjach? – spytał Paweł.

Poczułem szybsze bicie serca.

– No nie wiem.

– Możemy napić się browarka. Jednego. Stara wróci dzisiaj późno. Co ty na to?

Zastanawiałem się, czy to dobry pomysł. Z jednej strony chciałem spędzać jak najwięcej czasu z Pawłem, z drugiej jednak nie wiedziałem, czy dobrze robię.

* * *

WROCLAW, 22 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki kończył palić papierosa. Widział, jak ulicą jedzie polonez z Sawickim za kierownicą. Zagasił niedopałek na pobliskim koszu na odpadki i skierował się do parkującego auta. Odruchowo dotknął kieszeni, gdzie zwykle miał alkohol. Dzisiaj też nie zabrał pierśiówki. Zrobił to z pełną premedytacją. Musiał wygrać kolejną bitwę. Zdawał sobie sprawę, że będzie cierpiał. Jakaś myśl kazała mu nawet wrócić do mieszkania i zabrać tę butelczynę ze stołu. Otrząsnął się jednak i poprawił kołnierz kozucha. Zaczął sypać śnieg.

Sawicki wysiadł z samochodu i zaczął skrobać boczne szyby.

– Szybko zamarza. W nocy było chyba z minus dziesięć – powiedział.

– Luty. Czego się spodziewasz?

– Jak byłem dzieciakiem, to lubiłem zimę. Sanki, łyżwy, te sprawy. Ale im jestem starszy, tym gorzej ją znoszę. A co najdziwniejsze, latem za nią tęsknię.

– Za tym skrobaniem szyb, za chlupą w butach? Dziwny jesteś. Chociaż jak na to spojrzeć, lepsze to niż pot na jajach w upalne dni.

– Jaki plan na dzisiaj?

– Najpierw jedziemy do fabryki. Sprawdzimy, czy coś nowego się w nocy urodziło. Potem jedziemy do rodziców tych nastolatków.

Sawicki skinął głową.

– A potem?

– A potem skoczmy do jego szkoły. Może nauczyciele mają jakąś wiedzę, co chłopaka gnębiło.

– Powiem ci, że to dziwne: dwóch braci kończy w taki sposób... I jeszcze obrażenia tego pierwszego.

– Może to pedał i z kochaniem przeholowali z zabawą? Nie wiem.

Żmigrodzki wsiadł do poloneza. Po chwili Krzysiek też zajął miejsce za kierownicą.

– Trzeba będzie też sprawdzić środowisko homosi. Może ktoś chłopaka kojarzy – powiedział komisarz, odpalając papierosa i otwierając szybę.

– Myślisz, że spotykał się z kimś i ten ktoś go skrzywdził?

– Takich obrażeń nie powoduje kutas. To musiał być jakiś przedmiot. Oczywiście mam gdzieś, w jaki sposób bawią się dewianci, ale jak zabawa kończy się śmiercią, to trzeba się temu przyjrzeć. – Żmigrodzki strzepnął popiół i spojrzął na Sawickiego. – A ty masz zamiar cały dzień tu tak stać?

Partner przekręcił klucz w stacyjce i chwilę później ruszył.

* * *

Bożena Dąbrowska siedziała przy kuchennym stole i paliła papierosa. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale teraz było jej wszystko jedno. Znalazła tę paczkę w pokoju Tomka. Najpierw postanowiła ją wyrzucić, zawsze uważała, że palenie szkodzi zdrowiu, teraz jednak naszła ją ochota. O zdrowie i tak już się nie martwiła. Co jej po dbaniu o siebie, skoro los odbiera życie w najmniej spodziewanym momencie?

Najpierw trochę kaszlała, ale po kilku pociągnięciach dym już jej nie dusił. Paliła jednego po drugim. Z paczki zostały już zaledwie cztery papierosy.

Andrzej spał w pokoju. Wieczorem wziął tabletkę nasenną, którą dostał w szpitalu. Ściągo go praktycznie od razu i teraz pochrapywał miarowo. A ona rozmyślała.

Informacja o ciąży dziewczyny Tomka kompletnie ją zaskoczyła, ale też sprawiła, że na nowo poczuła sens życia. Musieli z Andrzejem pomóc jej zarówno w czasie ciąży, jak i po porodzie. Bożena miała nadzieję, że będą mogli brać udział w wychowaniu swojego wnuka lub wnuczki. Kiedy wieczorem powiedziała o tym mężowi, rozplakał się. Wyznał, że na cmentarzu, kiedy składano do grobu ciało Szymka, poczuł się tak, jakby świat zawalił mu się na głowę. Podjął nawet decyzję, żeby ze sobą skończyć. Ona też przyznała się, że chciała zasnąć i więcej się nie obudzić. Teraz jednak oboje mieli cel. Musieli pomóc tej dziewczynie. Nosiła pod sercem dziecko ich Tomka. Pomimo śmierci ich syna jakaś jego cząstka pozostanie na tym świecie. Kiedyś Bożena marzyła, że będzie patrzyła, jak jej chłopcy poznają dziewczyny. Potem jak biorą z nimi ślub i rodzą się ich dzieci. Oczywiście wyobraźni widziała siebie trzymającą wnuki na rękach. Widziała te małe buzie uśmiechające się do niej. Chciała być babcią. Taki był naturalny porządek życia.

Spojrzała na swoje dłonie. Były zniszczone i spracowane. Teraz ta dziewczyna dała jej nadzieję, że będzie w nich trzymać małą, kruchą istotkę. Cząstkę jej Tomka. Poczowała łzy napływające do oczu. Zagasiła papierosa i otarła je rękawem.

* * *

Weszli do wydziału i Żmigrodzki skinął pozostałym głową.

– Wydarzyło się coś ciekawego? – zwrócił się do Romaniuk, która schodziła z nocnego dyżuru.

– Nic. Cisza i spokój – odpowiedziała policjantka, nie kryjąc zaskoczenia.

Komisarz zdał sobie sprawę, że takie pytanie zadał pierwszy raz od dawna. Odchrząknął i powiedział:

– Dobra, trzeba zająć się tymi dziećkami. Tak jak mówiłem wczoraj, dzielimy się na dwie grupy. Ja i Sawicki jedziemy z tym młodszym. Trzeba pogadać z rodzicami i towarzystwem. Wy weźcie na cel starszego.

Otworzyły się drzwi i w progu stanął Pawlak.

– Co tu się dzieje? – spytał.

– Odprawę robię – powiedział Żmigrodzki.

– Ty? To muszę to zobaczyć.

– Tylko że już skończyliśmy. – Komisarz się uśmiechnął.

Pawlak sięgnął po stojące z boku krzesło i usiadł na nim.

– To zreferuj mi to naprędce.

Żmigrodzki wzruszył ramionami.

– Mamy sprawę dwóch samobójstw. Dwaj bracia postanowili zakończyć swoje życie. Jeden zmierzył się z pociągiem, a drugi sprawdził w praktyce, jak działa prawo grawitacji.

– Powiedziałeś „samobójstw”?

Żmigrodzki skinął głową.

– A to wydział zabójstw czy samobójstw?

– Mamy informacje od uchola, że to jednak niekoniecznie były samobóje.

– Jakiego uchola?

Komisarz wyjął z kieszeni papierosy. Odpalił jednego i wydmuchał dym.

– Nie mogę zdradzić swojego osobowego źródła informacji. Mogę jednak powiedzieć, że wiele razy jego słowa się sprawdzały.

– No dobra, mniejsza z tym. Mów dalej.

– Obrażenia tego od pociągu świadczą, że ktoś go ostro wydupczył.

– Ciota?

– Tego nie wiemy, ale uważam, że trzeba się temu bliżej przyjrzeć. Poza tym dwa samobójstwa dwóch braci to co najmniej podejrzane.

– A jest sens zajmować się dewiantami? – spytał Pawlak.

Żmigrodzki uśmiechnął się do niego.

– A co to naczelnik taki przeciwny pedałom? Jakieś przykre doświadczenia z przeszłości?

– Nie. Na szczęście nie miałem takich znajomości.

– Ale powinien naczelnik być bardziej tolerancyjny.

– Jestem tolerancyjny. Uważam po prostu, że to zboczeńcy. Kiedyś takich się inwigilowało i zamykało do więzień, by nie szerzyli zgorzenia.

Komisarz zagasił niedopałek.

– Ale czasy się zmieniły. Nie wsadza się już do pudła za to, że chłop woli się grzmocić z facetami. Tolerancja to się nazywa.

– Czyli mamy tolerować ich zboczenie?

– Wystarczy zaakceptować ich istnienie. Akceptacja najwyższą formą tolerancji.

Pawlak machnął ręką.

– Mnie tam nie przekonasz. Ale dobra, nie ma co się spinać. Skoro te samobójstwa są szemrane, to się tym zajmijcie. Chcę być informowany na bieżąco. Paniali?

Pawlak wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi. Gdy te się za nim zamknęły, Żmigrodzki popatrzył na kolegów.

– Paniali? Więc do roboty! – powiedział z uśmiechem.

WROCLAW, 9 LUTEGO 1994 R.

Usiadłem na wersalce w pokoju Pawła, a on odpałił papierosa i puścił muzykę z zestawu stereo. Wcześniej przyniósł z lodówki dwa czarne piasty i postawił je na biurku. Piliśmy i słuchaliśmy ballady Prince'a. W pewnym momencie Paweł uśmiechnął się do mnie i spytał:

- Chcesz zatańczyć?
- Co?
- No, czy chcesz zatańczyć?
- Nie. Mam dwie lewe nogi. Nigdy nie tańczę.

Kompletnie mnie zaskoczył. To, że chłopak proponuje mi taniec, było dla mnie dziwne. Nigdy dotąd się z czymś takim nie spotkałem.

- W Berlinie są kluby, gdzie nikt się nie dziwi, jak chłopak tańczy z chłopakiem – powiedział.

- W Ameryce też są. Widziałem w *Akademii Policyjnej*.

Paweł się zaśmiał.

- Kojarzę. Błękitna Ostryga.

Wziąłem łyk piwa i sięgnąłem po leżące na biurku papierosy. Włożyłem jednego do ust.

- Chciałbym kiedyś zabrać cię do takiego klubu. Wyluzowałbyś i zobaczył, jak fajnie można się bawić – powiedział Paweł, podając mi ogień.

Położył mi dłoń na kolanie. Nie wzdrygnąłem się. Przeciwnie, pragnąłem, by jej nie zabierał.

- Może w wakacje wyskoczmy razem na Mazury? Powiem matce, że chciałbym pojechać. Myślę, że nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś z nami wyskoczył. Ja stawiam pobyć.

Propozycja Pawła wydała mi się warta przemyślenia. Moja mama nie miała pieniędzy, żeby wyprawić mnie na jakiegokolwiek wakacje. Byliśmy biedni i musiałem się z tym pogodzić.

- Moglibyśmy nawet za jakiś czas razem zamieszkać – powiedział.

- Sami? We dwóch?

- No.

Patrzył na mnie intensywnie, a ja poczułem, że miękną mi kolana.

- Moglibyśmy być szczęśliwi – dodał cicho.

Rozmarzyłem się. Przymknąłem oczy. Wtedy Paweł położył mi dłoń na policzku. Chwilę później zbliżył usta do moich. Nie cofnąłem się.

* * *

WROCLAW, 22 LUTEGO 1994 R.

Wysiedli z auta przed budynkiem, w którym mieszkali młodzi samobójcy. Żmigrodzki spojrział w stronę dachu i poczuł dreszcz. Zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę z rodzicami chłopców.

Sawicki zapiął zamek w kurtce i uśmiechnął się do partnera.

– Muszę przyznać, że dowaliłeś naczelnikowi z tą tolerancją – powiedział. – Minę miał, jakby narobił w gacie.

– Bo taka jest prawda. Uważam, że każdy ma prawo żyć tak, jak mu się podoba. To, że nie jestem pedałem, nie oznacza, że mam ich tępić. Niech sobie żyją w spokoju. Opowiem ci, młody, pewną historię. Na szkółce miałem kumpla, Tomka Barczaka. Chłopak był ogarnięty i miał predyspozycje, by zostać świetnym psem. Każdy chciał się z nim kumpłować. Gość był kurewsko inteligentny. Mógł zająć naprawdę wysoko. Niestety jakoś tak się złożyło, że był ciepły, o czym dowiedzieliśmy się później, w tragicznych okolicznościach. Polazł na przepustkę i już nie wrócił. Początkowo wszyscy myśleli, że zachlał albo zatęsknił za rodziną. Wiesz, jak to jest, tęsknota za bliskimi, wóda, wolność. Prawda okazała się jednak inna. Jego ciało zostało znalezione w starym baraku na obrzeżach miasteczka. Po wyjściu za bramę szkółki od razu poszedł do knajpy. Pił z jakimiś dwoma kolesiami. Świadkowie widzieli, jak z jednym z nich wyszedł. Gdy zatrzymano tego gościa, od razu przyznał się do zabójstwa. Powiedział, że Barczak początkowo zachowywał się normalnie. Pił, stawiał. Potem zaproponował obalenie flaszki na uboczu. Pojechali taryfą na obrzeża miasta. Ten zabójca miał tam wynajęty pokój. Jak zaczęli pić, to w pewnym momencie Barczak zaproponował seks. Facet najpierw złał tę propozycję, myślał, że Barczak się zgrywa. Ten jednak zaczął być coraz bardziej nachalny. W końcu doszło do zbrodni.

– Ale jaki to ma związek z tolerancją? – spytał Sawicki. – Bo nie do końca jarzę.

– Zabójstwo żadnego. Chodzi o to, co było później. Przed tym zdarzeniem Barczaka wszyscy lubili. Uważali go za fajnego kumpla. Po jego śmierci pojawiły się głosy, że cioty nie powinny być przyjmowane do milicji. Nie było chyba nikogo, kto powiedziałby o nim dobre słowo. Na jego pogrzeb nikt ze szkoły nie pojechał. Nie było nawet delegacji władz. Nikt nie chciał być kojarzony z pedałem. Ja pojechałem na jego grób już po tym, jak trafiłem do miejskiej. Nagrobek był zniszczony. Krzyż leżał przewrócony, a na płycie ktoś wymalował farbą słowo „pedał”. Odwiedziłem wtedy jego rodziców. Starsi, schorowani ludzie. Pogadałem z nimi i dowiedziałem się, że już kilka razy naprawiali nagrobek, ale za każdym razem ktoś go niszczył. Opowiedzieli mi, z jakimi obelgami musieli się mierzyć. Wcześniej ich syn był lubiany, a po śmierci nagle został pedałem, ciotą i gwałcicielem dzieci. Widzisz, jak to jest. Jak nikt nie wie, że posuwasz chłopów, to jesteś spoko kolesiem. Jak się dowiedzą, to odwracają się do ciebie plecami.

– Tylko że ty też tak do końca nie jesteś tolerancyjny – zauważył Sawicki.

– Wiem. Ale nie gadajmy o mnie. Czas się zabrać za robotę.

Żmigrodzki ruszył w stronę bramy.

* * *

Szymańska chowała do szuflady teczkę z aktami, gdy do pokoju wszedł Pawlak.

– Żmigrodzki gdzie? – spytał.

– W teren już pojechał. Potem mamy się spotkać i ustalić plan działania. Ja też zaraz jadę. Tretter już czeka na dole i grzeje silnik.

– Jak się spotkacie ze Żmigrodzkim, przekaz mu, że klawisze ze Świebodzkiej przechwycili dwa grypsy Pająka. W jednym pisze, że jakiś Blacha ma pójść do piwnicy i na rurach ciepłowniczych będzie schowany tłuczek. Ma się go pozbyć.

– A w drugim?

– A w drugim pisze, że jak Paluch i Kazik będą sypać psom, to ich dojedzie.

– Czyli sprawa rozwiązana. Trzeba tylko pojechać po ten tłuczek i zabezpieczyć go do sprawy.

Dorota uśmiechnęła się do siebie. Zabójca prostytutki nie uniknie odpowiedzialności. Będzie musiała jeszcze sprawdzić, czy kobieta miała jakąś rodzinę, i ogarnąć pochówek. Obiecała to Żmigrodzkiemu i zamierzała słowa dotrzymać.

Naczelnik zaczął się odwracać w stronę wyjścia, zatrzymał się jednak i spojrzął na nią uważnie.

– Powiesz mi, jak Żmigrodzki zacznie świrować? – spytał.

– Co? Jak świrować? Nie rozumiem...

Pawlak otworzył drzwi i wyrzwał na korytarz, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, zanim wyjaśnił:

– Boję się, że zacznie robić coś głupiego. Niby przestał pić, ale wiem, że nie da rady. Ostatnio gada o tym, że sprawa Urbańskiego nie została do końca rozwiązana.

– Jak to? Przecież mieli tego drugiego. Tego, co się zważył w celi.

– Ale Żmigrodzki twierdzi, że on także mógł być niewinny. Martwię się, czy nie ma symptomów jakiejś choroby psychicznej. Wiesz, jak to jest. Pije i ma omamy. Tylko że on zamiast białych myszek widzi zabójcę z przeszłości. Dlatego chciałbym, żebyście mieli go na oku. Bo jeszcze gotowy wyjąć klamkę i zacząć strzelać do ludzi.

– Bez przesady. Nie zrobiłby tego – powiedziała Dorota.

– A dasz mi gwarancję?

Wiedziała, że nie może tego zrobić. Komisarz był alkoholikiem, a po takim można się wszystkiego spodziewać. Nawet tego, co najgorsze i najmniej prawdopodobne.

* * *

Komisarz wziął głęboki wdech i nacisnął przycisk dzwonka. Spojrzął na partnera. Sawicki rozpiął kurtkę i zdjął z głowy czapkę.

Chwilę później w progu stanęła kobieta.

– Dzień dobry. Żmigrodzki i Sawicki, komenda miejska – powiedział Żmigrodzki. – Możemy porozmawiać?

Dąbrowska skinęła głową i odsunęła się lekko w bok. Gdy weszli do mieszkania, z dużego pokoju wyłonił się ojciec chłopców.

– Andrzej Dąbrowski – przedstawił się, podchodząc bliżej.

– Przyjechaliśmy porozmawiać na temat państwa synów. Jesteśmy z wydziału zabójstw... – zaczął Sawicki.

– Zabójstw? To nie były samobójstwa? – Dąbrowski chwycił się za pierś.

– Wszystko w porządku? – zapytał Krzysiek.

– Mąż jest po zawale. Dopiero co wyszedł ze szpitala. Nie powinien się denerwować – powiedziała Dąbrowska, podtrzymując męża pod ramię.

Sawicki pomógł jej i wspólnie zaprowadzili mężczyznę na fotel.

– Nie mamy żadnych przesłanek, aby stwierdzić, że doszło do przestępstwa. Niemniej jednak taki sposób rozstania się z życiem zawsze rodzi pytania. Zwłaszcza jeśli ginie dwóch braci – wytłumaczył Żmigrodzki.

Andrzej Dąbrowski sięgnął po jakieś tabletki. Wyjął jedną, włożył do ust i popił herbatą.

– Mogę zapalić? – spytał Żmigrodzki, wyjmując z kieszeni papierosy.

– Proszę – pozwoliła Bożena Dąbrowska i wyszła do kuchni.

Chwilę później wróciła z popielniczką. Komisarz odpalił marsa i wydmuchnął dym.

– Możemy zacząć? – Usiadł na wersalce, a Sawicki zajął miejsce na drugim z foteli. – Może się zdarzyć, że pytania, które zadamy, będą bardzo osobiste. Zaznaczam jednak, że sprawy te nie interesują nas prywatnie, ale służbowo musimy mieć wiedzę. Rozumiemy się? – spytał i strzepnął popiół do popielniczki.

– Tak – powiedziała Dąbrowska.

– Zaczniemy od chłopca, który zginął pierwszy. Szymon, tak?

Oczy kobiety się zaszklily, ale potwierdziła skinieniem głowy.

– Czy wiedzą państwo, co mogło go skłonić do takiej decyzji? Czy miał jakieś problemy w szkole? Na podwórku?

Dąbrowska spojrzała na męża.

– W szkole chyba tak – odparła po chwili. – Wiele razy wracał ze śladami pobicia. Mąż i starszy z synów mówili, że to normalne. Ale jak to może być normalne? Niech mi to panowie wytłumaczają, bo ja czegoś nie rozumiem. Czy siniaki i limo są czymś normalnym?

– Chłopcy czasem się biją – dopowiedział jej mąż.

– Biją? Nasz syn nie żyje. Jestem pewna, że jego śmierć ma związek z tymi pobiciami. Może ktoś go zmusił do tego rzucenia się pod pociąg. Sama już nie wiem...

Sawicki zanotował słowa kobiety. Następnie podniósł wzrok znad notatnika i spytał:

– Syn nie mówił, z kim te bójkki?

– Nie. Mówił, że dostał piłką i stąd te siniaki. Ja jednak nie jestem głupia, potrafię odróżnić uderzenie piłką od uderzenia pięścią.

– A czy te pobicia lub bójkki miały miejsce z kolegami ze szkoły, czy zdarzały się też, jak syn miał wolne? Może to jakiś kolega z podwórka?

– Raczej nie. Tutaj z nikim nie miał żadnych zatargów. Mieszkamy tu od kilku lat i nie było wcześniej takich sytuacji. Wszystko się zaczęło, jak poszedł do tego

technikum.

– Która to szkoła? – spytał Żmigrodzki, gasząc papierosa.

– Na Poznańskiej. Technikum mechaniczne.

– Przejdziemy się tam i rozpytamy. Tymczasem czy moglibyśmy zobaczyć pokój Szymona?

Bożena Dąbrowska skinęła głową. Jej mąż z trudem zaczął się podnosić z miejsca.

– Niech pan siedzi – powiedział komisarz. – Nie powinien się pan teraz przeciążać.

– Dam radę. Muszę dać – sapnął mężczyzna. Widać było, że wstawanie sprawia mu dużą trudność. Zaciśnął jednak zęby i mocniej chwycił się poręczy fotela.

* * *

WROCLAW, 9 LUTEGO 1994 R.

Leżałem nagi na wersalce w pokoju Pawła. To, co przed chwilą się wydarzyło, było dla mnie czymś nowym, a zarazem czymś, czego podświadomie pragnąłem. Już w momencie, gdy zobaczyłem Pawła w klasie, wiedziałem, że zaczynam coś do niego czuć. Nie odważyłem się jeszcze mu tego powiedzieć, ale wiedziałem, że za jakiś czas wyznam mu prawdę.

Seks z dziewczynami mi nie wychodził. Jakoś nie miałem do nich odwagi. Opinia, jaką w szkole zrobił mi Mirek, też nie pomogła. Żadna koleżanka nie chciała się ze mną umówić, by nie stać się ofiarą plotek i docinków. Żadna nie chciała iść na randkę z pedałem, jak powszechnie mnie nazywano.

Podświadomie czułem, że to, co przed chwilą zrobiliśmy, odbije się na moim życiu. Paweł był inny niż wszyscy chłopacy w klasie. Był czuły i wrażliwy. Kiedy się pieściliśmy, pokazał mi, jak wielką przyjemność mogą sprawić pocałunki. Całował mnie po całym ciele, aż w końcu zniżył się do mojego krocza. Przez chwilę ssał mi członka. Modliłem się, by nie wystrzelić mu w usta. Nie chciałem się ośmieszyć. Gdy byłem już blisko i zacząłem pojękiwać, Paweł przestał. Poprosił, żebym zrobił mu to samo, co on mnie. Nieśmiało zacząłem robić mu loda, choć nie miałem pojęcia, jak to powinno wyglądać. Poszedłem na żywioł. W pewnym momencie Paweł mnie powstrzymał. Obrócił mnie na brzuch i powiedział, żebym się nie bał. Gdy we mnie wszedł, poczułem ból, a po policzku popłynęła mi łza. Potem jednak pojawiła się przyjemność. Skończył we mnie. Po wszystkim wstał i powiedział, że jak chwilę odpoczniemy, będziemy mogli się zamienić.

Leżałem teraz na wersalce i marzyłem, by ta chwila trwała wiecznie.

* * *

WROCLAW, 22 LUTEGO 1994 R.

Weszli do pokoju młodszego z braci i rozejrzeli się dookoła. Widać było, że chłopak interesował się piłką nożną. Na ścianie wisiało kilka plakatów z piłkarzami. Żmigrodzki zobaczył Toto Schillaciego, który robił furorę cztery lata temu na mundialu we Włoszech. Był też plakat Platinięgo, Lothara Matthäusa, Marco van Bastena i kilku innych popularnych przedstawicieli świata futbolu. Z boku wisiało kilka posterów z muzykami – Europe, AC/DC i Guns N’ Roses. Pokój typowego nastolatka.

Komisarz poszedł do biurka i odsunął szufladę. Przez chwilę patrzył na zawartość. Zaskoczył go porządek. Odwrócił się do rodziców Szymona.

– Syn był pedantem?

– Nie do końca. Jak każdy nastolatek bałaganił. – Bożena Dąbrowska spojrzała na małżonka. – Mąż jednak co sobotę wymagał, żeby sprząтали swoje pokoje. Chciał nauczyć ich obowiązków domowych.

Dąbrowski skinął głową.

– Codziennie też kazałem im odkurzać dywany. A jak zbliżały się święta, szli je trzepać.

– Widzę, że syn interesował się sportem – wtrącił Sawicki, wskazując głową na ścianę z plakatami.

– Trochę kopał, ale amatorsko. Kiedyś widziałem, jak gra, i muszę przyznać, że miał talent. Nie poszedł jednak w tym kierunku. Kilka razy wybrał się z kolegami na koszykówkę. Był kibicem Śląska i Keitha Williama. Tomek mówił mu, że nie powinien kibicować Murzynowi. Tomek, ten starszy, w kosza kibicował drużynie Aspro. Mówił, że najlepszym koszykarzem w Polsce jest Adam Wójcik. W piłkę za to wolał Śląsk.

– Starszy syn był rasistą? – zapytał Sawicki.

– Nie... Chyba nie. Był skinem. Wiem, co panowie pomyślą. Ojciec nie powinien tolerować takiego zachowania. Nie mogłem jednak przemówić mu do rozumu. Miałem nadzieję, że z czasem mu przejdzie. Syn mojego kolegi z pracy jest punkiem. Wącha klej i co jakiś czas ucieka z domu. Był na koncertach w Jarocinie. Ma już kartotekę na policji. To, co robił Tomek, było mniej groźne. Tak mi się przynajmniej wydawało...

– Ale to skini leją Bogu ducha winnych ludzi – zauważył Sawicki.

Dąbrowski spuścił wzrok.

– Panowie, nie ma sensu teraz tego wyciągać – odezwała się Dąbrowska. – My z mężem przeżyliśmy ogromną tragedię. Jeszcze nie pochowaliśmy drugiego dziecka.

– Oczywiście – powiedział Żmigrodzki. – A czy może nam pani powiedzieć coś więcej na temat chłopaków?

Kobieta spojrzała na męża. Ten skinął głową.

– Zacznę może od młodszego. Szymek zmienił się jakiś czas temu. Tak jak wspominałam, wszystko zaczęło się, jak poszedł do technikum na Poznańską.

– To znaczy?

– Mam na myśli głównie te pobicia. Do dziś nie wiem, kto się nad nim znęcał, ale byłam pewna, że dzieje się coś złego. Mówiłam mężowi, że powinniśmy zare-

agować, pójść do szkoły, wypytać. Ale tłumaczył, że nie trzeba się mieszać. Starszy syn zresztą też tak twierdził. Mówili, że chłopcy w tym wieku wdają się w bójkę. Tylko że Tomek nie przychodził pobity tak jak Szymek.

– I naprawdę nigdy nie wspomniał, kto się nad nim znęca? – spytał komisarz, patrząc na Dąbrowskiego. Pomyślał, że ojciec chłopaka może wiedzieć więcej niż matka.

– Nie. Nie rozmawiałem z nim na ten temat. Podpytałem Tomka, czy coś wie, ale powiedział mi tylko, że nie ma powodów do zmartwień. Mówił, że Szymek jest w szkole kotem i jest kocony. Taki okres.

– Rozumiem. A czy znają państwo towarzystwo syna? Może ktoś będzie mógł nam powiedzieć coś więcej? – zapytał Sawicki.

– Raczej nie. Tutaj miał kilku kolegów z podwórka, ale czy nadal utrzymywał z nimi kontakt, to nie mam pojęcia – powiedziała matka nastolatków.

Żmigrodzki przejrzał znajdujące się na półkach książki. W większości były to powieści podróżnicze i przygodowe, był też jakiś horror Mastertona. Wziął książkę do ręki i zobaczył, że jest wypożyczona z biblioteki.

– Możemy zajrzeć do pokoju Tomka? – spytał.

Dąbrowscy w milczeniu wskazali na znajdujące się obok drzwi.

Wszyscy czworo weszli do pomieszczenia. Ten pokój wyglądał inaczej. Na słomianej makacie wisiało kilka ulotek wzywających do walki o czystość rasy. Było też parę amatorsko wydrukowanych plakatów z koncertów kapel skinowskich: Legion, Konkwista 88, Honor.

Komisarz podszedł do biurka i spojrzął na leżące na blacie kartki. Podniósł jedną z nich. Była to niewielka ulotka informująca o konieczności oczyszczenia Polski z wszelkiej maści elementu. Jako szczególnie niebezpieczni wymienieni byli Żydzi, Murzyni, Cyganie, homoseksualiści i komuniści. Odłożył kartkę i spojrzął na stojących w progu Dąbrowskich. Wiedział, że powinien zadać kluczowe pytanie, choć mogło ono zranić ich uczucia. Żałował, że nie może wspomóc się łykiem alkoholu.

– Czy państwa syn Szymon był homoseksualistą?

Dąbrowscy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia.

– Co? Jak? Nie, nic z tych rzeczy. Szymek spotykał się z dziewczynami – powiedziała Dąbrowska. – Sama widziałam...

Żmigrodzki zapalił papierosa i wydmuchnął dym.

– Skąd w ogóle taki pomysł? – zapytał mąż kobiety.

– To tylko jedna z teorii branych pod uwagę podczas śledztwa – wyjaśnił Sawicki. – Badamy wszystkie tropy.

Żmigrodzki wiedział, że powinien być z tymi ludźmi szczery i powiedzieć im o obrażeniach, jakie miał ich syn.

– Państwo chyba nie wiedzą, ale sekcja zwłok wykazała, że odbył Szymona był mocno uszkodzony. Obrażenia były naprawdę poważne.

– Ale... – zaczęła przerażona kobieta.

– Dlatego chcielibyśmy wiedzieć, czy to było efektem... – komisarz się zawałał – ...efektem przestępstwa czy jakichś zabaw. Musimy to wiedzieć.

Dąbrowska spojrzała na męża. Chwilę później stwierdziła:

– Szymon był normalny. Podobnie Tomek. Żaden z naszych synów nie oglądał się za chłopakami.

– Raz przyłapałem Szymka, jak oglądał pornosa. Takiego zwykłego, z kobietami. Nie mówiłem tego żonie... – Andrzej Dąbrowski spojrział na małżonkę. – Nie chciałem, żeby gadała. Chłopacy czasem takie rzeczy oglądają, to jest naturalne w ich wieku.

– Tomek też był normalny – dodała szybko kobieta. – Miał dziewczynę.

Widać było, że to pytanie wyprowadziło ich z równowagi. Dąbrowski aż przytrzymał się mocniej framugi drzwi.

– Spokojnie – powiedział Sawicki. – Tak jak mówiłem, badamy różne tropy. Nie twierdzimy, że państwa synowie uprawiali seks z chłopcami. Musimy jednak się dowiedzieć, co było powodem tych obrażeń.

* * *

Szymańska otworzyła drzwi poloneza.

– Co tak długo? – spytał Tretter.

– Pawlak mnie zatrzymał. Powiedział, że klawisze przechwycili gryps od jednego z podejrzanych o zabójstwo na melinie tej dziwki. Typ pisał, że jakiś inny ma ukryć narzędzie zbrodni. Trzeba pojechać i to zabezpieczyć.

– O, to mamy sukces. Sprawa rozwiązana. Tak lubię.

– A potem trzeba będzie zająć się tym starszym bratem, tym skoczkiem.

– No to trzeba ruszać. – Tretter sięgnął do tkwiącego w stacyjce kluczyka, ale Dorota go powstrzymała.

– Czekaj.

– Co jest?

Zastanawiała się przez chwilę, czy może mu powiedzieć o drugiej części rozmowy z naczelnikiem. Byli partnerami od dawna i nie mieli przed sobą żadnych tajemnic.

– Dorota?

– Pawlak powiedział, że Żmigrodzki świruje.

– Jak świruje? Znaczy się, co robi?

– Twierdzi, że Żmigrodzki niby rzucił picie, ale to tylko kwestia czasu, jak stanie się niebezpieczny.

– Niebezpieczny? Bez przesady. – Tretter machnął ręką.

– Niby tak, ale nie dam gwarancji, że nie zrobi czegoś głupiego.

– Nikt nie może dać takiej gwarancji.

– No właśnie. Na dodatek Żmigrodzki zaczął mówić, że trzeba jeszcze raz przyjrzeć się sprawie Urbańskiego. Uważa, że prawdziwy zabójca żyje i jest na wolności. Pawlak twierdzi, że to oznaki choroby alkoholowej i Żmigrodzki zamiast białych myszek widzi demony przeszłości.

– No nie wiem. Nie zauważyłem, żeby miał jakieś omamy lub zwidy. Fakt, łapy mu czasem ostro latają, ale to zwykła delirka.

- Tak czy inaczej, Pawlak chce, żebyśmy mieli na Żmigrodzkiego oko. Jakby coś się działo, mamy mu dać znać.
- Mamy kapować?
- Tak tego nie nazwał. Ale nie chcę mieć kogoś na sumieniu.
- Tretter przekreślił klucz.
- Jeśli Żmigrodzkiemu zacznie odpierdalać, to się nim zajmiemy – stwierdził.
- Ale na pewno nie będziemy strzelać z ucha naczelnikowi. Kapusiami nie jesteśmy.

* * *

Sawicki zaparkował poloneza na chodniku przed zespołem szkół przy Poznańskiej.

To tutaj uczył się młodszy z braci Dąbrowskich. Technikum mieściło się w dwóch starych gmachach z czerwonej cegły pochodzących z końca ubiegłego wieku. Żmigrodzki się zastanawiał, co mieściło się w nich w czasach, kiedy na tych ziemiach mieszkali Niemcy. Czytał kiedyś artykuł w „Słowie Wrocławia”, w którym pisano, że projektantami tych gmachów było dwóch najbardziej znanych wrocławskich architektów. Wykonali mnóstwo projektów, począwszy od wieży ciśnień na Wiśniowej przez masę mostów z Grunwaldzkim na czele, a na halach i szpitalach kończąc.

Spojrzeli w stronę grupki uczniów stojących kawałek dalej obok ciągu niewielkich sklepików. Wszyscy palili papierosy.

Żmigrodzki wysiadł z auta i też odpalił fajkę.

– Zaczniemy od dyrekcji i nauczycieli – powiedział, wydmuchując dym.

Poprawił kołnierz i odruchowo przesunął dłońią po kieszeni.

– Dajesz radę? – spytał Sawicki, którego uwadze nie umknął ten gest.

– Lekko nie jest. Ale się staram. – Żmigrodzki wyciągnął dłonie przed siebie.

– Teraz wyglądają normalnie, ale bywa, że latają jak pojebane. Ciężko je wtedy utrzymać w kieszeniach.

Zauważył to dzisiaj, jak wyszli od rodziców nastolatków. Chciał zapalić, ale nie był w stanie wyjąć papierosa z paczki. Sawicki tego nie widział, bo akurat poszedł do kiosku po fajki. Potem już wszystko wyglądało normalnie. Dopiero jak tu przyjechali, sytuacja się powtórzyła. Trzymał wtedy ręce w kieszeniach i tylko dlatego młody nie zauważył.

– Nie wiedziałem. Mogę ci jakoś pomóc?

– A w jaki sposób można pomóc chlorowi? – Żmigrodzki wzruszył ramionami.

– Jedynie dając mu naftę.

– Tę akurat nie mogę dla ciebie zrobić.

– Więc nie możesz mi pomóc.

Zagaśnił papierosa na pobliskim koszu na odpadki.

– Dobra, do roboty – powiedział i ruszył w stronę szkoły.

* * *

Tretter zaparkował przy budynku, w którym zabójca prostytutki miał ukryć narzędzie zbrodni. Wysiedli z poloneza i spojrzeli na kamienicę. Wyglądała tak samo jak wiele innych w tej okolicy. W pobliżu był cieszący się złą sławą wrocławski „trójkąt bermudzki”. Tretter miał w pobliskim komisariacie koleżkę i słyszał od niej wiele nieprawdopodobnych historii.

– Opowiadałem ci o wisielcu z trójkąta? – zapytał, zerkając na Dorotę.

– O kim?

– Taka anegdota z okolicy Traugutta.

– Nie.

– Mam tu ziomka na komisariacie. Kilka razy gadaliśmy o dzielnicy. Trójkąt jest specyficzny. Jak masz za dużo zębów, to tu zawsze znajdziesz wolnego dentystę. A jak chcesz wiedzieć, ile masz kości, to i ortopeda się znajdzie, żeby je porachować.

– Ogólnie znam trójkąt i wiem, jakie rzeczy tu odchodzą.

– Ale sprawy wisielca nie znasz. To słuchaj. Grzesiek, ten mój kumpel z Rakowca, opowiadał mi kiedyś, jak wezwano patrol do mężczyzny, który rzekomo powiesił się w jednej z klatek. Było to w połowie lat osiemdziesiątych. Na dworze mróz, jak to w styczniową noc. Zajechali nyską i wysiedli. Drzwi do kamienicy były otwarte, więc już z daleka widzieli wisielca. Zdali sobie sprawę, że nie muszą się nigdzie śpieszyć. Odpalili papierosy, pogadali chwilę. W końcu któryś poszedł do środka i odciął wisielca. Ciało runęło na podłogę z głośnym hukiem. Wtedy do środka weszła reszta chłopaków i zaczęli tamtego nakręcać, że denat za to bezpardonowe potraktowanie będzie go straszyl po nocach. Przyjechało pogotowie i lekarz stwierdził zgon. Kilka dni później ten milicjant przybiegł przerażony na komisariat. Opowiadał, że spotkał tego denata przy kiosku Ruchu. Nikt mu jednak nie chciał uwierzyć. Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Koleś co jakiś czas widywał tego wisielca. Załamał się i wziął wolne. W końcu sam próbował popełnić samobójstwo. Na szczęście żona zobaczyła, jak zakłada sobie pętlę, i z pomocą sąsiada go obezwładniła. Potem pogotowie zabrało go na Kraszewskiego do wariatkowa.

– I co w tym dziwnego? Normalna procedura.

– To akurat nie było dziwne. Po czasie jednak się okazało, że facet miał rację i rzeczywiście widywał denata.

Szymańska wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

– Co? Jak?

Tretter poprawił czapkę i uśmiechnął się zagadkowo.

– Okazało się, że wisielec miał brata bliźniaka. I nasz milicjant widywał właśnie jego.

– No to się nie dziwię, że mogło nim tępnać. I jak się zakończyła cała historia?

– Po wyjściu z Kraszewskiego gliniarz odszedł ze służby. Nie nadawał się już. Potem upadła komuna i wielu starało się przejść pozytywnie weryfikację. Nikt się tamtym już nie interesował.

Tretter spojrzeli na kamienicę.

– A czemu właściwie ci się o tym przypomniało? – zapytała policjantka.

- Jakoś tak mi się skojarzył ten budynek z tymi z Traugutta.
- Tutaj wszystkie budynki wyglądają podobnie.
- Wiem. I to jest w tym wszystkim najlepsze. Dobra, czas poszukać tłuczka – rzucił Tretter i skierował się w stronę wejścia do budynku.

* * *

Bożena podeszła do męża i pogłaskała po głowie.

- Jak się czujesz?
- Daję radę, chociaż serducho lekko pobolewa – powiedział Andrzej Dąbrowski, poprawiając się w fotelu.
- Wezwać karetkę?
- Nie. Dam radę. Dziękuję.

Uśmiechnął się do niej słabo i pocałował ją w policzek. Dawno nie okazywali sobie czułości, ale śmierć dzieci nieoczekiwanie zbliżyła ich do siebie.

– Powiem ci, że zdenerwował mnie ten gliniarz – wyznała kobieta. – Oni naprawdę uważają, że nasz Szymek wolał chłopaków?

– Mówili, że miał obrażenia świadczące o... – Andrzej zamilkł. Nie wiedział, jakich słów użyć, by żona nie zrozumiała go opacznie.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że był zbrojcem.

– Może to standardowa procedura. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że będą badali ten wątek.

– Nie wiem po co. To ślepa uliczka. Powinni zająć się tymi zwyrodnialcami, co się nad nim znęcali, a nie... Nawet nie wiem co. Powiem ci, że zdenerwował mnie ten gliniarz. – Dąbrowska spojrzała na męża. – Herbaty ci zrobić?

– Nie, dzięki.

– A ja sobie zrobię.

Ruszyła w stronę kuchni, ale zatrzymała się w pół kroku.

– A może powinniśmy im powiedzieć, że Tomek będzie miał dziecko z tą dziewczyną? Może to jakiś ważny ślad?

– Jaki ślad? Przecież Szymon nie wiedział, że będzie wujkiem. Z tego, co mówiłaś, nawet Tomek nie miał pojęcia, że z tą Anką zaliczyli wpadkę. Myślę, że to nie miało żadnego znaczenia.

Bożena wiedziała, że Andrzej ma rację. Cięża nastolatki nie miała związku z samobójstwem ich synów. Wzmianka o niej mogła tylko dołożyć śledczym fałszywych tropów. I tak mieli kupę roboty, by to wyjaśnić. Ona była pewna, że Szymon targnął się na swoje życie, bo ktoś się nad nim znęcał. Nie wiedziała tylko, dlaczego starszy syn zdecydował się skoczyć z dachu.

Pewnie nie mógł znieść tęsknoty za bratem, pomyślała i poszła do kuchni.

* * *

Żmigrodzki zapukał do drzwi, za którymi mieścił się sekretariat i gabinet dyrektorki technikum. Otworzył je, ale od razu zamknął, bo w środku było kilku

uczniów.

– Poczekajmy, aż skończy się przerwa – powiedział do Sawickiego.

W końcu zadzwonił dzwonek i z sekretariatu zaczęli wychodzić uczniowie. To był odpowiedni moment, by wejść do środka.

W pomieszczeniu została jeszcze jedna uczennica, ale nie zamierzali dłużej czekać. Żmigrodzki podszedł do kontuaru i spojrzał na siedzącą po drugiej stronie blondynkę. Była po trzydziestce i miała lekką nadwagę. Jej obfity biust ledwo mieścił się w ciasno opiętej białej koszuli. Komisarz nie mógł oderwać od niego wzroku, zastanawiając się, czy guziki za chwilę nie zaczną latać w powietrzu.

Sekretarka odchrząknęła znacząco, po czym wstała i zdjęła z oparcia krzesła sweterek. Założyła go, po czym usiadła z powrotem na swoim miejscu.

Żmigrodzki poczuł, że się czerwieni.

– Przepraszam panią... Policja. My do dyrektorki szkoły.

– A w jakiej sprawie?

– Śmierci jednego z uczniów. Możemy zająć chwilę? – Posłał jej nieśmiały uśmiech.

Kobieta ponownie wstała i podeszła do drzwi gabinetu dyrektorki. Zapukała i po chwili zniknęła w środku.

Komisarz spojrzał na stojącą obok nastolatkę. Wypełniała jakiś dokument, ale ukradkiem zerkała w jego stronę.

– Mam nadzieję, że nie zajmie to nam całego dnia – powiedział do Sawickiego.

– Myślę, że nie – odpowiedział partner. – To kwestia kilku minut.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i sekretarka pokazała im, że mogą wejść.

– Pani dyrektor zaprasza – powiedziała.

Weszli do pomieszczenia i zobaczyli kobietę po pięćdziesiątce wstającą zza biurka.

– Trzebnicka – przedstawiła się, wyciągając dłoń na powitanie. – Co panów do mnie sprowadza? Śmierć ucznia? O kogo chodzi?

– Szymon Dąbrowski – powiedział Żmigrodzki, ściskając jej dłoń.

– Ach tak. Myślałam, że wydarzyło się coś nowego. Proszę siadać.

Zajęli miejsca na wskazanych krzesłach i Żmigrodzki wyjął z kieszeni papirosy.

– Tutaj nie palimy – zastrzegła kobieta.

Niepoczyszony schował paczkę z powrotem. Następnie spojrzał na Sawickiego i powiedział:

– Chcielibyśmy porozmawiać z nauczycielami, którzy uczyli chłopca, a także z jego kolegami z klasy.

– Ale po co? Przecież to było samobójstwo.

– A nie interesuje panią, co je spowodowało? – zapytał Sawicki.

– A ma to jakiś związek ze szkołą?

– Nie wykluczamy niczego. Wiemy, że Szymon Dąbrowski co jakiś czas wracał ze szkoły ze śladami pobicia.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nikt tego do kadry pedagogicznej nie zgłaszał.

Żmigrodzki wstał i podszedł do stojącego przy ścianie regału. Zaczął przeglądać tytuły książek. W większości były to publikacje o tematyce technicznej.

– A wy zajmujecie się problemami tylko wtedy, jak ktoś je zgłasza, tak? – Odwrócił się z pytaniem.

– A skąd mamy wiedzieć, że dzieje się coś złego?

– Według słów rodziców chłopak wielokrotnie wracał po lekcjach z siniakami. Siniaki mają to do siebie, że goją się kilka dni. Przecież jakiś nauczyciel musiał widzieć ślady pobicia. To powinno kogoś zainteresować. No, chyba że ignorujecie takie sprawy.

Trzebnicka poprawiła się w fotelu i zaczęła się bawić długopisem.

– Panie komisarzu, wie pan, ile problemów przysparza dzisiejsza młodzież? – spytała po chwili.

– Pracuję w policji i widzę statystyki.

– No właśnie. Wy widzicie statystyki, a my jesteśmy na pierwszej linii frontu. Wy macie tylko słupki, w których wpisujecie, ile jakich wykroczeń popełnił nastolatek. Potem wysyłacie go do poprawczaka lub staję przed kolegium. My widzimy więcej, niż byśmy chcieli. Mamy tu do czynienia z młodzieżą z problemami. Rodzice nie pracują, w domach bieda. To powoduje stres i frustrację. Takie dzieciaki są łatwym celem dla różnego rodzaju subkultur, sekt czy gangów. Wie pan, że w naszej szkole można spotkać i punków, i skinów? A wie pan, że są metale i depešowcy? To rodzi konflikty, chociaż na szczęście nie dochodzi do bójek.

– A czy Dąbrowski mógł należeć do jakiejś subkultury? – zapytał Sawicki. – Rodzice nie mieli takiej wiedzy.

– Nie kojarzę tego chłopca. Nie miałam z nim do czynienia, ale zapytałam wychowawcę. Powiem panom coś jeszcze: od czterech lat we wrześniu pojawia się po wakacjach problem z sektami. Kilku uczniów na wyjazdach na swojej drodze napotkało różne ruchy. Odnowa w Bogu, Hare Krysna i jeszcze kilka innych. Oczywiście niektóre nie są złe, starają się pokazać młodzieży inną drogę. Jest jednak parę takich, które powinny być zakazane. Młodzież przez nich wpada w narkotyki, prostytutkę. Dwa lata temu miałam uczennicę, która zapisała się do jakiejś sekty, w której guru uważał się za wcielenie Jezusa. Mówił, że bombarduje ich miłością. Dziewczyna potrzebowała ciepła, bo wywodziła się z niepełnej rodziny. Dała się złapać na haczyk. Po dwóch miesiącach zaczęła zażywać narkotyki. Guru powiedział, że kompot pozwoli jej dostąpić zbawienia. Wszystkie kobiety w tej sekcji należały tylko do niego. Z każdą sypiał. Kilka zaszło w ciążę. Ta moja uczennica na szczęście nie. Widziałam ją w zeszłym roku na dworcu. Była zniszczoną ćpunką. Na dodatek za działkę skłonna była oddać swoje ciało. To naprawdę straszne.

– Znamy takie przypadki. Jednak nie one są teraz w kręgu naszych zainteresowań. Jesteśmy tu po to, by wyjaśnić okoliczności śmierci Szymona Dąbrowskiego – zastrzegł Sawicki.

– Widzą panowie, to nie jest tak, że my nie dostrzegamy problemów. Po prostu młodzież, nawet jeśli jakiś problem ma, do nauczyciela zgłosi się na samym końcu. Prędzej wpadnie w łapy sekty, wstąpi do subkultury. Ubolewam nad tym, ale nie mam zbyt wielu możliwości, by to zmienić. Dla nich jesteśmy dorosłymi, a oni dorosłych uważają za swoich wrogów – tłumaczyła Trzebnicka.

Żmigrodzki wiedział, że dyrektorka ma rację. Młodzież będąca w okresie buntu za nic ma nauczycieli. Uważają ich za część systemu, a system chcą zniszczyć.

* * *

Po odwiezieniu narzędzia zbrodni na komendę udali się do szkoły, do której uczęszczał starszy z braci Dąbrowskich. Skierowali swoje kroki prosto do gabinetu dyrektorki. Stanęli przed masywnymi drewnianymi drzwiami z błyszczącą tabliczką: „Maria Gajewska – dyrektor szkoły”. Szymańska nacisnęła klamkę i weszli do środka.

Za biurkiem sekretarki siedziała kobieta po pięćdziesiątce. Od razu wiedzieli, że mają do czynienia z doświadczoną pracownicą.

Tretter wyjął blachę i pokazał ją sekretarce.

– Policja. My do pani dyrektor.

– A byli państwo umówieni?

– Nie. Sprawa wyszła nieoczekiwanie – odparł, chowając legitymację do kieszeni.

– Proszę poczekać.

Kobieta podniosła słuchawkę telefonu i po chwili oczekiwania na połączenie powiedziała:

– Pani dyrektor, policja do pani.

Szymańska rozejrzała się po pomieszczeniu. Ściany zdobiło pełno dyplomów. Były wśród nich takie z zawodów sportowych, olimpiad matematycznych, a także takie sprzed kilku dekad za wyniki w promowaniu pracy w socjalistycznej ojczyźnie.

– Nie mówili, w jakiej sprawie – powiedziała sekretarka. – Tak, pani dyrektor. Już wpuszczam.

Odłożyła słuchawkę na widełki i pokazała dłonią drzwi.

Weszli do gabinetu. Na powitanie wyszła im elegancko ubrana na oko trzydziestopięcioletnia kobieta. Dorota zazdrościła jej tego żakietu. Sama nosiła dzinsy i swetry. Dyrektorka szkoły swoim ubiorem łączyła elegancję z wygodą. Widać było, że taki strój jest dla niej codziennością. Bez trudu szła w butach na wyższym obcasie.

– Gajewska. – Wyciągnęła do nich dłonie. – Jaka sprawa państwa do mnie sprowadza?

– Tomasz Dąbrowski. Był uczniem tej szkoły – powiedziała Szymańska.

– Tak. Straszna tragedia. Powiem państwu, że długo nie mogłam dojść do siebie. Chyba żaden pedagog nie jest przygotowany na wiadomość o śmierci ucznia.

Gajewska wskazała im miejsca i wróciła na swój fotel. Usiedli na stylizowanych na zabytkowe krzesłach, o dziwo całkiem wygodnych.

– Znała pani osobiście Tomka Dąbrowskiego? – spytała policjantka.

– Kilka razy był w moim gabinecie. Raz też prowadził zastępstwo w jego klasie. Zanim zostałam dyrektorem szkoły, uczyłam fizyki. Do tej pory zresztą mam przepisowe godziny przy tablicy, choć już niewiele.

– A te wizyty u pani w gabinecie to z jakiego powodu? – zapytała Dorota.

– W zeszłym roku Dąbrowski trochę łobuzował. Wdawał się w bójki. Jak pewnie państwo wiecie, należał do subkultury skinów. W tym roku był spokojniejszy i nie szukał guza na terenie szkoły. Doszły mnie słuchy, że skini dogadali się z punkami i na terenie placówki nie wszczynają burd. Niemniej w zeszłym roku było z nim sporo problemów. Oczywiście nie można zapomnieć o dniu wagarowicza. Brał udział w bójce z policją. Został nawet zatrzymany na kilka godzin na komisariacie.

Dorota spojrzała na partnera. Nie wiedzieli o tym. Prawdopodobnie chłopaka pouczono, przestraszano i wypuszczono do domu. W dzień wagarowicza policja miała sporo problemów z nieletnimi. Tradycją stały się potyczki młodzieży z oddziałami prewencji. Małolaci zaczynali od wyzwisk w stronę policjantów, a kończyło się rzucaniem kamieniami w radiowozy. Siły porządkowe zmuszone były do użycia polewaczek i pałek. W ten dzień miasto stawało się prawdziwym polem bitwy. Zatrzymanej młodzieży było tyle, że każdy komisariat dostawał swój przydział. Większość straszono konsekwencjami i wypuszczano. Tych najbardziej zadziornych zamykano w policyjnej izbie dziecka i wzywano rodziców. Potem kierowano wnioski do sądu.

– A coś więcej na temat tego zatrzymania? Czy rodzice zostali powiadomieni? – drążyła Szymańska.

– Tak. My jako placówka oświatowa dostaliśmy listę naszych uczniów biorących udział w tamtych wydarzeniach. To standardowa procedura. Musimy potem przeprowadzić z nimi rozmowę dyscyplinującą i obniżyć oceny z zachowania. Taki wymóg. Naszym obowiązkiem jest też wezwać rodziców. Dąbrowscy przyszli i rozmawiałam z nimi.

– Z jakim skutkiem? Chłopak się poprawił? – spytał Tretter.

Gajewska uśmiechnęła się nieznacznie i zaprzeczyła ruchem głowy.

– W szkole starał się udawać niewiniątko, ale spotkałam go kiedyś na mieście. Stał z kilkoma chłopakami w bramie w rynku. Sami skini. Było ich chyba z siedmiu. Pili tanie wino i palili papierosy. Jeden co chwila pluł na chodnik. Nie podeszłam do nich. Obawiałam się, że obrzucą mnie wyzwiskami. Dąbrowski mnie widział i nawet skinął głową. Potem, jak spotkałam go w szkole i zapytałam o tamtą sytuację, powiedział, że z kimś go pomyliłam. „W ciemnej bramie każdy łyśy wygląda tak samo. Pomyliła mnie pani z jakimś zbirem. Ja jestem spokojny i wieczorem to siedzę w domu. A alkoholu nie piję, bo nie lubię”, stwierdził. Rozumiecie to? Nie powiedziałam mu, że widziałam go pijącego wino. Nie mówiłam też, że stał w ciemnej bramie. Odniosłam wrażenie, że naśmiewa się ze

mnie w duchu. Nie mogłam go jednak za to ukarać. Postanowiłam jednak, że będę miała go na oku.

Gajewska spojrzała w stronę okna. Widać było, że śmierć ucznia mocno ją przygnębiła.

* * *

– Chcielibyśmy spotkać się z wychowawcą Szymona Dąbrowskiego – powiedział Żmigrodzki.

Dyrektor Trzebnicka podeszła do szafy i wyjęła z niej jakąś teczkę. Przez chwilę ją przeglądała, po czym odłożyła na miejsce.

– Szymon Dąbrowski był uczniem pierwszej „b”. Klasa jest już po lekcjach. Wychowawcą jest Zbigniew Ciórko. Uczy także dwóch przedmiotów: technologii maszyn i obróbki materiałów. Z tego, co widzę w planie, on też zakończył już lekcję. Myślę, że lepiej będzie, jeśli wrócą panowie jutro.

– Mogłaby pani zorganizować spotkanie z nauczycielami Dąbrowskiego? Dobrze, gdyby wszyscy byli obecni w tym samym czasie – powiedział komisarz.

Dyrektorka zrobiła strapioną minę.

– Problem w tym, że kadra ma lekcje na różne godziny. Część w ogóle ma wolne. Trzeba będzie to jakoś zorganizować. Na pewno nie uda mi się tego załatwić na jutro.

– To jutro możemy porozmawiać z uczniami, a z kadraj pojutrze. Pasuje?

– Dobrze. Powiem panom jednak, że nie sądzę, aby problem z tym Dąbrowskim miał swój początek w szkole. Chłopak mógł wpaść w złe towarzystwo. Mógł zacząć brać narkotyki. Może dziewczyna go zostawiła, może zaliczył wpadkę. To ostatnio częsty przypadek. Znajoma dyrektorka ze szkoły na Brani-borskiej ma z tym ostatnio ogromny problem. Pięć dziewczyn jest w ciąży. Młodzież uprawia seks, a potem jest zaskoczona, że z tego mogą być dzieci. Może tu trzeba szukać przyczyny.

Żmigrodzki pokręcił głową.

– Z tego, co wiemy, chłopak nie miał stałej dziewczyny.

Zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o obrażeniach odbytu, które zostały ujawnione podczas sekcji. Z jednej strony mogło to nakierować dyrektorkę na jakiś tor. Może nie zwróciła uwagi, że pojawiły się plotki, a teraz o czymś by sobie przypominała. Z drugiej jednak nie był pewny, czy te obrażenia miały związek z orientacją nastolatka, dlatego zdecydował się nie poruszać tego tematu.

– Dobrze, pani dyrektor, na dziś nam wystarczy. Przyjedziemy jutro i porozmawiamy z kolegami z klasy Dąbrowskiego. A pojutrze weźmiemy w obroty nauczycieli.

– Co? Jak w obroty? – Trzebnicka popatrzyła na komisarza zaskoczona.

– Normalnie. Będziemy z nimi szli na ostro. Wyrwiemy im paznokcie, porazimy prądem. – Puścił do niej oko.

Trzebnicka nie zaśmiała się jednak z żartu. Popatrzyła na Sawickiego, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Żmigrodzkiego.

– Takie dowcipy w mojej ocenie są nie na miejscu. Dwóch z naszych nauczycieli w latach komuny było represjonowanych. Ja także działałam w „Solidarności” i kilka razy trafiłam na dołek. Moi znajomi ze studiów podobnie. Syn studiował wtedy na uniwerku i został przez milicjantów pobity na komisariacie. To nie było zabawne, proszę mi wierzyć.

Żmigrodzki zdał sobie sprawę, że przesadził. Nie powinien był żartować w taki sposób.

– Przepraszam, nie pomyślałem.

– No tak, bo pan był w gronie tych, którzy pacyfikowali studentów i wymuszali zeznania.

– Bóg mi świadkiem, że odkąd jestem psem, zawsze zajmowałem się trupami. Polityka mnie nie obchodziła. W dupie mam też to, co się dzieje teraz. Wiem tylko, że prezydentem jest Wałęsa, ale kto rządzi, to już mnie wali. Niemniej przepraszam. Rzeczywiście nie pomyślałem.

Żmigrodzki dał znak Sawickiemu, że na nich pora. Partner wstał z miejsca i ruszyli do wyjścia.

* * *

– Czy ma pani jakiegokolwiek podejrzenia, dlaczego Tomek Dąbrowski popełnił samobójstwo? – spytała Szymańska, patrząc na dyrektorkę szkoły.

– W mojej ocenie chodziło o śmierć młodszego brata. Wydaje mi się, że nie umiał się z nią pogodzić i postanowił do niego dołączyć.

– Cóż, może coś w tym jest. – Tretter pokiwał głową. – A czy moglibyśmy porozmawiać z wychowawcą chłopaka?

– Oczywiście, zapraszam za mną. – Gajewska wstała z fotela i ruszyła w stronę drzwi.

Szymańska i Tretter wstali ze swoich miejsc. Dorota ponownie spojrzała z zazdrością na strój dyrektorki. Jej z pensji gliniarza nie było stać na takie ciuchy.

– Pójdziemy do pokoju nauczycielskiego i zerkniemy na plan.

Gdy szli korytarzem, Gajewska opowiadała im o historii szkoły, ale Dorota nie słuchała jej zbyt uważnie. Zastanawiała się raczej nad tym, gdzie ta kobieta kupuje ciuchy. Pewnie w jakichś markowych butikach. Widziała metkę włoskiej firmy odzieżowej. Ona zaopatrywała się na placu przy Słubickiej. Spojrzała na Trettera. Wpatrzony w Gajewską jak w obrazek, spijał z jej ust każde słowo.

W końcu stanęli przed pokojem nauczycielskim. Dyrektorka weszła do środka, a oni zostali przy drzwiach.

– Tak cię to interesowało? – spytała Dorota.

– Niby co? – Tretter zmarszczył brwi. – Nie kumam.

– Wsłuchany w nią byleś, jakby opowiadała jakąś fascynującą historię. Aż usta rozdziawiłeś.

– E tam... Przesadzasz.

Tretter oblizał wargi. Był wyraźnie skrepowany.

– Ona ci się podoba! – zawołała Dorota. – Teraz to widzę!

– Co? Kto?

– No ty już sam wiesz kto.

Policjant się zarumienił. Szymańska wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

– Bez przesady. Fajna, zgrabna babka, ale gdzie mi tam do niej. Zobacz, ja zwykły pies, a to dama.

– Dama? Chłopaku, to nauczycielka. Też tyra w budżetówce. To nie księżna Diana czy inna królowa Monako!

Tretter spojrział na drzwi pokoju nauczycielskiego.

– Ciszej, bo usłyszysz – syknął.

– A niech słyszy. Nie powinieneś się wstydzić swoich uczuć. – Policjantka puściła do niego oko.

Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie dyrektorka wyszła na korytarz.

– Niestety dzisiaj już z nią nie porozmawiacie. Mogę dać wam adres domowy lub możecie przyjechać do szkoły jutro.

– To może jutro – zaproponował szybko Tretter.

Szymańska spojrziała na niego zaskoczona. Wszystko było jasne. Jej partner chciał wrócić do szkoły, bo liczył na kolejne spotkanie z Gajewską. Nie zamierzała mu tego utrudniać.

– To widzimy się jutro koło dziesiątej? – zapytała.

– Pani Henning ma zajęcia od ósmej. Dziesiąta może być. Czy mogę być obecna przy tej rozmowie?

– Jasne. Wręcz powinna pani być obecna – rzucił natychmiast Tretter.

Dorota z trudem stłumiła śmiech.

* * *

Żmigrodzki patrzył na stojącą przed nim butelkę. Znowu go wabiła, kusiła swoim kształtem. Pragnął jej. Była niczym najpiękniejsza kobieta, której można tylko pożądać i wielbić. Była ideałem. Marzył, by odkręcić nakrętkę i nalać sobie solidną porcję do literatki.

Sięgnął po papierosy i spróbował odpalić jednego, ale ręce drżały mu jak w delirce. To już kolejny raz tego dnia. Odłożył papierosa. Musiał w pierwszej kolejności uspokoić dłonie. Położył je płasko na stole i w myślach zaczął odliczać do stu. Nie wiedział, czy to dobry pomysł, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. Niestety nie zadziałało.

– A chuj z tym... – zaklął i sięgnął po butelkę.

Odkręcił ją i wziął solidnego łyka. Paliło tak jak zawsze. Wypuścił głośno powietrze i postawił butelkę na blacie. Spojrział na swoje ręce. Po chwili drzenie ustało.

– Czyli jednak nie można mieć wszystkiego. Albo trzeźwość i telepawka, albo spokojne łapy i lekka bańka – powiedział i sięgnął po papierosa.

Przez chwilę palił, patrząc w ścianę. Wiedział, że kolejny raz nawalił. Był na siebie wściekły. Nie potrafił wytrzymać w abstinencji. Łamał się szybciej, niż się spodziewał. Musiał przyznać sam przed sobą, że nałóg jest dla niego zbyt silny – albo on dla nałogu zbyt słaby. Postanowił, że co ma być, to będzie. I tak wystarczająco długo się męczył, udając, że może być trzeźwy. Strzepnął popiół, po czym nalał sobie kieliszek. Wychylił go, otarł usta i wziął macha.

Jego myśli powędrowały do sprawy, którą obecnie prowadzili. Samobójstwo tych dzieciaków było dla niego czymś intrygującym. Miał przeczucie, że jeśli odkryje prawdę, zrobi coś dobrego. Podobne przeczucie miał w sprawie, za którą odpowiedział karnie Urbański. Dziś był coraz bardziej przekonany, że prawdziwy zabójca jest na wolności. Nie mógł tego zlekceważyć. Czuł, że powinien wrócić do tematu. Może mógłby wziąć do pomocy Sawickiego. Młody wyglądał na porządnego i ambitnego gliniarza.

WROCLAW, 23 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki wstał tuż po szóstej. Najpierw musiał ugasić pragnienie. Suszyło go niemiłosiernie, więc napił się wody prosto z kranu. Potem wziął prysznic i zaczął się ubierać.

Wczoraj podjął decyzję. Nie będzie udawał kogoś, kim nie jest. Nie ma zamiaru zgrywać trzeźwego Żmigrodzkiego. Stanął przed lustrem i powiedział sobie, że jest pijakiem. Zwykłym moczymordą, który nie da rady wytrzymać bez kropli alkoholu.

Oczywiście nie zamierzał pić od rana i po pijaku prowadzić śledztwa. Jak najdzie go ochota, to weźmie mały łycalek z piersiówki. Nikt nie powinien się czeplić. Młody może początkowo kręcić nosem, ale jak mu coś nie pasuje, to niech wraca na swoją Jaworową. Ostatecznie nie muszą razem robić.

Zaparzył sobie kawę i usiadł przed oknem. Patrzył na budzące się miasto. Zastanawiał się, kiedy zacznie być cieplej. Miał już trochę dość tej zimy. Śniegu było sporo, a jego znoszone buty już od dawna przemakały. Wracał z roboty i miał mokre skarpety. Ostatnio włożył sobie do buta kawałek tektury, ale po kilku godzinach ona też była już wilgotna. Myślał, czy nie rozejrzeć się za jakimś nowym obuwiem. Mógł podjechać na targowisko przy Słubickiej. Machnął jednak na to ręką. Za miesiąc powinno być już cieplej i będzie mógł wyciągnąć z pawlacza trzewiki. Nie było sensu szastać pieniędzmi, zwłaszcza że sporą część wypłaty przepijał.

Rozejrzył się po kuchni. Mieszkanie od dawna wymagało odświeżenia. Powinien pomyśleć o odmalowaniu ścian. Ostatni raz robił to chyba w osiemdziesiątym czwartym. Może weźmie kilka dni wolnego i zrobi w tym wreszcie porządek. Po chwili jednak stwierdził, że to głupi pomysł. Jak znał życie i siebie, nie otworzyłyby nawet farby. W pierwszy dzień pewnie schlałyby się tak, że nie wiedziałyby, gdzie się znajduje ani jaki jest dzień tygodnia. Pozostałe dni na zmianę upijałyby się i trzeźwiały. Na koniec okazałoby się, że nie pomalował nawet centymetra ściany. Pomysł z remontem już na wstępie okazał się klapą.

Wziął łyk kawy i zagasił papierosa w popielniczce. Z blatu zabrał piersiówkę i zaniósł do kozucha. Włożył ją na swoje miejsce i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze.

– Tylko nie mów nikomu, bracie. – Puścił do siebie oko i cicho się zaśmiał.

Szymańska i Tretter stali przed pokojem nauczycielskim i czekali na wychowawczynię Tomka. Mieli nadzieję, że uzyskają od niej jakieś informacje. Kobieta kończyła lekcję i miała mieć okienko. Wspólnie mieli pójść do gabinetu dyrektorki szkoły.

Tretter spojrzął na zegarek.

– Powinna już być.

– Spokojnie. Zaraz zobaczysz swoją piękną panią dyrektor. – Dorota uśmiechnęła się do niego.

– Bez przesady.

– Bez przesady co? Nie jest piękna?

– Jest, ale... – Tretter się zawahał. Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona.

Dorota uśmiechnęła się szeroko.

– Nie wstydz się. Widziałam, jak na nią patrzyłeś. Widzę też, że przez noc ci nie przeszło. Ciągnąłeś tu, odkąd tylko pojawiłeś się w komendzie. Spryskałeś się też wodą kolońską. Co to?

– Old Spice.

– Nie przepadam, ale lepsze to niż Brutal. Swoją brutalność i brak obycia pokażesz jej na kolejnym etapie znajomości.

Nagle zauważyli idącą w ich stronę kobietę z dziennikiem pod pachą. Wiedzieli, że to Henning, wychowawczyni Tomka Dąbrowskiego. Gdy znalazła się kilka metrów od nich, Szymańska zrobiła krok do przodu i spytała:

– Pani Henning?

– Tak. Państwo z policji? Pani dyrektor mówiła mi, że chcecie ze mną porozmawiać.

– Tak.

– Pani dyrektor prosiła, by ta rozmowa odbyła się w jej gabinecie – wtrącił Tretter.

Szymańska uśmiechnęła się pod nosem. Jej partner wyraźnie nie mógł się doczekać spotkania z Gajewską.

– Tak jak kolega wspomniał, pani dyrektor wyraziła taką prośbę. Czy możemy się tam teraz udać? – spytała Dorota.

Henning spojrzała na zegarek na ręce.

– Mam nadzieję, że państwu pomogę, chociaż nie mam zbyt wiele do powiedzenia na temat Tomka Dąbrowskiego. Objęłam wychowawstwo tej klasy dopiero we wrześniu tamtego roku. Wcześniej wychowawcą był profesor Karpiński, ale on przeszedł na emeryturę.

– O tym porozmawiamy może u pani dyrektor – powiedziała Dorota i wskazała nauczycielce kierunek.

Tretter wyrwał do przodu pierwszy.

Tak ci się śpieszy, lowelasie? – zaśmiała się w myślach Szymańska, ale poszła za nimi.

Sawicki podjechał pod blok Żmigrodzkiego. Już z daleka widział, że partner stoi przed wejściem i pali papierosa. Zaparkował poloneza przy śmietnikach, wysiadł z auta i też zapalił.

– Cześć, spóźniłeś się trochę – stwierdził Żmigrodzki, podchodząc bliżej.

– Ślisko, nie mogłem grać, ile fabryka dała. Jakbyś nie zauważył, na drodze jest szklanka. – Krzysiek spojrzał Żmigrodzkiemu w oczy. Od razu zobaczył, że coś jest nie tak. – Było pite, co?

– Nie twój zasrany interes. Będę chciał, to będą łoił. I w dupie mam te wasze umoralniające gadki.

– Po co te nerwy? Chcesz, to pijesz. Nie moja sprawa. Chociaż uważam, że powinieneś się wstydzić.

– Wstydzić? – Żmigrodzki uniósł brew.

– Tak. Twoje słowo jest warte mniej niż psie gówno. – Sawicki wskazał na leżące metr dalej psie odchody. – Pieprzysz, że dasz radę, a prawda okazuje się inna. Nie jesteś w stanie wytrzymać bez gorzały.

Żmigrodzki wziął dwa szybkie machy i pstryknął petem w pobliski żywopłot. Niedopałek spadł na śnieg.

– Czasem muszę się napić – powiedział po chwili.

– Czasem? Ty pijesz ciągle.

– Dobra, nie jesteś moją matką, żeby mi sadzić takie głodne kawałki.

– No nie jestem.

– Robota czeka.

– Może poczekać. Powiem ci coś: początkowo uważałem, że dasz radę. W twoich oczach widziałem siłę. Sądziłem, że jak się uprzesz, to bez problemu zostawisz naftę. Teraz widzę słabego człowieka, który boi się przyznać, że wódka zawładnęła jego życiem.

– Jakbyś przeżył to co ja, to też byś pił.

– Całe życie będziesz rozpamiętywał tamtą sprawę?

Żmigrodzki popatrzył na niego zaskoczony.

– Bo to we mnie tkwi – powiedział cicho.

– I będzie tkwiło. Jednak zapijanie problemów nie sprawi, że znikną.

Żmigrodzki popatrzył na swoje buty.

– Jestem pewny, że zabójca jest na wolności. Że żyje i za jakiś czas uderzy ponownie.

– A ja w to nie wierzę.

– Masz prawo.

– I całe szczęście – stwierdził Sawicki.

Założył na dłonie rękawiczki i zaczął zeszkrobywać kciukiem lód z bocznej szyby samochodu.

– W nocy myślałem o tym wszystkim i chciałbym, żebyś spojrzał na tamtą sprawę. Może na coś zwrócisz uwagę – odezwał się po chwili Żmigrodzki.

– Nie sądzę, żeby był sens grzebać w przeszłości.

– A jak pojawi się trup, to też tak powiesz?

Sawicki wiedział, że dla świętego spokoju powinien się zgodzić.

Dyrektorka była ubrana jeszcze lepiej niż dzień wcześniej. Dorota podejrzewała, że jej garsonka kosztowała tyle, co dwie policyjne pensje.

– Czy możemy już zacząć, pani dyrektor? – zapytała Henning, gdy wszyscy zajęli miejsca. – Nie chciałabym się spóźnić na kolejną lekcję.

– Oczywiście – stwierdziła Gajewska.

Tretter uśmiechnął się do niej przelotnie i przeniósł wzrok na wychowawczynię.

– Niech nam pani powie coś na temat Dąbrowskiego. Jakim był uczniem?

Henning poprawiła się na krześle i założyła nogę na nogę.

– Tak jak już wspomniałam, ja klasę Dąbrowskiego przejęłam we wrześniu. Wcześniej prowadził ją profesor Karpiński.

– Tak. Pan Karpiński wcześniej miał wychowawstwo, ale przeszedł na zasłużoną emeryturę. Może chcecie jego adres? – wtrąciła dyrektorka.

Szymańska pokręciła głową.

– Myślę, że nie powie nam nic więcej niż to, co uzyskamy tutaj. Samobójstwo Tomka to świeża sprawa, więc poprzedni wychowawca raczej nie będzie miał wiedzy na ten temat.

– Rzeczywiście, nie popatrzyłam na to w ten sposób – powiedziała Gajewska i wstała z miejsca.

Podeszła do okna i lekko je uchyliła. Tretter dosłownie pożerał ją wzrokiem. Gdy Dorota delikatnie go szturchnęła, spojrzął na nią zmieszany. Dyrektorka wróciła na swoje miejsce i założyła nogę na nogę. Szymańska zauważyła, że jej partner odwrócił wzrok, by ukradkiem nie zerknąć na jej udo.

– Generalnie w tym roku raczej nie było większych problemów z Dąbrowskim. Wyglądało, jakby wydorósł – zaczęła Henning. – We wrześniu widziałam, jak poszarpał się na korytarzu z jednym uczniem, ale potem kilka razy normalnie ze sobą rozmawiali. Podejrzewam, że wszystko sobie wyjaśnili.

– A jak się uczył? Był może zagrożony? – zapytał Tretter.

– Ocenę miał raczej średnią. Nie był orłem, ale też nie odstawał od reszty. W jego klasie z reguły przeważają czwórki. On na półroczu miał same trójki i dwie mierne.

Dorota zanotowała słowa wychowawczyni. Następnie zwróciła się do dyrektorki:

– Czy będziemy mogli porozmawiać z jego kolegami z klasy?

Gajewska skinęła głową.

– Oczywiście. Zależy nam na wyjaśnieniu powodów tego kroku. Samobójstwo ucznia jest czymś, czego żaden z pedagogów nie chce sobie nawet wyobrażać. To dla nas cios.

Szymańska schowała notatnik do kieszeni kurtki i wstała. Tretter z lekkim ociąganiem zrobił to samo.

– Jak będziemy mieli do pani jeszcze jakieś pytania, to się zgłosimy – powiedział.

– Mam nadzieję, że zdołam państwu pomóc.

– Dziękujemy.

Dorota miała ochotę parsknąć śmiechem. Tretter zachowywał się jak nastolatek.

– Z kolegami Dąbrowskiego porozmawiamy na najbliższej lekcji. Zajmie nam to kilka minut – stwierdziła. – Nie trzeba będzie ich zbierać w osobnej klasie czy w jakimś konkretnym terminie. Zgadza się pani na takie rozwiązanie?

Gajewska wstała z miejsca i podeszła do nich.

– Proszę tylko traktować ich wyrozumiale. Dla nich to też tragedia. Stracili kolegę.

– Postaramy się. Musimy się jednak dowiedzieć, co sprawiło, że Dąbrowski skoczył z dachu.

– Może śmierć młodszego brata? – zasugerowała Henning.

Dorota spojrzała na nią.

– Może tak być. Ale nie wykluczamy, że skłoniło go do tego coś innego.

* * *

Żmigrodzki skinął głową Lipcowi i Romaniuk, po czym powiesił kozuch na wieszaku.

– Było coś nowego? – spytał, siadając na miejscu.

– W sumie nic. Gratuluję – powiedziała Romaniuk.

– Czego?

– Rozwiązania sprawy zabójstwa tej prostytutki.

– A coś nowego się urodziło? – Komisarz nie krył zaskoczenia.

– To ty nic nie wiesz? Klawisze przechwycili gryps jednego z podejrzanych. Napisał, gdzie jest ukryte narzędzie zbrodni. Dorota z Tretterem wczoraj pojechali i je zabezpieczyli. Facet dostanie czapę.

– Szkoda tylko, że już się „kaesa” nie wykonuje – powiedział Lipiec.

Żmigrodzki był innego zdania. Jeśli kara śmierci zniknęłaby wcześniej z katalogu kar w kodeksie karnym, to może nie posłałby na stryczek niewinnego człowieka.

– No to przynajmniej jeden temat nam odpadł – westchnął głęboko. Teraz musieli tylko rozwiązać tajemnicę samobójstwa dwóch braci. – A Szymańska z Tretterem gdzie?

– Od rana w terenie. Pojechali do szkoły tego starszego Dąbrowskiego. Tego skoczka.

– Mają coś ciekawego?

Romaniuk wzruszyła ramionami.

– A wy czym się zajmujecie?

– Chcemy pojechać na adres braci. Pogadamy z sąsiadami. Może powiedzą coś na temat rodzinki.

– Dobra. To nie ma co się opierdalać. Młody, szykuj się.

Komisarz wstał z miejsca i zdjął z wieszaka kozuch. Gdy go zakładał, poczuł znajomy kształt w kieszeni. Zastanawiał się, czy nie podejść jeszcze do toalety i wziąć niewielki łyk. Spojrzał jednak na idącego w jego stronę Sawickiego i postanowił odpuścić.

* * *

WROCLAW, 11 LUTEGO 1994 R.

Od dwóch dni nie miałem kontaktu z Pawłem. Przestał chodzić do szkoły i nie wiedziałem, co się z nim dzieje. Zastanawiałem się, czy się na mnie nie obraził. Nie wiedziałem tylko o co. Po seksie chciałem mu powiedzieć, że jest dla mnie ważny. Jednak kiedy zacząłem, Paweł tylko się uśmiechnął i stwierdził, że na romantyzm przyjdzie jeszcze pora. Teraz powinniśmy się delektować tym, co jest między nami fizycznie. Następnego dnia już się nie pojawił. Dzisiaj też go nie było. Postanowiłem, że po lekcjach podjadę do niego i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Podejrzewałem, że może być chory. Panowała grypa i mógł się zarazić. Zwłaszcza że ciągle chodził rozpięty. Kurtkę też miał za cienką na tę porę roku. Martwiłem się o niego. Zaskoczyło mnie to, bo nigdy wcześniej nie miałem się o kogo martwić.

Od razu po szkole udałem się do jego domu. Pukałem do drzwi kilka razy, ale nikt mi nie otworzył. Stałem tam dobre pół godziny. W końcu wróciłem do siebie. Całe popołudnie się zadრęczałem. Wyobrażnia podsuwała mi najczarniejsze scenariusze. Wyobrażałem sobie, że Paweł leży w łóżku umierający i nie ma kto mu podać szklanki wody. Dopiero teraz dotarło do mnie, że chyba się w nim zakochałem.

Leżałem na wersalce i czytałem „Bravo”, ale nie umiałem się skupić. W końcu wstałem i zdecydowałem się pojechać jeszcze raz na Popowicką. Musiałem sprawdzić, co się dzieje.

Wsiadłem w autobus i już po kilkunastu minutach szybkim krokiem zmierzałem w stronę bloku Pawła. Wjechałem windą na piąte piętro i zacząłem pukać, ale znów nikt mi nie otwierał. Zacząłem walić w drzwi pięścią. W końcu usłyszałem po drugiej stronie jakieś szmery i w progu stanęła kobieta w średnim wieku. Byłem pewny, że to matka Pawła.

– A ty, młody człowieku, co wyprawiasz? – spytała zaskoczona.

Wzruszyłem od niej alkohol. Zerknąłem nad jej ramieniem w głąb mieszkania i w odbiciu lustra dostrzegłem mężczyznę w pośpiechu zakładającego koszulę.

– Jest Paweł? – spytałem cicho.

– Paweł? A ty kim jesteś? – Kobieta patrzyła na mnie z ciekawością.

– Kolegą z klasy. Pawła nie ma w szkole i myślałem, że coś mu się stało.

– A ty jesteś z jakiejś rady uczniowskiej czy czegoś takiego?

– Nie. Jestem kolegą z klasy. Szymon – przedstawiłem się.

– Maria Malinowska. Zmartwię cię, chłopcze, ale Pawła nie ma. Wczoraj rano przyjechał po niego ojciec i razem pojechali do Niemiec. Ma wrócić dopiero

w niedzielę. Przykro mi.

Jej słowa kompletnie mnie zaskoczyły.

– Dziękuję – powiedziałem i ruszyłem w stronę windy.

Nie wiedziałem, co myśleć o całej tej sytuacji. Paweł nie wspominał o wyjeździe. Widocznie musiał mu wypaść nagle. Czułem się samotny. Tęskniłem za nim, pomimo że nie widziałem go zaledwie drugi dzień.

Nie wiedziałem, jak dam radę wytrzymać do poniedziałku.

* * *

WROCLAW, 23 LUTEGO 1994 R.

Dorota weszła do klasy i spojrzała na siedzącą w ławkach młodzież. Widziała jednego skina, dwóch metali i punka. Reszta wyglądała normalnie. Nastolatkowie rozmawiali ze sobą, nie zwracając uwagi na przybyłych. Tretter stanął obok i popatrzył na wychowawczynię klasy. Henning dała uczniom znak, by się uspokoiili. Chwilę trwało, zanim zapadła cisza.

– Uwaga, klasa. Państwo są z policji i chcą z wami pogadać. – Odwróciła się w stronę Szymańskiej i Trettera. – Zostawię was. Muszę iść na swoją lekcję. Pan profesor Kalinowski będzie obecny podczas tej rozmowy. – Wskazała na stojącego przy biurku mężczyznę. – Panie profesorze, to powinno zająć tylko chwilę – powiedziała jeszcze, po czym skierowała się w stronę wyjścia.

Szymańska ponownie spojrzała na uczniów. Punk zaczął się bawić cyrklem. Dłubał nim w ławce. Dorota się zastanawiała, czy go nie opieprzyć. Nie lubiła, jak się niszczy mienie państwowe, ale wiedziała, że taka reprimenda usztywniłaby te dzieciaki.

– Cześć – powiedziała zamiast tego.

Kilka osób na nią zerknęło. Reszta znowu szeptała między sobą.

– Słuchajcie, jesteśmy tu w sprawie śmierci waszego kolegi Tomka.

Dopiero po tych słowach młodzież zwróciła na nią uwagę. Nawet punk przestał się bawić cyrklem.

– Ktoś go zabił? – spytał jeden z nastolatków.

– Tego nie możemy powiedzieć.

– Dlaczego? – zapytał kolejny.

Szymańska spojrzała na Trettera. Ten wyszedł krok do przodu i stanął przed klasą.

– Nie ma przesłanek, by sądzić, że ktoś go zepchnął z dachu. Bardziej nas interesuje, co mogło sprawić, że podjął taką decyzję.

– Brat mu się rzucił pod pociąg – powiedział punk. – To może rozwalić każdego. Pojebany świat.

Dorota spojrzała na niego. Miała wrażenie, że chłopak może im pomóc. Wyglądał na takiego, który wie więcej na temat Dąbrowskiego.

– Brzozowski, jak ty się zachowujesz? Co to za słownictwo? – upomniał go profesor Kalinowski.

– To rzeczywiście mogło być powodem – przyznała Szymańska. – Nie wiemy jednak, dlaczego brat się zabił.

– Może to wina konfliktu Wiatraka z ziomkami – powiedział punk.

Te słowa zainteresowały Szymańską. Teraz była już pewna, że Brzozowski coś wie na temat samobójstwa starszego z braci Dąbrowskich.

– Jakiego konfliktu? – zapytała.

– Dokładnie nie wiem, o co poszło. Wiem tylko, że Wiatrak ostatnio przestał się kumpłować z łysymi. I w sumie dobrze zrobił, bo był za kumaty, żeby być skinem.

Szymańska była zaskoczona tymi słowami. Z reguły punki mieli konflikt ze skinami. A ten tutaj wyglądał, jakby szanował Dąbrowskiego.

– Możemy porozmawiać na osobności? – zwróciła się do niego.

– Nie – odparł krótko.

Reszta klasy zarechotała. Dorota wiedziała, że będą musieli poczekać na chłopaka i po lekcjach wziąć go w obroty.

* * *

Żmigrodzki zagasił papierosa, zanim wszedł na teren szkoły.

– Gotów? – spytał Sawickiego.

Partner skinął głową. Komisarz dotknął wewnętrznej kieszeni kożucha.

– Zamierzasz się wspomóc przed rozmową?

– Nie twój interes – powiedział i ruszył do wejścia.

Udali się prosto do gabinetu dyrektora Trzebnickiej. Chcieli wiedzieć, w jakim miejscu mogą pogadać z kolegami z klasy Szymona Dąbrowskiego.

– Pani dyrektor już na panów czeka – powiedziała sekretarka.

Żmigrodzki nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

– Dobrze, że już panowie są. – Trzebnicka wyszła im na powitanie. – Poleciłam zebrać uczniów w małej salce. Czekają na nas.

Gdy podeszła bliżej i uścisnęła im dłonie, Żmigrodzki poczuł zapach jej perfum. Dawno nie był tak blisko kobiety. Nie liczył oczywiście zwłok płci żeńskiej, którymi zawodowo się zajmował.

– Proszę za mną, panowie – dodała dyrektorka i wyszła z gabinetu.

Podążyli w ślad za nią. Szli korytarzem, aż zatrzymali się przed jedną z sal.

– Mam nadzieję, że rozmowa nie będzie długa. Nie chciałabym, żeby uczniowie mieli cały dzień rozbity – powiedziała Trzebnicka.

– Niech się pani nie martwi. Nam też zależy na jak najszybszym załatwieniu sprawy – odparł Sawicki.

Dyrektorka nacisnęła klamkę i weszli do środka. Młodzież siedziała na miejscach, a przy tablicy stał nauczyciel.

– To profesor Domaradzki. Uczy matematyki.

Mężczyzna skinął im głową.

– Panowie są z policji. Chcieliby porozmawiać z wami na temat Szymona – zwróciła się do uczniów dyrektorka.

– A co tu gadać? Zabił się i nie żyje – stwierdził jeden z chłopaków.

Pozostali zasłonili usta, by nie ryknąć śmiechem.

– A ty, Wielicki, zdaje się, chcesz mieć obniżoną ocenę ze sprawowania? – zapytała dyrektorka.

Nastolatek zamilkł. Pozostali także od razu się uspokoili.

– Ano nie żyje – powiedział Żmigrodzki. – A my chcemy się dowiedzieć, dlaczego zdecydował się zakończyć swoje życie.

– Pewnie wstydził się swojego pedałstwa – wspomniał cicho kolejny z uczniów.

Jego słowa zaciekały komisarza. Ich podejrzenia co do orientacji młodszego Dąbrowskiego miały szansę się potwierdzić.

– Koterba, co to za słownictwo? – upomniała nastolatka Trzebnicka.

– Pani dyrektor, wszyscy wiedzą, że Dąbrowski wolał chłopaków. To kim był? No pedałem, nie?

– Mówi się homoseksualistą – poprawiła dyrektorka.

– Zwał jak zwał – zaśmiał się Wielicki.

– Wielicki, ostrzegałam.

Żmigrodzki odwrócił się w stronę Trzebnickiej.

– Spokojnie, niech mówią, jak chcą. Przyjdzie czas na wyciąganie konsekwencji. Tymczasem czy możemy kontynuować?

Dyrektorka skinęła głową.

– Dobra, a więc Dąbrowski był pedałem, zgadza się? – zwrócił się do Wielickiego komisarz.

Nastolatek z uśmiechem skinął głową.

– Skąd to wiesz?

– Mirek kiedyś widział, jak lizał się chłopakiem. Z tego, co wiemy, to z Pawłem Malinowskim. Koterba rozpoznał go i Malinowski zapier... znaczy się pobił Koterbę. Malinowski to chyba nawet grzmocił się z Dąbrowskim. W sumie nie chyba, a na pewno.

Trzebnicka chciała coś powiedzieć, ale Żmigrodzki dał jej znak, żeby nie przerywała.

– A skąd ta pewność? – zapytał.

– Bo po śmierci Dąbrowskiego Malinowski od razu wyjechał.

– To prawda. Uczeń postanowił wrócić do Niemiec – wtrąciła dyrektorka. – Tam wcześniej mieszkał z ojcem i teraz zdecydował się na powrót. Chodził do naszego technikum zaledwie trzy tygodnie.

Żmigrodzki był przekonany, że ta informacja ma duże znaczenie dla śledztwa.

* * *

WROCLAW, 11 LUTEGO 1994 R.

Po powrocie do domu poszedłem prosto do łazienki. Spojrzałem w lustro i zobaczyłem kilka nowych pryszczycy. Parę wycisnąłem, reszta nie była jeszcze dojrzała.

Wyjąłem z szafki kulkę waty, namoczyłem ją w spirytusie salicylowym i obmyłem twarz. Moje myśli wciąż krążyły wokół Pawła. Nie miałem pojęcia, co sądzić o jego nagłym wyjeździe. Poczuję się skrzywdzony. Naprawdę nie miałem pojęcia, jak wytrzymam do poniedziałku. Marzyłem, aby teraz zasnąć i obudzić się obok Pawła. Pragnąłem, by wciąż był przy mnie, by pokazywał mi swój świat. Chciałem się z nim kochać, poczuć go w sobie. Spojrzałem na swojego członka. Urósł na wspomnienie chwil, jakie spędziłem z ukochanym. Pomyślałem, że dziś pójde się wcześniej wykapać. Mógłbym spokojnie się zaspokoić, myśląc o Pawle.

Okłamałbym matkę, że źle się czuję, ale potem musiałbym ciągnąć tę grę. Kazałaby mi się położyć, pewnie przyniosłaby termometr i poleciła zmierzyć temperaturę. Wolałem tego uniknąć. Potem zrobię sobie dobrze. Spojrzałem na swoje odbicie. Twarz miałem czerwoną i rozpaloną. Wyrzuciłem wacik do małego kubła przy wannie, odkręciłem kran i ochlapałem policzki. Musiałem udawać, że wszystko jest w porządku. Nie mogłem przecież nikomu powiedzieć, że zakochałem się w koleżce z klasy.

* * *

WROCLAW, 23 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki był praktycznie pewny, że młodszy z braci Dąbrowskich padł ofiarą przemocy ze strony kolegów z klasy. Naśmiewanie się z jego orientacji seksualnej musiało tu być na porządku dziennym. Młodzież, zwłaszcza w takim środowisku, tak łatwo nie odpuszcza. Homoseksualiści zawsze byli traktowani jak dewianci i szydzenie z nich stanowiło najłagodniejszą formę przemocy. Pytanie, czy koleżdy Szymona dopuszczali się też przemocy fizycznej. Patrząc teraz po twarzach zebranych uczniów, nabrał pewności, że tak właśnie było.

– Dobra, krótka piłka. Czy ktoś z was robił mu z tego powodu problemy? – spytał, choć wiedział, że nikt się nie przyzna.

Kilka osób pokręciło głowami. Żmigrodzki wiedział, że kłamią.

– Mirek czasem go szturchnął – powiedział siedzący w ostatniej ławce grubszy chłopak w okularach. Widać było, że jest zdenerwowany. Ręka nieznacznie mu drżała.

Cała klasa odwróciła się w jego stronę. Jeden z nastolatków przeciągnął kciukiem po szyi, grożąc okularnikowi.

– Jaki Mirek? – zapytał komisarz.

– Zamknij się – syknął Wielicki.

Żmigrodzki podszedł do niego i popatrzył z góry. Nastolatek zaczął nerwowo wiercić się na krześle.

– Powiem ci, kolego, że nie zostawiasz mi wyboru. Zaraz wezwę patrol i poproszę, aby przewieźli cię na komendę. Tam poczekamy na twoich rodziców, a potem zostaniesz w ich obecności przesłuchany – powiedział z uśmiechem.

– Nie boję się – powiedział chłopak.

– Nie musisz. Policja nie taka straszna. Po przesłuchaniu zostanie skierowany wniosek do sądu o ukaranie. Może trafisz do poprawczaka.

– A niby za co? – Wielicki rozejrzał się po klasie.

Reszta uczniów przysłuchiwała się tej rozmowie z ciekawością.

– A coś się znajdzie – stwierdził Żmigrodzki.

– Proszę pana, czy to nie jest przypadkiem groźba? – zapytał profesor Doma-radzki.

Trzebnicka nerwowo zaciskała szczęki. Widać było, że powstrzymuje się, by nie wyprosić funkcjonariuszy ze szkoły.

– Nie. To standardowa procedura – wtrącił Sawicki. – Podejrzewamy, że ten uczeń znęcał się nad Szymonem Dąbrowskim. Jeśli nasze przypuszczenia okażą się trafne, sąd postanowi, jak będzie wyglądać jego przyszłość.

– Wielicki, gadaj tu zaraz, co się działo w klasie – powiedziała dyrektorka.

Nastolatek rozejrzał się po twarzach kolegów, szukając wsparcia. Nikt jednak nie chciał mu pomóc. Każdy był zadowolony, że to nie nad nim stoi komisarz.

– Ja tam dokładnie nie wiem. Mirek Grzeszczak po jednej imprezie powiedział, że Dąbrowski to ciota. Widział go, jak ten się lizał z jakimś typem. Potem Mirek trochę Dąbrowskiego dojechał, w sumie nic poważnego. Czasem oberwał w ucho, ale to przecież normalne, że chłopaki się o coś pożrą.

– Ten Grzeszczak to sam się znęcał nad Dąbrowskim czy ktoś mu pomagał? – zapytał Sawicki.

Wielicki przełknął ślinę i spuścił wzrok na blat ławki.

– Jak teraz powiecie, to nie grozi wam poprawczak. Załatwimy, że dostaniecie tylko kuratora – powiedział Żmigrodzki. Miał nadzieję, że małolaty uwierzą w jego słowa. Nie mógł im nic obiecać. To nie było w jego gestii. O wszystkim zadecyduje sąd. – A więc? – ponaglił.

– No... czasem coś tam mu się zrobiło – powiedział nieśmiało Wielicki. – Popchło się go albo schowało plecak... Nic poważnego.

– Takie nic, że aż się rzucił pod pociąg?

– To nie przez nas. My mu odpuściliśmy, jak się pojawił Malinowski. To z nim się Dąbrowski przelizał wtedy pod klubem. Malinowski się postawił i nikt nie chciał wyłapać. To nie przez te nasze docinki Dąbrowski się zabił – zaprotestował Wielicki.

– Spytajcie Malinowskiego, dlaczego Szymon strzelił samobójca – wtrącił inny z uczniów.

– Zapytamy. Dobra, teraz każdy z was na kartce napisze, w jaki sposób się czepiał chłopaka. Tylko bez ściemy.

– Ale po co? – zapytał Koterba.

– Bo was o to proszę.

Trzebnicka podeszła do Żmigrodzkiego.

– A wytłumaczy mi pan powód takiego samodonoszenia? – spytała. – Przecież nikt nie powinien sam siebie obciążać.

Komisarza kusilo, żeby zapalić. Popatrzył po klasie. Wszyscy czekali, co powie. Uczniowie liczyli, że dyrektorka wymusi na nim zmianę polecenia.

– To dla prokuratury, żeby miała podstawy do podjęcia decyzji, co z wami zrobić.

– Uważam, że uczniowie nie powinni wykonać tej dyspozycji – oznajmiła Trzebnicka. – To łamanie ich praw do obrony.

Żmigrodzki uśmiechnął się do niej.

– Jak tam pani chce. Nie muszą tego robić. Dostaną wezwanie na komendę i tam o wszystkim opowiedzą. Mnie to zwisa.

Kobieta wytrzeszczyła oczy. Żmigrodzki wiedział, że nic więcej nie uzyskają. Dostali informacje, których potrzebowali. Młody Dąbrowski był homoseksualistą i z tego powodu szykanowano go w szkole. To wystarczyło, żeby popełnił samobójstwo.

* * *

Lipiec nacisnął guzik dzwonka przy kolejnych drzwiach.

Obchodzili z Romaniuk sąsiadów Dąbrowskich. Od każdego z nich dowiedzieli się, że rodzina była spokojna i nie sprawiała problemów. Nikt nie wspomniał o żadnej patologii. Wszyscy byli zdruzgotani tym, co się stało z chłopcami. Kilka osób uważało, że starszy z synów trochę chuliganił i obracał się w szemranym towarzystwie, ale zrzucali to na karb wieku i okresu buntu. O Szymonie wypowiadali się w samych superlatywach.

– Tu jeszcze pogadamy i na dzisiaj kończymy – oświadczył Lipiec. – To strata czasu. Nic z tego nie wynika.

– Też tak myślę.

Usłyszeli odgłos przekręcanego klucza. Chwilę później w progu stanęła dziewczyna. Miała nie więcej niż szesnaście lat.

– Cześć, rodzice w domu? – spytał Lipiec.

– Nie ma. A o co chodzi?

Wyjął policyjną legitymację i pokazał ją dziewczynie.

– Policja? Coś się stało? – zapytała.

– Rozmawiamy z mieszkańcami bloku na temat braci Dąbrowskich. Możemy zamienić z tobą kilka słów? – zapytała Romaniuk.

Dziewczyna skinęła głową.

– A możemy wejść?

Zobaczyli zawahanie w oczach nastolatki. W końcu jednak skinęła głową. Weszli do środka i stanęli w korytarzu. Karolina rozejrzała się po wnętrzu. Cały przedpokój był w drewnianej boazerii. Na podłodze leżała szara wykładzina. Romaniuk zauważyła stojący kawałek dalej odkurzacz. W kuchni widziała wiadro z wodą i opartą o szafkę miotłę z zawiniętą szmatą. Dziewczyna najwyraźniej była w trakcie sprzątania. Karolina spojrzała na swoje buty. Zastanawiała się, w jakim stanie pozostawią z Lipcem ten dywan.

– Znałaś braci Dąbrowskich? Możesz nam coś o nich powiedzieć? – spytała.

– Z Tomkiem to tylko mówiliśmy sobie „cześć”. Z Szymkiem miałam lepszy kontakt. Uderzał do mojej przyjaciółki, ale to było w zeszłym roku. Nic z tego nie

wyszło.

– A jak myślisz, co mogło być powodem, że obaj postanowili...

– Co do Szymka to nie mam pojęcia. Zaskoczyło mnie, że rzucił się pod ten pociąg. Nie wiedziałam, że ma jakieś problemy.

– A te problemy mogły być na osiedlu czy raczej w szkole? – wtrącił się Lipiec.

Nastolatka wzruszyła ramionami. Widać było, że stara się sobie wszystko dokładnie przypomnieć.

– Chyba szkoła – stwierdziła po chwili. – Tu ostatnio rzadko go widywałam. Wiecie państwo, jak to jest. Poszliśmy do szkół średnich i wszystko się zmieniło. Czasu brak, bo wiadomo, trzeba zakuwać.

– A ten drugi?

– Tomek? Ostatnio łąził taki jakiś... dziwny. Z tego, co wiem, przestał się zadawać z kumplami. Wcześniej to ciągle przesiadywał na ławkach. Słyszałam, że pożarł się z nimi na bunkrach. Ale o co, to naprawdę nie mam pojęcia.

Romaniuk spojrziała na Lipca. Mieli jakiś punkt zaczepienia.

* * *

Żmigrodzki wyszedł przed budynek szkoły i odpalił papierosa. Chwilę później dołączył do niego Sawicki.

– Co to było?

Komisarz odwrócił się do niego i wypuścił dym.

– To znaczy?

– Karteczki i podjebanie samego siebie?

– Co cię dziwi? Chciałem ich wziąć z zaskoczenia. Teraz byli zastraszeni i obawiali się odpowiedzialności karnej. Jak wszystko przemyśla, uzgodnią wspólną wersję i okaże się, że dzieciak sam się nad sobą znęcał.

– Naginasz przepisy.

– Nie pierwszy raz.

– Ale tym razem może ci się nie upiec. Ta Trzebnicka wyglądała na wkurwioną. Jestem pewny, że złoży skargę.

– No i co? Rozstrzelają mnie?

– Wywalą z roboty.

– Mówi się trudno. – Komisarz wziął kolejnego macha.

– Aż tak ci wisi, co z tobą będzie?

Żmigrodzki strzepnął popiół i spojrzął na swoje buty. Roztarł śnieg na chodniku. Sawicki wyjął z kieszeni papierosy i też odpalił. Przez chwilę stali w milczeniu.

– Teraz wiemy, że samobój Szymona mógł mieć związek z jego orientacją – przerwał ciszę Żmigrodzki.

– Jeśli rzeczywiście był homoseksualistą. Tak twierdzi dzieciak, który rzekomo widział go całującego się z innym. Pytanie, czy ta sytuacja rzeczywiście

miała miejsce. Wiesz, jak to jest z gówniarzami. Pokłóci się jeden z drugim i zaraz rozpowie, co niby tamten wyprawia. Łebki potem żyć nie dają.

– Może i tak. Wiemy jednak, że ten Mirek powinien trafić do poprawczaka. Pytanie, co z tym Malinowskim, z którym rzekomo Dąbrowski się całował. Trzeba będzie się do niego przejechać i sprawdzić, czy to prawda, że coś łączyło go z naszym samobójcą.

– Do Reichu? Przesadzasz.

– W sumie racja. Za mały kaliber sprawy. Trzeba ją zakończyć szybko i zająć się czymś bardziej pożytecznym. Na przykład zamordowanymi przed laty nastolatkami.

– A co z tymi gówniarzami? – Sawicki wskazał na budynek szkoły.

– Życia Dąbrowskiemu nie zwrócimy, zamykając tych gnoi. Przekażemy w raporcie ustalenia i niech inni decydują, co dalej.

Komisarz zgasił papierosa, sięgnął do kieszeni kożucha i wyjął z niej piersiówkę.

– Co ty robisz? – spytał Sawicki, rozglądając się dookoła.

– Biorę łyka. Na dzisiaj uważam robotę za zakończoną.

– Nie przesadzaj. Jest młoda godzina. Nie powinienes.

– Młody, nie truj dupy.

– Nie truję. Chodzi mi o to... – Sawicki zamilkł. – A zresztą, chuj mi do tego.

– I wreszcie mądrze gadasz.

Żmigrodzki wziął łyka i zakręcił piersiówkę. Uśmiechnął się szeroko, zanim schował ją z powrotem.

* * *

WROCLAW, 11 LUTEGO 1994 R.

Leżałem w kuchni na narożniku i oglądałem telewizję. Niecałe pół godziny temu rodzice uprawiali seks. Od dwóch lat wiedziałem, kiedy to robią. Zawsze wtedy matka uśmiechała się częściej, a ojciec się nie czepiał. Robili to dwa razy w tygodniu – we wtorki i w piątki lub soboty. Nie wiedziałem, dlaczego tak rzadko. W te dni rodzice wysyłali nas wcześniej spać. Potem słyszałem, jak przekręcają klucz w drzwiach swojego pokoju. Kilka razy ich podsłuchałem. Słyszałem ciche pojękiwania matki i skrzypienie sprężyn w wersalce. Tak samo było dzisiaj. Usłyszałem też, że matka powiedziała do ojca, by szybko kończył, bo jest zmęczona. Wycofałem się do swojego pokoju i udawałem, że czytam. Po seksie matka tradycyjnie udała się do łazienki. Po paru minutach wyszła i poszła się położyć. Wtedy wstałem i poszedłem oglądać telewizję. Dzisiaj chciałem obejrzeć film z Charlesem Bronsonem. Oglądałem z pięć minut, gdy usłyszałem, że ze swojego pokoju wychodzi Tomek. Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Wyjął z niej butelkę mleka i wypił kilka łyków.

– Starzy już się ruchali? – spytał.

Skinąłem głową. Nie miałem pojęcia, że on też wie, kiedy rodzice uprawiają seks.

Tomek włożył mleko z powrotem i zamknął lodówkę.

– A ty co tam oglądasz? – Podszedł bliżej i spojrział na ekran. – Jakieś głupoty. Na czeską telewizję przełącz. Zaraz ma być erotyk.

Zmieszałem się. Miałem wrażenie, że pomimo ciemności rozświetlonej jedynie słabą poświatą telewizora Tomek widział, że się zaczerwieniłem.

– Przypomnij mi w poniedziałek rano, żebym pożyczył od kumpla pornosa z Teresą Orłowsky. Zobaczysz, jak nasza robi karierę w Reichu. – Brat puścił do mnie oko.

– Tylko jak będziesz na czeskim oglądał fikołki, to waląc konia, nie poplam narożnika. Matka by nas zajebała – powiedział, zanim wyszedł z kuchni.

Nie skomentowałem jego słów. Słyszałem, jak wchodzi do siebie i zamyka drzwi.

Chwilę odczekałem i przełączyłem na czeski kanał.

* * *

WROCLAW, 23 LUTEGO 1994 R.

Dorota spojrzała na wychodzących ze szkoły uczniów. Punk, z którym mieli zamiar porozmawiać, rzucał się w oczy. Irokez na głowie wyróżniał go spośród tłumu młodzieży. Szymańska zastanawiała się, czy chłopak nie marznie w czaszkę.

– Idzie – powiedział Tretter, wskazując na Brzozowskiego.

– Widzę. Poczekajmy, aż oddali się od reszty. Nie chcemy robić mu koło pióra.

Patrzyli, jak nastolatek idzie w stronę przystanku. Dorota wiedziała, że mogą go stamtąd zgarnąć.

– Jak stanie na przystanku, to podjedź. Zaprosimy go do środka – powiedziała.

Tretter skinął głową. Szymańska miała nadzieję, że żaden z kolegów nie dołączy do punka. To utrudniłoby im zadanie.

W końcu zobaczyli, że Brzozowski staje obok wiaty i odpala papierosa.

– Dobra, jedź.

Polonez ruszył do przodu. Chwilę później stanął w zatoczce. Dorota korbką uchyliła szybę.

– Wsiadaj – rzuciła do nastolatka.

Punk był zaskoczony. Schował papierosa za plecami.

– Powiedziałaś: wsiadaj. Podrzucimy cię.

– Nie mam ochoty. Wolę autobusem. – Brzozowski rozejrzał się dookoła, jakby szukał drogi ucieczki.

Szymańska miała nadzieję, że nie zmusi ich do pogoni.

– Nie wygłupiaj się, chłopie. Nie chce nam się za tobą ganiać. Wsiądziesz, podjedziemy gdzieś i pogadamy. Nic więcej. Nie chcemy robić ci siary przy kumplach. Pogadamy i idziesz do domu.

Nastolatek patrzył na nią niepewnie. W końcu podszedł do poloneza. Zanim wszedł, upewnił się, czy nikt nie patrzy. Potem zajął miejsce na tylnej kanapie.

– Dobra robota. Nie bolało, prawda? – Szymańska uśmiechnęła się do niego.

Tretter ruszył z przystanku. Przez dobrą minutę jechali w milczeniu. Wjechali między bloki i zaparkowali pomiędzy wartburgiem i ładą samarą. Policjant zgasił silnik i oboje odwrócili się do Brzozowskiego.

– Tutaj możemy spokojnie pobajerzyć.

Punk poprawił się na miejscu. Dorota wiedziała, że się stresuje.

– Dobra, bez ogródek – odezwała się. – Powiedz nam, o co chodzi z tym konfliktem Dąbrowskiego ze skinami.

– Ja wiem tylko to, co mi brachol powiedział.

– A co powiedział ci brachol?

Brzozowski zaczął bawić się agrałką wpiętą w dzinsową kamizelkę, którą miał pod skórzaną kurtką.

– Konkretnie, chłopie – ponagliła Dorota.

– Mój brachol ma dziewczuchę. A ona ma brata, który buja się z łysymi. Sam nie nosi flejtucha ani glanów, ale czasem z nimi imprezuje. Powiedział, że Wiatrak pożarł się ze swoimi ziomkami. Imprezowali na bunkrach u niego na parafii i Wiatrak fest się wkurwił na chłopaków. Ponoć Dragon coś odjechał, ale nie mam pojęcia co.

– A ten Dragon to...?

– Taki skin. Facet jest pierdolnięty. Miałem z nim kiedyś zatarg. Musiałem spierdalać od placu PKWN aż do 1 Maja. Gonił mnie z dwoma łysymi. Mówię wam, typ jest niebezpieczny.

– A gdzie tego Dragona możemy znaleźć? – zapytała Szymańska.

– Adresu nie znam. Wiem tylko, że kuma się z Robem i Struną. Roba możecie spotkać codziennie na Popowicach przy kinie Studio. Ma tam babcię i zajeżdża do niej co wieczór.

– A nazwisko Roba albo tego Dragona?

– Nie znam.

– A twój brat nie może nam pomóc?

– Podejrzewam, że też nie zna. Wiecie, jak to jest. Wszyscy posługujemy się ksywami.

Szymańska wiedziała, że będą musieli w inny sposób ustalić ich dane.

– Dobra. A jak rozpoznamy tego Roba na Popowicach? – spytała.

– Normalnie. Wygląda jak skin.

– Wielu tak wygląda. Opiszesz go?

Brzozowski wzruszył ramionami.

– No przypakowany taki, łysa pała, na nogach martensy. Ciężko powiedzieć coś więcej.

– No nic. Będziesz musiał nam pomóc.

– Jak? – Brzozowski popatrzył na policjantkę zaskoczony. Widać było, że się boi.

– Podjedziesz z nami i go nam wskażesz.

– Nie zgadzam się. Przecież po czymś takim mnie zajebią.
– Nie przeklinaj. Nikt się nie dowie, że to ty nam go wystawiłeś. Poza tym nie masz wyboru.

– Nie...

– Słuchaj, chłopie. Nam zależy na dowiedzeniu się, dlaczego twój kolega z klasy skoczył z dachu. Nie zamierzamy nigdzie pisać, że to ty wskazałeś nam Roba. Podjedziemy, ty powiesz: „O, to tamten łysy” i znikamy. Nasi ludzie go zawiną. Po wszystkim odwieziemy cię do domu.

Brzozowski przełknął ślinę. Dorota widziała, że chłopak zaczyna się łamać.

– Ale nikt się nie dowie?

– Nikt. Nawet nasz naczelnik nie będzie wiedział, kto nam wskazał Roba.

Punk westchnął. Chwilę później powiedział cicho:

– Zgoda. Zrobię to dla Wiatraka.

Dorota uśmiechnęła się do Trettera. Potem przeniosła wzrok na punka.

– A ty nie miałeś konfliktu z Dąbrowskim? Jesteś punkiem, a on skinem.

– Lubilem Wiatraka. Spoko koleś. Pożyczyłem mu kiedyś kasetę Sex Pistols. Powiedział, że muza fajna, tylko nie podoba mu się, że punki uważają, że nie ma przyszłości. No future. Mówił, że to chore. Ja jednak uważam, że to świat jest chory i zmierza ku zagładzie.

– Mam nadzieję, że jeszcze trochę potrwa, zanim do tej zagłady dojdzie. A ksywa Wiatraka skąd się wzięła?

Brzozowski się uśmiechnął.

– Kiedyś mówił, że za dzieciaka przechodził wiatrówkę. Powiedział, że matka smarowała go jakąś maścią. Jeszcze rok temu był u nas w klasie ziomek, który znał go z osiedla. Twierdził, że na parafii wołają na Dąbrowskiego Wiatrak. Podejrzewam, że to od tej wiatrówki.

– A co ma wiatrak do ospy wietrznej? – zapytała Dorota.

– W sumie chyba nic. Kumple z podwórka wmówili mu wtedy, że wiatrówka powstaje z wiatru, i nazwali go Wiatrak.

– Przecież to bez sensu.

– Całe życie jest bez sensu. Mówiłem: no future.

* * *

Lipiec zaparkował przed budynkiem komendy i wysiadł z auta. Romaniuk poprawiła czapkę i czekała, aż partner zamknie samochód. Andrzej włożył klucz do zamka i zaczął się z nim mocować. Karolina zaczynała się niecierpliwić. Chciała jak najszybciej przekazać pozostałym to, czego się dowiedzieli. Mieli informację, która rzucała nowe światło na samobójstwo starszego z braci. Musieli się tylko dowiedzieć, co zaszło na bunkrach.

– Pośpiesz się – rzuciła.

– Spokojnie, nie pali się. Poza tym ten zamek jest spierdolony. Zobacz, przeczę się w kółko. – Policjant się odsunął, żeby mogła to sprawdzić.

– To go zostaw. Nikt przecież nie zakosi trapeza sprzed drzwi komendy.

Partner w końcu zamknął auto i się uśmiechnął.

– Zobacz, gotowe – powiedział z dumą i schował kluczyki do kieszeni kurtki.

Ruszyli w stronę wejścia do komendy. Przeszli zaledwie kilka metrów, gdy z budynku wyszedł naczelnik Pawlak. Zobaczył ich i przywołał gestem.

– Kurwa mać – zakląła pod nosem Romaniuk, gdy ruszyli w jego stronę. – Naczelnik wołał?

– Tak. Jaką sprawę macie teraz na tapecie?

– Samobójstwo tych dzieciaków.

– I jak postępy?

Romaniuk wzruszyła ramionami. Jakiś szósty zmysł podpowiadał jej, aby nie mówiła Pawlakowi o postęпах w śledztwie.

– Nic ciekawego – skłamała. – Może coś jeszcze się z tego wykluje.

– No to cynk od informatora się nie potwierdził. Zamknijcie sprawę i zajmijcie się czymś innym. Macie trochę zaległości.

Lipiec spojrzał na Romaniuk.

– A nie lepiej zostawić ją otwartą? Może za jakiś czas coś wyskoczy.

– A po co? Zwykle samobójstwo cioty i jego brata chuligana.

– Jak szef każe.

Romaniuk uśmiechnęła się do Pawlaka.

– A naczelnik gdzieś jedzie? Możemy podrzucić.

– Do Pedetu idę zrobić zakupy na prezent dla komendanta.

– A to nie ma sensu autem – stwierdziła policjantka.

– Możemy już iść? – zapytał Lipiec.

Naczelnik skinął głową i ruszył w stronę fosi miejskiej.

* * *

Żmigrodzki był na siebie zły. Nie powinien był przy młodym wyciągać pierśiówki. W tamtym momencie jednak nałóg dał o sobie znać i nie liczyło się nie poza wzięciem łyka wódki. Dopiero potem przysłała refleksja.

Siedział teraz w wydziale i czytał akta. Właściwie to bardziej udawał, że czyta. Miał nadzieję, że zaraz nie pojawi się Pawlak i nie zacznie smęcić o tym, że czuć od niego alkohol. Spojrzał na młodego. Widział, że Sawicki co jakiś czas zerka w jego stronę. Kilka razy korciło go, by zapytać partnera, co się tak w niego wgapia. Miał jednak wobec chłopaka plany i nie chciał go do siebie zrażać.

Zamknął teczkę i zapalił papierosa. Jego myśli wciąż kierowały się w stronę sprawy, która okazała się jego porażką zarówno jako funkcjonariusza organów ścigania, jak i człowieka. Gdyby nie ona, teraz byłby w innym miejscu. Może by nie pił, może miałby rodzinę. Oczywiście nie wiedział tego na pewno, bo znał wielu gliniarzy, którzy nie byli szczęśliwi w życiu prywatnym. Sukces w pracy nie zawsze szedł w parze z idealnym życiem. Tak to już jest w tym zawodzie.

Znowu spojrzał na Sawickiego. Był ciekaw, jak to jest u niego. Pracowali ze sobą zbyt krótko, żeby dobrze się poznać. Nie zależało mu zresztą na podtrzymy-

waniu relacji. Byli tylko kumplami z pracy, nie przyjaciółmi. Zdawał sobie sprawę, że z pijakiem nikt nie chce się przyjaźnić.

Wziął macha i uśmiechnął się pod nosem. Zastanawiał się, kiedy Sawickiemu zacznie się sypać prywatne życie. Bo to, że zacznie, było niemal pewne.

* * *

Sawicki co jakiś czas zerkał w stronę Żmigrodzkiego. Był zawiedziony postępowaniem partnera. Wydawało mu się, że komisarz potrafi się powstrzymać od picia w pracy. Miał nadzieję, że najgorszy okres ma już za sobą. Nie chciał pracować z wiecznie pijanym partnerem. Jeśli sytuacja się nie zmieni, poprosi Pawlaka o przydzielenie do kogoś innego.

Komisarz siedział i palił papierosa. Wcześniej udawał, że analizuje akta. Sawicki wiedział jednak, że myśli partnera krąży gdzie indziej.

Pewnie chciałby być już na chacie i opróżnić butelkę, pomyślał.

Żmigrodzki wziął macha i uśmiechnął się pod nosem.

Pewnie marzy o wódce, pomyślał znowu Krzysiek.

Miał nadzieję, że zanim przyjdą pozostali, od Żmigrodzkiego nie będzie już czuć alkoholu.

* * *

– Coś mamy – powiedziała Romaniuk, gdy tylko weszła do wydziału.

Żmigrodzki zgasił papierosa i odchrząknął.

– A dokładnie?

– Rozmawialiśmy z sąsiadami Dąbrowskich. Mamy informację, że starszy syn miał jakiś zatarg z kolegami. Na pobliskich bunkrach doszło do awantury. Potem chłopak się zmienił. Wycofał się i przestał zadawać ze znajomymi.

– Warto się dowiedzieć, o co poszło – dopowiedział Lipiec, zdejmując kurtkę. Powiesił ją na wieszaku i zaczął rozcierać ręce.

Karolina zdjęła czapkę i wcisnęła ją do rękawa swojej kurtki. Potem przeszła do okna i usiadła na grzejniku, żeby się trochę rozgrzać.

– A kiedy doszło do tej kłótni? – zapytał Żmigrodzki.

Romaniuk wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Daliśmy dupy, bo nie spytaliśmy. – Zaczerwieniła się.

– To trzeba sprawdzić.

Wstała z miejsca i ponownie podeszła do wieszaka.

– Zapisałam numer telefonu tej małłaty. – Z kieszeni kurtki wyjęła notatnik. – Zadzwoń i się dowiem.

Gdy policjantka wykręcała numer nastolatki, Żmigrodzki zwrócił się do Lipca:

– My wiemy już, że ten młodszy był homosem. Koledzy z klasy powiedzieli, że został przyłapany, jak całował się z innym chłopakiem. Podejrzewam, że go zaszczuli i dlatego rzucił się pod pociąg.

– Zwłaszcza że to było w okolicy walentynek – dopowiedział Sawicki.

– Czego? – Żmigrodzki odwrócił się w stronę partnera.
– Święta zakochanych. Taka nowa moda z Zachodu – wytłumaczył Krzysztof.
– A jaki to może mieć związek z samobójstwem?
– Nie wiem. Może ten kolega z klasy odrzucił jego zaloty i młody postanowił ze sobą skończyć? Wszystko jest możliwe. Jak człowiek jest zakochany, robi głupoty.

– Może tak być. Trzeba będzie skontaktować się ze szkołą i zdobyć adres tego chłopaka, z którym całował się Dąbrowski – polecił komisarz.

– Trzebnicka mówiła, że wyjechał do Reichu.

– Może jeszcze nie zdążył. Trzeba sprawdzić.

Sawicki skinął głową. Żmigrodzki spojrział na Romaniuk. Właśnie odkładała słuchawkę.

– I co? – spytał.

– Z tego, co mówi małolata, kłótnia miała miejsce czternastego lutego. Czyli w walentynki. Pamięta tę datę, bo dostała wtedy kartkę od jakiegoś wielbiiciela.

Żmigrodzki odwrócił się w stronę Sawickiego. Partner miał zdziwioną minę.

– O co tu, kurwa, chodzi?

– To znaczy? – zapytała Karolina.

– Młodszy Dąbrowski rzucił się pod pociąg praktycznie w ten sam dzień, kiedy starszy pożarł się z kumplami. To musi mieć jakiś związek.

– Musimy się dowiedzieć, o co poszło na tych bunkrach.

* * *

Bożena ujęła dłoń męża i spojrzała na siedzącą na wprost nastolatkę. Dziewczyna w milczeniu piła herbatę z cytryną. Za kilka miesięcy miała urodzić ich wnuka. A jutro ojciec rosnącego pod jej sercem dziecka spocznie w grobie. Dąbrowscy mieli żal do całego świata, że obaj ich synowie tak tragicznie rozstali się z życiem. Ale byli wdzięczni, że w ciele Ani rozwija się jakaś cząstka ich Tomka.

Wiedzieli, że będą musieli pomóc dziewczynie. Była nieletnia, ciąża mogła jej utrudnić start w dorosłość. Co prawda coraz więcej się słyszało o nastolatkach rodzących dzieci, ale w dalszym ciągu budziło to powszechną ciekawość i było powodem do plotek. Ta dziewczyna musiała mieć wsparcie.

– A twoi rodzice jak przyjęli informację, że zostaną dziadkami? – spytała Bożena.

Ania odstawiła szklankę i zacisnęła szczęki.

– Ojciec powiedział, że skoro byłam na tyle dorosła, by dać, to powinnam pójść za ciosem i dokładać się do mieszkania.

– Ale jak on sobie to wyobraża? Przecież w ciąży raczej nie pójdziesz do pracy! – oburzyła się Bożena. – No i jeszcze szkoła. Nie da się pogodzić pracy z nauką. Już i tak nie będzie ci lekko, a co dopiero jakbyś musiała jeszcze zarabiać.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie wiem, jak to będzie. Mam nadzieję, że nie będę musiała usunąć.

Dąbrowska się wzdrygnęła. Nie spodziewała się, że dziewczyna w ogóle myśli o aborcji. To byłoby straszne. Nie mogła pozwolić, by zabiła jej wnuka. Spojrzała na męża. On chyba uważał podobnie, bo poczuła, jak mocniej ściska jej dłoń. W jego oczach zobaczyła mieszaną złości i smutku. Bała się, że zaraz wybuchnie lub dostanie zawału.

– Chcesz się wyskrobać? – spytała drżącym głosem.

– Myślałam o tym. Tak byłoby łatwiej dla wszystkich...

– Gadasz głupoty. Jak możesz myśleć, że wtedy będzie łatwiej! Przecież to nowe życie! Nosisz je pod sercem!

– A co ja mogę mu zaoferować? – Ania wzruszyła ramionami. – Moi rodzice nie są bogaci. Oboje pracują na taśmie w fabryce. Nawet nie wiem, czy mają jakiegokolwiek oszczędności.

– Pieniądze to nie wszystko, dziecko.

– Ale wiele ułatwiają. A co się tyczy aborcji, to od początku o niej myślałam.

Dąbrowska puściła dłoń Andrzeja, podeszła do nastolatki i uklękła przy niej na podłodze.

– Błagam cię, nie rób tego. Nie zabijaj tego dziecka.

– Pani Bożeno, niech pani wstanie – poprosiła Anna, skrzępowana jej zachowaniem.

– Błagam cię!

W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

* * *

Szymańska miała sięgnąć do klamki, gdy otworzyły się drzwi i uderzyły ją w ramię.

Z pokoju wychodził Lipiec.

– Bożiu, nie wiedziałem, że tu stoisz! – zawołał. – Sorki. Nic ci się nie stało?

– Spoko, będę żyła.

Minęła go, weszła do wydziału i powiodła wzrokiem po twarzach kolegów.

– A wy co macie takie miny? Umarł ktoś?

– Omawiamy nasze ustalenia. Musimy sprawdzić, jaki związek ma śmierć młodszego z Dąbrowskich z kłótnią starszego – wytłumaczyła Karolina.

– To znaczy? Bo nie kumam.

– W dniu, kiedy Szymon rzucił się pod pociąg, jego starszy brat pokłócił się na bunkrach z kumplami.

Szymańska spojrzała na Trettera. Wiedziała, że myślą o tym samym. Kolejny raz słyszeli o bunkrach.

– No to trzeba się tym zająć na poważnie. My gadaliśmy z kolegami z klasy tego starszego. Jeden z nich powiedział, że Tomek zerwał kontakty ze skinami. Zaskoczyło go to, choć w gruncie rzeczy się ucieszył. Lubił go i chciał dla niego dobrze.

– Lubił? Kolejny pedał? – zapytał Żmigrodzki.

– Jak kolejny? – Dorota nie miała pojęcia, o co mu chodzi.
– Mamy info, że ten młodszy był homosem.
– Tutaj nic nie wiadomo. Ten Brzozowski, z którym rozmawialiśmy, jest punkiem. Powinien mieć kosę ze skinem, ale jakoś tak wyszło, że z Dąbrowskim dobrze żył. Mniejsza jednak z tym. Powiedział, że Dąbrowski przestał się zadawać z niejakim Dragonem i Robem. Wcześniej ciągle z nimi przebywał. Kręcił się z nimi jeszcze niejaki Struna. Ale potem wszystko się zmieniło. Ponoć poszło o jakieś wydarzenie na bunkrach.

Żmigrodzki zapalił papierosa.

– No to mamy bunkry jako punkt wspólny. Trzeba to ogarnąć.

– Dzisiaj zamierzamy zawiązać tego Roba. Jak się go przycisnie, może nam powie.

– To do dzieła.

– Tylko że nie mamy pojęcia, jak koleś wygląda. Musimy zapakować do trapeza tego punka, niech on nam go wskaże. Oczywiście anonimowo. No i potrzebujemy wsparcia.

Komisarz się uśmiechnął. Dorota była zaskoczona jego aktywnością. Odkąd pamiętała, Żmigrodzki ciągle chodził podпиты i miał gdzieś wspólne działanie. Teraz jednak wyjątkowo się zaangażował. Widziała po nim, że był po alkoholu. Oczywiście lekko mu się szkliły, poza tym wyczuwała w pokoju woń wódki. Ale machnęła na to ręką. Liczyło się tylko to, że wrócił stary Żmigrodzki.

* * *

Bożena zamknęła drzwi za Anią i podeszła do męża. Objęła go, mocno przywierając do jego klatki piersiowej. Słowa dziewczyny o aborcji wyprowadziły ich z równowagi. Nie mogli się na to zgodzić, musieli zrobić wszystko, by do tego nie doszło. Nastolatka niby zgodziła się urodzić dziecko, ale zawsze pod wpływem rodziców mogła zmienić zdanie.

Bożena odsunęła się nieco i spojrzała Andrzejowi w oczy.

– Musimy się spotkać z jej rodzicami i powiedzieć, że pomożemy jej w wychowaniu dziecka. Nie możemy dopuścić do skrobanki – powiedziała.

– Nie wiem, jak to przyjmą, ale ja też zrobię wszystko, by to dziecko przyszło na świat – zapewnił Andrzej. – To jedyne, co nam pozostało po Tomku.

Bożena uniosła się na palcach i pocałowała go w policzek.

– A jak się w ogóle czujesz? O lekach dziś pamiętałeś?

– Tak. Nie jest najgorzej, chociaż czasem żałuję, że lekarze uratowali mi życie.

Żona odsunęła się od niego zaskoczona. To, co powiedział, było dla niej niczym siarczysty policzek.

– Nie mów tak!

– Ale tak jest. – Dąbrowski wzruszył ramionami. – Jakbym umarł, nie musiałbym chować swoich dzieci. To dla ojca niewyobrażalna tragedia.

– A dla matki nie? Myślisz tylko o sobie! Jak ja mam się czuć? – Bożena poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Słowa męża zraniły ją do żywego. – Oboje

straciliśmy to, co najważniejsze. Musimy razem przez to przejść. Mamy mieć wnuka lub wnuczkę i musimy wytrzymać. Dla tego dziecka! Niech dowie się, jakim wspaniałym człowiekiem był jego ojciec.

Dąbrowski podniósł jej dłoń i pocałował.

– Żałuję, że się go czepiałem. Ostatnio nie miałem czasu ani dla Tomka, ani dla Szymka. Mieli swoje sprawy, a ja byłem zajęty sobą i swoimi problemami w robocie. Mogłem więcej z nimi rozmawiać. Może wtedy dowiedziałbym się, co ich gryzie.

– Nie obwiniaj się. Ani ty, ani ja nie jesteśmy tu winni. Jak będziesz tak myślał, prędzej czy później się wykończysz. Nie chcę tego.

Andrzej objął żonę mocniej i docisnął do swojej piersi.

– Kocham cię.

Bożena wiedziała, że powiedział to szczerze. Sama czuła podobnie.

* * *

Żmigrodzki wcisnął guzik dzwonka. Stali z Sawickim przed mieszkaniem Pawła Malinowskiego. Krzysztof w ostatniej chwili zdobył jego adres. Zadzwoił do sekretariatu technikum w idealnym momencie. Sekretarka kończyła już pracę i chociaż trochę marudziła, udało mu się ją przekonać, by wyciągnęła teczkę Malinowskiego z archiwum.

Kusiło go, żeby przed tą rozmową wypić chociaż łyk wódki, ale wiedział, że to byłby błąd. Zanim tu przyjechali, sprawdzili, kim są rodzice Malinowskiego. Ojcem się nie martwił, ale matka była adwokatem i miała znajomości zarówno w sądzie, jak i prokuraturze. Ktoś taki mógł narobić człowiekowi kłopotów.

Otworzyły się drzwi i w progu stanął nastolatek. Żmigrodzki wiedział, że ma przed sobą Pawła Malinowskiego. Dla formalności jednak zapytał:

– Paweł Malinowski?

Chłopak patrzył na niego zaskoczony.

– Jehowi?

– Gorzej, policja – odparł komisarz z uśmiechem.

– A w celu? Coś zrobiłem? Mamo...

Młody odwrócił się w głąb mieszkania. Kilka sekund później ich oczom ukazała się kobieta w eleganckim żakiecie.

– A panowie to? – Spojrzała na gości.

– Policja. – Sawicki wyjął legitymację.

– Czy mam się martwić? Paweł coś zbroił?

– Nie. Mamy do niego tylko kilka pytań.

– W sprawie?

– Jego kolega z klasy popełnił samobójstwo. Próbujemy ustalić, z jakiego powodu.

– To policja zajmuje się takimi rzeczami? Czy ta śmierć była spowodowana czynem zabronionym?

– Badamy wszystkie wątki. Możemy porozmawiać z pani synem? – zniecierpliwiał się Sawicki.

Malinowska gestem zaprosiła ich do mieszkania.

– Na osobności? – odpowiedział Żmigrodzki.

Matka nastolatka uniosła brwi.

– Syn jest nieletni, dlatego wolałabym być obecna przy tej rozmowie.

– Ale będziemy pytać o wątki, które syn mógłby chcieć zachować dla siebie.

– Mamo, dam sobie radę – odezwał się Paweł. – Jak będę potrzebował twojej pomocy, zawołam.

Gdy ruszył w stronę swojego pokoju, Żmigrodzki podążył za nim. Sawicki uśmiechnął się jeszcze do matki chłopca.

– Niech pani się nie martwi, syn nie jest o nic podejrzany – powiedział. –

Wręcz przeciwnie, mamy przypuszczenia, że stawał w obronie dręczonego w szkole kolegi.

– Ostrzegam, jeśli będziecie chcieli w coś go zrobić, nie odpuszczę – odparła ostro Malinowska. – Poruszę niebo i ziemię, żebyście pożałowali dnia, kiedy stanęliście przed moimi drzwiami.

Sawicki wiedział, że kobieta nie żartuje.

* * *

Dorota potarła ręce. Wieczór robił się coraz chłodniejszy. Odwróciła się w stronę siedzącego z tyłu Brzozowskiego. Nastolatek miał na głowie kaptur. Ubrany był inaczej niż wcześniej. Miał czyste dżinsy i zwykłą kurtkę. Nie przypominał już punka. Widać było, że nie chce zostać rozpoznany.

– Nie bój się. Tylko nam go wskażesz – starała się go uspokoić.

– Łatwo wam mówić. To nie wy potem będziecie musieli uciekać, jak ktoś się dowie.

– Nikt się nie dowie, gwarantuję ci.

Czekali na autobus, z którego miał wysiąść Robo. Dorota widziała kręcącą się w pobliżu kina Romaniuk. Lipiec stał na przystanku i udawał, że czeka na swoją linię. Jako wsparcie mieli jeszcze dwóch mundurowych siedzących w zaparkowanym kawałek dalej radiowozie. Dodatkowo byli Żmigrodzki i Sawicki. Ci jednak, korzystając z okazji, poszli do mieszkania nastolatka, z którym zadawał się Szymon Dąbrowski. Malinowski mieszkał kilka bloków dalej.

Dorota zastanawiała się, jak przebiega rozmowa z chłopakiem. Z tego, co udało im się ustalić, młodszy z braci był homoseksualistą, przez co miał spore problemy w szkole. Pytanie tylko, czy to było głównym powodem podjęcia przez niego decyzji o samobójstwie. Najbardziej zastanawiało ją jednak, co się stało na bunkrach. Miała przecucie, że wydarzenia, które miały tam miejsce, przyczyniły się do tego, że starszy z braci postanowił pójść śladem młodszego. Oczywiście nie wykluczała, że głównym krokiem była tęsknota za Szymkiem. Takie coś może człowieka ściąć z nóg. Sama nie wyobrażała sobie, co by zrobiła, gdyby jej siostra popełniła samobójstwo. Iza była od niej młodsza o trzy lata i swego czasu

miała epizod związany z sektą. Cudem udało się ją wyrwać z ich łap. Z pomocą rodziców musiała się sporo namęczyć, by wszystko wróciło do normy. Spędzali z Izą więcej czasu niż wcześniej. Wszystko po to, by doszła do siebie. Początkowo siostra nie chciała nawet słyszeć o pomocy. Uważała, że sekta jest jej drugim domem i będzie tam szczęśliwa. Groziła nawet, że podetnie sobie żyły. Na szczęście udało się ją stamtąd wyciągnąć. Teraz to było już tylko złe wspomnienie, ale Dorota wiedziała, że inne rodziny nie mają tyle szczęścia. Niektórzy tracą swoje dzieci na zawsze.

Spojrzała w stronę przystanku, gdzie właśnie zajeżdżał ikarus. Obserwowała wysiadających pasażerów.

– Jest – powiedział nagle Brzozowski.

Dorota widziała, jak drzwiami przy przegubie wychodzi skin.

– Daj znak pozostałym. Ja idę, ty zostajesz – powiedziała do partnera.

Tretter mrugnął długimi światłami.

– A co ze mną? – zapytał Brzozowski.

– Zostajesz w aucie – stwierdziła Dorota i wysiadła.

* * *

Żmigrodzki patrzył, jak nastolatek zamyka drzwi pokoju. Sawicki stanął przy regale i zaczął przeglądać książki. Komisarz rozejrzał się po wnętrzu. Widział kilka plakatów z Arnoldem Schwarzeneggerem i Sylwestrem Stallone'em. Na szafie stały puste puszki po piwie, same zachodne marki. Na jednej ze ścian do słomianej maty przymocowane były puste opakowania po papierosach. Tutaj także nie było produktów rodzimego przemysłu tytoniowego. Komisarz widział już w swojej pracy niejedną pokój nastolatka. Kilka było urządzonych podobnie. Młodzież urodzona na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych często kolekcjonowała produkty pochodzące z innego, lepszego świata.

– No dobra, o co chodzi? – zapytał Malinowski.

– Nie chcieliśmy rozmawiać przy twojej mamie, żeby nie robić ci siary. – Sawicki odwrócił się w stronę chłopaka.

– A dokładnie?

– Doszły nas słuchy, że łączyło cię z Szymonem Dąbrowskim coś więcej, niż chciałbyś, żeby ludzie wiedzieli. Zwłaszcza rodzice.

Malinowski spojrzał w stronę drzwi.

– A jeszcze dokładnie? – zapytał cicho.

– Wiemy, że Szymon był homoseksualistą. Niektórzy twierdzą, że łączyły go z tobą... bliższe relacje. Mamy też informacje, że był u ciebie w dniu swojej śmierci – zablefował Żmigrodzki.

Malinowski usiadł na wersalce i położył dłonie na kolanach.

– Był, ale poszedł – odparł.

– Opowiedz nam o tej wizycie.

– Co tu gadać? Przyszedł i poszedł.

– Tak po prostu przyszedł i poszedł? Ściemniasz, chłopaku. Konkret.

– Zawołam mamę. – Malinowski spojrział na Żmigrodzkiego z nieskrywaną nienawiścią.

– I co jej powiesz? Że przez ciebie kolega z klasy rzucił się pod pociąg? – Tym razem blef był ostrzejszy.

– Jak przeze mnie?

– No ty nam to powiedz. O czym rozmawialiście?

Chłopak zrobił się czerwony.

– Przymłazł i zaczął mi się oświadczać. To były walentynki. Przyniósł jakiś sygnet i twierdził, że chce ze mną być i wyjechać do Niemiec. Mówił, że możemy razem zamieszkać i być szczęśliwi. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jestem zainteresowany.

– I co było dalej?

– Nic. Kazałem mu wypierdalać. Poszedł. To tyle.

– A dlaczego chciał być z tobą?

– Zakochał się. Myślał, że ja też go kocham.

– Sypialiście ze sobą? – zapytał Sawicki.

Malinowski milczał.

– Kolega o coś pytał. – Żmigrodzki patrzył na nastolatka uważnie.

– Tak. Zdarzyło się. Tylko że ja sypiam także z dziewczynami. Związek z Dąbrowskim mnie nie interesował. Co on mógł mi dać? Gołodupiec i leszcz. Reszta klasy go fest dojeżdżała. Nie potrafił się im nawet postawić. Zanim pojawiłem się w klasie, był przez nich lany i poniżany.

– Był sam przeciw wszystkim – powiedział Sawicki.

– No i co? Miałem go z tego powodu niańczyć? Posunąłem go i tyle. Nie było miłości, tylko czysty seks.

– On myślał inaczej.

– Chuj z nim! – Malinowski podniósł głos. – Ja nie jestem niczemu winien. Mam podciąć sobie żyły, bo jakiś gnojek nie potrafił znieść kosza? Mam swoje życie i muszę martwić się o siebie.

W tym samym momencie zza drzwi dobiegł głos jego matki:

– Paweł, wszystko w porządku?

Chłopak spojrział w tamtą stronę.

– Tak. Panowie już wychodzą.

Żmigrodzki skinął na partnera. Dowiedzieli się wszystkiego, czego chcieli. Szymon Dąbrowski zabił się przez kolegów i odrzuconą miłość.

* * *

Romaniuk krążyła w pobliżu kina. Lipiec stał kilkanaście metrów dalej na przystanku. W samochodzie widziała Szymańską i Trettera. Siedzieli z nastolatkiem, który miał im wskazać skina. Nagle zobaczyła, że Tretter daje jej sygnał długimi światłami.

Spojrzała na Lipca. Ten patrzył na wysiadającego z ikarusa skina. Nabrała powietrza i ruszyła w stronę przystanku. Kilka sekund później obok niej pojawiła

się Dorota. Stały i czekały, aż Robo się do nich zbliży. Lipiec szedł dwa kroki za nim. Nagle nastolatek przystanął. Romaniuk miała wrażenie, że wyczuł zagrożenie i zaraz zacznie uciekać. Na chodniku było ślisko i pogoń mogła się skończyć co najmniej skręceniem kostki. Napięła mięśnie. Robo sięgnął do kieszeni i wyjął z niej papierosy. Włożył jednego do ust i w tej samej chwili Lipiec chwycił go pod ramię.

– Policja. Jesteś zatrzymany.

Robo był kompletnie zaskoczony. Tym bardziej, kiedy podeszła do nich Szymańska w towarzystwie Romaniuk i wyjęła z kieszeni kurtki kajdanki.

– Nie rób głupot – warknęła.

Skin rozejrzała się dookoła. Widać było, że stara się ocenić swoje szanse na ucieczkę.

– A o co chodzi? Ja nic nie zrobiłem.

– To się okaże na komendzie. Łapki do tyłu.

Wykonał polecenie, a policjantka sprawnie go skuła. Odetchnęła z ulgą. Spojrzała w stronę poloneza, w którym na tylnej kanapie siedział Brzozowski. Upewniła się, że stąd go nie widać.

Chwilę później zobaczyli podjeżdżający radiowóz. Ruszyli w jego stronę. Polonez się zatrzymał i ze środka wysiedli mundurowi.

– Na gwizdkach do fabryki – powiedziała Dorota.

* * *

– Powiem ci, że gówniarz mnie wkurwił – stwierdził Żmigrodzki.

Stał przed wejściem do bloku, w którym mieszkał Malinowski, i odpalił papierosa. Spojrzał w stronę okien, w których paliło się światło.

– Co zrobisz? Zero empatii – powiedział Sawicki.

– Przez niego chłopak się zabił. Że też sumienie go nie gryzie.

– Karma do niego wróci. Jeszcze będzie żałował, że tak postąpił.

– Będzie albo nie będzie. Myślisz, że ci wszyscy zabójcy, których łapiemy, żałują swoich czynów? Część może tak, ale większość ma w dupie to, co czują bliscy ofiar. Sądziś, że ten łebek się przejął tym, że Dąbrowscy stracili syna? Jak on to powiedział? „Posunąłem go i tyle”? Tak. Posunął go wprost pod koła pociągu. Dla Malinowskiego to był tylko seks, nic więcej. Dla tego drugiego to była kropla, która przelała czarę.

Żmigrodzki wziął macha i pstryknął papierosem w pobliskie zarośla. Ruszył w stronę kina Studio. Sawicki włożył dłonie do kieszeni i poszedł za partnerem do miejsca, gdzie zostawili poloneza. Już po przejściu kilkunastu kroków zobaczyli, jak mundurowi pakują do radiowozu zatrzymanego.

– Nie poczekali na nas – mruknął Krzysiek.

– I dobrze. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść.

– Czyli zabieramy gościa do komendy i zaczynamy przesłuchanie.

– Po co? Rano się nim zajmiemy. Powiemy Szymańskiej, żeby wsadzili go na dołek. Rano weźmiemy się za niego. A teraz nie ma co trzaskać nadgodzin.

Odwieziesz mnie do domu.

– Ja bym zaczął od razu, ale nie ja tu rządę.

– No właśnie. Ty nie rządysz. Przekaż moje polecenie, a ja idę do trapeza.

Poczekam tam.

– Tylko nie chlej. Ludzie nie muszą na to patrzeć.

– Młody...

– Co?

– Jeb się.

WROCLAW, 24 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki całą noc nie mógł zasnąć. Po powrocie do domu nie wypił zbyt dużo. Raptem pół butelki wyborowej. Miał przeczucie, że nie powinien pić więcej. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale wolał nie ryzykować. Przez to niedopicie nie zmrużył oka. Całą noc się męczył. W końcu postanowił, że szybciej pojedzie do pracy.

Pierwszym dziennym autobusem przyjechał do komendy. Tretter, który miał nocny dyżur, był zaskoczony, widząc go o tak wczesnej porze.

– Co tu robisz? Stało się coś? – spytał.

– A co się miało stać? Do roboty wcześniej przyjechałem, tyle.

Policjant machnął ręką i zaczął składać łóżko polowe.

– Było coś ciekawego w nocy? – spytał komisarz.

– Wyjazd do ćpuna na dworzec. Żółty strzał. Jebnął chyba ze dwie działki kompotu i się zawinął. Nic ciekawego.

– A kolejowi nie mogli tego ogarnąć? Przecież to ich teren.

– Niby tak, ale wydzwonili nas. Co będę się z nimi po nocy wyklócał. Pojechałem, zobaczyłem, lekarz wypisał kwit i to wszystko. Nie ma co drzeć szat.

– Zawracanie dupy po nocy.

Żmigrodzki usiadł na swoim miejscu i zapalił papierosa. Tretter tymczasem schował polówkę do szafy i nasypał kawy do szklanki.

– A tego skina zwieźliście do lochu? – spytał komisarz.

– Tak. Mogliśmy się nim zająć wczoraj, ale młody stwierdził, że chcesz z nim pogadać osobiście rano.

– Rano człowiek inaczej myśli. Poza tym, jak chłopak się kimnie na dechach, to będzie bardziej skory do gadki.

– W sumie fakt – stwierdził Tretter, zalewając kawę.

Żmigrodzki zgasił papierosa, sięgnął po telefon i wybrał numer dyżurnego izby zatrzymań.

– Aspirant Kowalczyk, dyżurny – usłyszał po chwili.

– Cześć, Żmigrodzki z tej strony, wydział zabójstw. Naszykuj mi tego skina, co wczoraj moi zwieźli.

– O tej porze?

– A na co mam czekać? Aż się zbój wyśpi? To nie wczasy, tylko dołek.

– Dobra, nie unoś się tak. Złość piękności szkodzi. Poza tym wrzodów dostaniesz.

– Za późno. Już mam – stwierdził komisarz.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na Trettera.

– Trza zaczynać robotę. – Wstał z miejsca. – Zadzwoń do młodego i powiedz, że jestem już w fabryce. Niech nie czeka pod moją chatą.

* * *

Paweł Malinowski obudził się z krzykiem.

Śnił mu się diabeł z rogami i wielkimi widłami. Stali w pobliżu Hali Ludowej. Kojarzył to miejsce doskonale. To tu, przy iglicy wiele razy wymieniał się kasetami wideo. To w tym miejscu oszukał jednego maślaka spod Wrocławia. Dzieciak chciał kasetę z filmem karate. Paweł dał mu jakiś stary enerdowski melodramat. Od tamtej pory jeździł na wymianę kaset do Pałacyku. Obawiał się, że oszukany pojawi się z reklamacją. Potem wyjechał do ojca i nie miał już czasu na wymienianie się filmami. Przestał się też martwić tamtym dzieciakiem. We śnie szatan, śmiejąc się, mówił, że jest z niego dumny. Że dobrze wykonał dla niego zadanie i potrzebuje takich jak on, by szerzyć na świecie bezprawie, zgorzenie i zło. Przez chwilę był dumny, widząc, że sprawił radość szatanowi. Spodziewał się nawet nagrody. Diabeł powoli ruszył w jego stronę. Jednak gdy dzieliły ich jakieś trzy metry, jego twarz zaczęła się zmieniać. Nagle zamiast czerwonych rażących oczu i pomarszczonej skóry pojawiły się rysy Szymka. Chwilę później z twarzy zaczęły odpadać płyty skóry. Paweł czuł mdły zapach rozkładającego się ciała. W niektórych miejscach widział białe wijące się robaki. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Zatkaną ręką usta i wtedy usłyszał głos swojego kochanka: „Zabiłeś mnie”. Zerwał się do ucieczki, ale z każdym krokiem, zamiast się oddalać, zbliżał się do potwora.

Gdy zerwał się z wrzaskiem, spostrzegł, że zmoczył prześcieradło. Zaalarmowana krzykiem matka natychmiast pojawiła się w jego pokoju. Na szczęście nie zauważyła w zmiętej pościeli mokrej plamy. Oczywiście powróciła do tematu wyjazdu do ojca i wizyty policji. Wczoraj po wyjściu tych gliniarzy wiele razy zapewniał ją, że nie ma żadnych problemów. Ale wiedział, że mu nie wierzy. Powiedziała, że jeśli dzieje się coś złego, ma się przyznać. Będzie miała okazję zareagować i wszystko zamieść pod dywan. Na koniec stwierdziła, że wyjazd do ojca jest jednak dobrą decyzją. On też tak uważał. We Wrocławiu zaczął się dusić. Nie działo się tu nic ciekawego, a na dodatek gliny obwiniwały go o śmierć Szymka. Tak jakby to była jego wina, że dzieciak się w nim zakochał. A dla niego to był tylko seks. Nie miał zamiaru marnować sobie życia z jakimś kmiotkiem.

Zanim matka wyszła, powiedziała, że mogłby pojechać do babci. Nie odwiedzał jej już od ponad pół roku. Zdecydował się spełnić jej prośbę, chociaż nie lubił tych wizyt. Babka mieszkała w Świniarach i musiał jechać autobusem przez całe miasto. Nie miał jednak nic lepszego do roboty.

* * *

WROCLAW, 12 LUTEGO 1994 R.

Była sobota i ojciec postanowił, że pojedziemy do babci. Powiedział, że trzeba jej pomóc w gospodarstwie. Co jakiś czas jeździliśmy narąbać jej drewna i ogarnąć obejście. Babcia miała już osiemdziesiąt lat i coraz trudniej przychodziło jej wykonywanie codziennych obowiązków. Tomek starał się wywinąć, ale ojciec zagroził, że jak nie pojedzie, zabierze mu glany i flyersa. Dla skina byłaby to zniewaga. Tomek nie miał odwagi postawić się ojcu. Raz odpyskował, ale zaraz tego pożałował. Ojciec chwycił go za wszarz i podniósł nad podłogę. Wiedzieliśmy, że nasz stary ma krzepę w łapach. Kiedyś odwiedzali nas sąsiedzi i zawsze siłował się z nimi na rękę. Chyba nigdy nie przegrał. Teraz te wizyty należały do rzadkości. Ojciec, aby utrzymać dom, brał coraz więcej nadgodzin. Szkoda mi było tych sobotnich imprez. Matka zawsze przygotowywała jedzenie i picie, wyciągała to, co miała najlepsze. Mogliśmy z Tomkiem posmakować smaczniejszych wędlin niż na co dzień, i to bez chleba. Czasem udawało się też zakosić paczkę papierosów. Przy alkoholu wszyscy palili więcej i potem nie wiedzieli, które fajki są czyje. Przy kilku butelkach wódki siedzieli do drugiej, nawet trzeciej w nocy. Dziś miałem nadzieję, że te imprezy jeszcze kiedyś powrócą. Tęskniłem trochę za nimi.

Wyszedłem przed blok i stanąłem przy naszej ładzie. Ojciec poszedł do piwnicy po kilka narzędzi. Tomek ruszył w stronę ławek, gdzie siedziało kilku skinnów. Ja nie chciałem się z nimi witać. Miałem ochotę zapalić, ale nie zaryzykowałem. Bałem się, że ojciec mnie przyłapie. Zastanawiałem się, czy nie odejść kawałek dalej. Spojrzałem w stronę ławki, przy której stał Tomek, i serce zaczęło mi bić szybciej. W towarzystwie siedział Mirek – mój oprawca ze szkoły. Zdziwiłem się, widząc go tutaj. Najwyraźniej wpadł w odwiedziny na stare śmieci. Był ogolony na łyso i wyglądał jak typowy skin. Chciałem się cofnąć, licząc, że mnie nie zauważy, ale usłyszałem krzyk:

– Ej, pedale!

Spojrzałem w jego stronę. Wskazywał na mnie dłonią.

– To pedrył, co w dupę bierze! – krzyknął Grzeszczak.

Tomek przez chwilę patrzył na mnie, a potem spojrzał na Mirka. Sekundę później uderzył mojego oprawcę z pięści w twarz. Mirek upadł na ziemię. Kilku skinnów chwyciło Tomka i odciągnęło go od leżącego. W tym samym momencie z bramy wyszedł ojciec.

* * *

WROCLAW, 24 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki patrzył na skina wprowadzanego do pokoju przesłuchań. Mundurowy posadził go na miejscu i wyszedł.

– Jak się spało na dechach? – zapytał komisarz.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi – odparł Robo. – Moi rodzice się niepokoją i powinni wiedzieć, że tu jestem.

– Może i tak. A jak znikasz na całą noc i imprezujesz, to wiedzą, co robisz i gdzie?

Robo nabrał głośno powietrza i poprawił się na krześle.

– Nie. Nie pytają, a ja im nie mówię.

– No więc pewnie dzisiejszej nocy też spali spokojnie. Ale nie martw się, pogadamy i pójdziesz do domciu. No, chyba że okaże się, że jesteś łobuzem. Wtedy trafisz przed oblicze prokuratury. Ile ty w ogóle masz lat?

– Skończyłem siedemnaście.

– No to możesz odpowiadać jak dorosły.

– Ale ja nic nie zrobiłem.

– To ja będę o tym decydował. Możemy zacząć?

Zatrzymany skinął głową.

– Imię i nazwisko.

– Robert Koszycki.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł Sawicki.

– Już zacząłeś? – spytał, podchodząc do biurka.

– Przed momentem. Dobra, Koszycki vel Robo, idziemy dalej. Powiedz mi, co się wydarzyło w walentynki na bunkrach.

Robo zbladł. Żmigrodzki spojrzał na Sawickiego. Wiedzieli już, że wydarzenia z tamtego dnia mogły być kluczowe.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedział Koszycki, jednak słysząc było, że kłamie.

– Nie ściemniaj, bo mamy już pewne informacje i tylko je weryfikujemy – powiedział Sawicki.

– Struna już nam o wszystkim powiedział – zblefował Żmigrodzki.

Przypomniał sobie ksywy, o których wspominała Szymańska, i postanowił to wykorzystać.

– To Dragon. On to wszystko zrobił – stwierdził cicho Robo. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Mówi dalej – zachęcił komisarz.

– Po wszystkim powiedziałem mu, że to była przesada. Gdyby nie Dragon, brat Wiatraka nie rzuciłby się pod pociąg. Na chuj on to zrobił?

Żmigrodzki pokazał Sawickiemu, aby zaczął notować.

– Opowiedz nam wszystko, a my porównamy to z zeznaniami pozostałych – ponownie zblefował.

– Ja nie biłem go mocno. Tak tylko, żeby inni nie gadali. Dragon chyba najmocniej łał. To on go wyruchał tą butelką. I on potem się na niego wylał.

Komisarz wiedział już, że zaraz dowiedzą się całej prawdy.

– Kto był z wami? – zapytał Sawicki.

Robo podrapał się skutymi dłońmi po brodzie. Po chwili zaczął wyciszać:

– Struna, Turoń, Dragon, ja, Wiatrak, kilku młodych...

– Tomek Dąbrowski był z wami? – Żmigrodzki był zaskoczony.

– Tak.

– Brał udział w katowaniu brata?

Robo zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Chciał go obronić, ale Dragon mu zagroził. Jak laliśmy młodego, to on stał i tylko patrzył. Wiatrak bał się Dragona. Zresztą kto się nie bał...

Sawicki notował słowa zatrzymanego. Żmigrodzki miał ochotę przerwać na chwilę przesłuchanie i wyjść do toalety. Wzięłby łyżeczek wódki i wrócił. Nikt nawet by nie zauważył.

– A gdzie mieszka ten Dragon? – spytał Sawicki.

– Na Żernikach.

– A dokładniej?

– Nie pamiętam. Taki stary dom, pomalowany na biało ganek. Stoi jakieś sto metrów od przystanku.

– A nazwisko Dragona?

– Nie wiem. My się znaliśmy tylko po ksywach. Nikt o nazwisko nie pyta, bo i po co?

Żmigrodzki wstał i stanął nad zatrzymanym.

– Pojedziesz z nami i pokażesz nam ten dom.

– Ale Dragona nie ma. Chyba zwiął – powiedział Robo.

– Jak zwiął?

– No nie pojawia się od kilku dni. Podejrzewam, że po tym samobójcu Wiatraka postanowił się zmyć. Od tamtej pory nigdzie się nie kręcił. Byłem u niego dwa razy, ale nikt nie otwierał. Dziwne, bo mieszka z babcią. Jej też nie widziałem...

Żmigrodzki spojrział na partnera. Obaj byli przekonani, że Dragon nigdzie nie uciekł. Nie zdążył.

* * *

WROCLAW, 12 LUTEGO 1994 R.

Całą drogę do babci nie odzywaliśmy się ani słowem. Wydarzeń z podwórka nie chciałem wspominać, mój brat też nie. Siedział na przednim fotelu i patrzył przez szybę. Ja siedziałem z tyłu i wpatrywałem się w swoje dłonie. Nie miałem pojęcia, co robić. Znowu byłem osaczony. Dotychczas chociaż na podwórku miałem względny spokój. Nikt się mnie nie czepiał i nie wyzywał od ciot. Teraz wszystko mogło się zmienić. Skoro mój oprawca Mirek pojawił się w gronie kumpli Tomka, mogło to oznaczać tylko jedno: znowu będę gnębiony.

Przyjechaliśmy do babci i ojciec wysiadł z auta. Wtedy Tomek spytał:

– Prawda to?

Spojrzałem na niego. Nie miałem odwagi się przyznać.

– Pytam o coś.

– Co chcesz?

– Pytam, czy to prawda, że jesteś pedałem.

– No co ty! Lubię dziewczyny i oglądam się za nimi.

Nie kłamałem. Rzeczywiście podobały mi się dziewczyny i wcześniej się za nimi oglądałem. Chłopacy mnie nie podniecali. Z wyjątkiem Pawła. O tym jednak nie mogłem powiedzieć nikomu.

– To co ten frajer pierdolił?

– To on się do mnie dosrywa. To on mnie w szkole gnębił.

Tomek zmrzążył oczy, bacznie mi się przypatrując.

– To przez niego miałeś te fify pod okiem?

– Tak.

Spojrzałem przez okno. Ojciec stał na ganku i rozmawiał z babcią. Tomek także przez chwilę na nich patrzył. Potem odwrócił się do mnie i powiedział:

– No to chyba będę musiał go sobie wypożyczyć.

– Nie! – zaprotestowałem.

– Co nie?

– Nie chcę. Pogorszysz tylko moją sytuację.

– Nie pozwolę, żeby jakiś frajer napierdalał mi brata. To, że jak dla mnie jesteś lalusem, nie oznacza, że ktoś ma ci spuszczać pierdol.

– Proszę, sam to załatwię...

Brat patrzył na mnie przenikliwie, jakby nie wiedział, czy może mi wierzyć.

– Dobra, nie będę się wtrącał – stwierdził w końcu. – Ale musisz mi coś obiecać.

– Co?

– Że jak się będzie jeszcze do ciebie dopierdalał, to mi o tym powiesz.

Skinąłem głową. Odkąd w moim życiu pojawił się Paweł, nie obawiałem się gnębienia w szkole. Miałem swojego obrońcę. Musiałem tylko przetrwać do powrotu mojego ukochanego z Niemiec. Porozmawiam z nim i na pewno mi doradzi, co zrobić z Mirkiem.

Brata nie chciałem w to angażować.

* * *

WROCLAW, 24 LUTEGO 1994 R.

Malinowski zdecydował, że do babci pojedzie jednak pociągiem. Podróż koleją była znacznie krótsza i nie musiał się przez całe miasto. Poszedł na pobliską stację Mikołajów. W kasie zakupił bilet, po czym wyszedł na zewnątrz. Odpalił papierosa i nałożył na głowę słuchawki. W walkmanie miał kasetę zespołu IRA. Włączył ją i zaczął słuchać. Zastanawiał się, czy babcia da mu jakieś pieniądze. Ostatnio dostał od niej sto pięćdziesiąt tysięcy. Liczył, że dzisiaj będzie bardziej szczodra. W słuchawkach rozległy się pierwsze takty piosenki *Wiara*. Lubił ten utwór. W zeszłym roku, jak był u ojca w Berlinie, kochał się z Jorgiem, słuchając składanki polskich przebojów. Ten zespół był idealny zarówno do mocnego, brutalnego seksu, jak i do czułości i delikatnych pieszczot.

Spojrzał na zegarek. Za chwilę powinien podjechać pociąg. Zgasił papierosa i wrócił do poczekalni. Podeszedł do stoiska z gazetami i kupił sobie „Bravo”.

Z głośnika właśnie wybrzmiał komunikat o zbliżającym się pociągu do Poznania. Już miał zamiar iść na peron, gdy poczuł, że musi skorzystać z toalety. Znając terminowość PKP, wiedział, że pociąg będzie opóźniony przynajmniej pięć minut. Spokojnie zdąży się wysikać.

Wszedł do toalety i podszedł do pisuaru. Już po chwili poczuł ulgę. Nie lubił korzystać z toalet w pociągu. Brzydził się brudu i smrodu. Tutaj też nie było idealnie, ale nie miał większego wyboru. Sikał i patrzył na grzyb na ścianach i kilka starych pajęczyn w kątach. Wstrzymał oddech, by nie wdychać zapachu moczu.

Zaczęła się nowa piosenka. Ten utwór lubił jeszcze bardziej. Zaczął nucić pod nosem. W końcu skończył sikać i wypadł z toalety. Ręk nie umył, nie było na to czasu. Uważając, żeby się nie poślizgnąć na oblodzonych schodach, wbiegł na peron. Jego pociąg powoli odjeżdżał. Paweł zobaczył otwarte przedostatnie drzwi składu i przyspieszył. Był wysportowany i wiedział, że spokojnie uda mu się go dogonić. Cieszył się, że był to nowoczesny skład z automatycznymi drzwiami. Nie musiał się siłować, by dostać się do środka. Biegając, lekko potrącił stojącą na peronie kobietę. Ta zaczęła coś za nim krzyczeć. Nie zwracał jednak na nią uwagi. Był już na odległość ramienia od wejścia, gdy poczuł, jak traci przyczepność. Próbował jeszcze ratować się przed upadkiem, machał rękami, by odzyskać równowagę, ale bezskutecznie. Z krzykiem na ustach zsunął się z peronu wprost pod koła pociągu.

* * *

Dąbrowska patrzyła na twarze żałobników. Dzisiaj drugi z jej synów spoczął w ziemi. Znowu słyszała szepty i widziała ukradkowe spojrzenia. Zdawała sobie sprawę, że są tematem rozmów. Nie przejmowała się tym jednak. Teraz mieli ważniejsze sprawy na głowie niż plotki. Musieli skontaktować się z rodzicami Anny i powiedzieć im, że chcą, by dziecko, które nosi pod sercem, przyszło na świat. Obiecują pomoc w każdej materii, zarówno finansowej, jak i w opiece nad niemowlęciem.

Bożena wzięła męża za rękę i wskazała na stojącą dalej dziewczynę w towarzystwie dwojga dorosłych. Spodziewali się jej na ceremonii, ale obecność jej rodziców ich zaskoczyła. Ruszyli w ich stronę.

– Proszę przyjmując nasze kondolencje – powiedział ojciec nastolatki.

Bożena skinęła głową.

– To druga śmierć w naszej rodzinie w ciągu kilku dni – powiedział cicho Andrzej.

– Słyszeliśmy. Tym bardziej jest nam przykro.

Ojciec Anny uściśnął Dąbrowskiemu dłoń.

– Chcielibyśmy z państwem porozmawiać na temat przyszłości – zaczęła Bożena.

– Cóрка powiedziała nam, że jest w ciąży z państwa synem. Powiedziała także, że namawiają ją państwo, żeby urodziła. Ale nie jesteśmy z mężem pewni, czy to dobry pomysł – powiedziała matka dziewczyny.

– To najlepszy pomysł. Proszę nam wierzyć, zrobimy wszystko, by to dziecko przyszło na świat. To jedyne, co nam zostało po synu.

– Błagamy państwa – powiedział Andrzej, obejmując żonę.

Rodzice nastolatki spojrzeli po sobie. Widać było, że biją się z myślami. W końcu mężczyzna skinął głową. Bożena czuła, że z serca spada jej ogromny gład. Spełniło się jej najważniejsze z marzeń. Będzie miała przy sobie cząstkę jednego ze swoich synów. Z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

* * *

WROCLAW, 13 LUTEGO 1994 R.

Wyszedłem z kościoła i ruszyłem w stronę domu.

Byłem trochę zły. Matka chciała, żebym pojechał z nią na Słubicką na targowisko. Ojciec już z rana ruszył na giełdę samochodową. Musiał kupić uszczelkę do auta. Początkowo chciałem jechać z nim, ale po namyśle zrezygnowałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że matka też wymyśli jakiś wyjazd. Myślałem, że po kościele w spokoju pooglądam sobie telewizję. Życie jednak zweryfikowało moje plany. Miałem tylko nadzieję, że szybko wrócimy i będę mógł zająć się swoimi sprawami.

Szedłem teraz Drzewieckiego i paliłem papierosa, gdy usłyszałem wołanie z tunelu między blokami:

– Ej, koleś!

Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem trzech skinów. Kojarzyłem ich. To z nimi zadawał się Tomek. Stałem i czekałem, aż podejda.

– To ciebie wczoraj młody wskazał? – spytał jeden z nich.

Wiedziałem, że ma ksywę Turoń. Dwaj pozostali to Robo i Struna.

– Co? – Udawałem, że nie wiem, o co chodzi.

– No to, że ty jesteś pedrylem? – zapytał Robo.

– Nie jestem pedałem.

– Młody mówił, że w dupę bierzesz.

– Chodziłem z Mirkiem do szkoły, do jednej klasy. Uwziął się na mnie i wymyśla pierdoły.

– A niby czemu wymyśla?

– Bo odbiłem mu laskę. Chciał z nią chodzić, a ta wołała mnie. Tyle. Od tamtej pory łązi i pieprzy głupoty.

Miałem nadzieję, że mi uwierzą.

– No to w sumie spoko. Gdyby nie twój brachol, wyłapałbyś z buta – powiedział Turoń. Klepnął się w wysokiego martensa i wyszczerzył zęby. – Nie chciałbyś być przecież zbutowany.

Całe jego towarzystwo się zaśmiało.

– No jasne, że nie – potwierdziłem.

– Dobra, gub się. Powiedz Tomkowi, że wieczorem widzimy się u Kośmidra. – Turoń dał znak pozostałym, że na nich pora.

Patrzyłem, jak odchodzą. Tym razem udało mi się uniknąć lania. Nie wiedziałem jednak, jak długo to potrwa. Nie chciałem stać się ich ofiarą. Widziałem ich w akcji, jak butowali punka, który nieroztropnie pojawił się na osiedlu. Wolałem nie być na jego miejscu.

* * *

WROCLAW, 24 LUTEGO 1994 R.

Sawicki zaparkował przed starym domem, który wskazał Robo.

– Przekaż go mundurowym – powiedział Żmigrodzki. – Niech zwiózą go na komendę.

Wysiadł i poprawił kołnierz kozucha. Dotknął ręką kieszeni, nie zdecydował się jednak wyjąć piersiówki. Odpalił za to papierosa i wydmuchnął dym w mroźne powietrze.

Za ich służbowym polonezem parkował radiowóz z dwoma mundurowymi. Na miejsce miała jeszcze dojechać ekipa techników. Sawicki przekazał funkcjonariuszom Roba i wrócił do partnera.

– Wchodzimy? – spytał.

– Czekamy na techników. Zaraz mają być.

– A jak ktoś tam potrzebuje pomocy?

Żmigrodzki wziął macha i westchnął.

– Dobra, chodź. – Rzucił niedopałek i pchnął furtkę. Otworzyła się z głośnym skrzypnięciem.

Od razu skierował się do drzwi wejściowych. Zapukał, choć zdawał sobie sprawę, że nikt raczej mu nie otworzy. Nacisnął klamkę. Dom był otwarty.

– Nie zdeptaj śladów – powiedział stojący za nim Sawicki.

– Młody, nie ucz starego roboty.

Pod dom podjechał samochód techników. Żmigrodzki widział, jak wysiadają i zabierają ze środka walizeczki. Ruszyli w stronę budynku.

– Cześć – powiedział jeden z nich, stając przy policjantach.

– Mamy podejrzenie, że doszło tu do zabójstwa. Włazimy. – Komisarz przestąpił próg.

Już z przedpokoju widział ciało. Wskazał na nie palcem.

– To chyba babcia Dragona.

– Pytanie, gdzie Dragon.

– Obstawiam, że też go tu znajdziemy.

* * *

Romaniuk weszła na peron stacji PKP Wrocław Mikołajów. Lipiec został z tyłu, rozmawiając z mundurowymi na dole schodów. Spojrzała w stronę stojącego przy peronie składu. Widziała miejsce, w którym doszło do tragedii. Kilkanaście minut temu dyżurny zlecił im zajęcie się sprawą nastolatka, który w wyniku nieszczęśliwego wypadku wpadł pod koła pociągu. Romaniuk wiedziała, że to czysta for-

malność. Tylko zwyczajowo wzywa się policję do nagłej śmierci w miejscu publicznym. Zaraz stwierdzą brak znamion czynu zabronionego i zakończą temat.

Podeszła do stojących przy miejscu wypadku kolejarzy. Widziała twarze gapiów wyglądających przez okna pociągu oddalonego o kilkanaście metrów.

– Co tu się stało? – zapytała jednego z pracowników kolei.

– Jestem kierownikiem pociągu. Widziałem, jak ten łebek biegnie. Chciał zdążyć na pociąg. Niestety nie udało się – powiedział kolejarz.

– A pociąg już jechał?

– Tak.

– To jak zamierzał się dostać do środka?

Kolejarz popatrzył na swoich współpracowników.

– Jest zima i czasem drzwi się nie domykają. My w składzie mieliśmy problem z tymi przedostatnimi. Coś przymarzło i jechaliśmy od Głównego z otwartym jednym wejściem.

– I nikt nic z tym nie robi?

– Jak pociąg stoi w hali, to wszystko działa. Potem, jak rusza w trasę, to z czasem się zagrzeje i lód z dachu stopnieje. Na mrozie znowu przymarza i wtedy następują awarie. Cóż, nic się z tym nie robi, bo i po co?

Policjantka skinęła głową. Widziała stojących na torach techników. Ostrożnie zeskoczyła z peronu, uważając, żeby się nie wywrócić. Spojrzała na ciało nastolatka. Miał nie więcej niż piętnaście lat. Jego twarz była zakrwawiona. Oczy patrzyły w dal niewidzącym wzrokiem.

– Paweł Malinowski. Tak przynajmniej widnieje w legitymacji szkolnej. Chodził do szkoły na Poznańską – stwierdził technik, pokazując jej dokumenty denata.

Zdumiała ją ta informacja. Paweł Malinowski był kolegą z klasy Szymona Dąbrowskiego. Chłopakiem, w którym zakochał się nastolatek samobójca.

– Śmierć zabrała kochanków w ten sam sposób – powiedziała cicho.

– Co? – zapytał technik.

– Nic. Do siebie mówię.

* * *

Żmigrodzki podszedł do leżących na podłodze zwłok. Technicy zabezpieczali już ślady.

– Co wiemy? – spytał jednego z nich.

– Z ułożenia ciał wnioskuję, że starsza pani zaskoczyła zabójcę. Ten w nerwach ją zaatakował i wbił bagnet prosto w jej pierś. Potem się spawiował. – Technik wskazała na zaschnięte wymiociny przy jednej ze ścian.

– Mamy odciski palców na bagnecie?

– Tak. Pójdą do analizy. Jeśli był notowany, będziemy wiedzieć, kto to.

Komisarz popatrzył na Sawickiego. Nadszedł moment, by powiedzieć to, co było już pewne.

– Prawdopodobnie zabójcą jest Tomasz Dąbrowski. Potem dostaniecie dokładny adres. Możecie zebrać z domu jakieś paluchy i porównać.

– A skąd ta wiedza?

Żmigrodzki wyjął z kieszeni kożucha papierosy i odpalił jednego. Dał znak Sawickiemu, by odpowiedział na zadane pytanie.

– Ten tam – Krzysiek wskazał na ciało Dragona – pobił i zgwałcił butelką brata sprawcy. Mamy przecucie graniczące z pewnością, że do tego zabójstwa doszło z zemsty.

– No to chłopak trafi do pudła na długie lata.

– Niestety już nie żyje. Popełnił samobójstwo. Podobnie jak ten zgwałcony.

– Kurwa mać. To musi być straszne dla rodziców.

– Nawet nie chcę sobie tego wyobrazić.

Sawicki patrzył na ciało skina. Nie było mu go żal. Zasłużył sobie. Gdyby nie zgnębił Szymona Dąbrowskiego, pewnie by żył. Jediną niewinną ofiarą była babcia. Chociaż też nie był tego do końca pewny. Widział jego pokój pełen militariów i ulotek wzywających do walki o czystość białej rasy. Kobieta wychowała rasistę i musiała wiedzieć, co wyprawia jej wnuk. A przynajmniej się domyślać.

– Chodź na zewnątrz. Nie przeszkadzajmy im w robocie – powiedział Żmigrodzki, strzepując popiół na podłogę.

Po chwili stanęli na ganku i Żmigrodzki wyjął z kieszeni piersiówkę.

– Chcesz łyka? – spytał.

Sawicki początkowo zamierzał odmówić. Wyciągnął jednak rękę, pociągnął solidny haust i oddał piersiówkę.

– Dobry chłopak. Czasem trzeba sobie golnąć – powiedział Żmigrodzki.

– Czasem. Nie częściej – zaznaczył Sawicki.

Komisarz też wziął łyk i schował wódkę. Potem poczęstował partnera papierosem.

– Zaraz dojedzie Szymańska. Niech zajmie się dłubaniną. Mnie odwieziesz do domu. Jutro rano chciałbym, żebyś zapoznał się z aktami sprawy Urbańskiego.

Sawicki spojrzał na niego spod brwi.

– Naprawdę planujesz się w tym znowu grzebać?

– Tak. Czuję, że muszę.

– Jak tam chcesz. – Krzysiek wzruszył ramionami i wziął kolejnego macha.

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Nie mogłem się doczekać lekcji i chwili, kiedy znów zobaczę swojego ukochanego.

Wciąż myślałem o Pawle. Ostatnie dwa dni spędziłem na oczekiwaniu na powrót chłopaka, który otworzył mi oczy na to, kim jestem. Początkowo tłumiłem w sobie prawdę. Podobnie jak moi rówieśnicy uważałem, że chłopak powinien rozglądać się za dziewczynami. Miłość do osoby tej samej płci była czymś złym, czymś, z czym nasze społeczeństwo nie chciało się pogodzić. Nie chciałem jednak dłużej się ukrywać. Uważałem, że każdy ma prawo do szczęścia.

Jak na szpilkach czekałem przed szkołą, odpalając papierosa od papierosa. W chlebaku miałem niewielki prezent dla Pawła. Dzisiaj było święto zakochanych i chciałem sprawić mu niespodziankę. Nie wiedziałem, co mógłbym mu ofiarować oprócz swojego uczucia, więc wziąłem z szafki ojca sygnet, który ten otrzymał od swojego taty, jak się urodziłem. Kiedyś słyszałem, że jak urodzi mi się syn, to ten pierścionek przejdzie na moją własność. Ponieważ jednak nie planowałem mieć dzieci, mogłem ofiarować ten dar Pawłowi. Zapakowałem go do niewielkiego pudełka. Całość obwiązałem wstążką. Czekał w chlebaku na moment, kiedy spotkam się z miłością swojego życia.

– Cześć – usłyszałem nagle z boku.

Kawałek dalej stał Adam i uśmiechał się do mnie. Był jednym z niewielu kolegów, którzy mi nie dokuczali. Może nie stawał w mojej obronie, ale też mnie nie gnębił.

– No cześć – odpowiedziałem.

– Masz może fajkę?

Sięgnąłem do kieszeni. Miałem pół paczki i mogłem nikogo nie częstować. Chciałem jednak naprawić relację z pozostałymi chłopakami z klasy. Jak odszedł Mirek, reszta chłopaków trochę mi odpuściła. Może bali się Pawła.

– Mam – powiedziałem, częstując Adama.

Spojrzałem w stronę przystanku. Właśnie stawał autobus. Zobaczyłem, że wysiada z niego mój ukochany, i serce забиło mi szybciej. Miałem ochotę pobiec do niego i rzucić mu się w ramiona. Nie zrobiłem tego jednak. Stałem i z niecierpliwością czekałem, aż sam do mnie podejdzie.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Wczorajszego wieczoru Żmigrodzki nie pił. Zamierzał na poważnie zająć się sprawą zabójcy nastolatka. Chciał, żeby Sawicki wiedział, że to priorytetowy temat. Jakby pochłął, młody mógłby stwierdzić, że nie ma sensu się angażować.

Rano wypił kawę i poszedł na przystanek. Dziś też pojechał do pracy pierwszym autobusem.

Wszedł do komendy i skierował się prosto do archiwum. Chciał zamówić akta sprawy Urbańskiego. Dopiero przed drzwiami się zorientował, że jest czynne od ósmej. Miał jeszcze półtorej godziny, więc nie było sensu tu czekać. Potem zadzwonił i poprosił, by przygotowano mu akta.

Wszedł do wydziału i skinął głową Romaniuk. Policjantka właśnie zwlekała się z połówki.

– Co tak wcześniej? – spytała, przecierając oczy.

– Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje – rzucił, podchodząc do telefonu.

Sięgnął po słuchawkę i wyjął z kieszeni papierosa.

– Jaki jest numer młodego? – spytał, odpalając.

– W notesie jest. A co?

– Muszę go wydzwonić i powiedzieć, żeby po mnie nie jechał.

Otworzył notes i wybrał numer na tarczy. Chwilę słuchał sygnału połączenia. W oczekiwaniu bębnił palcami o blat biurka. W końcu w słuchawce rozległ się damski głos:

– Słucham.

– Dzień dobry, czy zastałem Krzysztofa? Komisarz Żmigrodzki z tej strony.

– Bierze prysznic. Może pan zadzwonić za pięć minut?

– Nie ma takiej potrzeby. Niech mu pani tylko powie, że jestem już w komendzie i nie musi po mnie przyjeżdżać.

Odłożył słuchawkę na widełki i usiadł na swoim miejscu. Patrzył, jak Romaniuk składa łóżko i chowa je do szafy.

– Kawy chcesz? – spytała.

– Jeśli możesz, to zrób. Dzięki.

Wziął macha i wydmuchnął dym. Spojrzał w stronę swojego kożucha wiszącego na wieszaku. Dzisiaj nie zabrał piersiówki. Nie chciał, żeby go kusiła. Wiedział, że może nie da rady wytrzymać i będzie się modlił o jak najszybszy powrót do domu, ale chciał chociaż spróbować. Dopóki młody nie weźmie do rąk akt sprawy Urbańskiego, on nie sięgnie po alkohol. Tak sobie postanowił.

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Kilka razy próbowałem zostać z Pawłem sam na sam. Niestety ilekroć do niego podchodziłem i zaczynałem rozmowę, zbywał mnie, że pogadamy później. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. W końcu na długiej przerwie zobaczyłem, że mój ukochany idzie w stronę bloków na Kruszwickiej. Pobiegnęłam za nim. Ledwo udało mi się go dogonić.

– Zaczekaj! – zawołałem, łapiąc go za ramię. Pochyliłem się, próbując uspokoić oddech.

Paweł spojrział na mnie z góry.

– Nie teraz, Szymek – powiedział.

– Co się dzieje?

– Nie chcę o tym gadać.

Odwrócił się, żeby odejść, ale szarpnąłem go za ramię.

– Nie odtrącaj mnie!

– Nie odtrącam. Po prostu nie mogę teraz gadać. Wpadnij do mnie wieczorem – powiedział.

A potem odszedł.

Stałem na chodniku kompletnie zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, co się stało. Byłem pewny, że ma to jakiś związek z jego wyjazdem do Niemiec. Odpaliłem papierosa i zaciągnąłem się głęboko. Sięgnąłem do chlebaka i wyjąłem paczuszkę, którą miałem zamiar wręczyć Pawłowi. Przez głowę przebiegła mi myśl, że nie powinienem mu dawać tak drogiego podarunku. Zdecydowałem, że wieczorem podjadę do niego i poważnie z nim porozmawiam. Może zaproponuję mu wyjazd gdzieś, gdzie będziemy mogli bez skrupowania cieszyć się tym, co nas łączyło.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki spojrział na wchodzącego do wydziału Sawickiego. Szymańska i Tretter pojechali w teren. Lipiec poszedł do kadr. Byli w wydziale tylko we dwóch.

– A ty co tak wcześniej w robocie? – zdziwił się Krzysiek.

– Nie mogłem spać. Przed chwilą wydzwoniłem archiwum i poprosiłem o akta sprawy Urbańskiego.

– Czyli nie odpuszczasz. No dobra, zanim zapoznam się z tymi papierami, powiedz mi w skrócie, o co biega. Ale zanim zaczniesz, powiem ci, czego się wczoraj dowiedziałem, jak cię odwozłem do domu i wróciłem do fabryki.

– No to gadaj.

– Paweł Malinowski nie żyje.

– Ooo! A co się stało?

– Romaniuk pojechała wczoraj na wypadek. Chłopak wpadł pod pociąg na Mikołajowie. Okazało się, że to nasz Pawełek. Los pokarał go za cwaniactwo. Mówiłem ci, karma wraca.

– O niczym nie słyszałem. Rano Romaniuk nie wspomniała o Malinowskim.

– Może zapomniała.

Żmigrodzki rozparł się wygodnie na krześle.

– Mniejsza z tym. Dobra, wróćmy do sprawy Urbańskiego. Nasz zabójca wziął sobie za cel nastolatki i młode kobiety. Był brutalny. Każdej z ofiar zostawiał pamiętkę. Mówiłem ci to już. Urbański i Janiak byli ofiarami naszego parcia na

sukces. Przy pierwszej sprawie nie spisaliśmy się zbyt dobrze. Przy drugiej było jeszcze gorzej. Nie wiem, może się mylę, ale jestem przekonany, że prawdziwy zabójca jest na wolności.

– Może tak, a może nie. Ja uważam, że przesadzasz.

– A gwarantujesz, że żadna małolata więcej nie zginie i nie znajdziemy w jej ciele jakiejś niespodzianki?

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Kolejny raz nacisnąłem dzwonek. Nie wiedziałem, ile czasu upłynęło, gdy w końcu usłyszałem odgłos przekręcanego klucza. Chwilę później zobaczyłem zaspanego Pawła.

– A ty co tu robisz? – spytał, przecierając oczy.

– Byliśmy umówieni...

– Aha. No to włącz. Idź do mnie.

Przesunął się w bok, robiąc mi miejsce. Wszedłem do środka i skierowałem się do jego pokoju.

– Sorry, spałem – powiedział Paweł, siadając na fotelu przy biurku.

Nie wiedziałem, jak zacząć. Włożyłem rękę do kieszeni spodni i wymacałem niewielkie pudełko. Wyjąłem je i wyciągnąłem w jego stronę.

– Co to? – spytał, patrząc na prezent.

– Niespodzianka. Dzisiaj walentynki. Wszystkiego najlepszego z okazji święta zakochanych.

Wziął prezent do ręki i przez moment tylko go trzymał. W końcu rozpakował zawiniątko i wyjął sygnet.

– To chyba drogi prezent. Nie mogę go przyjąć – powiedział i odłożył go z powrotem do pudełka.

Podszedłem do niego i próbowałem się przytulić, ale odsunął się lekko.

– Paweł, to dla ciebie. Nie ma znaczenia, jaką ma wartość. Może być wart nawet miliard. Jesteś dla mnie najważniejszy i chcę, żebyś miał wszystko, co najlepsze.

Paweł milczał. Odłożył prezent na biurko i sięgnął po leżącą na blacie paczkę marlboro.

Odpalił jednego i wydmuchnął dym.

– Nie mogę tego przyjąć – powtórzył, patrząc mi w oczy.

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Paweł, zakochałem się w tobie. Sporo ostatnio myślałem i stwierdziłem, że ty pokazałeś mi, jaki jestem naprawdę. Pokazałeś, że można pokochać chłopa. Chyba zawsze taki byłem. Otworzyłeś mi oczy na prawdziwego Szymka.

– No i? – Paweł kolejny raz się zaciągnął.

– I postanowiłem być z tobą już na zawsze. Chcę z tobą wyjechać do Niemiec. Chcę przestać udawać, że jestem taki jak inni. Chcę z tobą być i się z tobą kochać...

– Nie – przerwał mi.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

– Nie kocham cię i nie będę z tobą – powiedział.

– Ale...

– Nic z tego. W weekend byłem w Niemczech z ojcem. Wracam tam na stałe.

– Ale... jak?

– Stary znalazł mi już szkołę. Uważa, że powinienem z nim zostać. Matka nie ma nic przeciwko.

– To mogę pojechać z tobą – zaproponowałem.

– Nie. Jak teraz byłem w Berlinie, spotkałem swojego byłego. Pogadaliśmy i stwierdziliśmy, że do siebie wrócimy.

Czułem, jak w oczach wzbierają mi łzy.

– A ja? – spytałem drżącym głosem.

– Ciebie nie ma. Nie było i nie będzie – powiedział Paweł, gasząc papierosa w popielnicze.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Sawicki nie wiedział, co ma myśleć. Z jednej strony wersja, że prawdziwy zabójca jest na wolności, wydawała mu się nieprawdopodobna. Z drugiej jednak nikt by nie uwierzył, że doświadczeni gliniarze będą fabrykować dowody, aby zamknąć sprawę zabójstw. Będzie musiał dokładniej przeanalizować akta, wziąć poprawkę na to, co zostało już ustalone. Podejrzewał, że czeka ich mozolna weryfikacja każdego dowodu i śladu. Miał tylko nadzieję, że Żmigrodzki będzie pamiętał, co w aktach jest prawdą, a co pasującą śledczym fikcją. Jeśli mają rozwiązać tę sprawę, nie będzie żadnych tajemnic.

Spojrzał na partnera. Żmigrodzki palił papierosa z nogami na biurku. Krzysiek chciał go spytać, kiedy akta trafią do wydziału, ale w tym samym momencie zaczął dzwonić telefon.

– Słucham, wydział zabójstw – powiedział do słuchawki.

– Cześć, tu laboratorium. W sprawie zabójstwa na Żernickiej mamy już wyniki odbitek palców. Ślady zabezpieczone w domu i na bagnecie idealnie pasują do linii papilarnych Tomasza Dąbrowskiego. Na sto procent to on trzymał narzędzie zbrodni.

– Dzięki.

– Spoko. Na razie.

Sawicki odłożył słuchawkę na widełki.

– Potwierdziło się, że to starszy z braci zabił Dragona i jego babcię – powiedział. – Sprawa zakończona.

– Zemścił się za zgnojenie brata. Babka pewnie przyłapała go, jak zabijał Dragona, i też oberwała. Potem poszedł do domu, ale nie wytrzymał wyrzutów sumienia i skoczył. Szkoda chłopaka.

– Był mordercą.

– Był. Ale jakby koledzy nie zgwałcili mu brata i ten nie rzuciłby się pod pociąg, pewnie dziś wszyscy by żyli. Może nie długo i szczęśliwie, aleby żyli. Niestety tak bywa. Czasu nikt nie cofnie.

– Trzeba napisać raport.

– Ja się tym zajmę.

Sawicki spojrział na partnera zaskoczony. Nie spodziewał się, że komisarz weźmie na siebie papierkową robotę.

– Jesteś pewny?

– Skoro mówię.

Żmigrodzki wyjął z szuflady teczkę i zaczął przeglądać kartki.

– A tak w ogóle to jak się trzymasz?

Spojrział na Krzyśka spod brwi.

– To znaczy?

– Nie czuję od ciebie gorzały. Nie wychodzisz też do klopa. Jak wieszalem swoją kurtkę, to dotknąłem twojego kożucha. Nie masz piersiówki.

– Bo została w domu. Staram się wytrzymać bez wody. Nie tknąłem ani kropli. Zależy mi na tym, żebyś potraktował poważnie sprawę Urbańskiego i nie wycofał się dlatego, że zachlałem pałą.

Krzysiek zastanawiał się, jak długo to potrwa. Wcześniej Żmigrodzki też obiecywał rzucenie alkoholu, ale po kilku godzinach się łamał i pił od nowa. Czas pokaże, czy teraz będzie tak samo.

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Patrzyłem na Pawła kompletnie zbity z tropu. To, co powiedział przed chwilą, było jak uderzenie obuchem w głowę. Nie ma mnie, nie było i nie będzie... Te słowa zabolaly.

– Jak mam to rozumieć? – zapytałem cicho.

– Normalnie. Zabawiliśmy się, poruchaliśmy i nasze drogi się rozchodzą. – Uśmiechnął się, pokazując śnieżnobiałe zęby. Chwilę później wziął do ręki sygnet i przez chwilę na niego patrzył. – Ładny, ale daj go komuś innemu. Komuś, dla kogo będziesz ważny.

– Myślałem, że dla ciebie jestem. I będę...

– Nie, Szymek. To, co było między nami, to tylko chwila przyjemności. Było fajnie, ale nic poza tym. Nie będziemy razem. Ja zresztą nie jestem chyba w ogóle stworzony do stałych związków.

– Powiedziałeś, że wracasz do swojego byłego.

– Ale czy to przetrwa, nie dam gwarancji. Jakiś taki, widzisz, niestały w uczuciach jestem. – Puścił do mnie oko.

– Czyli nic dla ciebie nie znaczą? – spytałem łamiącym się głosem.

Paweł wzruszył ramionami. Poczulem, jak z oczu zaczynają mi płynąć łzy.

– Paweł, błagam cię... Daj nam szansę – załkałem, ocierając twarz.

– Przestań. Nie chcę tego słuchać.

– Pawełku...

Podszedłem bliżej i chciałem go przytulić. Potrzebowałem teraz bliskości. Wyciągnąłem ramiona, ale mnie odepchnął.

– Idź już. Nie chcę dłużej pieprzyć o pierdołach.

– Ale...

– Idź. Chcę spać, a ty mi przeszkadzasz.

– Paweł... proszę...

Zbliżyłem twarz do jego twarzy. Pragnąłem go pocałować, ale pchnął mnie i upadłem na wersalkę. Gdy próbowałem wstać, mój ukochany uderzył mnie pięścią w brzuch. Stoczyłem się na podłogę. Poczulem silny ból.

– Jak jeszcze raz tak zrobisz, to ci wykurwię prosto w ryj – syknął.

Z trudem podniosłem się na nogi.

– Wypierdalaj stąd!

Nie wierzyłem własnym uszom. Mój ukochany wzgardził moim uczuciem i kazał mi się wynosić.

– Będziesz tego żałował – powiedziałem i wybiegłem z pokoju Pawła.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki skończył pisać raport w sprawie braci Dąbrowskich. Odłożył długopis na biurko i odchylił się na krześle. Już miał zamiar położyć nogi na blacie biurka, gdy otworzyły się drzwi i w progu stanął naczelnik. Widać było, że jest zdenerwowany.

– Żmigrodzki, do mnie – warknął wrogo.

Komisarz wzruszył ramionami i wstał z miejsca. Po drodze puścił jeszcze oko do zdumionego Krzyśka i podążył za przełożonym.

Przez całą drogę do swojego gabinetu Pawlak milczał. Gdy weszli do środka, odwrócił się i rozkazał:

– Zamknij drzwi i siadaj.

– Stało się coś?

– Tak. Co ty odpierdalasz?

– To znaczy?

– Dostałem informację, że chciałeś z archiwum akta sprawy Urbańskiego.

– Zgadza się.

– A po chuj? Chcesz grzebać w starociach? Życia to nikomu nie zwróci.

Komisarz puścił tę uwagę mimo uszu.

– Chcę się jej znowu przyjrzeć. Uważam...
– Gównu mnie obchodzi, co uważasz. Przez tę sprawę cały wydział cierpi. Daliście ciała i zaczęliście chlać. Wiesz, ile razy chroniłem wam dupy? Nie wiesz, bo byłeś ciągle na bani! Kryłem was, pomimo że mogłem was bez skrupułów wyjechać.
– Dobra. Nie wyjechałeś, więc po co strzepisz jezor?
Pawlak zrobił się czerwony na twarzy.
– Może się uniosłem. Powiesz mi jednak, po co chcesz się w tym babrać? – zapytał, uspokajając się nieco.
– Przeczucie.
– Jakie, kurwa, przeczucie?
– Mieszkowski miał przeczucie, że się machnęliśmy i prawdziwy sprawca nie został wykryty.
Pawlak pokręcił głową.
– Nie. Nie chcę nawet tego słyszeć. Wiele razy na ten temat gadaliśmy. Uważałem jednak, że to takie zwykłe pierdolenie. Ale teraz nie mogę tak tego puścić. Nie będzie żadnych akt z archiwum. Zabójca tych dziewczyn nie żyje. Koniec.
Żmigrodzki zapalił papierosa.
– To ostateczna decyzja?
– Tak. Mam już dość słuchania o Urbańskim. Mam też dość twojego chłania. Czemu los mnie pokarał twoją obecnością w wydziale? Marzę o dniu, kiedy wreszcie zachlejesz się na śmierć.
– Ciekawe masz marzenia, nie ma co – powiedział Żmigrodzki, wydmuchując dym.

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Nawet nie wiedziałem, jak to się stało, że wsiadłem do autobusu i dotarłem na Nowy Dwór. W głowie miałem tylko to, że Paweł wzgardził moim uczuciem. Co chwila wycierałem łzy, które spływały mi po policzkach. Przeszedłem przez wiadukt i skierowałem się w stronę przejazdu kolejowego.

Nagle dostrzegłem, że z ogródków działkowych wychodzi grupa skinów. Nie miałem najmniejszych szans na ucieczkę. Zobaczyli mnie.

– Ej, gościu! – zawołał jeden z nich. – Masz jakieś pety?

Kojarzyłem go z towarzystwa mojego brata, nie pamiętałem jednak jego ksywy.

Spojrzałem na pozostałych. Był tu Turoń, Robo, Struna i jakichś trzech młodych, których widziałem pierwszy raz. Patrzyli na mnie z uśmiechem. Wiedziałem jednak, że to tylko poza. Miałem przeczucie, że ten uśmiech ma mnie uspokoić na tyle, bym nie zaczął przed nimi zwiewać. Nie zamierzałem, bo wiedziałem, że to tylko pogorszyłoby moją sytuację.

Wyciągnąłem paczkę papierosów z kieszeni i ją otworzyłem.

– Jednego wezmę, bo widzę, że masz dwa – powiedział jeden z nich.

– Dzięki – bąknąłem.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Czekaj, ty jesteś bracholem Wiatraka.

Byłem zaskoczony. Nie miałem pojęcia, że mój brat ma takie przydomko.

– Tomek to mój brat – powiedziałem cicho.

– No to jak Wiatrak jest twoim braciakiem, to ty jesteś naszym ziomkiem.

Walniesz lułę?

Patrzyłem, jak w jego rękach pojawia się butelka wódki.

– Jestem Dragon – przedstawił się.

– Szymon.

– No to, młody, jebnij kielona.

Nie miałem ochoty na alkohol, ale wiedziałem, że jak odmówię, mogą przestać być mili. Wziąłem więc do ręki kieliszek, który wyciągnął do mnie jeden z nieznanym mi chłopaków. Robo go napełnił. Wychyliłem i poczułem palenie w przełyku.

– Chodź z nami na bunkry. Twój brachol ma tam sprowadzić jakieś dupy na ruchanie – zaproponował Dragon.

Zdałem sobie sprawę, że nie mam wyjścia. Jeśli chcę wyjść z tej sytuacji bez siniaków, muszę się zgodzić. Miałem tylko nadzieję, że jak zajdziemy na bunkry, Tomek wygoni mnie do domu. Nie byłem w nastroju do imprezowania, gdy moja miłość została wzgardzona.

– No, chyba że nasze towarzystwo ci nie pasuje. – Dragon zmrzążył oczy.

– Nie, skąd... Mogę iść – burknąłem.

Chwilę później ruszyliśmy w stronę przejazdu kolejowego.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Gdy Żmigrodzki wrócił do wydziału, Sawicki pił kawę i przeglądał jakieś pismo. Szymańska pisała notatkę, a Tretter pastował buty.

– Czego chciał Pawlak? – spytał Krzysiek, odkładając gazetę.

– Głęb się czepia. Nic specjalnego. Nie ma się co przejmować.

Sawicki wzruszył ramionami i wrócił do lektury.

Żmigrodzki usiadł na swoim miejscu. Zastanawiał się, czy dobrze robi. Musiał wyjaśnić sprawę zabójstw nastolatka. Czuł, że to jego obowiązek. Dotąd nie miał żadnych namacalnych dowodów świadczących o tym, że prawdziwy zabójca uniknął odpowiedzialności. Przeczucie to trochę za mało, żeby oficjalnie wydział się tym zajął. Był ciekaw, czy Pawlak rzeczywiście zablokuje temat. To, że akta jeszcze nie trafiły do wydziału, mogło oznaczać, że naczelnik spełnił swoją groźbę i papiery zostaną w archiwum.

Odpalił papierosa i spojrzął na drzwi. Z tyłu głowy zaczęła mu krążyć myśl, że powodem niechęci Pawlaka do wszczęcia śledztwa jest coś innego.

– Nie, to niemożliwe... – mruknął pod nosem.

W tym samym momencie zaczął dzwonić telefon. Szymańska odebrała i słuchała przez chwilę.

– Dzwonił dyżurny – powiedziała, odkładając słuchawkę. – Mamy martwą małolatę. Z danych z legitymacji szkolnej wiemy, że była poszukiwana. Od tygodnia jest na gigancie.

– My możemy pojechać – powiedział Żmigrodzki.

– Znaleziono ją w mieszkaniu przy Inżynierskiej.

Komisarz skinął głową. Sawicki odłożył gazetę i zaczął się szykować do wyjścia.

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

Stałem w niewielkiej grocie na bunkrach i patrzyłem na bawiących się skinów.

Mój brat początkowo był przeciwny mojej obecności. Kazał mi iść do domu. Reszta towarzystwa powiedziała jednak, żebym został. W końcu Tomek machnął ręką i zajął się jedną z dziewczyn. Przez jakiś czas się całowali, a potem poszli na osiedle. Wiedziałem, że prędko nie wrócą. Dziewczyna była napalona nie mniej niż on.

Patrzyłem na pijących skinów i zastanawiałem się, czy nie spróbować ukraść im zniknąć. Wtedy Robo zawołał do mnie:

– Młody, podejdź na chwilę!

Nie miałem wyboru. Wstałem z betonowego fragmentu bunkra i podszedłem bliżej.

– To o tobie młody mówił, że lubisz walenie w dupała?

Przełknąłem ślinę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zacząłem się bać.

– Pytał kolega o coś – wtrącił się Struna. – Jesteś pedałem?

– Już mówiłem, że to pomyłka... – wydukałem ze strachem.

– Pomyłka, że bierzesz do japy, czy pomyłka tak ogólnie?

– Nie jestem pedałem.

Poczułem, jak do moich oczu napływają łzy.

– A młody mówił, że widział, jak brałeś chuja do ryja. To komu mam wierzyć? – drążył Robo.

W tym samym momencie do groty wrócił Tomek z dziewczyną. Spojrzałem na niego i otarłem łzę.

– Ty, Wiatrak, twój brachol to ciota jest czy nie? – spytał Dragon.

– Odczep się od niego – warknął Tomek.

Dragon zrobił się czerwony na twarzy i doskoczył do Tomka. Robo i Struna jak na komendę przytrzymali mojego brata.

– Jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, to dostaniesz wpierdol. Kumasz?

Tomek skinął głową. Widziałem, że boi się Dragona.

– Dawać tego pedała. Zobaczymy, czy lubi w dupę.

– Dajcie mu spokój... – powiedział cicho Tomek.

– Wiatrak, zamknij, kurwa, ryj, bo tobą też się zajmiemy! – Dragon popatrzył na niego ze złością.

Tomek cofnął się o krok. Dziewczyna stała w miejscu. W jej oczach malowało się przerażenie.

Rozejrzałem się dookoła, szukając drogi ucieczki, ale dwóch młodych skinów powaliło mnie na ziemię. Jakieś ręce szarpnęły mnie do góry.

– Nie! – zacząłem wrzeszczeć.

– Uspokójcie go – polecił Struna.

Chwilę później ktoś wetknął mi w usta brudną szmatę.

– Dajcie mu spokój! – zawołał Tomek, nikt jednak się nim nie przejmował.

– Na głebę z nim i ścigać mu nachy! Lubi w dupę, to dostanie! – usłyszałem.

Spojrzałem w bok i zobaczyłem Dragona biorącego duży łyk wódki z gwinta. Zamknąłem oczy. Poczułem, jak ciepły mocz spływa mi po udzie.

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Żmigrodzki odpalił papierosa i podszedł do ciała.

Nastolatka leżała w erotycznej pozie. Była naga. Komisarz od razu ją rozpoznał. To ona w jego koszmarze sprzed kilku dni oskarżyła go o zabicie tych wszystkich zgromadzonych w sali egzekucyjnej dziewczyn. Poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Wyciągnął dłoń i chwycił się ściany.

– Wszystko w porządku? – spytał Sawicki.

Komisarz poczuł silny ból w klatce piersiowej. Złapał się za pierś i pochylił do przodu. Pracujący przy ciele technicy popatrzyli na niego wystraszeni.

– To chyba zawał – powiedział jeden z nich.

Żmigrodzki padł na kolana. Chwilę później leżał już na plecach, zaciskając zęby i powieki. Ból był nie do wytrzymania.

– Trzymaj się, chłopie – usłyszał głos Sawickiego.

Wiedział, że umiera. Wiedział też, że zabójca nastolatek kolejny raz dał o sobie znać. Był pewny, że spełnił się jego największy koszmar. Źle wytypowali także drugiego podejrzanego. Kolejny raz się pomylili.

Spróbował wstać. Nie chciał umierać na podłodze tego mieszkania. W ogóle nie chciał umierać. Chciał pociągnąć to śledztwo do końca. Chciał w końcu złapać mordercę. Z pomocą młodego był w stanie to zrobić. Był w stanie zapobiec kolejnym zbrodniom. Po to wystąpił do archiwum po akta.

– Karetka już jedzie – powiedział ktoś z boku.

Ból jakby zelżał. Miał nadzieję, że zaraz minie.

– Trzymaj się, Piotrek. – Sawicki pochylił się nad nim.

Wtedy nadszedł kolejny atak.

– Złap go... – zdołał wydusić Żmigrodzki.

– Kogo?

– On znowu zabija.

Sawicki spojrział w stronę drzwi.

– Gdzie ta kurewska karetka?! – krzyknął.

Żmigrodzki zobaczył gromadzący się wokół niego tłum. Chwilę później poczuł się spokojny. Patrzył na sufit i unosił kącki ust. Śmierć odwzajemniła uśmiech.

* * *

WROCLAW, 14 LUTEGO 1994 R.

– Błagam... – wyszeptałem.

Chwilę wcześniej wyjęto mi z ust brudną szmatę. Byłem cały obolały. Towarzystwo mojego brata brutalnie mnie zgwałciło butelką po wódce. Trzech skinów mnie trzymało, a Dragon gwałcił. Wciąż słyszałem ich rechot. Jak skończył, wyjął butelkę i oddał na mnie mocz.

Spojrzałem na Tomka. Stał z boku i milczał. Nie pomógł mi. Wiedziałem, że się bał swoich kolegów.

– Co powiedziałaś, pedale? – Dragon pochylił się nade mną.

– Błagam...

Skin spojrzał na resztę.

– On, kurwa, błaga! Pedal jebany!

Poczułem kopnięcie w bok. Nie miałem nawet siły się zasłonić.

– Dostałeś, cioto, za swoje. Nikt nie będzie na naszej parafii się pierdolił z facetami. Żaden chłop nie da dupy drugiemu! Dbamy o czystość rasy i o wartości chrześcijańskie. Nie będziemy tolerować sodomitów! Jarzysz, cwelu?

Starałem się coś powiedzieć, ale nie dałem rady.

– Ubieraj się i spierdalaj! Dowiem się, że dalej grzmocisz się z facetami, to inaczej pogadamy!

Zacząłem wstawać. Podciągnąłem majtki, czując wilgoć między pośladkami. Byłem pewny, że mam poraniony odbyt. Bolał mnie niesamowicie. Zastanawiałem się, czy w ogóle dam radę iść.

– A może mu się podobało? – spytał jeden z młodych skinów.

– Co? – Dragon popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– No, ta butelka. Może takie pedryle to lubią.

Dragon spojrzał na mnie.

– Podobało ci się?

Zaprzeciżyłem ruchem głowy.

– Chyba jednak nie! – Zaśmiał się.

Podciągnąłem spodnie i zapiąłem pasek. Gdy odwróciłem się do nich tyłem, poczułem kopnięcie w plecy. Poleciałem na ścianę. Starałem się zachować równowagę, ale ciężki but podciął mnie i upadłem. Po chwili w mój bok trafił głąn.

– To, żebyś pamiętał – powiedział Robo. – Dawać pasy.

Leżałem i patrzyłem, jak skini wyciągają ze szlufek spodni wojskowe pasy. Tomek wciąż stał z boku. Zamknąłem oczy, gdy ruszyli na mnie. Zacząłem się modlić o ocalenie.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

Sawicki patrzył na przykryte białym prześcieradłem ciało Żmigrodzkiego. Spod materiału wystawał fragment kożucha komisarza. Gdy partner przestał oddychać, wraz z jednym z techników podjęli próbę reanimacji, jednak zakończyła się niepowodzeniem.

Czekali teraz na przyjazd lekarza, który oficjalnie stwierdzi zgon. Technicy wrócili do zabezpieczania śladów, a Sawicki szwendał się po mieszkaniu bez celu.

– Panie aspirancie, mamy tu coś dziwnego – powiedział jeden z pracujących przy zwłokach nastolatki mężczyzna.

– Co? – Krzysiek odwrócił się w jego stronę.

– W pochwie denatki jest jakiś przedmiot.

Poczuł szybsze bicie serca. Uszczypnął się w policzek, żeby sprawdzić, czy mu się to nie śni.

Przykucnął nad ciałem.

– Wstępne oględziny tego nie wykazały, jednak po odwróceniu ciała na bok z jej pochwy wysypały się jakieś ziarenka. Wyglądają na ryż.

– Ryż? Kurwa, jaki ryż?

– No... ziarenka ryżu.

Technik sięgnął po swoją torbę i wyjął z niej jakieś szczypce. Sawicki patrzył, jak wkłada je do wnętrza denatki. Chwilę później zobaczył niewielką materiałową torebkę.

– Co to jest, do kurwy nędzy?

– Coś jak takie woreczki na wuef do szkoły. Tak mi się wydaje.

Technik włożył przedmiot do woreczka strunowego. W tym samym momencie usłyszeli ruch za plecami. Do pomieszczenia wszedł Tretter z Szymańską.

– Słyszeliśmy przez radio... – Dorota wskazała na ciało Żmigrodzkiego.

– Pawlak też już jedzie z komendy – dopowiedział Tretter. Pochylił się nad ciałem Żmigrodzkiego i uniósł materiał. Przez chwilę przyglądał się zmarłemu komisarzowi. – Myślałem, że woda go wykończy, a nie zawał.

– Umarł trzeźwy – powiedział Sawicki. – Mamy jednak problem.

– Jaki?

Wskazał na ciało nastolatki.

– Uważam, że mamy tu seryjne zabójstwo.

– Przesadzasz, Sawicki – dobiegło od strony drzwi. – Odpocznij. Miałeś dzisiaj dużo wrażeń.

Wszyscy podnieśli głowy. W progu stał naczelnik Pawlak.

* * *

WROCLAW, 15 LUTEGO 1994 R.

Szedłem i płakałem. Nie mogłem sobie poradzić z tym, co zrobili mi skini. Dodatkowo zranił mnie Paweł. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę żyć z czymś

takim. Ktoś, kogo pokochałem, okazał się nic niewart. Zbałamucił mnie, obiecywał wspaniałe życie, a potem porzucił. Czuję się zdradzony i oszukany. Wykorzystany. Paweł był zwykłym gnojkiem. A mój brat nie był lepszy. Stał i patrzył, jak jego kumple gwałcą mnie i biją. Nie pomógł mi. Wiedziałem, że się ich bał, ale i tak miałem żal. Zawiodłem się na nim jak na nikim dotąd.

– Ej, kolego! – dobiegło mnie nagle z boku.

Stałem i odwróciłem głowę. Kawałek dalej stał Konopka ze swoim psem.

Mocniej naciągnąłem kaptur. Nie chciałem, by widział, że płakałem.

– Masz może zapalki? – spytał.

– Nie palę – odpowiedziałem.

– Cholera. Nic, trudno – powiedział i pociągnął psa.

Ruszyłem przed siebie. Życie przestało mieć dla mnie sens. Wiedziałem, że skini pochwalą się tym, co mi zrobili. Będą mieli używanie. Tomek pewnie też się ode mnie odwróci. Nie będzie chciał mieć nic wspólnego z przecwelonym pedałem. Wszyscy kumple i dziewczyny z podwórka dowiedzą się, w jaki sposób Dragon się ze mną zabawił. Nie będę miał życia na osiedlu. Miałem do wyboru ucieczkę albo...

Zobaczyłem, że na przejeździe kolejowym są opuszczone zapory. Widziałem pociąg jadący w stronę Kuźnik. Pomimo bólu zacząłem biec w stronę torów. Lokomotywa zbliżała się coraz szybciej. Stałem na torach i czekałem na to, co musiało się wydarzyć.

Chwilę później rozbłysły długie światła. Oślepiły mnie, więc zamknąłem oczy.

Słyszałem pisk hamulców i przeciągły gwizd klaksonu. Rozpostarłem ramiona.

Bąłem się śmierci. Dużo bardziej jednak bąłem się życia.

* * *

WROCLAW, 25 LUTEGO 1994 R.

– Naczelniku, Źmigrodzki miał rację – powiedział Sawicki.

– Niby z czym?

– Uważał, że pomylił się w sprawie Urbańskiego.

– To wszyscy wiemy. Nie ma sensu tego roztrząsać. – Naczelnik pochylił się nad ciałem komisarza i uchylił rąbek materiału. Przez chwilę patrzył na martwego podwładnego, a potem okrył go z powrotem.

– Jest. Mamy tu kolejną ofiarę. Sposób działania jest taki sam – powiedział Krzysiek.

Pawlak powiódł wzrokiem po pozostałych policjantach. Tretter i Szymańska odpalali właśnie papierosy.

– Słuchaj, nie będziemy zajmować się pierdołami. Źmigrodzki był pijakiem i miał pijackie jazdy. Kapujesz, co to jest alkoholizm?

Sawicki milczał.

– A my nie będziemy marnować kasy ani czasu, żeby ganiać za urojeniami. Facet umarł i tyle. Wyprawi mu się pogrzeb, ale nie będziemy badać sprawy, którą ten chlor wraz z Mieszkowskim spieprzyli. Kapujesz?

Sawicki patrzył w milczeniu na ciało nastolatki.

– Kapujesz? – powtórzył ostro Pawlak.

Przytaknął. Wtedy naczelnik odwrócił się do pozostałych.

– Prowadzić normalnym trybem. Nie brać pod uwagę rewelacji młodego. Nie ganiać za duchami i chuj wie, co tam jeszcze Żmigrodzki wymyślił – rozkazał, podchodząc do ciała zamordowanej.

Przykucnął przy niej i przez kilka sekund patrzył na jej bladą twarz. Uśmiechnął się pod nosem. Podobnie jak kilka godzin wcześniej, gdy się nią zajmował. Zastanawiał się, czy już odkryto woreczek, który w niej zostawił.

Śpij słodko, malutka, pomyślał, wstając z kucek.

KONIEC

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.